

MARCIN WOLSKI

POWRÓT  CALMANZORA



MARCIN WOLSKI

POWRÓT  CALMANZORA



ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Marcin Wolski
Powrót Almanzora

ISBN 978-83-8116-101-5

Copyright © Marcin Wolski, 2017
All rights reserved

Redaktor prowadzący
Jan Grzegorzczak

Redaktor
Paulina Jeske-Choińska

Projekt okładki i stron tytułowych
Agnieszka Herman

Skład i łamanie
Teodor Jeske-Choiński

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
faks 61 852 63 26
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Alpuhara

1. Pewnego dnia owego lata
2. Dwadzieścia miesięcy wcześniej
3. Ucieczka i pościg
4. Przebudzenie
5. Śladem tajemnicy
6. Alpejska ścieżka
7. Matki realne, matki zastępcze
8. Przed burzą
9. Bezpieczne miejsca
10. Śledztwo
11. Tropy, znaki, zapowiedzi
12. Akcja przyspiesza
13. Dowód zgodności
14. Gorąca noc
15. Dzień gniewu
16. Między burzami
17. Almanzor

18. Inwazja

Alpuhara

*Już w gruzach leżą Maurów posady,
Naród ich dźwiga żelaza,
Bronią się jeszcze twierdze Grenady,
Ale w Grenadzie zaraza.*

*Broni się jeszcze z wież Alpuhary
Almanzor z garstką rycerzy,
Hiszpan pod miastem zatknął sztandary,
Jutro do szturmu uderzy.*

*O wschodzie słońca ryknęły spiże,
Rwą się okopy, mur wali,
Już z minaretów błysnęły krzyże,
Hiszpanie zamku dostali.*

*Jeden Almanzor, widząc swe roty
Zbite w upiornej obronie,
Przerznął się między szable i groty,
Uciekł i zmylił pogonie.*

*Hiszpan na świeżej zamku ruinie,
Pomiędzy gruzy i trupy,
Zastawia ucztę, kąpie się w winie,
Rozdziela brańce i łupy.*

*Wtem straż odźwierna wodzom donosi,
Że rycerz z obcej krainy
O posłuchanie co rychlej prosi,
Ważne przywożąc nowiny.*

*Był to Almanzor, król muzułmanów,
Rzucił bezpieczne ukrycie,
Sam się oddaje w ręce Hiszpanów
I tylko błaga o życie.*

*„Hiszpanie — woła — na waszym progu
Przychodzę czołem uderzyć,
Przychodzę służyć waszemu Bogu,
Waszym prorokom uwierzyć.*

*Niechaj rozgłosi sława przed światem,
Że Arab, że król zwalczony,
Swoich zwycięzców chce zostać bratem,
Wasalem obcej korony”.*

*Hiszpanie męstwo cenić umieją;
Gdy Almanzora poznali,
Wódz go uścisnął, inni kolejną
Jak towarzysza witali.*

*Almanzor wszystkich wzajemnie witał,
Wodza najczulej uścisnął,
Objął za szyję, za ręce chwycił,
Na ustach jego zawisnął.*

*A wtem osłabnął, padł na kolana,
Ale rękami drżącemi
Wiążąc swój zawój do nóg Hiszpana,
Ciągnął się za nim po ziemi.*

*Spojrzał dokoła, wszystkich zadziwił,
Zbladłe, zsiniałe miał lice,
Śmiechem okropnym usta wykrzywił,
Krwiał mu nabiegły źrenice.*

*„Patrzcie, o giaury! jam siny, blady,
Zgadnijcie, czym ja postęm?
Jam was oszukał, wracam z Grenady,
Ja wam zarazę przyniosłem.*

*Pocałowaniem wszczepiłem w duszę
Jad, co was będzie pożerać,
Pójdźcie i patrzcie na me katusze:
Wy tak musicie umierać!”*

*Rzuca się, krzyczy, ściągga ramiona,
Chciałby uściśnieniem wiecznym
Wszystkich Hiszpanów przykuć do łona;
Śmieje się — śmiechem serdecznym.*

*Śmiał się — już skonał — jeszcze powieki,
Jeszcze się usta nie zwały,
I śmiech piekielny został na wieki
Do zimnych liców przymarły.*

*Hiszpanie trwoźni z miasta uciekli,
Dżuma za nimi w ślad biegła;
Z gór Alpuhary nim się wywlekli,
Reszta ich wojska poległa.*

(Adam Mickiewicz, *Konrad Wallenrod*)

1. Pewnego dnia owego lata

Na polach leżała jeszcze mgła. Łagodne wzgórza wyłaniały się z niej na podobieństwo pływających w mleku grzanek, które złociście oświetlało wschodzące słońce. Było jeszcze dosyć wcześnie i świat cały zdawał się spać, ale Gizela Kovacs uwielbiała spacerować właśnie o takiej porze. Ucieczka z Budapesztu na łono natury, do domu dziadków, który przycupnął na skraju resztek węgierskiej puszczy, dawała jej zawsze ogromną porcję spokoju i radości. Miała siedemnaście lat i tu odczuwała najmocniej zadziwiająca więź z przyrodą, z dojrzałym urokiem złocistych pól, z których zebrano już plony, z zielenią lasu na jednym ze wznesień, błękitem nieba. Bill, jej biskoptowy labrador, szalał wśród spalonych słońcem traw, nurkował w zaroślach, po czym zdyszany przypadał do jej nóg, czekając na akceptację.

Tak bardzo żałowała, że nie może z nim porozmawiać. Chłoneła świat wszystkimi dostępnymi zmysłami: wzrokiem, węchem, dotykiem, smakowała dojrzałe owoce. Nie mogła go jedynie usłyszeć.

Od dziecka była głuchoniema.

Tuż pod szczytem pagórka, na ścieżce opadającej ku ciągle niewidocznej drodze przycupnęła kapliczka, stareńka, ale jak mawiali miejscowi, postawiona w miejsce starszej, która też miała swą poprzedniczkę. Podobno tę najwcześniejszą ufundował polski król uchodzący na wygnanie, po tym jak wzburzył lud swój, zabijając biskupa. Może tak było, a może zupełnie inaczej, w każdym razie przychodzili Wenecjanie, Andegawenowie, Turcy, Austriacy, a ikona świętego, którego nikt nie potrafił zidentyfikować, trwała.

Gizela przystanęła i zmówiła krótką modlitwę. Nie było dnia, by nie modliła się do Pana Boga, Matki Boskiej i wszystkich świętych o wybawienie

jej z kalectwa, które mimo urody, inteligencji i ambicji skazywało ją na samotność.

Czy żądała wiele? Jej defekt zastanawiał lekarzy. Krtań pracowała prawidłowo, narządy słuchu też były w należyтым stanie, a jednak ani nie mówiła, ani niczego nie słyszała.

„To musi być coś w mózgu”, mówili po każdorazowej konsultacji budapeszteńscy lekarze, co potrafiła odczytać z ruchu ich warg. Nie pamiętała najwcześniejszego dzieciństwa, ale podobno urodziła się normalna, bystra, żywa, rozwijała się szybciej niż inne dzieci. Niestety, kiedy miała dwa latka, zdarzyło się coś, co sprawiło, że otoczyła ją strefa ciszy. Co to było, nie miała pojęcia...

Grzmot, który zakołysał światem, dotarł do niej jedynie za pośrednictwem wibracji.

Zauważyła, że Bill — pies jak by nie było myśliwski, który nie bał się noworocznych fajerwerków ani telewizyjnych westernów — raptownie skulił się i przywarł do jej nóg.

Co to było? Trzęsienie ziemi. Ruszyła ku drodze, zwykle słabo uczęszczanej, prowadzącej ku dawnej strażnicy Wojsk Ochrony Pogranicza, obecnie zajmowanej przez punkt obserwacji płotu dzielącego Węgry od ościennej Serbii.

Powiał wiatr, mgła się uniosła jak kurtyna.

Ukazało się czoło fali. Czoło ludzkiego tsunami, którego krańca nie było widać!

Morze głów falowało, pożerając drogę przed sobą, dążąc niepowstrzymanie, coraz śmieiej.

„Gdzie straż graniczna, gdzie policja?” — przemknęło przez myśl Gizeli.

Nie słyszała strzałów ani wrzawy i dopiero gdy pojawił się dym od strony granicznych zabudowań, domyśliła się, co się stało.

Chciała rzucić się do ucieczki, wbiegła na wzgórze. I zdrętwiała. Drugie ramię pochodu maszerowało już za jej plecami. Szli głównie młodzi mężczyźni z plecakami i workami podróżnymi. Nie obciążały ich żadne wózki czy walizki, zwykle towarzyszące uchodźcom. Ręce, jeśli nie liczyć drewnianych lasek, mieli swobodne. Znieruchomiła, poszukując wzrokiem kobiet i dzieci, tak chętnie pokazywanych przez telewizję.

Może kryły się gdzieś w dalszych szeregach. W postępującej, na ogół ciemnoskórej tłuszczy było coś przerażającego. Dziewczynę przeszyło lodowe ostrze strachu. Tu, wśród pól, w swojej różowej sukience była widoczna z każdej strony. I nie miała dokąd uciec.

„Matko chwalebna, Panno błogosławiona!” — szeptała bezgłośnie.

Byli od niej o parę kroków — wiatr wiejący od strony idących niósł zwielokrotniony zapach potu, obcości, nienawiści.

„Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko...”. Czy Matka Boska mogła usłyszeć głuchoniemą?

Idący na przodzie wielki brodaty mężczyzna musiał zobaczyć ją pierwszy. Gębę rozdziawił w szczerbatym uśmiechu. A ona w ułamku sekundy ujrzała, co z nią zrobi w najbliższych minutach.

Odrze z szat, rzuci na trawę, pohańbi, potem ustąpi innym, a sam obali świętą kapliczkę.

„Orędowniczko nasza, Pocieszycielko nasza...”.

Przyłgnęła plecami do kapliczki, zasłoniła sobą święty obrazek i czekała na nieuchronne.

— Bill, nie! — chciała zawołać. Ale przecież nie mogła.

Tymczasem jakaś nadzwyczajna odwaga wstąpiła w psinę, na co dzień utkaną z samej łagodności. Labrador skoczył ku przodowi i wbił zęby w ogorzałą łydę przewodnika stada.

Ten go kopnął, a następnie przydeptał. Rozległ się krótki skowyt i chrzęst

łamanych kości.

Gizeli wydawało się, że na moment traci przytomność. Nogi ugięły się pod nią, oczy zaszyły mgłą.

Kiedy parę sekund potem przetarła oczy, skonstatowała, że klęczy wśród traw, a prowodyr minął ją wraz z czołem pochodu. Tak jakby naraz stała się powietrzem. Za nim poszli inni, nie zwracając najmniejszej uwagi ani na nią, ani na ciągle zasłanianą kapliczkę. Czyżby stali się niewidzialni, przezroczyści? Ktoś odtrącił truchło psa, które wpadło do rowu.

Gizela trwała nieruchomo, obawiając się oddychać, i patrzyła, jak ludzka tysięcznoga masa idzie, dąży nieprzerwanie dalej ku północy, ku krajom i ludom sytym, bogatym a bezbronnym. Zda się cały Trzeci Świat szedł w tej wędrówce ludów. Brodaci przybysze z gór Afganistanu, jasnolicy Kurdowie, żwawi, zawsze gotowi do interesów Syryjczycy, spaleni słońcem mieszkańcy Erytrei o zadziwiająco europejskich rysach czekoladowych twarzy, Somalijszczy z zbrojactwem wypisanym na twarzach, rozbójnicy z Jemenu, na poły zeświecczeni młodzieńcy z Libii, którym zdarzało się smakować grzechów Zachodu, i inni dalsi zwabieni wizją podboju od Senegalu po Etiopię. Nie głodomory, uciekinierzy, rozbitkowie, tylko zdeterminowana, w tym pozornym bałaganie, karna armia rycerzy Allaha.

Kolumna zdawała się nie mieć końca. I dopiero po dwóch godzinach, gdy przeszli ostatni z maruderów, pojawiła się garstka żołnierzy pogranicznych, policjanci i kilka karetek.

Do tego czasu dziewczyna trwała jak skamieniała, na klęczkach.

Podszedł do niej młody jasnowłosy oficer.

— Nic się pani nie stało? — spytał zdumiony, bo zewsząd napływały meldunki, że za przerwaniem w pięciu miejscach płotem dochodzi do rabunków i gwałtów. — Nic pani nie zrobili? — powtórzył.

Popatrzyła mu prosto w oczy, a potem zaczęła krzyczeć, zdumiona, że go

słyszysz i sama może wydać dźwięk.

— Proszę się uspokoić, jest pani bezpieczna, jest z nami lekarz. —
Wyciągnął rękę, odskoczyła jak oparzona. Oczy miała błędne.

— „A gdy się skończy tysiąc lat, z więzienia swego szatan zostanie
zwolniony i wyjdzie, aby omamić narody z czterech narożników Ziemi, Goga
i Magoga, by zgromadzić na bój, a liczba ich jak piasek morski...” —
powiedziała, sama się zdumiewając, że mówi po aramejsku.

Chwilę później pojawił się lekarz, życzliwy, zatroskany, ale ona wyminęła
go i podbiegła do rowu, w którym leżał trup labradora. Pochyliła się nad nim,
objęła...

Bill uniósł łeb i szczechnął wesoło.

Tymczasem niebo mimo słonecznego dnia pociemniało, jakby przysłonięte
chmurą szarańczy.

— Apokalipsa nastąpiła — powiedziała Gizela do lekarza. — Ale
sprawiedliwi ocaleją.

2. Dwadzieścia miesięcy wcześniej

Drony nie mają serca, duszy ani mózgu, nie przeżywają rozterek, nie znają litości, nie odczuwają empatii, która potrafi się objawić u najlepiej nawet wykwalifikowanych zabójców.

Zresztą ów nr 234 z serii „giez”, niewiele większy od gołębia, nie posiadał żadnego morderczego uzbrojenia, miał jeden cel: namierzyć obiekt, sfilmować i przekazać dalej. Sygnał z satelity wskazywał na Bronowice, krakowskie przedmieście, w którym przed ponad wiekiem odbyło się słynne weselisko poety z chłopką, będące metaforą polskiej niemocy. Drona oczywiście nie interesowała etnografia ani historia, obchodził go jedynie niewielki czujnik, który precyzyjnie wstrzelony pod skórę, pozwalał zlokalizować nosiciela i przekazać dane na temat miejsca jego pobytu do Centrali.

Uprowadzenie z komnat wawelskich Aleksieja Mordakowa — jak nazywał się wedle informacji znanych ledwie kilku ludziom w Imperium pierwszy i podobno najlepszy dubler prezydenta Władimira Władimirowicza Pobiedina — wykryto po półgodzinie. Uruchomienie namierzania zajęło kilkanaście następnych minut — ze względu na całkowite zachmurzenie podgląd z satelity był niestety niemożliwy, w grę wchodził jedynie nasłuch lokalizatora. Na wysłanie z magazynu pewnej białoruskiej firmy przewozowej w Podgórzu wspomnianego urządzenia potrzeba było kolejnego kwadransa. Dron doleciał na miejsce tym łatwiej, że od pewnego czasu czujnik już się nie przemieszczał.

Kontroler nadzorujący tego dnia w Centrali całość bezpieczeństwa zewnętrznego nienawidził fuszerki i nie miał niczego na usprawiedliwienie swojego podkomendnego, odpowiedzialnego za ochronę prezydenta Rosji podczas wizyty w Polsce. Na szczęście Najwyższy Zwierzchnik nie palił się

do jakichś większych represji w resorcie, tym bardziej że odpowiedzialny za zaniedbania, Andriej Szukszyn, sam wymierzył sobie karę.

„Strzelił sobie w głowę, i chuj z nim! — zabrzmiał krótki komentarz szefa państwa. — Do świtu sytuacja ma być opanowana!”.

Jeśli idzie o sobowtóra numer dwa — Dymitra Lipkina — odnaleziono go w ciągu godziny i wyekspediowano do Polski, tak aby o właściwej porze stawiał się na uroczystości rocznicowej w obozie oświęcimskim. Była to jednak łatwiejsza część zadania.

Człowiek uważany przez cały świat za suwerena Federacji Rosyjskiej pozostawał nadal w rękach jakichś amatorów, realizujących zamówienie miliardera Czerkasowa. — *Jebionnaja żopa!* — zżymał się Kontroler, nazywany przez swego szefa Lwem Iwanowiczem. — Kąsa trzy lata po śmierci!

Dodatkowy gniew generała GRU wzbudzał fakt, że sam wykonawca ostatniej woli zbiegłego na Wyspy Brytyjskie oligarchy (i tak śmierci się nie wywinął), mecenas Bortnik, nie tylko wyszedł cało z rąk speckomanda na Wyspach Dziewiczych, ale znajdował się także pod czułą opieką amerykańskich sił specjalnych.

Mimo że „upiór Kremla” przez innych zwany „Minotaurem” przyjął meldunek dość spokojnie, Kontroler nie miał wątpliwości, że ktoś za to zapłaci! Ostatnimi czasy często stawał mu przed oczami los kilku poprzedników, którzy zawiedli w podobnych sprawach — jeden z nich utopił się podczas wczasów w Malezji, drugi zginął w wypadku drogowym, a trzeci, zawołany alpinista, odpadł od ściany pamińskiego szczytu, który jeszcze całkiem niedawno nosił nazwę Pik Komunizmu.

Pod tym względem pozbawiony uczuć i wahań dron był w znacznie lepszej sytuacji.

Noc sprzyjała jego akcji. Niezauważony przez nikogo — wszystkie polskie

służby zajęte były dogaszaniem zamieszek pod Wawelem — doleciał do miejsca, skąd pochodził sygnał, i ustalił, że elektroniczne cacko znalazło się na dnie studzienki kanalizacyjnej. Na śniegu obok wjazdu zarejestrował kilka plamek krwi dowodzących tego, że ktoś usuwający nadajnik z ciała prezydenta specjalnie się nie patyczkował, a zarazem był obeznany zarówno ze sztuką chirurgii, jak i z wykrywaniem tego rodzaju implantów.

„Fachowiec!” — przemknęło przez myśl Kontrolerowi. W Polsce było tylko kilku takich, a jeden pasował szczególnie do roli uczestnika porwania: doktor Filip Majewski, „lekarz rządowy”, pułkownik MSW, prawdopodobnie od 1989 roku współpracujący z CIA, który najwyraźniej bez zgody swych polskich zwierzchników zaangażował się w tę brawurową operację. „Już nie żyjesz!” — dodał w duchu Kontroler.

Lista osób zamieszanych w sprawę, których szybka eliminacja była konieczna, powiększała się z każdą chwilą, obok Bortnika, grzejącego się w słońcu Karaibów, na jej czele znajdował się stary znajomy Organów — inżynier Igor Rykow, który bardzo skomplikował wydarzenia w pamiętnym kwietniu 2010 roku — i jego młoda żona Zinaida, która umiejętnie odegrała rolę kochanki prezydenta, wślizgnęła się na wawelskie wzgórze i do dawnej sypialni Hansa Franka.

Jednak odnalezienie Mordakowa miało najwyższy priorytet. Jego obecność w obcych rękach stanowiła najwyższe zagrożenie dla państwa. Nie w Polsce; jej przywództwo w osobie wiecznie rozhisteryzowanej babiny, którą Najwyższy Szef nazywał „Salową”, czy kabotyńskiego prezydenta, który trzymany był na krótkich sznurkach otaczających go agentów, nie odważyłoby się im zagrozić, nawet gdyby zawiniętego w dywan Pobiedina podrzucono na dziedziniec Belwederu, jednak gdyby sobowtór wpadł w ręce Amerykanów, sytuacja stałaby się dramatyczna. I nie chodziło nawet o możliwość pojawienia się sobowtóra na jakiejś konferencji prasowej — to ostatnie, choć

kłopotliwe, pewnie jakoś by zdementowali, w końcu mieli zapasowego Pobiedina — gorzej gdyby Mordakow, trafiwszy w ręce amerykańskich służb, znalazł się na terenie jakiejś bazy w kraju nieprzestrzegającym praw człowieka... Dubler z konieczności poprawnego odgrywania swojej roli znał sporo tajemnic, których ujawnienie mogłoby Kreml drogo kosztować. Oczywiście, Kontroler nie miał wątpliwości co do lojalności towarzysza Aleksieja. Ale czy w krytycznej sytuacji zdobyłby się na samobójstwo? Zresztą jeśli w trakcie porwania został uspiiony, to doktor Majewski niewątpliwie pozbawił go trucizny, ukrytej pod sztucznym paznokciem, równie łatwo, jakby chodziło o obranie krewetki. *Wot problema!* Przy odpowiedniej obróbce, zwłaszcza w miejscu niepodlegającym konwencjom międzynarodowym, nawet ryby zaczynają śpiewać.

Dron tymczasem dokonał analizy terenu; wprawdzie śnieg padał coraz gęstszy, ale pozostały jeszcze ślady samochodu, zaparkowanego wcześniej kilka kroków od studzienki i miejsca, w którym porzucono karetkę, służącą spiskowcom do ewakuacji z centrum miasta.

Rozstaw kół samochodu wskazywał na jakiś większy wóz, zapewne z napędem na cztery koła i niewątpliwie ze sporym bagażnikiem, zdolnym pomieścić nieprzytomnego Mordakowa. Ślad urywał się po dojechaniu do głównej drogi. Opodal był wjazd na autostradę. Przy takim zachmurzeniu szukaj wiatru w polu!

Pozostawało zdać się na ludzi. Rzecz jasna Kontroler nie zamierzał wtajemniczać Polaków ani nikogo z zewnątrz. Za wszelką cenę pragnął uniknąć ogłoszenia alarmu, co mogłoby wywołać niebywałe konsekwencje. Oficjalnie nic przecież w ową styczniową noc się nie wydarzyło. Rano Pobiedin nr 3 odegra swoją rolę bez zarzutu, a odpowiedni ludzie wytropią Pobiedina nr 2, zanim ten zrobi cokolwiek naprawdę szkodliwego.

Tymczasem sam zainteresowany Aleksiej Antonowicz Mordakow — ostatni stopień służbowy porucznik, oficjalnie poległy w Afganistanie w roku 1985, a później już zawsze pozostający poza ewidencją generał tajnej rezerwy FSB — znajdował się w sytuacji, w której nie był w stanie zagrozić nawet sobie. Przebywał w piwnicy przysypanej śniegiem chatynki, gdzieś na skraju Pustyni Błędowskiej. Dyskomfort potęgowały nogi przykute do łóżka i ręce spięte kajdankami. Do skromnych aktywów należało ciągle utrzymywanie się przy życiu, mimo że zleceniodawca operacji przeciw niemu, zmarły przed kilku laty miliarder Czerkasow, stwierdził, iż należy „dorwać Pobiedina żywym bądź umarłym”, ze szczególnym naciskiem na tę drugą ewentualność.

Jeśli coś w tej rozpaczliwej sytuacji było zabawne, to konsternacja porywaczy, gdy dotarło do nich, że osobnik, którego porwali, jest jedynie sobowtórem prezydenta Rosji. Jakże bardzo wydłużyły im się miny, gdy w telewizji pokazali kolejnego sobowtóra Pobiedina — jak przechodzi pod oświęcimską bramą ozdobioną napisem „Arbeit macht frei”, składa kwiaty przed blokiem śmierci, a następnie wygłasza przemówienie na rampie w Birkenau. Mordakow znał Lipkina i obiektywnie musiał przyznać, że doskonale wszedł w rolę „z marszu”, choć podczas przemówienia dwa razy nie zapanował nad głosem. Ale kto to zauważył poza nim? Obserwując transmisję, przyglądał się otaczającym go porywaczom. Wytrawny czekista ani na moment nie przestawał analizować wszystkich elementów sytuacji. Z wyjątkiem szpakowatego brodatego sześćdziesięciolatka (broda niewątpliwie była sztuczna), w którym rozpoznał bez trudu „rządowego lekarza”, cała reszta wyglądała na kompletnych amatorów. Owszem, łysiejący mężczyzna nazywany Bogdanem i jego towarzyszką (ze względu na uderzające podobieństwo uznał ją za młodszą siostrę) Kama mogli być kiedyś funkcjonariuszami policji — później dowiedział się, że Bogdan Zabielski, kiedyś milicjant, miał własną firmę detektywistyczną, w której pracowała

również Kamilla, była funkcjonariuszka ABW — ale para młodych, Wanda i Adam, sprawiała wrażenie zupełnie przypadkowo zaplątanych w operację. To, że nie kryli przed nim swych twarzy ani nazwisk, dowodziło, iż nie zamierzają go wypuścić. Tylko co z nim zrobią, zabiją? Na pierwszy rzut oka nie mieli kwalifikacji, jakimi odznaczyli się zawodowi zabójcy z GRU czy SMERSZ-u.

Co innego dwójka Rosjan, ci wyglądali na osobników gotowych na wszystko. Przede wszystkim niepokoił go Igor Rykow. Pięć lat wcześniej, jeszcze z pozycji „dyżurnego zmiennika”, śledził wydarzenia związane z lotem polskiego tupolewa 10 kwietnia 2010 do Smoleńska i wiedział, że władze Federacji Rosyjskiej wydały na inżyniera z Samary wyrok śmierci. I co z tego? Teraz, po pięciu latach, kpiąc z ryzyka, bezczelnie zdecydował się wrócić na teren „bliskiej zagranicy”.

„Gdyby to zależało od Rykova, byłbym już trupem, niezależnie od tego, kim jestem!” — myślał więzień.

Zastanawiał się, czy więcej empatii mógłby oczekiwać od jego pięknej żony — Zinaidy. Jej podobieństwo do aktualnej kochanki „imperatora”, Iriny, było wręcz uderzające. Chociaż rano, widząc ją bez makijażu i charakterystyki, zdumiał się, jak wtedy na Wawelu mógł tak się pomylić. Owszem, kiedy znajdowała się od niego o metr, pojął, że nie jest jego ukochaną artystką Zaguliną, ale było zbyt późno, żeby przeciwdziałać.

„Ciekawe, jaka byłaby w łóżku, gdyby przyszło jej odgrywać rolę nieco dłużej?” — pomyślał i znowu się uśmiechnął.

Sytuacja zamachowców faktycznie była nieszczególna. Ich misterna akcja porwania rosyjskiego prezydenta, choć pozornie udana, spaliła na panewce. Cokolwiek zamierzali wcześniej zrobić z Pobiedinem, teraz traciło sens. Rosjanie wystawili po prostu drugiego sobowtóra, a prawdziwy i tak nie wychylał nosa z Kremla.

Nawet osobista chęć zemsty, która ożywiała Rykowa od czasu zgładzenia jego najbliższych krewnych ze Lwowa, straciła dotychczasową moc. Miał dokonywać zemsty na aktorze?

— A jeśli on blefuje? — zapytał Zabielski podczas narady, którą odbyli w izdebce na górze.

— Co masz na myśli? — zapytała Zina.

— Jeśli jest prawdziwy i tylko udaje sobowtóra, chcąc uspić naszą czujność?

— Naczytałeś się sensacyjnej literatury, przyjacielu — uśmiechnął się doktor Filip Majewski — jednak to, w czym uczestniczymy, to nie *Szachista* Łysiaka.

— Sądzi pan, że sobowtór miałby czipa pod skórą i truciznę ukrytą w tipsie? — dopytywał się Adam Zabielski.

— Zwłaszcza sobowtór! Poza tym sędzę, że zniknięcie prawdziwego wywołałoby znacznie większą nerwowość, a sądząc po transmisji z obchodów w Auschwitz z udziałem Pobiedina, widać, że swobodnie zrealizowali wariant zastąpienia jednego sobowtóra drugim.

— Ale to wręcz nieprawdopodobne! — wykrzyknęła Wanda.

— Kto zna Rosję, wie, że najbardziej nieprawdopodobne plotki po dokładnym zbadaniu okazują się jedynie nieoszacowaną rzeczywistością.

— Niestety to prawda — zgodził się z doktorem Igor.

— Poza tym — kontynuował Majewski — to, co opowiedział nam o okaleczonym wskutek zamachu satrapie, który z trzewi Kremla kieruje swymi supermarionetkami, zgadza się z krążącymi pogłoskami, które są brane dość poważnie przez rozmaite służby. Tak czy owak, zanim cokolwiek zrobimy dalej, muszę skontaktować się z moim łącznikiem. Za godzinę mam umówiony kontakt.

— W takim razie mamy trochę czasu, aby posłuchać propozycji naszego

więźnia — skwitował Zabielski.

Wrócili do piwnicy, w której Kamilla Zabielska pilnowała fałszywego Pobiedina, przez cały czas nie wypuszczając pistoletu z rąk.

— Był grzeczny — stwierdziła krótko.

— Nawet bez tych kajdanek nie mógłbym nic zrobić — powiedział dubler, a w myśli dorzucił: „Zwłaszcza z tobą, stara ruro; co innego, gdyby mnie tak zostawić z tym różanym pączuszkim!”.

„Nie wygląda na nadczłowieka — pomyślała Wanda Krajewska, nieświadoma obleśnych myśli Mordakowa. — Poza tym nie jest do końca prawdziwy”.

— Przekonał nas pan — powiedział doktor Majewski. — Ale to nie zmienia pańskiej sytuacji. Nie możemy pana tak po prostu wypuścić, tym bardziej że widział pan nasze twarze.

— Rozumiem, ale czy na czas rozmowy nie moglibyście przynajmniej rozkuć mi rąk? W tej pozycji kiepsko się gada, a ja chciałbym złożyć wam ciekawą propozycję.

Lekarz powiódł wzrokiem po twarzach zebranych, a nie widząc oznak sprzeciwu, uwolnił ręce sobowtóra.

Ten usiadł i przez chwilę rozmasowywał nadgarstki. Wyglądał na zdecydowanie pewniejszego siebie niż godzinę wcześniej, choć trudno było wyobrazić go sobie jako absolutnego mocarza od Niemna do Chiwy, co jak Bóg jest wielki, jak szatan złośliwy...

— Jak by na to nie patrzeć, szanowni państwo — zaczął — i wy, i ja znaleźliśmy się w dość niekomfortowej sytuacji. Jedziemy na jednym wózku. I więcej powiem, wcale nie chciałbym, żebyście mi teraz zwrócili wolność, a nawet odwieźli na Wawel. Na wolności moja sytuacja, podobnie jak wasza, byłaby nie do pozazdroszczenia.

— Nie bardzo rozumiem... — zareagowała Zabielska.

— Sądzicie, że mógłbym, ot tak, jak gdyby nigdy nic, wrócić na swoje dawne miejsce na Kreml, kiedy zasiadł tam już nowy zmiennik? Wolne żarty! Od czasów towarzysza Stalina obowiązuje u nas zasada, że kto oddaje się do niewoli, niezależnie, prosty żołdat czy marszałek, jest zdrajcą. A zdrajców czeka pluton egzekucyjny lub w najlepszym razie dożywotni areszt domowy, i to raczej nie na Krymie, tylko gdzieś bliżej Magadanu. Sami rozumiecie, że nie bardzo mi się to uśmiecha.

— W takim razie co nam proponujecie? — wykrztusił zdumiony Rykow.

— Oczywiście współpracę. Możecie nazwać to spółką z ograniczonym zaufaniem. Przy okazji moglibyście pomóc mi w operacji, którą planowałem od dawna. Od samego początku mego zaszczytnego „zastępstwa” zdawałem sobie sprawę z niepewności mojego statusu na Kremlu. Dlatego poczyniłem pewne zabiegi i nie będę ukrywać — obecnie jestem człowiekiem dość majątnym. Może nie aż tak jak prawdziwy Władimir Władimirowicz, ale mam odłożone na Zachodzie znaczne środki na ciężkie czasy. Nie wiem, ile wam obiecano za moją głowę i ile stracie wskutek wczorajszej pomyłki, ale jestem gotów wam to zrekompensować. Policzyłem, że jest was siódemka. Moja oferta wynosi siedem milionów euro. Po bańce na głowę. — Tu powiódł wzrokiem po zaskoczonych porywaczach. — Wydaje mi się, że taka suma jest godziwym wynagrodzeniem.

— Za co miałyby być ta cena? Za pańskie uwolnienie? — zapytał Filip Majewski.

— I co bym zrobił goły i bosi pośrodku rynku krakowskiego? Może miałbym zapukać do wrót rosyjskiego konsulatu, gdzie przyjęto by mnie z otwartymi ramionami? Jakoś trudno mi w to uwierzyć. W ramach wzajemnych usług musielibyście odstawić mnie bezpiecznie w wyznaczone miejsce na Zachodzie i dopiero tam zostawić, oczywiście po otrzymaniu należnego wam wynagrodzenia. — Zauważyli, że więzień mówił z coraz

większą swadą i mimo nóg przykutych do żelaznego łoża, coraz bardziej przypominał dawnego Pobiedina z konferencji prasowych i doskonale ustawionych spotkań z rodakami. — Oto z grubsza moja oferta.

— Dokąd mielibyśmy pana zawieźć? — zainteresował się Bogdan Zabielski.

— Do jednego z krajów starej Europy. Niezbyt odległego. Jeśli pozwolicie, ze względów na nasze wspólne bezpieczeństwo szczegóły ujawniłbym dopiero w drodze.

Na moment zapadła cisza.

— Musielibyśmy się zastanowić — odezwał się w końcu doktor Majewski.

— Byle nie za długo. Czas nie działa na naszą korzyść. Wprawdzie przy powierzchownym oglądzie wydaje się, jakby nic się nie stało, ale nasze służby z całą pewnością dostały odpowiednie rozkazy. Będą stawać na głowie, żeby mnie dopaść, żywego lub martwego. I was przy okazji...

Znów zrobili przerwę na naradę.

— Sądzę, że powinniśmy przyjąć tę propozycję, a przynajmniej udać, że ją akceptujemy — stwierdził Majewski. — Na pewno trzeba opuścić Polskę, bo tu nas mogą dorwać najłatwiej.

— A potem?

— A potem się zastanowimy, co będzie najlepsze dla nas i dla świata. Na razie trzeba odśnieżyć szopę, w której znajduje się motor. Pojadę na spotkanie z łącznikiem i zdecydujemy, co robimy dalej.

Usuwanie zasp sprzed szopy i torowanie ścieżki dla jednoślada zajęło im pół godziny. Najpierw kopali Igor i Filip, potem zluźowali ich Zabielscy — ojciec i syn. Przez ten czas kobiety nie spuszczały oka z więźnia, a Zina postanowiła go nakarmić, co — wydaje się — sprawiło mężczyźnie sporą satysfakcję.

Koło jedenastej niebo się przetaiło, a spoza zwałów chmur wyjrzało

chłodne, styczniowe słońce, przypominające Igorowi kilka miejsc, które na różnych etapach życia traktował jak swój dom. Szeregowiec pod Samarą, kryty sidingiem domek w Seattle czy wreszcie drewniana dacha dziadka położona u podnóża Howerli. (Zabawne, ale mieszkania w lwowskim blokowisku nie traktował jako domu, było ono co najwyżej sypialnio-szufladą jego młodości).

Dookoła ciągnęło się śnieżne pustkowie, z rzadka urozmaicane bezlistnymi drzewami czy kępami rachitycznych krzaków. W zasięgu wzroku — nie widać było żadnych zabudowań — panowała cisza, jeśli nie liczyć odgłosów odgarniania śniegu i szmeru skrzydeł stad wron podążających ku śmietniskom Górnego Śląska, czasem tylko uzupełnianych ochrypłym krakaniem.

Za dwadzieścia dwunasta robota dobiegła końca, udało się rozewrzeć wrota szopy i wyprowadzić stamtąd całkiem sprawny motor, z bakiem pełnym benzyny.

— Jadę — oznajmił, spojrzawszy na zegarek, Majewski. — Do spotkania z łącznikiem zostało mi niecałe pół godziny.

— Pojadę z panem — zaoferował się Adam Zabielski.

— Dziękuję! Samotny motocyklista zdecydowanie mniej rzuca się w oczy niż facet w towarzystwie — stwierdził. — Za godzinę powinienem być z powrotem.

Dość sprawnie udało się przepchnąć motor przez zasy, które utworzyły się w ciągu nocy na drodze dojazdowej. Na szczęście po szosie najwyraźniej przejechał o świcie pług śnieżny, gdzieniegdzie nawet ujawniając spod śniegu asfalt, toteż po chwili agent znany jako „Zuch” zniknął za najbliższym wzgórzem.

*

Kontroler miał ciężką noc. Nie zmrzył oka, ale kiedy o szóstej (czasu moskiewskiego) dostał posłuchania u Najwyższego Szefa, cała senność

wyparowała z niego jak kropla wody rzucona na gorącą patelnię. Bez pary i syku.

Dziwna była to rozmowa; szef od czasu zamachu, który podobno zdeformował mu twarz i pokaleczył ciało, nie rozmawiał z nikim oko w oko. Musiał wystarczać głos. Dobitny głos, którym potrafił urzekać, ale również przerażać miliony mieszkańców imperium ogarniającego jedenaście stref czasowych.

— Sprawa ujęcia Aleksieja ma najwyższy priorytet — wycedził.

— Żywego? — zapytał pro forma Kontroler, który przybył do „kaplicy”, jak nazywano mały pokój na Kremlu, którego krótszą ścianę wypełniała lustrzana tafla weneckiego zwierciadła. Czy za nią krył się gabinet prezydenta? Kontroler wątpił w to i zastanawiał się, co by zobaczył człowiek, któremu przyszlaby do głowy ochota stłuc tę szklaną zasłonę.

— Jeśli się uda, to byłoby miło z nim porozmawiać — stwierdził Pobiedin.
— Ale nie nalegam! Najważniejsze, żeby posiadana przezeń wiedza nie dostała się w niepowołane ręce.

— Dużo wie ponad to, co powinien?

— *Czort jego znajet!* Był dość inteligentny, by postarać się o jakieś zabezpieczenia. I jestem więcej niż pewien, że ukrył gdzieś kilka kłopotliwych dla nas materiałów, traktując je jako swoją polisę ubezpieczeniową. Dlatego dopóki nie doprowadzi nas do swej skrytki, włos nie może mu spaść z głowy!

— Ale jak mógł tego dokonać? — Kontroler pozwolił sobie na zdumienie.
— Wyjeżdżał za granicę rzadko. A jeśli nawet wybrał się incognito, gdy jego kochanica rodziła w Szwajcarii, to nie spuszczałyśmy go z oka. — Tu na moment przełknął ślinę, zdając sobie sprawę, że nieco się zagalopował, używając słowa „kochanica”. Znakomitą śpiewaczkę dubler odziedziczył po prawdziwym Pobiedinie i wiele wskazywało na to, że jej dzieci nosiły geny imperatora...

— Wspominałeś o jego kobietach? Od czasu kiedy mnie zastępuje, miał trzy stałe kochanki. Mam nadzieję, że wszystkie miały odpowiednią opiekę.

— Naturalnie. — Przed oczyma funkcjonariusza stanęły trzy gibkie, urodziwe, a w dodatku inteligentne panny, z których każda mogłaby startować w konkursie Miss Rosji: piosenkarka Ałła Osmanowa, gimnastyczka Raisa Ceretelli czy wreszcie Irina Zagulina... — Organy otaczały je odpowiednią opieką.

— Odpowiednią? — śmieszek Pobiedina zabrzmiał jak kaszlnięcie. — Jeśli jesteś pewien, że można upilnować takie światowe krasawice, to nie znasz kobiet! Mordakow, jeśli kombinował coś na boku, mógł posłużyć się każdą z nich.

— Wydam polecenie zatrzymania i osobiście je przesłucham.

— Zostawcie to innym. Są pilniejsze sprawy. Na początek polecicie do Krakowa, w ekipie „Orła 2”, i zajmiecie się wszystkim na miejscu. Ślad jest jeszcze ciepły. Uruchomicie całą miejscową agenturę. Oczywiście trzeba wymyślić dla naszych funkcjonariuszy jakąś bajeczkę, dlaczego zaczynamy obławę.

— Ani słowa o dublerze?

— Ma się rozumieć! — głos szefa zabrzmiał jeszcze twardziej. — Pobiedin jest jeden i o właściwej porze pojawi się w Oświęcimiu. A wy zadbacie, żeby ani Aleksiej, ani towarzyszący mu zdrajcy nie mogli zaszkodzić sprawom naszej wielkiej Ojczyzny!

*

Kontroler przybył do Polski, legitymując się dokumentami na nazwisko Lew Sorokin.

Nie była to tożsamość świeża. Sorokin był znanym, choć rzadko pojawiającym się publicznie współpracownikiem „Echa Kazania”, jednej

z ostatnich gazet w Rosji cieszących się opinią niezależnych. Po raz pierwszy objawił się w roku 1991 jako jeden z trzech autorów zdjęć Borysa Jelcyna na czołgu w pamiętnych dniach puczu Janajewa. Od tego czasu dał się poznać jako autor wnikliwych, krytycznych wobec prowincjonalnych oligarchów artykułów, które zazwyczaj na krótko poprzedzały aresztowania upadających mocarzy. Wskazywały na doskonałą przenikliwość albo na dobre poinformowanie autora, albo na jedno i drugie. W trakcie wizyt na Zachodzie uchodził za bezwzględny krytyk Kremla, czemu dał dowód, podpisując apel przeciw inwazji w Donbasie. Dlaczego ktoś taki przybył do Krakowa samolotem specjalnym wiozącym uzupełnienia prezydenckiej wizyty? Gdyby ktoś pytał, dowiedziałby się, że „nowy car” ceni zdanie swych oponentów i jest wielkim admiratorem wolności obywatelskich, z wolnością mediów na czele. Skądinąd w trakcie lotu Kontroler znalazł tylko kilka minut, aby wymienić z sobowtórem męski uścisk dłoni. Cały czas zajmował się studiowaniem dossier agentów, którymi mógł dysponować w Krakowie.

Wśród kilkunastu nazwisk najdłużej zatrzymał się na Anastazji Jegorowej. Trzydziestodwuletnia pani lejtnant miała zaszeregowanie 005, co świadczyło, że była wykształconą zabójczynią, sprawdzoną w działaniach terenowych. Dlaczego kogoś takiego zesłano do peryferyjnej Polski, w której po zakończeniu operacji „Smoleńsk” nie było zbyt wiele do roboty?

W swym krótkim, ale bogatym życiu Anastazja popełniła jeden błąd. Błąd liczył trzy lata i nazywał się Żenia, a w dodatku miał zdaniem swej rodzicielki zadatki na drugiego po Puszkynie najwybitniejszego rosyjskiego Murzyna. Stanowił owoc służbowego romansu z pewnym politykiem Czarnej Afryki, z którym związana była przez rok jako jego „resortowa kochanka”. Rozpracowanie zakończyło się likwidacją tego „szpiona Kitajców”, jednak wbrew procedurom i zaleceniom Jegorowa postanowiła donosić dziecko, a następnie przekazać je pod opiekę babuszki — emerytki KGB. W sumie

zesłanie do Polski nie było największą karą, jaka mogła ją spotkać.

Nie był to jedyny powód zainteresowania się nią Sorokina — w końcu to czujność pani lejtnant sprawiła, że porwanie prezydenta odkryto już po półgodzinie, a nie, jak na to liczyli sprawcy, dopiero rano.

„Intuicja i szczęście — to warunek naszej pracy” — pomyślał Sorokin i postanowił przespać się kwadrans. Sam dysponował i jednym, i drugim w nadmiarze.

*

Lejtnant Anastazja Jegorowa miała ciężki dzień, dramatyczny wieczór i krótką noc. Podczas zamieszek wywołanych w Krakowie przez wrogich Pobiedinowi homoseksualistów straciła wszelkie środki łączności (tablet i obie komórki), więc nie pozostało jej nic innego, jak zgłosić się w konsulacie. Tam musiała pokonać całą atmosferę inercji, aby porozumieć się z Moskwą, ale gdy już przekazała swe spostrzeżenia, była przekonana, że wreszcie odpocznie. Nie miała pojęcia, że właśnie uruchamia operację „Pościg”, w której przyjdzie jej odegrać poczesną rolę. Na razie wróciła na kwaterę i zasnęła w ubraniu, ledwie ściągnąwszy buty.

Obudził ją ciężar cudzego wzroku, zerwała się, próbując wyciągnąć pistolet spod poduszki, ale go tam nie znalazła.

— Cóż za brak czujności, towarzyszeko lejtnant — głos Borysa Meiera, znanego w GRU pod ksywką „Wiedeńczyk”, mocno ją uspokoił. Boria należał do jej bliskich przyjaciół. Uczestniczyli w paru akcjach i gdy nie mieli nic lepszego do roboty, dymali się po przyjacielsku, bez zobowiązań.

— Boria, wiesz, która jest godzina?! — jęknęła na widok kolegi.

— Wiem, piąta piętnaście! I jeśli cię to pocieszy, jestem równie zmęczony jak ty.

— Co się dzieje?

— Czerwony alert.

Błyskawicznie oprzytomniała.

— Coś z „Orłem”?

— Program dzienny prezydenta nie uległ zmianie. Dołączono kilka osób do ekipy, które doleciały samolotem specjalnym, ale to nie nasza sprawa, dostajemy nowe zadanie.

— Mianowicie?

— Jest prikaz całodobowego śledzenia dyplomatów i osób podejrzewanych o kontakty z zachodnią agenturą.

— W celu?

— Celu nie podali. Chodzi nie tyle o kontakty między sobą czy z metropoliami, ile o relacje zewnętrzne z osobami dotąd przez nas nienotowanymi. Mamy zwracać szczególną uwagę na zachowania nietypowe, a także nieoczekiwane wyjazdy poza miasto. Wygląda na to, że Polacy będą chcieli coś lub kogoś im przekazać. Nieformalnie.

Wiedziała, co to oznacza. Wprawdzie kontrolowali polskie służby, mieli swoje wtyczki w Langley, Fort Meade i MI6, monitorowali większość połączeń elektronicznych, ale najtrudniej było przeciwdziałać metodom tradycyjnym, kontaktom bezpośrednim.

— Kim mam się zająć? — Wysłuchując poleceń, zdążyła wskoczyć pod prysznic i włożyć świeżą bieliznę.

Na Borysie, który ledwo patrzył na oczy, nie zrobiło to szczególnego wrażenia.

— Nie ja rozdzielam robotę — mruknął. — Sama odczytaj informacje. — Wręczył jej nowy tablet i dwie komórki — normalną i miniaturową — na koniec pocałował ją energicznie i natychmiast wyszedł.

Polecenia odczytała z zaszyfrowanego tekstu na tablecie. Dopinając bluzkę, już знаła osobę — „żona wicekonsula”.

Skrzywiła się. Płotka. Owszem, Christina Howard pracowała kiedyś w NSA, ale obecnie stanowiła raczej ozdobę dyplomatycznych przyjęć. Z drugiej strony zorientowała się szybko, że inwigilacja konsulowej nie będzie zajęciem szczególnie uciążliwym. Oboje Amerykanie spali w swojej willi na północy miasta, pod stałym monitoringiem służb. Sprzyjał temu uregulowany tryb życia obserwowanych. Konsul wychodził z domu koło dziewiątej, jego żona przeważnie koło południa, na zakupy. Nigdy przed nim.

Mimo to Anastazja natychmiast pojechała w pobliże rezydencji. Malownicza pagórkowata okolica i dom wśród srebrzystych świerków tchnęły spokojem. Toteż zaparkowawszy w bocznej uliczce, natychmiast zasnęła w samochodzie, włączając wcześniej laserowy czujnik skierowany na drzwi rezydencji. Jakikolwiek ruch miał ją obudzić. Ale aż do ósmej, kiedy jak zwykle przybyła gosposia, nic się nie działo. Dalej też nic nie mąciło rutyny, wicekonsul opuścił dom o dziewiątej, kierując się na uroczystości do Oświęcimia, natomiast jego żona kręciła się w bieliźnie po domu, nie zdradzając najmniejszej ochoty do wyjścia. Aliści około godziny jedenastej z półsennego błogostanu wyrwał Jegorową telefon od łącznika.

— Zmiana zadania. Droga E30. Obiekt kieruje się w stronę Olkusza. Bordowe volvo numery rejestracyjne KW... Nie zgub go.

„Dlaczego ja?” — przemknęło przez myśl Anastazji, która błyskawicznie wystartowała spod domu konsula. Rzut oka na GPS dał odpowiedź. Prawdopodobnie była najbliżej.

— Kto jest figurantem? — zapytała, gdy znalazła się już na drodze.

— Martin Roscoe, lat 43, berliński korespondent londyńskiej popołudniówki „Evening News”.

— Pracujący dla MI6?

— Raczej CIA... — Lekko zaskoczona uniosła brwi. — Przyjechał z Berlina specjalnie obsługiwać wizytę Władimira Władimirowicza... Dostał

akredytację na uroczystości do Oświęcimia.

— I jedzie tam przez Olkusz? — zmarszczyła brwi. — Może chciał znaleźć się wcześniej na imprezie w katowickim Spodku, ale w takim razie czemu nie wybrał wygodniejszej i szybszej autostrady?

— Spotkanie z mniejszością śląską zostało właśnie odwołane. Ale nie to jest najciekawsze. Na hotelowym parkingu Roscoe zamienił się samochodami ze swym kolegą, redaktorem z BBC. Pomysł niby świetny, miał niestety pecha, bo zamianę obserwował nasz przyjaciel z redakcji „Guardiana”, który natychmiast zameldował, gdzie trzeba. Jechał nawet przez pewien czas za panem Roscoe, ale kazaliśmy mu zawrócić. Prędzej czy później Martin zorientowałby się, że podąża za nim samochód prowadzony przez kolegę z branży.

Bordowe volvo z naklejką „Boże, chroń królową” lejtnant Jegorowa dogoniła jeszcze przed Olkuszem. Śledzony dziennikarz jechał statecznie, zgodnie z przepisami, tak jakby nie chciał narazić się na spotkanie z policyjnym patrolem. W Olkuszu skręcił z głównej drogi, kierując się na Zawiercie. Stało się jasne, że z całą pewnością nie zamierzał odwiedzać Katowic. Wkrótce zjechał na nowoczesną stację benzynową, której stan kontrastował z podłym charakterem drogi. Ale wcale nie zatankował tam paliwa, tylko skręcił do małego baru przy sklepie. Robiło się coraz ciekawiej. Anastazja otworzyła okno. Dzięki świeżemu podmuchowi powietrza pierzchno całe zmęczenie i senność. Odrobina adrenaliny sprawiała, że chciało się żyć. Chciało się służyć. Niezależnie od tego, jakie jeszcze niespodzianki przygotowało przeznaczenie! Po pięciu minutach weszła do lokalu i poprosiła (jej polski był bez zarzutu) o klucz do toalety. Mijając dziennikarza, zauważyła, że Roscoe siedział sam i pił kawę. Gdy wychodziła, pałaszował jajecznicę... Może po prostu odczuł głód i dlatego się zatrzymał.

Cierpliwość Anastazji została nagrodzona po kolejnym kwadransie, kiedy

pod stację podjechał hałaśliwy motor. Roscoe błyskawicznie wstał, przywitał się z przybyłym szczupłym mężczyzną, którego twarz pokrywał gęsty ciemny zarost, a oczy ukrywały szkła przeciwsłoneczne — nałożył je natychmiast po zdjęciu kasku. Martin zaprosił go do wozu i razem ruszyli w stronę Krakowa.

Jegorowa przemogła chętkę podążenia za nimi. Intuicja podpowiedziała jej lepsze rozwiązanie. Podeszła do pozostawionego jednośladu. Znalazszy się w pobliżu, potknęła się o jakąś niewidzialną przeszkodę i upuściła torebkę. Chwilę zbierała rozsypane klucze, szminki i pieniądze. Zarazem jednym, prawie niedostrzegalnym ruchem umieściła miniaturowy lokalizator pod tabliczką rejestracyjną.

Koledzy szpiedzy wrócili po kilkunastu minutach. Motocyklista dosiadł swego rumaka i ruszył krętą drożyną między ośnieżonymi polami. Jechanie za nim było niepotrzebne, pluskwa załatwiła sprawę zdecydowanie bezpieczniej i precyzyjniej.

Podobnie też uważała Centrala. A odpowiedni satelita zdołał namierzyć chatynkę na skraju Pustyni Błędowskiej i przysypany śniegiem samochód, dość okazałych rozmiarów. Informacji mogłoby być więcej, niestety gęsta powłoka chmur zasunęła się ponownie, na podobieństwo kurtyny w teatrze.

*

Majewski wrócił do chatki krótko przed pierwszą, wyraźnie w lepszym nastroju. Dzięki telefonowi satelitarnemu z szyfratorem, w który Agencja wyposażyła współpracującego z nią dziennikarza, połączył się z Bortnikiem, odpoczywającym w zabytkowym hotelu Château Cervantes, położonym w centrum starówki San Juan na Porto Rico. Towarzyszył mu Charles Smith, nieoficjalnie oddelegowany przez amerykańskie służby, których zwierzchnik nie miał pojęcia o półprywatnej operacji.

Informacja, że porwany „Pobiedin” jest jedynie własnym sobowtorem,

zaszokowała ich. Ale precyzyjny umysł Bortnika, wykształcony w trakcie pięćdziesięciu pokoleń zajętych studiowaniem Talmudu, pozwolił natychmiast wychwycić korzyści z tej sytuacji.

— Sobowtór Pobiedina w naszych rękach, mogący ujawnić, że prawdziwy prezydent Rosji, okaleczony wskutek zamachu, od kilku lat ukrywa się przed oczyma ludzi, może zmienić w sposób radykalny politykę światową... Wydostańcie się tylko jak najszybciej z Polski! I bądźcie ostrożni.

Tu słuchawkę przejął Smith, przekazując w krótkich, żołnierskich słowach szczegóły ewakuacji.

— Z dostępnej wiedzy wynika, że Rosjanie oczywiście zarządzili pościg, ale robią to dyskretnie i nie zamierzają wtajemniczać polskich władz — dorzucił Charles. — To pozwala sądzić, że bez trudu dotrzecie do Niemiec, a tam już dostarczymy wam odpowiednie wsparcie.

Po wysłuchaniu doktora postanowili ruszyć bezzwłocznie. Fałszywy Pobiedin też wydawał się zadowolony takim obrotem spraw.

— Macie co najmniej czterdzieści osiem godzin, aby dostarczyć mnie bezpiecznie, tam gdzie wam wskażę — twierdził. — Jestem pewien, że choć decyzja o mej likwidacji musiała już zapaść, nie zabiją mnie jeszcze teraz.

— Skąd ta pewność? — dopytała się Kamilla Zabielska.

— Po prostu wiem — odparł sobowtór prezydenta, a po chwili milczenia dorzucił: — Jest pewien sejf bankowy, który kiedyś założyłem. W Moskwie domyślają się jego istnienia, ale nie wiedzą, gdzie się znajduje i jak się do niego dostać.

— Dowiemy się, co w nim jest? — Tym razem pytanie pochodziło od Bogdana.

— Przechowuję tam różne rzeczy, z tym że jeśli o mnie chodzi, zależy mi głównie na znajdującym się tam majątku, natomiast organom na informacjach, które tam przezornie zdeponowałem. Bardzo ważnych informacjach. Jeśli będą

je mieli, to mówiąc szczerze, moje życie nie będzie warte nawet szklanki kwasu chlebowego.

— Rozumiem, że bez pana się tam nie dostaną? — wtrąciła się Wanda.

— Dostaną się, ale nie wcześniej niż za dwie doby.

— Dlaczego akurat tyle?

Mordakow spowaźniał.

— Jeśli chcecie się tego dowiedzieć, to poczekajcie chociaż dzień. I jeszcze jedno. Będę z wami lojalnie współdziałał pod jednym warunkiem.

— Jaki to warunek? — zapytał Majewski.

— Muszę wysłać krótki SMS.

Spowaźnieli.

— Do kogo? — zapytała Kamilla.

— Do jednej dziewczyny. Jej życie jest zagrożone. A przy okazji, jeśli ją dopadną, zanim dotrzemy do banku, wykończą nas wszystkich.

— Jej nazwisko?

— W tej chwili nie mogę wam powiedzieć. Jeśli was dorwą i zaczną przesłuchiwać, wydobędą wszystko... więc sami rozumiecie... — z jego słów przebijała szczerłość i autentyczne zatroskanie. — Ma ktoś z was telefon na kartę?

— Proszę — Zinaida wyciągnęła rękę z aparatem komórkowym, ale jej mąż błyskawicznie uchwycił ją za przegub.

Mordakow tylko się uśmiechnął:

— Nie muszę pisać sam. Proszę wysłać SMS pod numer, który podyktuję.

— Jak ma brzmieć jego treść?

— Trzy słowa: „Leć, jaskółeczko. Mruk”.

— Tylko tyle? — wyrwało się Wandzie.

— Wystarczy. Uzgodniliśmy takie hasło, na wypadek gdyby doszło do podobnej sytuacji.

Rykowa pytająco popatrzyła po kolegach. Igor był pełen rezerwy, ale Majewski skinął przyzwalająco głową.

W ciągu następnych kilkunastu minut Zabielski z synem odśnieżyli samochód, ponownie zasnute niebo upewniało ich w tym, że przynajmniej ze strony kosmosu nie powinni spodziewać się zagrożenia.

Silnik zapalił bezbłędnie. Wanda, Adam i Zinaida usiedli z tyłu samochodu, „Pobiedin” w środku, między Zabielskim a Rykowem, miejsce obok kierowcy zajęła Kamilla. Za kierownicą siadł Filip Majewski.

Wcześniej doktor poumieszczał ładunki wybuchowe w chatynce i oblał ją dość skutecznie benzyną. Zapalnik czasowy nastawił na 13.35.

— Nie ułatwiamy zbyt zadania naszym przeciwnikom — stwierdził. — Po co mają mieć nasze odciski palców czy próbki DNA.

— *Prawilno* — powiedział z uznaniem Aleksiej Mordakow.

Po niecałej półgodzinie dojechali do Zawiercia, a następnie kilka kilometrów przed Siewierzem i katowicką „gierkostradą”, na bocznej ścieżce natrafili na dwie podobne do siebie toyoty na niemieckich numerach. Kluczyki były przyklejone do podwozia, dokumenty znajdowały się w schowku. Dodatkowo w pierwszej, beżowej, przygotowano komplet przyborów do charakteryzacji, perukę i rogowe okulary, które całkowicie odmieniły wygląd ich więźnia.

— Dobra robota — mruknął fałszywy „Pobiedin”, ciesząc się, że nie będzie musiał podróżować w bagażniku. Przystał za to na skucie mu nóg i przykucie rąk do fotela. — A jak dojdzie do kraksy? — zapytał tylko.

— Jestem nie najgorszym kierowcą, a poza tym zawsze możecie się modlić, aby do niej nie doszło — odpowiedział Filip Majewski. — Niestety nie możemy dopuścić, żeby przyszedł panu do głowy jakiś nieodpowiedzialny pomysł.

— A jak złapie nas drogówka?

— Jakoś sobie poradzę — odparł doktor, pokazując legitymację Biura Bezpieczeństwa Narodowego. — To chyba powinno wystarczyć? — Mordakow wzruszył ramionami i pozwolił nałożyć sobie kajdanki. Tymczasem doktor zwrócił się do trójki Zabielskich i towarzyszącej im Wandy Krajewskiej: — A teraz będziemy się musieli pożegnać!

— Dlaczego? — wyrwało się Wandzie, która najwyraźniej rozsmakowała się w roli „dziewczyny Bonda”.

— Bo istnieje spore prawdopodobieństwo, że Rosjanie nie wiedzą o waszej roli w operacji. Ja i państwo Rykowowie będziemy dla nich celem priorytetowym, ale jakoś sobie poradzimy, a wy wracajcie do swego życia, póki można.

Zabielscy zdawali się to rozumieć. Adam próbował jeszcze wzrokiem szukać wsparcia u Rykova, ale ten wyciągnął tylko swą potężną łapę.

— *Proszczaj, drug!*

Zina ucałowała wszystkich. Miała chyba łzy w oczach.

— To kiedy się znów zobaczymy? — zapytała Wanda.

— Nigdy — odparł poważnie Majewski.

Doktor siadł za kierownicą toyoty obok unieruchomionego Mordakowa. Rykowowie wsiedli do drugiego wozu, mającego trzymać się kilkaset metrów z tyłu. Cel był jasny — kontrolować, czy nikt ich nie śledzi.

Natomiast dżip prowadzony przez Zabielskiego zawrócił. Pół godziny później czwórka jego pasażerów porzuciła go na parkingu w Zawierciu, wsiadając do pociągu do Warszawy.

3. Ucieczka i pościg

Dubler dość trafnie przewidział ruchy przeciwnika. Trzy damy jego serca zostały przez służby zlokalizowane błyskawicznie. Pierwszą, Irinę Zagulinę, znaleziono nieprzytomną wczesnym rankiem w przyczepie kempingowej, służącej gwieździe za garderobę. Po paru godzinach doszła do siebie, kompletnie nieświadoma tego, co się z nią działo. Lamentując głośno na temat kradzieży sukni, futra i biżuterii, żądała natychmiastowego kontaktu z Pobiedinem. Zadzwoiła nawet na tajną komórkę, którą odebrał zdezorientowany Lipkin i natychmiast wyłączył, obawiając się zdemaskowania.

„Znowu wszystko na mojej głowie!” — pomyślał Sorokin.

Pojechał prosto do Puszczy Niepołomickiej, gdzie kręcono plenerowe sceny filmu o Iwanie Groźnym, i zastał tam Irinę w wyjątkowo złym humorze.

— Nie mam czasu! — wrzasnęła, gdy nieznajomy człowiek o pobrużdżonej twarzy wtargnął do jej przyczepy.

— Musimy porozmawiać — powiedział łagodnie, pokazując jej odznakę FSB.

— Machać legitymacją to możesz swojej babci, a nie mnie. Możemy porozmawiać kiedy indziej, dzisiaj głowa mnie boli...

— Jednak musimy...

Jej źrenice się zwęziły.

— Spadaj, kutasie! Wiesz, kim ja jestem?

Cios niezbyt mocny, ale dobrze mierzony, z gatunku takich, które nie pozostawiają śladów, na moment pozbawił ją oddechu. Opadła na kanapę z szeroko otwartymi oczami i dłuższą chwilę nie mogła wykrztusić słowa.

— Doskonale wiem, kim jesteś — wycedził Kontroler, zapalając nonszalancko papierosa, mimo wywieszki na ścianie „Kategoryczny zakaz palenia”. — Marną zdziwą z pretensjami, która dała się podejść obcym agentom.

— Chcę zadzwonić do Wołodii! — Niemrawo próbowała sięgnąć do telefonu leżącego na stoliczku. — Dlaczego nie odbiera ode mnie telefonu?

Sorokin zdecydowanie odsunął od niej komórkę.

— Tak się składa, że Władimir Władimirowicz nie ma dziś zamiaru rozmawiać z tobą. Dałaś się podejść wrogom, ogłuszyć, a na twoje miejsce weszła dublerka i niewiele brakowało, aby udało się jej dokonać zamachu na Władimira Władimirowicza.

Zagulina pobladła. Do głosu doszły autentyczne emocje.

— Co z nim? Żyje?!

— Wszystko w porządku. Służby były na stanowisku, ale ja będę musiał zadać kilka pytań, aby przekonać się o twojej lojalności.

— Oczywiście, oczywiście! — zgodziła się nad wyraz skwapliwie. — A czy mogę też dostać papierosa?

Dalsza rozmowa, choć prowadzona w uprzejmej atmosferze, przekonała Sorokina, że aktorka, choć w ciągu ostatniego roku zawładnęła sercem „prezydenta”, nie miała większego pojęcia o jego zagranicznych kontaktach, sejfach, zabezpieczeniach. W sumie były to zmarnowane dwie godziny i jedno, co w głębi ducha bawiło Kontrolera, to myśl o próbach, jakie gwiazda będzie podejmować, aby znaleźć się znów w ramionach kochanka, do czego służby nigdy nie dopuszczą. Jeśli będzie rozsądna — da spokój, poświęcając się drugorzędnym rolom, które otrzyma. A jeśli nie...? Mało to się zdarza wypadków drogowych.

W tym samym czasie podobną rozmowę odbył jego podkomendny Jurij Bykow, oficjalnie zatrudniony w białoruskiej bezpiece, z przebywającą na

zawodach w Mińsku Raisą Ceretelli. Jakież dwa lata wcześniej piętnastoletnia gimnastyczka zafascynowała prezydenta Federacji Rosyjskiej do tego stopnia, że zafundował jej (wraz z trenerką) wakacje na jednej ze śródziemnomorskich wyseppek, gdzie mieściła się tajna willa wykorzystywana przez władców Rosji. Uwiedzenie tego dziewczątka, wyposażonego we wszystkie umiejętności kobiety gumy, mimo że spełniało wszelkie cechy pedofilii, nie zabrało sobowtórowi Pobiedina więcej niż trzy dni. Romans zresztą nie rozwinął się jakoś szczególnie ciekawie — i Bykow szybko pojął dlaczego.

Raisa była nie tylko nadzwyczajnie dziecinna (co w wieku siedemnastu lat bywa zrozumiałe), lecz równocześnie głupsza od równoważni, na której zwykła ćwiczyć. Nic dziwnego, że nowy car znudził się szybko swoją malutką zabaweczką, a już z całą pewnością nie uczynił jej swą powiernicą. Na wszelki wypadek przesłuchaniu poddano jej opiekunkę, funkcjonariuszkę FSB, i zrobiono to dość brutalnie. Było to konieczne, bo kobieta, nie wiedząc czemu, ubzdurzyła sobie, że obie są obiektem prowokacji (w stylu lat trzydziestych), skierowanej przeciw władcy Rosji, i poszła w zaparte. Ale środki farmakologiczne odniosły efekt, tyle że i to przesłuchanie nie przyniosło zadowalających rezultatów.

Trzecia z najważniejszych kochanek była starsza i chyba najbardziej podejrzana. Można powiedzieć, że dubler odziedziczył ją po swym pierwowzorze. Wołodia Pobiedin zajął się zjawiskową śpiewaczką jeszcze w trakcie rozvodu z Pierwszą Damą — Ałła Osmanowa najbardziej nadawała się na powiernicę. Piastując niepisaną godność „pierwszej metresy”, tolerowała rywalki z podziwu godną wyrozumiałością, sama zachowując podczas długich wojaży zadziwiającą wierność „swemu imperatorowi”. Urodziła mu nawet bliźniaki, od kilku lat żyjące w Szwajcarii pod opieką jej starszej siostry. Tyle że w związku z jej przesłuchaniem pojawił się spory kłopot. Artystyczne tournée zaniósł Osmanową aż na Nową Zelandię. Tam

nieświadoma tego, co dzieje się na północnej półkuli, po sukcesie w Wellington, gdzie oklaskiwały ją tłumy wielbicieli, przemieściła się do Auckland, w którym po dniu wypoczynku czekał ją kolejny koncert.

W obu nowozelandzkich miastach GRU miało swych ludzi, ale zdaniem Sorokina żaden z nich nie był dość wysoko w hierarchii, aby powierzyć mu zadanie zatrzymania „carskiej krasawicy”, a tym bardziej nie nadawał się do przeprowadzenia subtelnego przesłuchania. Najbliższa ekipa zdolna podołać zadaniu znajdowała się w Sydney, o kilka godzin od celu...

— Póki nie dojadą fachowcy, niech miejscowi nie spuszcją jej z oka — zdecydował Kontroler.

— Ma całodobową ochronę — meldował agent z Auckland. — Jej ochroniarz jest naszym człowiekiem, poza tym tu jest głęboka noc i nawet artystki już smacznie śpią.

— Mimo to wyślijcie obserwatora do jej hotelu i nie spuszczać jej z oka — zaleciła Centrala.

*

Ała ocknęła się na cichy brzęk przychodzącego SMS-a na krótko przed pierwszą w nocy.

Piosenkarka dysponowała wielofunkcyjnym aparatem najnowszej generacji, mogącym odbierać telefony trzech różnych numerów. Dwa dostępne dla mediów i współpracowników były wyłączone. Trzeci znały tylko dwie osoby na świecie, jej szwajcarska siostra i Wołodia.

Rzuciła okiem na wyświetlacz.

„Leć, jaskółeczko. Mruk”.

Zalała ją fala gorąca. A więc stało się! Kiedy uzgadniali z Władimirem procedurę awaryjną, uważała to za zabawę. Nie przypuszczała, żeby kiedykolwiek coś mogło zagrozić „najpotężniejszemu człowiekowi świata”.

Ukochany był odmiennego zdania:

— Na tym świecie wszystko jest możliwe i dlatego trzeba być przygotowanym na każdą sytuację.

Nie próbowała analizować sytuacji i zastanawiać się, czy nastąpił jakiś zamach albo przewrót pałacowy. W tej chwili były to drugorzędne szczegóły! Musiała wykonać zadanie. Zniknąć! Dla niego i dla dzieci! Wyskoczyła z łóżka. Przed pójściem spać nie zasłoniła okna, toteż księżycowe światło z zewnątrz oświetlało stylowe wnętrze apartamentu. Hotel Mollies uchodził za najlepszy w Auckland, a kto wie, czy nie w całej Nowej Zelandii, przede wszystkim dzięki atmosferze starego mieszczańskiego domu. Odpowiadało jej to! Całą duszą nienawidziła wielkich, przygniatających wieżowców, bezosobowych, gwarnych, sklejonych ze szkła i aluminium. Nie zapalając światła, wyciągnęła z szafy stary dres, którego czasami używała do biegania, pragnąc uchodzić za anonimową. Weszła do łazienki i zapaliwszy światło przy lustrze, przejrzała się w jego tafli. Bez makijażu, doklejanych brwi i rzęs, z krótkimi włosami dopiero odrastającymi po tym, jak dość ryzykownie ścięła je „na rekruta” na potrzeby jednej niezwykle lukratywnej reklamy, i z wystającymi kośćmi policzkowymi odziedziczonymi po tatarskich przodkach (należała do dwudziestego pierwszego pokolenia potomków Czyngis-chana) mogła od biedy uchodzić za młodego Chińczyka. Chwilę rozważała sytuację — asystentka spała w gorszej części hotelu, podobnie ochroniarz i kierowca. Żadnej z tych osób nie mogłaby stuprocentowo zaufać. Na korytarzach i w ogrodach znajdowały się kamery, ale czy monitorowano je dość pilnie, gdy nie działo się nic nadzwyczajnego? Trzeba zaryzykować! Pod dres włożyła pas z dokumentami i pieniędzmi. Do kieszeni wcisnęła mapę miasta, wydartą z przewodnika. Szybko rozmontowała komórkę, wyciągając ze środka karty i baterię. Teraz jeszcze należało opuścić pokój. Drzwi były zapewne monitorowane, ale okna balkonowe zostawiła uchylone, więc jeśli

nawet był jakiś czujnik, nie powinien zadziałać. Na czworakach wydostała się na taras. Z ogrodu dolatywało granie egzotycznych cykad, a spoza kolejnego szeregu domów — szum nieodległego morza. Było ciepło, a dzięki bryzie wiejącej od strony Waitemata Harbour trochę wilgotno. Doszła do miejsca, w którym cień rzucany przez zbiegające się ściany był największy. „Miejmy nadzieję, że nie zamontowali czujnika ruchu ani kamer na podczerwień”.

Przeszła przez balustradę, a potem niczym strażak zjechała po drewnianej kolumnie. Minęła nieczynną o tej porze kawiarnię, z baru położonego po drugiej stronie recepcji dobiegała jeszcze muzyka i śmiechy. Przebiegła wąską alejkę między krzewami, mając nadzieję, że drzwi służbowe nie będą zamknięte. Nie były. Szczęście jej sprzyjało, niezauważona przez nikogo dotarła do tylnego wyjścia i zaułkiem pomiędzy domami wydostała się na senną Emmet Street. Nigdzie ani żywej duszy. Raz tylko bez przekonania zaszczekał jakiś pies. Szerokim łukiem ominęła skrzyżowanie Curran i Tweed Street, gdzie mógł ktoś z samochodu obserwować wejście do hotelu. Według mapy od wybranego celu, miejsca, gdzie mogła liczyć na pomoc, dzieliły ją niecałe dwie godziny marszu. Co miała zrobić z pozostałymi sześcioma godzinami? Postanowiła się przespać. Najlepszym miejscem wydał się jej nieodległy Point Erin Park, gdzie podczas porannej przebieżki widziała koczujących bezdomnych. Tam raczej nie będą szukać światowej gwiazdy piosenki. No i miejmy nadzieję znajdzie się jakaś wolna ławka.

„Pod latarnią najciemniej” — twierdził zawsze Wołodia. Nie widziała powodu, żeby go nie posłuchać.

*

Zarówno most na Odrze pod Zgorzelcem, jak i granicę austriacką przekroczyli bez najmniejszych trudności, ledwie zauważając herby i flagi państwowe. Nadal nic nie wskazywało na pościg. Żeby się o tym upewnić, parę razy

opuszczali autostradę, wjeżdżali do miasteczek — ale nikt jakoś nie szedł w ich ślady.

— Kłopoty mogą zacząć się po dotarciu na miejsce — wieszczył Mordakow, po charakterystyce (tupecik i wąsiki) przypominający bardziej emerytowanego fryzjera niż prezydenta supermocarstwa.

— Czy ludzie z Organów domyślają się, jaki to może być bank? — zapytał Majewski, próbując ogłędnie dowiedzieć się o celu podróży.

— Nie sądzę. Moja dziewczyna postępowała bardzo ostrożnie, w dodatku pomagała jej siostra...

— Zatem wystarczy dorwać siostrę pańskiej przyjaciółki i trochę ją przycisnąć.

— Katia nic nie wie. I ma stałą ochronę.

— Więc czego tu się obawiać?

— Nie wiem, ale życie jest grą błędów. Przeżywa ten, który popełni ich mniej!

Jazda szła im sprawnie i bez przeszkód, toteż wieczorem stanęli w małym gasthausie pod Bregencją, nieomal na skrzyżowaniu granic niemieckiej, austriackiej i szwajcarskiej.

Ucharakteryzowany „Władimir Władimirowicz” był nie do rozpoznania, nie ryzykowali jednak posiłku w hotelowej restauracji, zamawiając kolację do pokojów. Wynajęli trzypokojowy apartament. Na wszelki wypadek Majewski i Rykow posłużyli się fałszywymi paszportami z Latynoameryki, resztę nazwisk współspaczy podając z głowy. Austriacy nie byli formalistami.

„Pobiedin” był małomówny cały dzień, jego wypowiedzi ograniczały się do podawania kolejnych etapów, nie zdradzając ostatecznego celu podróży. W gasthausie wreszcie się odprężył i rozgadał. Nie chciał wprowadzić nadal podać ani nazwy, ani lokalizacji banku, ale zapewniał, że to już niedaleko. Wytłumaczył też, na czym opierał swą opinię na temat posiadanego zapasu

czasowego.

— Jedyna osoba, która może wskazać miejsce, to moja przyjaciółka, Ała, pieśniarka, która na nasze szczęście znajduje się akurat na południowym Pacyfiku. Mam nadzieję, że dzięki memu esemesowi zdołała się w porę ukryć. A nawet gdyby wpadła w łapy służb, upłynęłoby wiele godzin, zanim by ją złamano.

— Sądzi pan, że ją złamią? — zapytała Zina.

— Fachowcy złamią każdego, choć w wypadku matki dzieci „imperatora” musieliby raczej działać powściągliwie. Na szczęście sama informacja o banku, koncie i hasłach nie wystarczy.

— Widzę, że wszystko pan przewidział — powiedziała Zina.

— Prawie, nie przewidziałem jedynie własnego porwania. No i tego, co się jeszcze może zdarzyć. — Tu popatrzył na nich podejrzliwie. — Rozumiem, że jeśli wywiążę się ze swych obietnic, to pozwolicie mi odejść? Że nie szykujecie żadnej niemiłej niespodzianki?

Chyba mieli głupie miny i nie kwapili się do odpowiedzi. Umowa z Bortnikiem przewidywała, że po wizycie w banku przekażą „Pobiedina” Amerykanom.

— A zresztą zrobicie, co zechcecie! — rzucił ku ich zaskoczeniu. — Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to z własnej woli przekażę waszym mocodawcom kilka bezcennych informacji, które mogą zdecydować o losach świata. Ale nie chcę występować w mediach i nie będę działać przeciwko mej ojczyźnie. Chcę spotkać się z moimi synami i nareszcie odpocząć.

Rykw miał ogromną ochotę kontynuować rozmowę z prezydenckim sobowtórem, ale Zina miała inne plany na wieczór, co rusz trącała go nogą, pomrukiwała jak kotka, a rozpięte trzy guziki sweterka przyciągały wzrok innych uczestników spotkania.

Igor nie lubił okazywać czułości publicznie, toteż ustąpił pod ostatecznym

argumentem „Jutro też będzie dzień” i razem z żoną wyszli z pokoju.

Już na korytarzu wpiła się w niego pocałunkiem.

— Kochaj mnie! — szepnęła.

Nie miał nic przeciwko temu, chociaż po całym dniu jazdy czuł się piekielnie zmęczony. Kochali się gwałtownie, tak jakby Zina pragnęła zaspokoić jakiś gigantyczny głód. Jak zawsze wspólnie wspięli się na szczyt i wspólnie opadli na poduszki. Inżyniera stać było tylko na krótki pocałunek. Po nim natychmiast zasnął.

Nie był to lojalny sen przyzwoitego małżonka. Mógł co najwyżej usprawiedliwiać się, że nie miał wpływu na jego przebieg. Przyśniła mu się Wanda. Teraz, po pięciu latach od ich wariackiej nocy. Wanda żywołowa, inteligentna i zalotna... Biegli, śmiejąc się beztrąsko, po nieprawdopodobnie zielonej łące, przypominającej rajski ogród, i zdyszani dopadli kryształowego jeziora. Wtedy Krajewska odwróciła się, a inżynier zamarł w niemym zdumieniu. Gonił zupełnie nieznaną kobietę. Piękną, ale inną... Sekwencja przerwała się i dotarła do niego rozkosz. Nieprawdopodobna rozkosz, elektryzująco rozchodząca się po lędźwiach. Co dziwniejsze, to nie był już sen, ktoś pieścił go delikatnie, namiętnie. Czuł ruchliwe usta na swym brzuchu, igrające wokół jego członka... Uniósł kołdrę. Zina odwróciła ku niemu głowę, tak że nieomal mógł przejrzeć się w jej oczach krystalicznych jak wody Bajkału.

— Chcę się nasycić tobą na zapas — powiedziała z tajemniczą miną.

No to kochali się raz jeszcze.

*

— Uciekła? Jak mogła uciec? — Lew Sorokin z niedowierzaniem wysłuchiwał informacji napływających z południowej części globu.

Z meldunku nowozelandzkiego agenta wynikało, że gdy zgodnie

z poleceniem przybył do hotelu i spróbował porozumieć się z Osmanową, nie zastał jej w pokoju. Po otwarciu zamkniętych od wewnątrz drzwi okazało się, że śpiewaczka ulotniła się przez balkon. Ucieczka musiała być nagła. Osmanowa zostawiła swoje walizki, stroje, kosmetyki, a także komplet peruk.

— Ktoś ją musiał ostrzec! — utrzymywał Richardson. — Nikt w środku nocy nie ucieka z hotelu, nie zabierając ze sobą praktycznie żadnych rzeczy osobistych. Nie znaleźliśmy jedynie paszportu, pieniędzy i biżuterii.

— Wiecie przynajmniej, jak się wydostała?

— Przez balkon, ogród i pomieszczenia gospodarcze. Jedna z kamer monitoringu wewnętrznego zarejestrowała około pierwszej w nocy niewyraźny cień szczupłej postaci, przemykającej w ciemności przez ogród. W części gospodarczej kamer niestety nie ma.

— Wiadomo, dokąd mogła się udać?

— Jej personel nie ma bladego pojęcia, co mogło nią powodować. Są nie mniej zaskoczeni niż my. A nawet bardziej. Podali nam wszelkie możliwe kontakty Osmanowej na terenie Nowej Zelandii. Sprawdzamy wszystkie, ale na razie nikt nic nie wie.

— Obstawcie ambasady i konsulaty, do których może zastukać. Amerykański, brytyjski, niemiecki, australijski. Na jej miejscu tam przede wszystkim poszukałbym pomocy.

— Zrobi się, chociaż ludzi mało.

— Wkrótce doleci ekipa z Australii. Pięć osób.

Sorokin już zamierzał się rozłączyć, ale nagła myśl przeleciała mu przez mózg.

— Nie zapomnijcie również o konsulacie szwajcarskim.

— Szwajcarskim? — zdziwił się Richardson.

— Od czasu, jak powiła w Bazylei dwójkę bachorów, ma podwójne obywatelstwo!

*

Filip Majewski obudził się w środku nocy i natychmiast zdał sobie sprawę, że Mordakow nie śpi. Sobowtór prezydenta leżał na sąsiednim łóżku z szeroko rozwartymi oczami.

— Rozumiem, że spanie w kajdankach nie jest komfortową sytuacją — powiedział doktor.

— Sypiałem w jeszcze mniej luksusowych warunkach. Zresztą obudziłem się dopiero przed chwilą.

— Zły sen?

— Odkąd przyjąłem moją rolę, nie miewam dobrych. Chyba po prostu jestem wystarczająco wyspany. Pan, jak widzę, też.

— Raczej za dużo myśli krąży mi po głowie, a za mało zabrałem środków na bezsenność! Próbowałem postawić się w pańskiej sytuacji i zastanowić, jak czuł się pan przez te ostatnie lata. Posiadać tak ogromną władzę, odpowiedzialność, równocześnie nie będąc tym, za kogo pana uważają.

Dubler poruszył się na łóżku.

— Grał pan kiedyś w amatorskim teatrze, doktorze?

— W latach studenckich. Dawno temu.

— A więc doskonale pan wie, że nie musi pan utożsamiać się ideowo z Hamletem, Raskolnikowem czy Onieginem, żeby zagrać te postaci. To są jedynie role. W dodatku odtwarzane pod stałą kuratelą scenarzysty i suflerów.

— Ale przecież nieraz musiał pan improwizować. Nie mówię już o rozmowach na najwyższym szczeblu, podczas konferencji międzynarodowych czy wywiadów dla prasy.

— Wtedy nie pozostawało mi nic innego, jak wczuwać się w osobowość naszego prezydenta.

— Nie uwierzę, że podzielał pan wszystkie jego opinie. Na przykład gdy chodziło o wyrok na Litwinienkę czy inwazję na Ukrainę.

— A czy aktor grający Makbeta musi odczuwać nieprzepartą żądzę władzy i przejawiać mordercze instynkty? Musi być przede wszystkim przekonujący w swej roli. Ale skoro pan zaczął pytać, też mam pytanie. Dlaczego pan to robi, doktorze? Znakomity lekarz w tajnej służbie, w dodatku wynajęty do tak ryzykownej operacji.

— Po prostu kocham mój kraj — odparł Majewski. — I uznałem, że bez Pobiedina będzie bezpieczniejszy.

— To zupełnie tak samo jak ja. Należy jedynie żałować, że nasze interesy są tak rozbieżne. Nie ma pan pojęcia, jak ambiwalentne emocje wywołujecie w Rosjanach wy, Polacy.

— Ambiwalentne?

— Podziw i złość.

— Naprawdę?

Mordakow westchnął.

— Jesteśmy rodziną, a właściwie moglibyśmy nią być. Wielką słowiańską, chrześcijańską rodziną, na tle kompletnie zmurszałego Zachodu młodą i przyszłościową.

— Oczywiście z Rosją jako Trzecim Rzymem?

— Tak Bóg chciał. Swego czasu Moskwa wygrała wyścig o zebranie ziem Rusi i całej słowiańszczyzny. Oczywiście mogło zdarzyć się inaczej — do tej roli aspirowały inne ośrodki i mógł wygrać Kijów, Nowogród, Lwów...?

„Ale to wam Mongołowie użyczyli swego jarłyku” — pomyślał doktor, jednak się nie odezwał.

— Los Europy Wschodniej ważył się przez kilka wieków — kontynuował dubler. — Swego czasu dziejowe szanse mieli Węgrzy, Czesi czy wy... Ale nie wykorzystaliście swych możliwości. Książę Witold stał pod Moskwą i odstąpił, królewicz Władysław Waza mógł rezydować na Kremlu, ale na rozkaz ojca zwlekał, aż koniunktura przepadła. — Dubler najwyraźniej dobrze

znał historię.

— Pozostaje żałować, że się nie udało. A wam można pogratulować.

— Ja niczego nie oceniam, tylko jestem realistą — skoro Moskwa wygrała, Moskwa decyduje o kształcie kontynentu. Niestety wy, Polacy, nigdy nie chcieliście tego zaakceptować. Mogliście być głównym komponentem wspólnego słowiańskiego państwa, wnieść do niego wasze talenty, pomysłowość, indywidualną przedsiębiorczość.

— Za cenę stania się Rosjanami? Nigdy!

— I oto ma pan odpowiedź, dlaczego was u nas nie lubimy. Od kilkuset lat niweczycie każdy poważniejszy projekt. Narzekacie, że my, kacapszy Azjaci, a kto przez trzy wieki blokował nam drogę do Europy, kto swymi powstaniem zmuszał do wzrostu samodzierżawia?

— A na dobitkę w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku uniemożliwiliśmy światową rewolucję, a w osiemdziesiątym podminowaliśmy Związek Radziecki... — Majewski nie mógł odmówić sobie odrobiny złośliwości.

— Za cud nad Wisłą akurat jestem wam wdzięczny. I jeśli mogę o coś mieć pretensję do waszego Piłsudskiego, to o to, że nie poszedł dalej, nie pomógł Białym.

— Mówi pan poważnie?

— Jak najpoważniej! Komunizm był wielką klęską rosyjskiego państwa. Wyniszczył nas demograficznie i moralnie. Ile ludności miałyby dziś monarchia Romanowów? Czteryście milionów? Pięćset? Niektórzy twierdzą, że siedemset! A jaki potencjał? Przed Wielką Wojną byliśmy obok Japonii najszybciej rozwijającą się gospodarką świata.

— Jedna taka konstatacja nie przeszkadza panu twierdzić publicznie, że rozpad ZSRR był największą klęską od czasu bitwy pod Kałką?

— To teza Pobiedina, która należy do mojej roli. Choć dialektycznie patrząc — Jelcynowska smuta była konieczna, aby zacząć na nowo.

— Tyle że świat się zmienił i dzisiaj Rosja, nawet imperialna, nie ma szans dorównać Chinom, Stanom czy Indiom.

— Pożyjemy, zobaczymy, a na razie śpijmy, jutro czeka nas ciężki dzień.

Majewski przymknął oczy i przekręcił się na bok. W tym momencie dobiegł go szept z sąsiedniego łóżka:

— Powiem panu jeszcze jedno, doktorze. Jest sprawa, tajemnica, na którą trafiłem dość przypadkiem, ponieważ nie zostałem do niej dopuszczony przez Władimira. Dotarłem do zaledwie paru elementów, ale czuję, że mogą być fragmentem większego planu, który rozpocznie się już wkrótce. Na wszelki wypadek, dobrze byłoby, żeby ktoś wiedział... — Pochylił się i zaczął szeptać mu prosto do ucha, tak jakby się bał, że ktoś może ich podsłuchać. Kto jednak mógł ich podsłuchać? Odgłosy dochodzące zza ściany dowodziły tego, że Rykow mimo zmęczenia wziął się po raz kolejny za wypełnianie obowiązków małżeńskich.

*

Konsulat szwajcarski w Auckland mieścił się w spokojnej willowej dzielnicy Mount Albert przy Piątej Alei pod numerem piętnastym. Budynek z pięknie kutą bramą, za którą kwitły hibiskusy, tchnął spokojem i helwecką solidnością. W ciągu pół godziny od otwarcia zajrzało do niego ledwie czterech interesantów. Żaden w najmniejszy sposób nie przypominał słynnej Ałły Osmanowej.

— Strata czasu — mrucał do siebie Eugeniusz Kuźniecowa, który wraz z kierowcą — sądząc po rysach, niewątpliwym potomkiem tubylczych Maorysów — od świtu warował w samochodzie *vis-à-vis* głównej bramy. Dostali rysopis piosenkarki i polecenie zatrzymania jej, zanim wejdzie na neutralny teren.

— W razie konieczności możecie zastosować umiarkowany przymus —

brzmiało polecenie szefa siatki posługującego się nazwiskiem Richardson.

— A jak zacznie uciekać?

— To będziecie ją gonić. Użycie broni nie wchodzi w grę!

Do godziny 10.35 nic się nie działo i ulica była pusta, jednak parę minut później zza rogu wyłoniła się kilkunastoosobowa hałastra obszarpańców i meneli, ćpunów, pijaków, bezrobotnych i bezdomnych od zawsze, reprezentujących najrozmaitsze odmiany marginesu społecznego. Przeważali kolorowi, z różnych odmian aborygeństwa, mieszańcy czarni i biali, byli także Azjaci.

— Zamierzają demonstrować przeciw Konfederacji Szwajcarskiej? — zdumiał się Kuźniecowa. Jakoś nie zwrócił uwagi na chuderlawego krótko ostrzyżonego Chińczyka trzymającego się środka stawki.

Zareagował, kiedy było za późno. Rzekomy Chińczyk o smukłych nogach oderwał się od rozwrzeszczanej hałastry i zanurkował w gościnie uchyloną furtkę ambasady. Widać było, jak rozmawia ze strażnikiem i błyskawicznie jest wprowadzany do środka.

„Kurwa, mam przechlapane. To ona!” — przemknęło przez myśl Kuźniecowski.

Sorokin mógł jedynie zgrzytać zębami. Wysłuchał raportu o fałszywym „Chińczyku”, który przekupił piętnastoro bezdomnych i pod ich osłoną dotarł do konsulatu.

Było źle, chociaż jeszcze nie wszystko stracone. Wprawdzie w Polsce zgubili Mordakowa i jego nowych przyjaciół, ale nie przejmował się tym zbyt.

Miał zamiar dobrać się do zbiega od zupełnie innej strony. Późnym popołudniem rosyjski kret, umiejscowiony w głównym centrum BND w Pullach, doniósł o nagłej aktywności facetów z CIA. Coś się działo, coś, o czym Amerykanie nie zamierzali informować gospodarzy.

Błogosławił własną przezorność, która kazała mu wysłać swoich ludzi do Niemiec i Szwajcarii. Była wśród nich Anastazja wraz ze swym partnerem, Borysem. Od wczoraj wiedział, że dziewczyna ma szczęście i intuicję, a Boria należał do elity zabójców...

Sorokin był nieomal pewny, że zbiegowie udadzą się do Szwajcarii. Jego przeczucie zmieniło się w pewność, kiedy nad ranem otrzymał meldunek, że bladym świtem dwa prywatne auta (należące do amerykańskich agentów) opuściły bazę pod Monachium, kierując się w stronę granicy szwajcarskiej.

— Jedźcie za nimi, sądzę, że Jankesi szykują się do przejęcia zbiegów — polecił Jegorowej. — Po drodze otrzymacie wsparcie.

Anastazja nie pytała, o jakich zbiegów chodzi. Dostała fotografie małżeństwa Rykowów. O dwóch pozostałych dowiedziała się jedynie, że są to mężczyźni rasy białej, znała ich wiek i wzrost. Tylko dlaczego nie podano ich nazwisk? Nie zamierzała dopytywać się o szczegóły. Znała powiedzonko krążące w FSB: „Zbyt ciekawi żyją krócej!”.

*

— Vaduz — stwierdził lakonicznie fałszywy Pobiedin, gdy rankiem po śniadaniu zapytali go o kierunek dalszej jazdy.

— Nieoceniona, dyskretna bankowość Liechtensteinu! — skomentował doktor Majewski.

Sobowtór nie zaprzeczył.

Cierpliwie zaczekał, aż obaj panowie skontrolują samochody pod kątem ewentualnych pluskiew bądź ładunków wybuchowych. Nic nie wskazywało na to, aby przeciwnik wpadł na ich ślad, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. Do tej pory szło im nadspodziewanie gładko, ale nie należało cieszyć się na zapas.

Prawdę powiedziawszy, Filip Majewski był myślami znacznie dalej. I nie dotyczyło to ich samych — tu raczej był pewien, że uda im się dostać bogatsze

premie od Bortnika, a być może również honoraria od Aleksieja, zdobyć nową tożsamość i rozpocząć nowe przyjemne życie. Doktor marzył o Australii, gdzie już dawniej nabył pewną niewielką posiadłość w Nowej Południowej Walii i zamierzał spędzić tam pogodną i spokojną starość. Rykow nie marzył o niczym innym, jak o powrocie z żoną do Kalifornii. Większym problemem był dla Majewskiego dalszy los Mordakowa. I nie chodziło nawet o to, że czuł się nie w porządku wobec sobowtóra, oddając go w ręce amerykańskie. Miał wątpliwości, czy jest to najlepsze rozwiązanie. Może należało najpierw zaprezentować Mordakowa mediom. Znając Amerykanów, wiedział, że kiedy dubler znajdzie się w ich rękach, prawdopodobnie utajnią swoją zdobycz, a jeśli użyją, to głównie jako argumentu do zakulisowych gier z Moskwą. Nadzieja, że będzie miała z tego cokolwiek Polska czy światowa opinia publiczna, była więcej niż iluzoryczna.

„A może należałoby pozwolić mu uciec?” — zastanawiał się lekarz.

To jednak nie wchodziło w grę, zwłaszcza przy pryncypialnej postawie Rykowa. Ostrożnego i bardzo nieufnego wobec ich więźnia.

— Jesteś pewien, że ten cwany kagebista nie wykręci nam jakiegoś numeru? — pytał doktora.

— Jestem nieomal pewien, że spróbuje, i dlatego musimy być w dwójnasób czujni.

Wyruszyli parę minut po dziewiątej. Postanowili jechać do Liechtensteinu po stronie austriackiej. Szwajcarska autostrada była wprawdzie lepsza, ale ze względu na ukrytą w samochodzie broń nie uśmiechało im się przekraczać granic Unii Europejskiej. Helweci rzadko kontrolowali samochody, ale zawsze coś mogło strzelić im do głowy. Na szczęście austriackie drogi, chociaż kręte, były przykładowie odśnieżone, również w wysokich górach.

Pogoda sprzyjała podróży, przez chmury przebiło się słońce, a włączone lokalne radio potwierdziło trafność wyboru. Alternatywna druga autostrada od

godziny była nieprzejezdna, koło Oberriet doszło do karambolu kilku samochodów. Potężna ciężarówka, nieoczekiwanie zmieniając pas jazdy, rozgniotła wręcz niemieckie audi. Było dwóch zabitych, dwóch ciężko rannych, a sam sprawca, Białorusin, jak się okazało, tuż przed wypadkiem doznał ataku serca i go nie przeżył.

Czyżby audi zostało staranowane przez trupa za kierownicą? Mówiono wprawdzie, że szofer miał w kabinie przystojną towarzyszkę, ta jednak natychmiast po wypadku znikła jak kamień w wodę. W każdym razie droga na kilka godzin miała być zablokowana.

W Feldkirch skręcili na wąską górską szosę, wiodącą wprost do Liechtensteinu, ale musieli mocno zwolnić ze względu na serpentyny. Mimo to niedługo po dziesiątej znaleźli się na miejscu.

Stolica mikropaństwa — Vaduz, sympatyczne miasteczko, a właściwie nieco większa wieś — urzekała klimatem przytulności i bezpieczeństwa. Podobnie Bank von Ernst und Fritz, zlokalizowany przy jednej z bocznic Landstrasse, robił wrażenie nieprzyzwoicie solidnego, choć niezabiegającego o reklamę. Na frontonie żółtoszarej kamienicy przechodzień nie uświadczyłby żadnego neonu czy choćby szyldu. Jedynie niewielka tabliczka przy drzwiach wejściowych informowała, że mieści się tu siedziba jednej z osiemnastu instytucji finansowych prowadzących działalność na terenie księstwa. Większość z nich, choć wpływowa, nieszczególnie troszczyła się o rozgłos. Rykow, który wysforował się nieco do przodu, kontrolnie przejechał całą ulicę, przy której parkowało niewiele samochodów, i to tak zaśnieżonych, że musiały znajdować się tam od dłuższego czasu. Nie zauważywszy nic podejrzanego, zawrócił i przy samych drzwiach banku wysadził Zinę, która miała towarzyszyć sobowtórowi, sam zaś oddalił się na bezpieczny dystans, aby móc swobodnie przypatrywać się przebiegowi wydarzeń. Dopiero teraz podjechał doktor Majewski i towarzyszący mu Mordakow. Gdyby nie pot

perłący się na łysiejącym czole Aleksieja, można by mniemać, że dubler jest całkowicie spokojny. Po zdjęciu kajdanek został doprowadzony przez Majewskiego pod same drzwi i przekazany pod opiekę Zinaidy Rykow. Doktor szybko wrócił do wozu, którego silnik nie przestawał pracować.

— Nie pójdzie z nami? — zdziwił się Aleksiej.

— Woli być gotowy do szybkiej ewakuacji — odpowiedziała.

Sobowtór elegancko przepuścił kobietę przodem, wewnątrz przeszli przez bramkę z wykrywaczem metali (nic nie zapiszczało). Aleksiej powiedział parę słów portierowi po niemiecku (Zina nie rozumiała) i po chwili zostali zaproszeni do gabinetu. Zażywny pięćdziesięciolatek, który ich tam oczekiwał, dyrektor, a może nawet prezes, przywitał się dość uniżenie z sobowtórem, którego niewątpliwie rozpoznał. Z tego, co Zina zdołała zrozumieć, wspomniał coś o niezbędnej procedurze. Od Mordakowa dowiedziała się, że kluczem do skrytki jest test DNA, sobowtóra albo Ałły, przeprowadzony osobiście. Nikt inny nie mógłby nawet marzyć o dostępie.

Pojawił się drugi urzędnik w kitlu z laboratoryjną płytką. Zadał pytanie, które zabrzmiało jak pytanie o gotowość klienta.

— *Natürlich* — powiedział dubler i wyciągnąwszy szpilkę z krawata, upuścił kropelkę krwi na przygotowaną płytkę. Ustalenie zgodności DNA zabrało zaledwie kilkadziesiąt sekund, po których zaprowadzono ich do skarbca i pozostawiono samych. Skrytka 33 okazała się większa od innych. „Pobiedin” wyjął z niej małą srebrzystą walizeczkę, odporną, jak twierdził, na najróżniejsze zagrożenia, oraz sporą, dosyć ciężką teczkę, którą podał Zinaidzie.

— Znajdziecie tam dwa miliony z obiecanych wam siedmiu — powiedział tonem, jakby chodziło o napiwek dla szatniarza. — Całą resztę otrzymacie państwo w czekach na okaziciela.

Zina skinęła głową.

Wypisanie czeków możliwych do zrealizowania w dowolnym z załączonej listy banku (na Kajmanach, wyspie Man, Antylach Holenderskich itp.) zajęło następnych dziesięć minut. Dyrektor pożegnał się kordialnie, po czym mocno potrząsnął ręką „Pobiedina”.

Spostrzegawczej Zinaidzie wydało się, że jakiś przedmiocik przeszedł z ręki jednego do drugiego, ale pomyślała, że może chodzi o dyskretną łapówkę.

Sekretarka wyprowadziła ich do holu i tam gość zapytał o toaletę. Urzędniczka wskazała drzwi w głębi korytarza. Zina zaniepokoiła się, bo tego nie było w ich planach, ale nie mogła przeszkodzić. Niepokój zmienił się w przerażenie, kiedy „Pobiedin”, nie zwalniając kroku, minął drzwi sanitariatu i dopadł wyjścia awaryjnego.

Puściła się w ślad za nim, ale na jej drodze wyrósł barczysty ochroniarz.

— Przejścia nie ma! — powiedział stanowczo, tworząc prawdziwy mur.

Nie próbowała go forsować. Zakręciła się w miejscu i wybiegła z banku. Wskoczyła do samochodu Majewskiego.

— Dubler ucieka! — zawołała.

Jak na potwierdzenie tych słów otworzyła się brama prowadząca na podwórze i luksusowe volvo, zapewne pożyczone przez dyrektora placówki, wypadło na ulicę i pędem minęło stojący w przeciwnym kierunku samochód Majewskiego. Filipowi przyszło do głowy, że mógłby staranować wóz, ale zrezygnował, widząc, że siedząca obok niego Zina nie zdążyła przypiąć się pasami. Zamiast tego zakręcił na wąskiej uliczce z zamiarem pościgu.

— Gdzie jest Igor? — Rozglądał się nerwowo.

Ale ubezpieczający go z dyskretniej odległości Rykow dopiero zapuszczał silnik. Uciekający tymczasem docierał już do skrzyżowania z Landstrasse. Przy pasach zwolnił, kątem oka widząc wózek dziecięcy, który wyłonił się zza słupa ogłoszeniowego. Ułamek sekundy potem zorientował się, że wózek

porusza się bez opieki. Co gorsza, nie zamierza przejeżdżać na drugą stronę. W momencie gdy znalazł się przed „Pobiedinem”, zakręcił w miejscu, jakby kierowany czyjąś siłą woli, i z całą siłą uderzył w maskę volvo.

Kula ognia!

Majewski dał gwałtownie po hamulcach, nie chcąc wpakować się w płonący wrak, i jego samochód wylądował na chodniku.

Zinaida Rykova wyskoczyła pierwsza.

— Stój — krzyknął doktor, próbując złapać ją za rękę.

Za późno.

Seria z broni automatycznej przecięła ją w pół. Filip natychmiast zaczął szukać swojej broni, kiedy druga seria uderzyła w jego wóz. Zapamiętał jeszcze rozpryskującą się szybę, poczuł uderzenie w głowę i ogarnęła go ciemność.

Kolejne strzały zostały skierowane w stronę nadjeżdżającego Rykova. W narożnej bramie inżynier zauważył dwóch mężczyzn w kominiarkach i kobietę, której spod maski wysuwały się gęste jasne włosy.

„Znam ją — przemknęło mu przez myśl. Skulony za kierownicą dopiero próbował odnaleźć, a potem odbezpieczyć pistolet. — Zaskoczyli nas!”.

Tymczasem ubezpieczona lawiną ogniową Anastazja dobiegła do volvo. Wybuch wózka wylądowanego semtexem zniszczył przód samochodu, zmieniając prezydenckiego dublera w nierozpoznawalny kadłub. Tył wozu, zachowany trochę lepiej, płonął, ale agentce udało się sięgnąć dłonią w rękawiczce do środka i porwać z tylnego siedzenia srebrną walizeczkę. Jakimś cudem była nietknięta!

Strasliwy żar owionął ją na chwilę i poczuła smród własnych skwierczących włosów. Ale zdobyła to, czego potrzebowała.

— Wycofujemy się! — krzyknęła.

Odwrócili się i pobiegli do samochodu zaparkowanego przy Landstrasse.

Boria utykał. Jeden ze strażów Rykowa trafił go w udo.

„Straty dopuszczalne” — przemknęło Jegorowej. Odjechali szybko w kierunku granicy z Austrią i przekroczyli ją, zanim miejscowa policja zorientowała się, co się dzieje.

Oślupiali funkcjonariusze (podobnej kanonady nie było w mikropaństwie od niepamiętnych czasów) zastali Rykowa klęczącego na bruku i podtrzymującego głowę martwej dziewczyny.

— Przypominała śpiącą królową — wspominał później jeden z policjantów.

Kierowca drugiego samochodu, który wpadł na chodnik, dawał słabe oznaki życia i co rychlej został przewieziony do szpitala.

Władze Liechtensteinu rade byłyby wyjaśnić, co naprawdę stało się na ich terenie, ale szybko zostały przekonane, że to przekracza ich kompetencje, a także że suwerenność mikropaństwa ma swoje ograniczenia. Ktoś (Interpol, ambasada amerykańska, władze Austrii, może Niemiec?) sprawił, że wzmianki o strzelaninie nie przedostały się do mediów. A ciała ofiar, a także ci z uczestników, którzy pozostali przy życiu, dosłownie rozplynęli się w mroźnym alpejskim powietrzu.

4. Przebudzenie

Zapadał ciepły letni zmierzch i nocne ptaki zaczęły już hałasować w ogrodach Kremla. Od strony Soboru Błagowieszczeńskiego niosły się wielogłosowe śpiewy z powtarzającą się staro-cerkiewno-słowiańską frazą *Gospodi pomiluj*, dowodząc, że wrócono do dawnej, jeszcze carskiej tradycji wieczornych nabożeństw za pomyślność cesarza i domu panującego. Mężczyzna w generalskim mundurze uśmiechnął się, przypominając sobie przysłowie z czasów ZSRR, że prędzej wystrzeli Car Puszka, zabije Kołokoł, niż prawosławna wiara wróci do serca imperium. Ale wróciła, od ponad dwóch dziesięcioleci umacniając sojusz tronu z cerkwią, który Lenin w imię idiotycznej doktryny rozerwał.

I po co komu to było? Co najmniej od czasów Iwana Groźnego cerkiew stanowiła najpewniejszą podporę władzy. Bez przymusowej ateizacji niepotrzebne byłyby czystki i zbrodnie, a dziś byłiby trzecim najludniejszym krajem świata. Niekwestionowanym światowym mocarstwem, a nie petentem na progu Grupy G-7, to wpuszczanym, to wyrzucanym za drzwi.

— Da Bóg, kiedyś to się zmieni! — westchnął, mijając prężących się wartowników.

Tylko czy on sam na tym skorzysta? Od pewnego czasu generał Lew Iwanowicz Sorokin żył w poczuciu dyskomfortu zwiększającego się z każdym dniem. Dawno minęła rocznica jego największej porażki, za którą poczytywał porwanie z Wawelu prezydenckiego dublera, i mimo wszelkich działań, które zminimalizowały koszty afery, jego świetnie zapowiadająca się kariera ciągle pozostawała zahibernowana. Oczywiście nadal pozostawał Kontrolerem, czyli jednym z trzech dyrektorów odpowiedzialnych za Zagraniczne Operacje

Specjalne, ale utracił coś, co oznaczało naprawdę czołową pozycję w hierarchii Imperium. Możliwość częstych, bezpośrednich narad z samym Głównym Szefem. W jego miejsce bezczelnie wcisnął się szef zespołu doradców, Gienrich Dubnow, niespełna czterdziestoletni pułkownik komendant Gwardii Przybocznej Prezydenta Rosji, który dotąd pracował w sztabie kremlofskich analityków, ale w ciągu ostatniego roku stał się czołowym, jeśli nie jedynym współpracownikiem Człowieka Bez Twarzy. O Dubnowie mówiono, że jest geniuszem organizacji, a przy okazji mistrzem intrygi. Syn drugorzędnych dyplomatów sowieckich, przerzucanych w czasach ZSRR po mało atrakcyjnych placówkach, nie ukończył żadnej z renomowanych uczelni, nie zabłysnął w FSB, dość długo i powoli przebijał się przez administracyjne piętra i dopiero przed kilku laty zwrócił na siebie baczniejszą uwagę Imperatora. Dlaczego? Oficjalna wersja głosiła, że ciekawymi opracowaniami z dziedziny geopolityki. Odrodzony imperializm rosyjski potrzebował nowej religii i Dubnow ją zaproponował. W artykułach publikowanych oficjalnie w niskonakładowych pismach nawiązywał głównie do misji kraju jako Trzeciego Rzymu, przedstawiając Matuszkę Rosję nieomal jak Arkę Noego, która miała przechować najważniejsze wartości cywilizacji białego człowieka w czasach nadchodzącego zamętu. Sporo było w tych artykułach mistyki, mniej konkretów, przy czym Gienrich w odróżnieniu od wielu Rosjan nie przeceniał geniuszu Stalina, raczej uznawał go za zręcznego manipulatora, który fałszywie odczytał znaki czasu. Mówiono też, że zajmuje się okultyzmem i przewodzi tak zwanemu Zakonowi im. Rasputina, który aczkolwiek oficjalnie zakazany, skupiał moskiewsko-petersburskie elity władzy i biznesu, co we współczesnej Rosji oznaczało jedno i to samo.

Sorokin, do szpiku kości realista, uznawał podobne koncepcje za duby smalone, ale co znaczyło zdanie Sorokina, jeśli w koncepcje Dubnowa uwierzył sam Pobiedin. A przynajmniej wszystko wskazywało na to, że

uwierzył.

W każdym razie owego majowego wieczoru generał został poproszony do znanej mu sali z weneckim lustrem, zajmującym cały węższy bok prostokąta. Oprócz niego przy rozmowie obecny był Dubnow, odpowiedzialny za operację „Gwiazdy Orientu”. Sorokin znał plan w podstawowych zarysach, prywatnie uważał go za dość ryzykowny, ale nikogo nie interesowało jego zdanie, a ponieważ całością spraw zawiadywał Dubnow, więc trudno było mu nawet zgadnąć, po co go wezwano.

— Często o niepowodzeniu najlepiej przygotowanej operacji może decydować szczegół — niewidoczny Pobiedin mówił głosem cichym, choć dobitnym — mogą nim okazać się złe mapy, którymi Napoleon posługiwał się pod Waterloo, czy miejsce narady, na której podłożył swoją teczkę Stauffenberg. Na szczęście nie musimy obawiać się ani wrogów, ani — delikatny śmieszek — sojuszników. Turcja przechodzi na naszą stronę, Europa, ta stara *bladź*, praktycznie nie istnieje, Ameryka zajęta jest kampanią wyborczą, w której konkurują pajac, idiotka, oszołom i Żyd. Międzymorze, o którym marzą Polaczki, to na szczęście pieśń niemożliwej do zrealizowania przyszłości. Unia praktycznie się rozsypuje, ale jednak nigdy dość ostrożności. I to twoje zadanie, Lwie Iwanowiczu. Wyeliminować rolę przypadku.

— Tak jest — powiedział Sorokin, choć nadal nie bardzo wiedział, o co chodzi.

— Co i rusz występują przeciwko nam rozmaici szaleńcy — fanatycy z Gruzji, Ukraińcy, którym wydaje się, że są narodem, Tatarzy tęskniący za Wielką Ordą, nadal działają konspiracje, których nie zdołaliśmy zinfiltrować lub jedynie mamy mgliste pojęcie...

— Wszystko będzie pod kontrolą! — zapewnił Sorokin.

— Mam nadzieję. Ale przecież wiem, że im mniejsza organizacja, tym potencjalnie kłopoty może sprawić większe.

— Na przykład pogrobowcy tego łajdaka Czerkasowa, oby nigdy z piekła nie wyszedł! — ożywił się Dubnow.

— Od półtora roku nie przejawiają najmniejszej aktywności — odparł generał. — Po tym jak dostali łupnia w Liechtensteinie, Bortnik zapadł się pod ziemię, Amerykanie po raz kolejny objęli Rykowa programem ochrony świadków, z całą pewnością nie podejmą prędko żadnych nieodpowiedzialnych działań... Nasi ludzie w Pullach i Langley zachowują daleko posuniętą czujność.

— Brak aktywności oznaczać może ciszę przed burzą — przerwał Pobiedin. — Intuicja nakazuje mi ostrożność. Nie wierzę w astrologię, ale podobno układ planet nie jest dla nas najkorzystniejszy...

Sorokin, gdyby mógł, udusiłby Dubnowa. To ten chłystek coraz częściej sprowadzał na Kreml rozmaitych szamanów, więdźmy i specjalistki od telekinezy.

— No i ten nieszczęsny Polaczek „Rudy”. Trzydzieści lat nienagannej służby nielegała, znakomite uplasowanie w SB, potem UOP i ABW, zawsze informacje z pierwszej ręki, a nowa ekipa zdemaskowała go w sześć miesięcy. Dobrze przynajmniej, że zanim po niego przyszli, popełnił samobójstwo.

„Przy naszej delikatnej pomocy” — pomyślał Kontroler.

— Rozumiem, że „Gawędziarz” jest bezpieczny? — kontynuował przywódca.

— Jest poza wszelkimi podejrzeniami.

— Doskonale. Masz tydzień na sprawdzenie newralgicznych punktów siatki. A teraz zostaw mnie z Gienrichem. Mamy jeszcze kilka spraw do omówienia.

Sorokin skłonił się przed lustrem i wyszedł. Zastanawiał się nad ukrytym celem tej rozmowy. Wszystko, co usłyszał, mógł mu przekazać Dubnow. To, że dostąpił jednostronnego widzenia z „carem”, dowodziło, że szefowi doradców bardzo zależało na autoryzacji zadań generała przez Najwyższy Czynniki.

Dlaczego?

Idąc korytarzami Kremla, rzucił okiem na Wielką Salę, w której zgromadziło się kilkuset działaczy związków zawodowych z całej Rosji. Oczekiwali na prezydenta-sobowtóra.

Akurat gwardziści otwierali wielkie złożone drzwi, a gromki głos oznajmiał:

— Władimir Władimirowicz Pobiedin!

Sorokin uśmiechnął się pod wąsem. Lubił ten teatrzyk.

*

Ostatnie zabudowania miejskie, ogrody, parki, tereny rekreacyjne zostały daleko w tyle, a Manoa Road zmieniła się najpierw w zwyczajny, ledwie utwardzony trakt, potem w odludną, nieuczęszczaną ścieżkę. Szlak wspinał się coraz bardziej stromo na wiecznie zielone wzgórza, okolony coraz bujniejszą roślinnością, czasem zakręcał efektowną serpentyną i wtedy biegacz, zwalniając na chwilę, mógł zobaczyć za sobą oszałamiającą panoramę Honolulu, od Diamentowego Wzgórza po baseny Pearl Harbor, połączone ledwie widoczną spoza miejskich budynków, olśniewająco białą plażą Waikiki.

Tyle że Ivo Crayson zwalniał rzadko. Biegł równym tempem, niczym maszyna o niewyczerpanym zasobie energii. Tym, którzy znali go w poprzednim życiu, mógł wydawać się jeszcze wyższy, ale było to złudzenie, po czterdziestce już się nie rośnie, po prostu zgubił resztkę ściółki tłuszczowej, a treningi jeszcze bardziej rozbudowały jego masywny bark i ramiona.

Poświęcił temu celowi rok — konkretnie. Dokładnie licząc: rok, siedem miesięcy i trzy dni. Dużo i mało zarazem. Mało, jeśli przyłożyć miarę całego ludzkiego życia. Sporo, gdyby policzyć noce spędzane samotnie na twardym,

na wpół wojskowym łożku. Bardzo wiele po podsumowaniu czasu treningów — porannych biegów, pływackich maratonów, godzin spędzonych na domowej siłowni i strzelnicy, nie mówiąc już o ćwiczeniach na ringu, w salach walk wschodnich, gdy trenerzy Azjaci podziwiali bardziej jego determinację niż technikę. Oficjalna legenda na temat Craysona głosiła, że jest byłym wojskowym, który po traumie przeżytej w ostatniej akcji gdzieś na Bliskim Wschodzie przeszedł na emeryturę i uznał sport za metodę utrzymania kondycji i znalezienia sensu życia. Jaka to była akcja i gdzie do niej doszło? — Crayson się nie chwalił. Podobnie nieznany był jego stan rodzinny. Spostrzegawczy mogli zauważyć ślad po obrączce na palcu serdecznym — a zatem rozwiedziony, może wdowiec? Zresztą nie bardzo miał kto go zapytać. Grzeczny i spokojny, z nikim się nie zaprzyjaźnił. Nie pił. Nie korzystał z usług kobiet, z których niejedna chętnie poznałaby go bliżej. Ostatniej zimy widywano go w towarzystwie przystojnej, wyzwolonej z islamskich przesądów Arabki, wedle dokumentów, nauczycielki tego coraz bardziej popularnego w świecie języka. Czy znajomość ta przekroczyła nieprzekraczalne granice relacji mistrzyni i jej adepta? Trzej kuzyni Leili, którzy pojawili się na Hawajach parę dobrych lat po niej, regularnie uczęszczający do miejscowego meczetu, musieli tak uważać. „Zhańbiła rodzinę i wiarę”, taka opinia krążyła wśród miejscowej muzułmańskiej diaspory. Toteż nikogo nie zdziwiło, że rankiem pierwszego marca tego roku w jakimś zaułku Honolulu znaleziono ciało Leili z poderżniętym gardłem pod stosem kamieni. Gazety wołały o mordzie rytualnym — śledztwo niczego takiego nie potwierdziło. Kuzyni solidarnie udzielili sobie alibi, rodziny szły w zaparte.

Sprawa pozostała nierozwiązana, podobnie jak zagadkowa śmierć wspomnianych trzech kuzynów. Kto i w jakim celu wywabił ich na pustkowie, a tam, mimo że uzbrojeni byli w noże, rozbroił i zabił najwyraźniej wyłącznie

za pomocą własnych mięśni? Hipotezy policji kierowały się w stronę przedstawicieli różnych rywalizujących ze sobą odłamów islamu, natomiast lewackie tabloidy chciały szukać sprawców w szeregach jakiegoś rasistowskiego Ku-Klux-Klanu.

Boczna ścieżka zdawała się prawie niewidoczna, ale Crayson skręcił w nią zwinnie i nieco zwolnił. Jego krok zrobił się bardziej koci, spojrzenie czujniejsze.

Nikt dotąd nie złożył niezapowiedzianej wizyty w jego samotni, ale Ivo zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później to nastąpi.

Nie budziło to w nim trwogi, lecz przeciwnie, śniąc o zemście — a to marzenie utrzymywało go przy życiu — chciał, aby wróg zaatakował go pierwszy. A potem będzie, co będzie.

Zemsta! Przegadał kiedyś na ten temat noc z przypadkowo spotkanym księdzem katolickim, ale ten nie przekonał go, by poniechał myśli na jej temat. Owszem, rozumowo akceptował ideę, żeby sprawę odpłaty zostawić Bogu, wiedział, że odwet jest czynem amoralnym, antychrześcijańskim, w dodatku niesie z sobą tyle niewiadomych, że może się okazać, iż zwalczając jedno zło, budzi do życia inne. Ale rozum jedno, a emocje drugie. Już raz poniechał zemsty i co otrzymał w zamian? Wydarto mu serce!

Pierwszym sygnałem ostrzegawczym, który zauważył po przekroczeniu granicy swej posiadłości, był brak psa.

Wprawdzie elektroniczny chip, wyposażony w niewielki ładunek elektryczny, uniemożliwiał Tani opuszczenie działki swego pana, ale zawsze wybiegała mu na powitanie do samej granicy posiadłości. Drugim niepokojącym elementem była ułamana gałązka, która przysłoniła obiektyw kamery, nieomal zlewającej się z łaciatą korą eukaliptusa. Błyskawicznie zanurkował w zarośla. I po kilku metrach natrafił na skrytkę, w której przechowywał broń. Aż syknął — kryjówka była otwarta i pusta!

Nie uległ panice — myślał racjonalnie. Gdyby chcieli go po prostu zlikwidować, kropnęliby go jeszcze na drodze, najpóźniej na ścieżce. Ktokolwiek go odwiedzał, chciał spotkać go żywego. To dawało liczne możliwości. Mógł oczywiście uciec, ale chciał najpierw zidentyfikować intruza. Czołgając się, okrążył ciągle niewidoczny dom, po drodze wyłączając rozmaite pułapki.

W końcu zielony gąszcz pojaśniał, ukazał się błękitny prostokąt basenu i postać mężczyzny siedzącego na leżaku. Tania leżała spokojnie u jego stóp i poderwała się dopiero, gdy wyczuła swego pana.

— Charles?

— Zdziwiająco łatwo jest wdrzeć się do twego matecznika, przyjacielu — powiedział kapitan Smith, odwracając się w stronę gospodarza.

— Szczególnie prosto przychodzi to komuś, kto mnie szkolił, wyszukał mi to miejsce, zapewnił nową tożsamość, doskonale zna moje nawyki i jest zaprzyjaźniony z psem — odpowiedział Crayson — a swoją drogą mówiłeś, że przeszedłeś na emeryturę.

— Łagodnie powiedziane, Igorze. Nasza akcja z sobowtórem prezydenta Pobiedina została uznana przez Firmę za samowolkę. Naczelnny Bambus (Smith nigdy inaczej nie nazywał aktualnego lokatora Białego Domu) się wściekł, a ja byłem tylko jednym z pionków, które oberwały po uszach.

— Czemu zatem zawdzięczam twoją wizytę? Mój obecny opiekun z programu ochrony świadków wywiązuje się dość dobrze ze swych zadań i informuje mnie, jeśli tylko jakiś podejrzany Rusek przybywa do Honolulu.

— Tony Gray nic nie wie, że tu jestem, co zresztą dowodzi kompletnego braku jego czujności... Zdaje się zresztą, że bardziej od twojej osoby fascynują go miejscowe atrakcje, kobiety, wieńce z kwiatów i koktajle z parasolkami. Ale skoro jesteśmy przy tym pijanicy. Można się czegoś napić? Chyba masz w domu jakiś alkohol?

— Wyłącznie w celach dezynfekcyjnych — odparł gospodarz, idąc w stronę barku ukrytego w ogromnym bębnie. — Nie mogę się doczekać, aby poznać powód twoich odwiedzin.

— Może nostalgia?

— Nie wierzę w nostalgię, nawet u agentów przeniesionych w stan spoczynku! — głos Ivona zabrzmiał zdecydowanie i twardo. — Nie w twoim przypadku.

Agent się uśmiechnął.

— I masz rację. Wiem, że przez półtora roku nie mogłeś się doczekać, kiedy znów będziesz potrzebny. Ta chwila właśnie nadeszła.

— A cóż się takiego stało?

— Doktor Majewski się obudził.

Ivo Crayson szeroko otworzył oczy, tak że można było zobaczyć przez nie gniewną duszę Igora Rykova.

— Myślałem, że on nie żyje! — powiedział.

— Nie ty jeden — zachichotał Charles. — Dzięki Bogu i paru naszym zawodowym plotkarzom wersję o jego zgonie łyknęło również kierownictwo Łubianki. Zrobiliśmy mu piękny pogrzeb na terenie bazy w Ramstein. A jednocześnie pogrążonego w śpiączce przywieźliśmy do Ameryki. Początkowo sprawa wyglądała kiepsko — wuj Sam nie chciał wziąć go na swój garnuszek, na szczęście mieliśmy ten przypadający na niego milion od Pobiedina i drugi wspomniałomyślnie wyasygnowany przez Bortnika. Zanim skończyły się pieniądze, Filip się obudził.

— Coś mówił?

— Początkowo w szpitalu stanowił świetny przykład rośliny ozdobnej, ale powolutku, pomalutku, najpierw wróciła mowa, potem częściowo pamięć. Również paraliż kończyn jakby zaczął ustępować. Odwiedziłem go ze trzy razy. Ostatnio przed tygodniem. Za każdym razem wyglądał lepiej.

Podejrzewam nawet, że jest dużo lepiej, niż wynikało z jego karty choroby.

— Ale dlaczego?

— Jak wiesz, zaufanie doktora do naszych służb jest ograniczone. Uważa, że wtedy w Vaduz ponieśliśmy porażkę, bo nastąpił przeciek w Centrali.

— W Langley?

— Prędzej w Pullach. Bez bezpośrednich informacji Rosjanie nie byłiby w stanie przeprowadzić tego zamachu na autostradzie skierowanego przeciw agentom, którzy mieli nas wspierać. Inaczej też przebiegałaby — przez chwilę szukał właściwego słowa — strzelanina w Liechtensteinie.

Rykw tylko na moment zacisnął szczęki.

— Ale czego teraz obawia się nasz doktor? — zapytał. — Wizyty komanda SMERSZ-u w Ameryce?

— Jeszcze nie znam powodów obaw Filipa, ale podejrzewam, że Mordakow, zanim zginął, przekazał mu coś niesłychanie ważnego.

— Powiedział ci, co to takiego?

— Aż tak mi nie ufa. Myślę jednak, że powie tobie. I to stanowi podstawowy cel mojej wizyty.

— Wiemy przynajmniej, gdzie doktor Majewski przebywa?

— Mogę ci powiedzieć, gdzie znajdował się dwa dni temu. W należącym do FBI sanatorium w pobliżu San Diego.

— A dziś?

— Kto to wie. Ci, którzy go pilnowali, łamią sobie głowę, jak ktoś z trudem poruszający się o kulach, z ciężką amnezją, niedowładem ręki, zaburzeniami wzroku i mowy zdołał zmylić wszystkich, przeskoczyć dwumetrowy płot, ukraść wóz ordynatora i oddalić się nim w niewiadomym kierunku.

— Nie mów, że nie wiesz, gdzie go szukać?

— Nie wiem, ale się domyślam. I dlatego, panie Crayson, muszę ci przerwać twoją wilegiaturę w raj. Znalazłem zaufaną osobę, która zaopiekuje

się twoim psem, a my zrobimy sobie małą wycieczkę do Meksyku.

*

Wczesnym popołudniem skwar na placyku położonym na obrzeżach Tijuany wydawał się nie do zniesienia. Ludzie snuli się jak muchy w smole, a muchy poruszały się jak ślimaki.

„Nie pojmuję, jak komuś może się chcieć żyć w takim upale?” — pomyślał Crayson/Rykw.

W drodze z lotniska dwa razy zmienili taksówkę, obawiając się „ogona”, a na koniec po przejściu pieszo na drugą stronę bocznicy kolejowej przejął ich Iwan Bortnik. Mecenas, z długimi wąsami i opaloną skórą, wyglądał tego dnia na stuprocentowego Latynosa.

— Tak na prawdę Żydowi trudno jest tylko grać Chińczyka — stwierdził. — Chyba że głuchoniemego.

Adwokat był w znakomitym humorze i Igor podejrzewał, że ma to związek z ucieczką doktora Majewskiego.

— Wsiadajcie — powiedział, zapraszając do zdezelowanego pickupa, pamiętającego chyba jeszcze czasy wojny koreańskiej. — Wybaczcie, że mój wóz nie ma *air condition*, ale przy otwartych oknach da się wytrzymać.

Na szczęście jazda trwała krótko i już mogli się schronić wewnątrz lokalu „Błękitna Tequilla”, gdzie wprawdzie klimatyzacja również nie działała, ale staromodne wentylatory pracowały z siłą cyklonu, poruszając wszystko z wyjątkiem monumentalnych piersi barmanki dyżurującej za szynkwasem.

— Filip już powinien tam być — powiedział Bortnik, pociągając towarzyszy w stronę salki na zapleczu.

— Ciekawy jestem, jak się przedostał przez granicę, jak oszukał kontrole — dopytywał się Rykw. — Od czasu kiedy są stosowane te wszystkie testy papilarne, skany siatkówki...

— Ależ moi drodzy, te procedury dotyczą w głównej mierze tych, którzy pragną dostać się do Stanów, oraz niektórych opuszczających je legalnie — tłumaczył mecenas. — Procedura wobec wydalanych nielegalnych imigrantów jest zdecydowanie bardziej uproszczona. W tej kwestii Europejczycy powinni się uczyć od Amerykanów!

— A Filip jak sobie poradził?

— Przy mej pomocy kupił papiery od pewnego Meksykanina, przeznaczonego do deportacji, który z wielkim zadowoleniem zamienił się z nim tożsamością. Wystarczyło jeszcze dać w łapę strażnikowi i specjalnie się nie wychylać — adwokat zachichotał porozumiewawczo.

Salka do indywidualnej konsumpcji, która — wzięwszy pod uwagę sfatygowaną kanapę — służyła zapewne jeszcze innym celom, prezentowała się jak cała reszta. Co się tyczy doktora Majewskiego, wyglądał dużo lepiej, niż można było oczekiwać.

Z Igorem uścisnęli się mocno, bez słów. Z Charlesem wymiana zdań była również lakoniczna.

— Coraz lepiej wyglądasz — powiedział były agent.

— Ty też! — padło w odpowiedzi.

Faktycznie doktor znacznie utył na sanatoryjnym wikcie, a jego szpitalną bladość ukrywała warstwa kremu koloryzującego. Co do pozostałych kontuzji, w ostatnich tygodniach bardziej je symulował, niż faktycznie cierpiał. Jak zapewniał, niedowład mięśni ustępował z każdym dniem, a po amnezji nie pozostało nawet śladu.

Gdy siadali, Rykowowi na moment przypomniał się panoramiczny widok uliczki w Liechtensteinie i stłumił wewnętrzny szloch.

Na szczęście Charles nie pozwolił im na bolesne wspominki.

— Powiesz nam w końcu, Phil, o co chodzi? Co to za cholerna tajemnica, której nie mogłeś przekazać chłopakom ze służb?

Doktor chwilę milczał, czekając, aż barmanka poda im piwo, potem otarł pot z twarzy i gdy zostali sami, przemówił:

— Wasze służby są dzisiaj dziurawe jak rzeszoto. Rządzi polit-poprawny dupek, a w dodatku my nie mamy do zaofiarowania nic konkretnego poza mglistymi podejrzeniami.

— Dlaczego więc uważasz je za ważne?

— Bo są ważne. — Majewski przełknął łyk piwa. — W trakcie podróży do Vaduz, a szczególnie ostatniej nocy spędzanej wspólnie, dubler Pobiedina nie powiedział mi zbyt wiele. Jednak kilka zdań zrobiło na mnie wrażenie. Mordakow zachowywał się tak, jakby brał pod uwagę możliwość swej śmierci, i czuł potrzebę podzielenia się z kimś swoją wiedzą. Wspomniał o pewnej akcji, którą zaplanował prawdziwy władca jego ojczyzny. Akcji, dzięki której bardzo szybko cała Europa wpadnie w ręce Matuszki Rossiji, a Trzeci Rzym po zagładzie Drugiego panować będzie po wsze czasy. Niestety nie powiedział, na czym dokładnie będzie polegała, a ja nie naciskałem.

— Czyżby Pobiedin wymyślił sobie drugi zamach na papieża!? — wykrzyknął Bortnik. — Tylko na którego, bo zdaje się, że obecnie jest ich dwóch.

Rykw pokręcił głową z niedowierzaniem.

— A może chodzi o Polskę i jej wyjątkową rolę w regionie? — podsunął.

— Wątpię. W styczniu zeszłego roku przejęcie władzy przez patriotyczną prawicę wydawało się mało możliwe, a zmiana na stanowisku prezydenta wręcz nieprawdopodobna.

— W takim razie może chodzić o wielki konflikt na Bliskim Wschodzie ogarniający Iran i coraz dziwniej zachowującą się Turcję — podsunął Smith.

— Nie mogę ustosunkować się do waszych spekulacji, ponieważ Mordakow żadnych szczegółów mi nie ujawnił. Wspomniał jedynie, że pomysł jest szalony, a jeszcze bardziej szaleni są ludzie, którzy mają odegrać w nim

kluczową rolę.

— Jacy ludzie?

— Nie powiedział.

— No to rzeczywiście bardzo wiele wiemy — sapnął Bortnik.

— Wydaje się, że i sam Mordakow nie został szczegółowo poinformowany, co zamierza wielki strateg ukryty za murami Kremla. Wiedział tyle, ile musiał. Przecież szczegóły operacji „Krym” i „Donbas” też poznawał dopiero w trakcie trwania działań militarnych.

— Jak w takim razie mógł prowadzić rozmowy z prezydentami, z panią kanclerz...? — dziwił się Smith.

— Rozmowy telefoniczne prowadził rzeczywisty Pobiedin, Aleksiej dawał jedynie obraz na „wizji”. W dodatku, jak już mówiłem, nie mieliśmy wiele czasu na rozmowy. Rzecz ciekawa, Mordakow skupił się na jednym, zda się mało istotnym wątku. O którym zresztą dowiedział się przypadkiem. Poprzedniej zimy na polowaniu nad Bajkałem popił sobie tego z jednym z generałów, a ten, nie mając pojęcia, że obcuje z sobowtórem, przypomniał mu wspólną akcję, jaką przeprowadzili jesienią tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego w DDR.

— Osobiście wysadzili mur? — zapytał ironicznie Rykow.

— Ciepło, ciepło! W dzień po jego upadku otrzymali polecenie likwidacji pewnego obiektu, małego, tajnego, podległego wojsku ośrodka medycznego, zlokalizowanego niedaleko Budziszyna. „Podobno był to wyścig z czasem — cytował mi dubler. — Pacjentów i kilku lekarzy wywieziono eszelonami do Legnicy i dalej do Rosji, w samym obiekcie podłożono ogień, w którym zginęło kilka osób z miejscowego personelu...”.

— „Wiadomo chociaż, dlaczego to zrobiono?” — zapytałem. Prawdopodobnie chodziło o zatarcie śladów. Eksperymenty, które mogły wyjść na jaw, zapewne gwałciły kilka międzynarodowych konwencji,

a projektowane cele niekoniecznie służyły utrwalaniu pokoju światowego. W każdym razie zrobiono to dość skutecznie. Ani o pożarze, ani o samym obiekcie nie zostały zachowane żadne dane. Sprawdziłem w aktach STASI. Nie było takiego ośrodka! Ale w trakcie pijatyki generał przypomniał Mordakowowi jeszcze jedno. Pościg w nocy za niemiecką lekarką, jedyną, która wymknęła się z obławy. Była podobno najcenniejszą postacią z personelu. „A pamiętasz, jak znalazłem dla ciebie tę Inge?” — zakończył generał. „Pamiętam jak przez mgłę” — odparł sobowtór. „Wiem, że zakazałeś jej likwidacji. Zawsze ciekawiło mnie, co się potem z nią stało?”. Zmiennik prezydenta nie odpowiedział, ani koledze, ani mnie, zresztą nie miał o sprawie zielonego pojęcia. Co ciekawe, jeszcze na tym samym polowaniu jego trzygwiazdkowy rozmówca został ciężko ranny, podobno wskutek przypadkowego postrzału. Zmarł w szpitalu.

— Interesujące — mruknął Charles Smith. — Tylko jaki związek może mieć likwidacja ośrodka z ową tajemniczą operacją, której obawiał się Mordakow?

— O to samo zapytałem mego pasażera. Powiedział po krótkim wahaniu, że planowana supertajna operacja ma nosić kryptonim „Inga”.

— To może być przypadkowa zbieżność nazw.

— Może. Tyle że z pomocą swej kochanki, Ałły Osmanowej, udało się Mordakowowi odnaleźć tę kobietę. Ingeborgę Winkler... Gdzie i jak ją znaleźli i co im ta kobieta powiedziała, nie zdążyłem się dowiedzieć, bo akurat dojechaliśmy do banku.

— Czy to wszystko? — zapytał Igor.

— Raczej tak. Powiecie — niewiele. Ale intuicja podpowiada mi, że nie powinniśmy tego zlekceważyć. Dubler był rosyjskim nacjonalistą, nieskorym do działania przeciw własnej ojczyźnie, nawet jeśli ta wydała na niego wyrok śmierci. Jeśli zdecydował się wspomnieć o tej akcji, to musiało kryć się w sprawie coś, co naprawdę go przeraziło.

— Co zatem mielibyśmy zrobić?

— Przede wszystkim znaleźć tę Ingeborgę. Dużo w tej sprawie zależy od Ałły Osmanowej, która uczestniczyła w spotkaniu. Jeśli śpiewaczka żyje i nadal koncertuje, to dotarcie do niej nie powinno być trudne...

— Żyje! — oznajmił Bortnik, który lubił kolekcjonować rozmaite informacje. — W Nowej Zelandii wywiodła w pole rosyjskie służby, schroniła się w ambasadzie i jako przesyłka dyplomatyczna szczęśliwie dotarła do Szwajcarii. Z moich informacji wynika, że chwilowo poniechała występów i bez reszty poświęca się opiece nad swymi dziećmi.

— I Rosjanie pozwolili jej żyć... Po takim numerze, który im wykrciła? — zdziwił się Rykow.

— W powszechnej opinii jej bliźniaki są naturalnymi dziećmi imperatora, a jako takie są wraz z matką nietykalne... — To mówiąc, mecenas wyciągnął, otworzył i uruchomił tablet. — Na prośbę Filipa zebrałem wszystkie dostępne informacje na temat tej rodzinki. Uzyskałem też odpowiednie wiadomości z policji kantonowej. Chcecie może zobaczyć zdjęcia?

— A mówi się, że policja szwajcarska nie bierze łapówek — zauważył z przekąsem Charles.

Bortnik włączył tablet i przedstawił im cały serwis zdjęciowy.

Chłopcy Wadim i Władimir Osmanowowie, już teraz nadzwyczajnie do imperatora podobni, zamieszkiwali wraz ze swoją matką, jej siostrą Katarzyną i jej mężem Markusem w ładnym domu w willowej dzielnicy Bazylei zwanej Bruderholz. Dom, zbudowany solidnie, był w istocie małą warownią. Dodatkowo Markus Ast był podobnie jak jego przodkowie od XIX wieku oficerem szwajcarskiej policji. Emerytowanym gliną był również mieszkający razem z nimi dziadek.

— Ałła jest tam już półtora roku — kontynuował mecenas Bortnik. — Po przybyciu z Nowej Zelandii poprosiła Szwajcarów o azyl polityczny.

I otrzymała go, nie wiem za jaką cenę. W każdym razie odmówiła jakichkolwiek wywiadów dla prasy. Wiedziała, że istnieje nieprzekraczalna granica, której nie może naruszyć, nawet jeśli jest matką synów nowego cara...

— Synów... cara? Czy to oznacza, że oprócz związku z Mordakowem była kochanką jeszcze prawdziwego Pobiedina? — nie mógł się nadziwić Rykow.

— Pamiętajmy o kolejności zdarzeń — była związana z Pobiedinem długo przed zamachem i z tego, co udało mi się ustalić, zaszła w ciążę na parę miesięcy przed tym, nim doszło do samobójczej akcji Gruzina Keretaniego. Wiadomo też, że po porodzie w szwajcarskiej klinice wróciła do łóżka imperatora.

— I nie rozpoznała różnicy między autentykiem a podróbką?

— Początkowo nie miała na to szans. Sobowtór unikał z nią kontaktów. A jej impresario — kapitan FSB — postarał się, aby trasy koncertowe omijały szerokim łukiem Moskwę. Jednak podczas forum ekonomicznego w Davos zmyliła wszystkich, zdobyła zaproszenie na uroczysty brunch i znalazła się w jednej sali z Mordakowem. Potem wylądowała u niego w apartamencie.

— No to wtedy musiała się zorientować, że ma do czynienia z falsyfikatem!

— Zapewne, ale myślę, że jeśli poznała prawdę, to była dość rozsądna, żeby się z tym nie zdradzić. W każdym razie oboje musieli się polubić, a także nabrać do siebie zaufania, skoro sobowtór zlecał jej swoje tajne operacje bankowe. Dzięki plotkarskim portalom wiadomo, że przez jakiś czas spotykali się w Moskwie. W kolejnym roku sobowtór odwiedził incognito dzieciaki. Widocznie miał na to zezwolenie prawdziwego Pobiedina...

*

W Meksyku zabawili tydzień, pozwalając wrócić doktorowi do pełni sił. Skądinąd on sam uważał, że leczenia bardziej wymaga inżynier Rykow. Mimo

rewelacyjnej formy fizycznej ciągle nie był tym samym człowiekiem, co przed śmiercią Ziny. Nie szukał towarzystwa, odmawiał wypadów do nocnych klubów, które proponowali Bortnik i Smith, najczęściej siedział sam, zamysłony. Ożywiał się jedynie, gdy mówiono o akcji.

— Nie można żyć wyłącznie marzeniem o zemście — martwił się doktor Filip — tylko jak zmienić nastawienie Igora?

Po tygodniu wyruszyli do Europy, na wszelki wypadek różnymi drogami. Bortnik z Rykowem przez Hawanę i Paryż, Charles Smith z doktorem Majewskim przez Caracas i Madryt. Czwórka, zaopatrzona w doskonałe latynoskie paszporty Kolumbii i Wenezueli, spotkała się w komplecie dopiero na lotnisku w Miluzie, stanowiącym francuskie przedmieście Bazylei, skąd przejechali do skromnego pensjonatu zlokalizowanego o dwie przecznice od miejsca, gdzie zamieszkiwał obiekt ich zainteresowania.

Po przybyciu na miejsce Smith poinformował, czego dowiedział się o Ingebordze Winkler, korzystając z dostępu do danych NSA i CIA. Była to wiedza wielostopniowa. Teoretycznie kobieta nosząca wyżej wspomniane imię i nazwisko, z zawodu fryzjerka, zginęła wiosną roku 1945 w trakcie intensywnych bombardowań Berlina. Nie przeszkodziło jej to cudownie zmartwychwstać i studiować na Uniwersytecie Humboldta, odbywać praktyki medyczne w Rumunii i ZSRR, bywać na Zachodzie. Ciekawe, że wszelkie dane na jej temat po roku 1980 uległy anihilacji. Na szczęście ze zrekonstruowanych akt STASI, które skopiowała CIA, wynika, że faktycznie pracowała w tajnym ośrodku badawczym GD-123 i dwa dni po obaleniu muru berlińskiego wszelki ślad po niej zagał.

— Wiadomo, czym się tam zajmowała?

— Nie, ale wcześniej specjalizowała się w genetyce.

— Nie wierzę, żeby STASI nie wiedziało nic więcej na jej temat.

— W każdym razie zadbano, żeby wszystko zniknęło. Większość akt

przepuszczono przez niszczarki i to dało się zrekonstruować, ale niestety wszystko to, co dotyczyło obiektu pod Bautzen, sfajczono za pomocą tradycyjnych, nieodwracalnych metod.

— Ale sowiecka *razwiedka* jakoś do niej dotarła?

— Moi hakerzy jej szukają, na razie bezskutecznie, ale mamy na jej temat już trochę danych, zapewne zachowała dawną profesję, musi też pobierać jakąś emeryturę, znamy też jej wiek — pięćdziesiąt dwa lata, o, i jest rysopis...

— Rysopis?

Smith wziął tablet od Bortnika i podłączył swego pendrive'a. Ukazały się trzy zdjęcia. Na jednym widać było młodą blondynkę z warkoczem, z ręką wyciągniętą w faszystowskim pozdrowieniu.

— Klara Koch, tak się wtedy nazywała — wyjaśnił Charles — fanatyczna aktywistka żeńskiej sekcji Hitlerjugend o nazwie Bund Deutscher Mädel (BDM). Zaczynała jako asystentka doktora Mengele, potem wkręciła się do ekipy doktora Morella, cudotwórcy zajmującego się zdrowiem führera. Podobno panna Koch opuściła bunkier pod Kancelarią Rzeszy już po jego śmierci. Zamieniła się tożsamością z poległą Ingą Winkler i szybko zgłosiła się budować lepszy ustrój w Niemieckiej Republice Demokratycznej...

— Pięćdziesiąt dwa lata to sporo — zastanawiał się Bortnik — kobieta może już dawno nie żyć.

— Ze słów sobowtóra Pobiedina wynikało, że dwa lata temu trzymała się całkiem dobrze.

— I liczycie, że Ała Osmanowa nas do niej chętnie doprowadzi? — W głosie Rykowa zabrzmiało powątpiewanie. — Niby jak?

— Przede wszystkim liczymy na twój wdzięk i urok osobisty — powiedział Charles Smith.

Niestety nawet wdzięk i urok osobisty niewiele mogły pomóc. Była gwiazda

rosyjskiej estrady dość szczelnie izolowała się od świata. W ciągu trzech dni, podczas których na zmianę prowadzili obserwację domu na Bruderholzu, praktycznie ani razu nie opuściła domu. Wychodził szwagier policjant, udawała się po sprawunki gosposia, parę razy wyszła w jej zastępstwie siostra. Ała nie pojawiła się nawet w oknie. Dzieciaków również nie wypuszczano do ogródka. Pojawiał się natomiast, i to często, nestor rodziny Wolfgang Ast — dziarski jeszcze, chudy, siwowłosy mężczyzna, emerytowany oficer policji szwajcarskiej, czujnie nadzorujący dom i w każdej chwili gotów do jego obrony. Nie było wątpliwości, że w zgodzie z lokalną tradycją miał wewnątrz całą zbrojownię.

— Nikt z nas nie może wpaść z wizytą ani zadzwonić — twierdził Charles.
— Osmanowa jest z całą pewnością pod obserwacją agentów rosyjskich, a ostatnią rzeczą, której chciałbym, byłoby sprowadzenie kłopotów na jej rodzinę.

— Musi być jakiś sposób — mruczał Bortnik.

— Szkoda, że nikt z nas nie jest młodą, piękną i utalentowaną muzycznie dziewczyną — westchnął doktor Majewski.

Pojęli, co miał na myśli. Z ich obserwacji wynikało, że poza rodziną jedyne osoby, które odwiedzały dom, były nieliczne adeptki śpiewu uczęszczające na lekcje do znakomitej artystki.

— Może chciałbyś wykorzystać jedną z nich jako kuriera? — spytał Igor.

— Musiałbym mieć ogromne zaufanie, a podejrzewam, że co najmniej jedna z nich pracuje dla Łubianki — odparł Majewski. — To powinien być ktoś nowy, kto zgłosi się z prośbą o naukę.

— Tylko kto? — zafrasował się Charles Smith. — Nie znamy w Szwajcarii zbyt wielu potencjalnych uczennic śpiewu... W dodatku ktoś tak bystry jak Osmanowa błyskawicznie rozpozna osobę, którą moglibyśmy sobie pożyczyć od naszych służb.

— Dlatego trzeba sięgnąć do zupełnie innego magazynu i znaleźć kogoś, kto będzie spełniał wszystkie potrzebne cechy! — powiedział Filip Majewski.

— Masz na myśli kogoś konkretnego? — zapytał Rykow.

— Może mam — doktor uśmiechnął się tajemniczo.

— W Szwajcarii?

— Nie, w Polsce!

5. Śladem tajemnicy

Po wiośnie, która tego roku przyszła do Polski wcześniej niż zwykle i mimo zimnej Zośki i, nieco spóźnionych, zimnych ogrodników przyniosła sporo słońca i uzasadnionego optymizmu, nadeszło lato gorące wprawdzie, ale z tygodnia na tydzień chmurniejsze i bardziej burzowe.

Wyglądało jednak na to, że polityczny pejzaż jest coraz słoneczniejszy, a perspektywy wręcz świetlane. Bo cóż mogło grozić Trzeciej Rzeczypospolitej coraz bardziej zdecydowanie przechodzącej w Czwartą. Na jej czele stał młody, dynamiczny i lubiany prezydent, kierował nią energiczny rząd oparty na stabilnej większości parlamentarnej. Owszem, przeciwko zachodzącym zmianom protestowała, korzystająca z szerokiego międzynarodowego wsparcia, parlamentarna i pozaparlamentarna opozycja, ale burdy uliczne nie przekraczały jak dotąd ram zakreślanych przez zasady demokracji.

Lądując na Okęciu, Igor Rykow po raz pierwszy od dłuższego czasu nie czuł obaw, które towarzyszyły jego poprzednim przyjazdom do Polski. Odwiedzał kraj wolny i energicznie zabiegający o własne sprawy. Czuło się to na każdym kroku. Wiosenne porządki w ministerstwach osłabiły sowiecką agenturę. MON wyczyszczono dogłębnie, podobnie działało się ze służbami cywilnymi. Nawet w komercyjnych telewizjach ziejących jadem do „dobrej zmiany” coraz rzadziej pokazywano w charakterze ekspertów weteranów WSI i osobników już na pierwszy rzut oka wyglądających na rosyjskich agentów wpływu.

Najlepszym dowodem pozytywnej zmiany był powrót Kamilli Zabielskiej do Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Awansowana od razu do stopnia nadinspektora, była ważną fiszą, jeśli idzie o kierunek wschodni. Podziw wzbudziła już jedna z jej pierwszych akcji — operacja „Dacza” — która

polegała na równoczesnych niezapowiedzianych wizytach w domach letniskowych kilkunastu byłych oficerów „wojskówki”. Przyniosła plon tyle bogaty, co porażający, jeśli idzie o znalezione teczki, mikrofilmy i nagrania.

I choć pani komisarz była w tych dniach kończącego się lata niezwykle zajęta, znalazła czas, by odpowiedzieć na telefon doktora Majewskiego, który zadzwonił do niej ze Szwajcarii, sygnalizując potrzebę odnowienia kontaktów.

— Przyjeżdżaj śmiało, doktorku! — zapraszała Kamilla. — W obecnej Polsce nic ci nie grozi!

— Mam nadzieję, że nie grozi — zgodził się były agent — tylko podejrzewam, że nie znalazłbym tam właściwego zajęcia dla siebie. Funkcja lekarza rządowego jest już zajęta, a na lekarza pierwszego kontaktu nie bardzo się nadaję. Może z czasem się wybiorę, ale nie natychmiast. Dzwonię dlatego, że chcę zaanonsować przybycie do was Igora. Zwróci się o pewną drobną pomoc.

— Doszedł do siebie? Słyszałam o jego tragedii! — kobieta wyraźnie posmutniała — Zina była wspaniałą kobietą. Oczywiście, jeśli tylko będzie potrzebował jakiejś pomocy, niech wali prosto do nas. Nasz dom stoi dla niego otworem. Pomożemy mu w miarę możliwości.

Majewski zamilkł na chwilę, nie chcąc mówić więcej przez otwartą linię telefoniczną, zresztą Zabielska, zapewne z tych samych powodów, nie pytała o konkrety, po czym zmienił temat:

— Czy twój brat też wrócił na posadę państwową?

— Bogdan? Końmi go tam nie zawleką. Nadal prowadzi agencję detektywistyczną, tyle że nikt już nie rzuca mu kłód pod nogi.

— A Wanda Krajewska? Nadal u was pracuje? — W pamięci doktora pojawiła się zgrabna figurka energicznej blondyneczki. Znakomity znawca stosunków męsko-damskich od razu zauważył chemię między nią a Rykowem, osłabianą jedynie obecnością jego pięknej żony. Filip był przekonany, że coś

kiedyś musiało między tym dwojgiem zajść. I to coś nie wypaliło się do końca. Jeśli więc teraz po śmierci Zinaidy Rykowowi potrzebana była jakaś terapeutka, to nie było osoby lepiej nadającej się do tej roli niż Wanda.

— Awansowała na pełnoprawnego partnera w naszej firmie rodzinnej, z której ja sama, rozumiesz, z racji objęcia państwowego stanowiska musiałam się wycofać.

— Czyli wszystko jest w najlepszym porządku! Reasumując, Igor może przyjeżdżać i skontaktować się z wami?

— Oczywiście. Rozumiem, że potrzebujecie naszej pomocy? — Dla Kamilli stało się jasne, że nie chodzi o wizytę wypoczynkową.

— Powiedzmy, ale wiesz lepiej ode mnie, że pewne sprawy nie nadają się na telefon.

— To jest bezpieczna linia.

— We współczesnym świecie nie ma ani bezpiecznych linii, ani bezpiecznych miejsc. W każdym razie, kiedy Igor przyleci w piątek, osobiście powie, o co nam chodzi.

*

Samolot z Zurychu wylądował na Okęciu krótko po czternastej. Adam, syn Bogdana Zabielskiego, wysoki brodaty szatyn, o bujnych falujących włosach zebranych w modną kitkę, czekał na Rykova w sali przylotów i natychmiast zabrał inżyniera z lotniska.

— Tata powiedział, że nie ma mowy, żebyś zatrzymywał się w hotelu — oznajmił, ruszając nowiutkim seatem. — Zamieszkasz u nas.

— Nie chciałbym sprawiać kłopotów.

— Jaki tam kłopot?! Za szmal, który dostaliśmy od Bortnika, udało się kupić sporą willę w Radości i wszyscy mieszkamy tam razem jak w starym dworze, tata i Wanda bardzo się ucieszą ze spotkania z tobą.

Rykw nie mógł odmówić tej propozycji, ale poczuł się głupio, słysząc, że Wanda pomieszkuje przy rodzinie Zabielskich. Mimo upływu lat nie był w stanie zapomnieć ostrego seksu przeżytego przed laty z panną Krajewską i obawiał się, że ponowne spotkanie mogłoby rozdmuchać dawne popioły.

Z drugiej strony przez cały lot ze Szwajcarii towarzyszyło mu wspomnienie jej wesołej twarzy ze ślicznymi dołeczkami w policzkach i z szelmowskim błysku w oku.

— Wolałbym się nie narzucać...

— Nieważne, co wolałbyś. W domu decyduje nasz tata i on cię zaprasza. Nawet pani komisarz nie ma przy nim wiele do gadania!

Adam prowadził pewnie, choć zdaniem Igora zbyt brawurowo. Skądinąd niedbały strój, broda i długie włosy przywodziły na myśl raczej młodego buntownika niż ustabilizowanego mieszczucha.

Przebili się przez tradycyjnie zakorkowaną Dolinkę Służewiecką, śmignęli mostem Siekierkowskim i skręciwszy w Wał Miedzeszyński, po półgodzinie znaleźli się w Radości przed harmonijnie zaprojektowaną jednopiętrową willą, architekturą nawiązującą do staropolskiego dworku.

— Musiała kosztować majątek! — Rykw zagwizdał przez zęby.

— Kupiliśmy okazji — wyjaśnił młody człowiek. — Pewien do niedawna wszechmocny redaktor z telewizji publicznej nagle stracił robotę i nie był w stanie spłacać zaciągniętych kredytów.

— Słyszałem o czystkach w polskich mediach.

— Jakie czystki?! — Adam się skrzywił. — Ten akurat celebryta odszedł sam, kiedy wyszło na jaw, że od lat współpracował z BND.

— To współpraca z wywiadem bratniego państwa jest teraz zabroniona? — Igor udał zdziwienie.

— Nie. Ale z pewnością nie jest zalecana wpływowym pracownikom mediów narodowych.

Uderzył w klakson, brama zaczęła się rozsuwać, a z domu wybiegła Wanda. Nadal szczupła, o doskonałej cerze i rozkosznych dołeczkach w brzoskwiniowych policzkach. Na widok Rykova zatrzymała się na mgnienie oka i okryła rumieńcem, z najwyższym trudem powstrzymując się przed skoczeniem mu w ramiona.

Adam zauważył to zakłopotanie, ale jeśli nawet wiedział coś o erotycznym epizodzie sprzed lat, nie dał po sobie niczego poznać.

— Mojej żony nie muszę chyba ci przedstawiać?

— Żony. — Oszołomiony Rykow ucałował Wandę po polsku w rękę, zastanawiając się, czy ktokolwiek zwrócił uwagę na jego gwałtowne poblądnięcie. Na szczęście prawie natychmiast z domu wyszli Bogdan ze swą żoną Moniką i wszelkie niepokoje utonęły w ogólnym rozgardiaszu.

Komisarz Zabielska zjawiała się po półgodzinie.

— Jakoś udało mi się urwać — powiedziała, cmokając Rykova w policzek — w poniedziałek byłoby to niemożliwe!

— A co się dzieje? — zapytał Igor.

— Konferencje, narady, przygotowania do kolejnego wschodnioeuropejskiego szczytu — powiedziała lakonicznie.

— Z tej waszej Ameryki pewnie niewiele widać — dorzucił Bogdan — ale u nas szykuje się druga fala wędrówki ludów, wedle wszelkich opinii dużo poważniejsza od pierwszej. W zeszłym roku główny szlak omijał Polskę, w tym roku możemy spodziewać się prawdziwego tsunami. Zwłaszcza że Turcja zachowuje się po prostu skandalicznie, praktycznie otworzyła swoje granice i zamiast zatrzymywać uchodźców, do czego się zobowiązała, po prostu eksportuje ich na Zachód.

Rykov przeniósł wzrok na Kamillę, ta jedynie skinęła głową. Zapewne, gdyby mogła, zasypałaby ich setką niepokojących danych, które, na kształt stada wron, bezustannie napływały do ABW i wywiadu wojskowego, ale

zasady tajemnicy służbowej pozostawały nieubłagalne. Zresztą wszystkich najbardziej ciekawił powód wizyty Rykowa. Igor spełnił ich oczekiwania, chociaż szczególnie się nie rozgadywał. Opowiedział o ostatnich chwilach sobowtóra Pobiedina i tragedii na uliczce w Liechtensteinie oraz o zagadkowych informacjach, którymi podzielił się z nimi wybudzony ze śpiączki doktor Majewski. Zakończył wzmianką na temat problemów związanych z dotarciem do Ałły Osmanowej.

— Mów, w czym i jak możemy ci pomóc — zaoferował się Bogdan.

Rykow przełknął ślinę:

— Nie wiem, czy pomysł jest jeszcze aktualny... — zaczął niepewnie.

— Wał prosto z mostu!

— Potrzebujemy pomocy młodej dziewczyny biegle władającej niemieckim, która mogłaby zgłosić się na lekcje śpiewu u pani Osmanowej. Filip zasugerował wykorzystanie Wandy. Pamiętał, że biegle znała język Goethego i chodziła kiedyś do szkoły muzycznej. Ale...

Wszyscy popatrzyli na Krajewską. Oczy jej się zaśmiały.

— Co tu się zastanawiać — rzuciła rezolutnie. — Jeśli jest zadanie do wykonania, to trzeba je wykonać, oczywiście — przeniosła wzrok na drugą stronę stołu — pod warunkiem że Adaś się zgodzi?

Adaś stęzał z miną gościa, któremu właśnie wpadła do ust mucha, a on ma sekundę na podjęcie decyzji — wypluć czy połknąć?

— W tym domu głos decydujący należy do kobiet — powiedział cierpko. — A moja żona jest osobą samodzielną, czego najlepszym dowodem jest fakt, że nie tylko postanowiła zostać przy nazwisku panińskim, ale jeszcze zmusiła mnie, bym został Krajewskim...

— Były jeszcze inne powody — rzuciła z irytacją młoda małżonka.

— A ten wyjazd byłby na długo? — zapytała teściowa Wandy, świadoma wszelkich niebezpieczeństw, które zawisły nad świeżą komórką społeczną.

— Sądzę, że najwyżej na kilka dni — bąknął Rykow i czując, że wszyscy mu się przyglądają, dorzucił prędko: — Naturalnie Wanda mogłaby na tę wycieczkę wybrać się razem z mężem.

— W podróż poślubną wyruszamy dopiero za miesiąc i nie widzę powodu rozkładać jej na kilka etapów — rzucił Krajewski i okręciwszy się na pięcie, wyszedł z pokoju.

— W takim razie pojedę sama, nawet bez przyzwoitki — oznajmiła Wanda i zerknęła wesoło w stronę Rykowa.

Atmosfera zrobiła się przyciężka, zwłaszcza że już po chwili Adam wrócił z plecakiem zarzuconym na plecy.

— Przepraszam, ale muszę pędzić — rzucił oschle.

— A ty dokąd? — zapytała Monika, ciekawa jak każda matka.

— Do ROW-u — uprzedziła odpowiedź Wanda i spojrzała znacząco na Kamille.

— Do ROW-u? — zdziwił się Rykow. — A cóż to takiego?

— Nagle poczuł w sobie powołanie działacza — wyjaśnił Bogdan, uśmiechając się z politowaniem. — I każdą chwilę przeznacz na bronienie demokracji.

— A zatem kiedy chcecie lecieć? — zapytał Adam, odwracając się przy drzwiach.

— Najbliższy samolot do Zurychu, na który wstępnie złożyłem dwie rezerwacje, wylatuje rano o dziesiątej. Jutro — odpowiedział Rykow.

— Wiedziałeś, że się zgodzę? — Modre oczy Wandy stały się szersze niż zwykle.

— Zaryzykowałem.

Lojalność nie pozwalała mu wspomnieć, że zajmował się tym Bortnik, który nie miał pojęcia, iż organizuje wylot młodej mężatce.

Temat ROW-u wrócił wieczorem podczas wspólnego oglądania

wieczornych „Wiadomości”. Tłumek demonstrantów protestował przed kancelarią Rady Ministrów. Chodziło o kolejną reformatorską ustawę zmieniającą strukturę polskiego sądownictwa, za którą już za parę dni miał się zabrać po powrocie z wakacji Sejm i Senat. Opozycja wspierana przez zagraniczne media uważała ją za niekonstytucyjną. W dalszych rzędach manifestantów Igor bez trudu wypatrzył Adama z unijną flagą w rękę. Kamera jednak koncentrowała się na udającym młokosa mężczyźnie koło czterdziestki, przemawiającym z widoczną emfazą. Uwagę przykuwała już sama szczupła twarz, wokół której piętrzyła się nieprawdopodobnie wielka szopa włosów w stylu afro.

— A co to za pajac? — zapytał Rykow.

— Julek Krakowski — odparła Monika — ich nowy lider!

— Ich. Znaczy kogo?

— „Bezpartyjnego bloku do walki z władzą”, jak ich określają media, choć sami nazwali się Ruchem Obrony Wolności — wyjaśnił Bogdan.

W tym momencie tłum zaczął powtarzać za swym przywódcą: „Tu-jest-naród, tam-ciem-nogród! Tu-jest-naród, tam-ciem-nogród!”.

— Oszoom! — rzuciła pogardliwie Wanda. — Choć obiektywnie trzeba przyznać, ma kilo charyzmy na centymetr sześcienny ciała.

— I Adam związał się z kimś takim? — dziwił się Igor.

Znów zapadła niezręczna cisza.

— Demokracja pozwala wybierać każdemu własną opcję — przerwała milczenie Kamilla i znowu delikatnie się uśmiechnęła.

Do tematu więcej nie wracano, choć Rykow aluzję *poniał*. Każdy wiec, jak wiadomo, składa się wszak z tych, co zgromadzili się z przekonania, gapiów wiedzionych ciekawością oraz przybyłych służbowo. Niewątpliwie Adam działał tam w sekretnej misji na zlecenie własnej ciotki.

Osmanowa najwyraźniej nie miała zbyt wielu uczniów, toteż zgodziła się na rozmowę wstępną. Tym chętniej, że Wanda, przedstawiająca się jako Lizelotta Bauer, za pośrednictwem Internetu przysłała jej CV, w którym oprócz bezpretensjonalnego zdjęcia znajdowało się efektowne nagranie dwóch arii — pożyczyła je od swej koleżanki, prymuski warszawskiego Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina. Na przesłuchanie adeptka musiała poczekać dwa dni, ale wykorzystała ten czas na zwiedzanie Bazylei i okolic. Towarzyszyli jej na zmianę Bortnik i doktor Majewski, Charles Smith trzymał się na uboczu, a jeśli idzie o Rykova, to chociaż nie miał nic do roboty, wyraźnie unikał dawnej kochanki. Ich rozmowa w trakcie podróży nie przekroczyła granic konwenansu, a w Szwajcarii ani razu nie rozmawiali w cztery oczy. Zamierzał zachować dozągonną wierność wobec zmarłej żony czy też nie chciał wystawiać na próbę swego charakteru ani wierności młodej mężatki?

Wanda Krajewska nie miałaby nic przeciwko małej „powtórce z rozrywki”. Z Adamem układało jej się średnio. Mówiąc ściśle — poprawnie, ale bez szaleństwa. To znaczy jeśli była w nim jakaś gotowość szaleństwa, to głęboko ukryta. Stłumiona. Czasami odnosiła wrażenie, że jej mąż boi się samego siebie i najlepiej sprawdza się w akcjach poza domem, realizowanych na zamówienie ciotki. Im dłużej żyła razem z Zabielskimi, tym częściej łapała się na podejrzeniach, że są tam jakieś tajemnice, o których nie ma pojęcia. Relacje syna z ojcem były sztywne, tak jakby Bogdan nigdy go nie zaakceptował, a matka?... Kochała jedynaka niezwykle mocno, ale nie potrafiła ukryć strachu. I nawet nie chodziło o to, że w czasie podejmowanych akcji coś się mu stanie. Raczej o to, co pewnego dnia może się w nim obudzić.

Pewną wskazówką mogła być rozmowa, jaką mieli przed ślubem.

— Tylko o jedno cię proszę — powiedziała Monika — żadnych dzieci.

— Dlaczego?

— Powiedzmy, że istnieją przeciwwskazania natury genetycznej.

Nigdy nie wracali do tematu. Co nie znaczy, że Wanda nie próbowała drążyć sprawy na własną rękę. Bez większej trudności ustaliła, że Adam urodził się bardzo szybko po ślubie rodziców, o dużo za wcześniej, jeśli miałyby być owocem nocy poślubnej. Przy innej okazji dowiedziała się, że Bogdan ocalał życie swej żonie. „Dwa razy” — jak wyznała kiedyś Monika. Dotarła też do wzmianek o milicyjnej operacji „Trasa” z przełomu 1987 i 1988 roku, w której uczestniczył młody porucznik Bogdan Zabielski.

Jednak akta zostały zniszczone, a ewentualnych szczątków można było szukać w zbiorze zastrzeżonym Instytutu Pamięci Narodowej.

Któregoś razu usiłowała podpytać w tej sprawie Kamillę.

— Stare czasy! — próbowała ją zbyć ciotka Adama, a kiedy Wanda naciskała mocniej, usłyszała w odpowiedzi: — Czasem łatwiej jest żyć, gdy się nie wie za wiele...

Może Kamilla miała rację? Od kilku tygodni Wanda biła się z myślami, czy nie poddać rodziny testom DNA, miała próbki śliny Bogdana i Adama... Ale zabrakło jej odwagi.

Chociaż... gdyby chodziło o Rykova, gotowa była na każde ryzyko. Tyle że ciągle brakowało okazji...

Wreszcie po dwóch dniach oczekiwania, koło południa młoda kandydatka na śpiewaczkę przekroczyła próg domu na Bruderholzu. Otworzył jej starszy szpakowaty dzentelmen o wyglądzie i manierach zawodowego oficera policji. Zanim zamknął drzwi, wyrzał na zewnątrz, potem nieomal prześwietlił wzrokiem kandydatkę na studentkę. Ponieważ lustracja wypadła zadowolająco — co przyszło tym łatwiej, że Wanda miała na sobie jedynie lekką sukienkę, a jej elegancka torebka nie pomieściłaby nawet scyzoryka — pan Ast zaprowadził ją do sali prób mieszczącej się w piwnicy. Ściany były tu grube, a niskie okienka zasłonięte firankami. Pośrodku pomieszczenia królował biały

fortepian i wazon pełen kwiatów. Idealne miejsce do prób. I wokalnych przesłuchań!

Osmanowa oczekiwała w głębi pomieszczenia, doskonale oświetlona prezentowała się jeszcze efektowniej niż na teledyskach czy transmisjach z koncertów. Szczupła, ale nie chuda, z delikatnym makijażem, o rysach szlachetnych, choć zdradzających mongolskich przodków.

„Pół życia bym oddała, żeby tak wyglądać” — pomyślała Wanda.

Śpiewaczka wstała, zbliżyła się do niej i wyciągnawszy rękę, rzekła:

— Ała.

— Wanda — odparła automatycznie młoda Polka.

Rysy Osmanowej stężały.

— A nie Lizelotta? — zapytała, cedząc słowa.

— Nie będę pani oszukiwać — powiedziała szybko przybyła. — Jestem jedynie posłańcem. — To mówiąc, wyciągnęła z torebki pierścioneł z szafirem godnym korony carów.

Gospodyni zbladła.

— Skąd pani to ma? — wyszeptła. — To powinno być w naszym sejfie!

— Przecież pani sprawdzała zaraz po przybyciu do Szwajcarii i nie było go tam — zauważyła Wanda. — Sejf został w znacznej mierze opróżniony przez pana Mordakowa.

Osmanowa nie zareagowała na fakt, że dziewczyna zna prawdziwe nazwisko sobowtóra. W milczeniu podniosła pierścioneł i nasadziła go na palec — pasował doskonale. Twarz kobiety pozostała nieruchoma, tylko łyzy zaczęły się toczyć po jej krągłych, atlasowych policzkach.

— On nie żyje, prawda?

Zabielska skinęła głowa.

— Wiedziałam, że to się musiało stać. — Usiadła ciężko na krzeselku przy fortepianie. — Od początku czułam, że coś się stało z Aleksiejem. Ten pościg

za mną w Nowej Zelandii, później długie milczenie. Dopiero po miesiącu krótki SMS. Wreszcie telefon.

— Telefon? Od kogo?

— Podejrzewam, że od tego prawdziwego albo kolejnego zmiennika, nie jestem pewna. W każdym razie rozmówca dość dobrze udawał Aleksieja i obiecywał, że kiedy sytuacja pozwoli mu na wyjazd z Rosji, na pewno się spotkamy. Udawałam, że mu wierzę! — Łzy płynęły coraz obfitsze. Ale po chwili ton rozmowy się zmienił. — Kto cię przysłał? FSB?

— Wręcz przeciwnie. Ci, którzy życzą pani jak najlepiej.

— Naprawdę? — Ała nacisnęła stopą jakiś niewidoczny przycisk, odskoczył panel w ścianie, ujawniając dobrze zaopatrzony barek, pasujący bardziej do konesera mężczyzny niż słabej, popijającej w samotności kobiety. Osmanowa wybrała jakiś markowy koniak i nalała dwie solidne lampki.

— Porozmawiajmy zatem! Kim są ci moi „prawdziwi przyjaciele”?

Wypiła jednym haustem trunku, nie zwracając uwagi na to, że Polka ledwie umoczyła usta.

— Powiedziałam, że jestem jedynie posłańcem — powtórzyła Wanda — ale jeśli pani się zgodzi, to mogę poprosić kogoś, kto był obecny przy śmierci sobowótora prezydenta Pobiedina, on opowie pani więcej.

— Kto to taki?

— Igor Rykow.

Łzy przestały płynąć, a na twarzy Ały pojawił się wyraz zaskoczenia.

— Słynny inżynier Rykow? Wróg imperium numer jeden! Ciekawe! Naturalnie, że może tu przyjść, ale bez broni.

Zabielska wyciągnęła swoją płaściutką komórkę i wystukała odpowiedni SMS. Po chwili pojawiła się odpowiedź.

— Będzie za kwadrans — zakomunikowała.

— No to napijmy się jeszcze. — Pieśniarka osuszyła twarz chusteczką

i sięgnęła po puderniczkę. Wyglądało na to, że zaczyna się uspokajać. Wanda postanowiła to wykorzystać:

— Mogę o coś zapytać?

— Pytaj, o co chcesz, dziewczyno.

— Czy pani wiedziała, że jej partner nie jest prawdziwym prezydentem?

— Aleksiej? A jaka kobieta nie poznałaby podmiany kochanka. Zwłaszcza przy tak kolosalnej różnicy charakterów. Pobiedin był brutalny, okrutny i egoistyczny. Już na pierwszym spotkaniu po prostu mnie zgwałcił. Potraktował jak każdą inną poddaną imperium, która mu się jako carowi należy. — Szczerść Osmanowej była w tym momencie zdumiewająca. — Dziwię się, że jeszcze żyję. Znając jego charakter, to kiedy po zamachu ukrył się przed światem, powinien rozkazać mnie zgładzić. Ale nie zrobił tego. Jeszcze... Sądzę, że chronią mnie dzieci. Jego dzieci.

— A pan... Aleksiej? Nie był taki sam jak autentyczny prezydent?

— Podobieństwo miało charakter wyłącznie zewnętrzny. W głębi duszy Alosza, jak na czekistę, był delikatny, wrażliwy, choć skłamałabym, mówiąc, że nie lubił roli, którą odgrywał. Niestety z upływem lat coraz bardziej upodabniał się do prawdziwego Pobiedina. — Urwała i uniosła głowę, łowiąc uchem jakiś odległy dźwięk. — Chyba przybył pani przyjaciel.

Rykowa wpuszczono po starannym przeszukaniu. Dziadek policjant zrobił to bardzo dokładnie, jakby nie zdawał sobie sprawy, że w razie konieczności Igor mógłby go zabić gołymi rękami.

Kiedy inżynier znalazł się w piwnicy, zauważył, że kobiety osuszyły już połowę butelki.

Wanda dokonała prezentacji. Igor pocałował śpiewaczkę w rękę; pachniała jakimiś wyjątkowymi perfumami, od których mogło zakręcić się w głowie.

— Opowie mi pan, jak zginął? — Ała bez zwłoki przystąpiła do rzeczy.

Inżynier zrelacjonował zeszłoroczne wydarzenia, nie tając niczego.

Opowiedział o zleceniu miliardera Czerkasowa, o planie porwania Pobiedina w trakcie pobytu w Polsce, o akcji na Wawelu i konsternacji, gdy okazało się, że pochwycili jedynie sobowtóra prezydenta Rosji. Później mówił jeszcze o ich drodze przez Europę, kończąc na tragedii, która rozegrała się w Vaduz.

— Kiedy otrzymałam, jeszcze w Nowej Zelandii, SMS z ostrzeżeniem — wiedziałam, że dzieje się coś złego — powiedziała Osmanowa. — Reszty domyśliłam się podczas mojej wizyty w banku w Vaduz, kiedy dyrektor opowiedział mi o pobycie „klienta”, a następnie o strzelaninie na ulicy. Chciałam dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat, ale okazało się, że media nie poświęciły wydarzeniu ani słowa. Nie miałam pewności, co się stało z Aleksiejem, ale śledząc uważnie w telewizji wystąpienia „prezydenta”, zauważyłam pewne drobne różnice między nim a Mordakowem, nie wspominając już o prawdziwym Pobiedinie. Doszłam do wniosku, że z jakiegoś powodu usiłował opuścić Rosję i został zlikwidowany.

— Znakomicie to pani wywnioskowała. — Rykow popatrzył na piękną kobietę z niekłamanym podziwem.

— Nie każda śpiewaczka musi być od razu idiotką! — odparła rezolutnie. — Podobnie elementarna umiejętność kojarzenia faktów podpowiada mi, że wasza wizyta nie ma wyłącznie charakteru kurtuazyjnego.

— Zgadza się. Próbujemy zrealizować ostatnią wolę pana Aleksieja.

— To dotyczy mnie czy moich dzieci?

— Tak naprawdę nie wiemy, czego sprawa dotyczy. Ale chyba nie bez powodu zostawił nam pewną niepokojącą informację.

— Jaka to informacja?

— O Ingebordze Winkler — uprzedziła Igora Wanda. — Zna pani może taką osobę?

Na twarzy Osmanowej pojawił się wyraz zakłopotania.

— No tak, niby znam... ale niewiele wiem na jej temat. Nie znam także

powodu, dlaczego Aleksiej zadał sobie tyle trudu, by odszukać tę hitlerowską emerytkę. W każdym razie przywiązywał do tego sporą wagę, choć nie chciał powiedzieć, dlaczego tak mu zależy na kontakcie. W dodatku robił wszystko, żeby o moim rekonesansie nie dowiedziały się służby. Chyba nam się udało zmylić ich czujność i odnaleźć panią doktor.

— To ona nadal żyje?

— W każdym razie dwa lata temu, jak na osobę w jej wieku, cieszyła się znakomitym zdrowiem. Oczywiście jej bezpośrednie spotkanie z Aleksiejem nie wchodziło w grę. Ale na krótko przed tą wizytą w Polsce doprowadziłam do ich telekonferencji za pośrednictwem Skype'a.

— I?

— Wiele wam na ten temat nie powiem. Aleksiej nie chciał, żebym uczestniczyła przy ich rozmowie, więc wyszłam z pokoju. Zauważyłam tylko, że Inga rozmawiała z nim z wielką atencją, wykazując się równocześnie wyjątkową jasnością umysłu. Już na wstępie powiedziała: „Przecież rozmawialiśmy o tym sześć lat temu, panie prezydencie”.

— Naprawdę nie wie pani, czego dotyczyła ta rozmowa?

— Nie podsłuchiwałam. Od Aleksieja dowiedziałam się, że chodziło o jakieś eksperymenty medyczne. Podobno instytut pod Bautzen wyprzedzał w badaniach genetycznych resztę świata o całą epokę. Może dlatego, że nie przejmowano się tam żadnymi względami etycznymi. Chyba jednak najważniejsze było to, że Ingeborga realizowała tam, w tajemnicy przed swoimi przełożonymi, własny program i postarała się, aby nie wszystkie informacje na jego temat przepadły podczas Jesieni Ludów w 1989 roku.

— Orientuje się pani, o co w tych eksperymentach mogło chodzić?

— Najlepiej będzie, jeśli zapytacie ją sami. — Osmanowa, pomimo że alkohol zaróżowił jej policzki, zdawała się doskonale kontrolować sytuację.

— Podam wam jej aktualny adres. Mieszka w małym, ale luksusowym domku

pod Locarno, z gosposią-ochroniarką, równie starą jak ona. Mam nadzieję, że zechce was przyjąć.

Rykw wyciągnął notes, pragnąc zapisać adres, ale zanim to zrobił, Ała zmieniła zdanie.

— Proszę poczekać. Chyba lepiej będzie, jeśli zaprowadzę was osobiście.

— Ale...

— To może być niezbędne. Zauważyłam, że pani Inga wykazywała sporą nieufność wobec obcych, a ja chyba wzbudziłam w niej zaufanie.

— Czy to nie za duże ryzyko jechać z nami? — zapytała Wanda. — Możemy przecież być śledzeni.

— Nie przesadzajmy z tym ryzykiem. Towarzyszy mi ono od lat... Poza tym coś chyba jestem winna biednemu Aloszy.

*

Postanowili wyjechać nazajutrz, skoro świt. Czas, który pozostał, poświęcili Wandzie, którą późnym popołudniem wyekspediowali z powrotem do Polski.

— Twoja misja dobiegła końca — stwierdził doktor Majewski, wręczając jej kosz czekoladek i elegancki zegarek. — Wracasz do kraju.

Krajewska wyglądała na rozczarowaną, usta wygięła w podkówkę jak dziecko, które za chwilę się rozpłacze.

— Na pewno bym się wam jeszcze przydała — usiłowała polemizować.

Doktor pozostał nieubłagany (jego plan reanimacji Rykova przy pomocy polskiej młódki się nie powiódł), a i inni nie kwapili się, aby ją wesprzeć. Nawet Igor.

Wiele wskazywało na to, że żegnając Wandę, odetchnął z ulgą.

Wnosiła w jego życie zbyt wiele niepokoju, obudziła jego uspioną męskość, skazując na pełne erotycznych fantasmagorii noce, zakończone koniecznością wymiany prześcieradła ...A przecież od śmierci Ziny przez półtora roku nie

pomyślał o żadnej kobiecie. Treningi i rozważanie zemsty pochłaniały go bez reszty. Nawet znajomość z piękną nauczycielką arabskiego pozbawiona była erotycznego podtekstu. Był przekonany, że już do końca życia będzie odporny na jakiegokolwiek zauroczenie. Jednak sama perspektywa spotkania wzmocniona przez spojrzenie fiołkowych oczu młodej Polki wystarczyła, by kompletnie stracił rezon. Może gdyby nie była mężatką? Nie był zdolny do rozbijania małżeństw przyjaciół. Z drugiej strony, wiedział, że bywają nieudane...

Świadom słabości ludzkiej natury swe kontakty z Wandą ograniczył do niezbędnego minimum. Nie reagował na oczywiste prowokacje, spojrzenia, dotknięcia...

Opuścił gardę dopiero na lotnisku.

— Spotkamy się jeszcze kiedyś? — zapytała. — Obiecuj mi, że jeszcze się zobaczymy!

Oczy miała pełne łez, więc kiedy go pocałowała, odwzajemnił jej pocałunek. Trzydzieści sekund szaleństwa! Na moment wzbili się nad ziemię, by uderzyć w nią z impetem, gdy usłyszeli głos Bortnika:

— Wracamy!

W Szwajcarii nigdzie nie jest daleko, a doskonała sieć autostrad i tuneli przecinających górskie masywy sprawia, że często jest jeszcze bliżej. Droga samochodem, który Rykow wynajął w Hertz na latynoskie nazwisko figurujące w jego aktualnym paszporcie, przez Berno, Lucernę, Altdorf (słynne z utarczek miejscowego wójta z Wilhelmem Tellem, co, jak głoszą legendy, skutkowało powstaniem Konfederacji Kantonów) zabrała im nieco ponad pięć godzin. Za Wassen pochłoniął ich wielokilometrowy tunel pod Przełęczą Świętego Gotarda, by wypłuć już po drugiej stronie Alp, w krainie słońca, wina i optymizmu.

Rykov błyskawicznie odzyskał humor. Paradoksalnie przy Osmanowej czuł się emocjonalnie bezpieczniejszy, niż trzymając zmysły na postronkach

w towarzystwie Wandy. Ała, mimo że jeszcze urodziwsza, wydawała mu się rajskim ptakiem, za pięknym, za sławnym, zbyt wybitnym, by myśleć o niej jak o zwyczajnej kobiecie. Dlatego nawet w samochodzie, mając ją o parę centymetrów od siebie, razem z emanowanym ciepłem i zapachem perfum, czuł się bardziej jak widz zwiedzający wolierę w ogrodzie zoologicznym niż konsument przed witryną cukierni, ze ślinką napływającą do ust.

Za Bellinzoną zjechali z autostrady, kierując się w stronę Locarno, a zaraz za nim skręcili w jedną z malowniczych dolin alpejskich. Osmanowa jak większość kobiet nie zaprzętała sobie głowy nazwami miejscowości, ale pamiętając rozmaite szczegóły z wcześniejszej podróży, prowadziła ich jak najlepszy GPS. Dzień był słoneczny, jednak ponieważ nie był to już szczyt sezonu turystycznego, a młodzież wróciła do szkół, ruch samochodów był umiarkowany, w samej dolinie zaś ograniczył się do kilku wozów z wolna podążających serpentynami. Na koniec dotarli do wioski, malowniczej, choć dość pustawej i raczej omijanej przez turystów. Jeden sklepik, jedna mało zachęcająca restauracja... Wystarczyła krótka chwila jazdy, a zwarta zabudowa ustąpiła ogrodom i zagajnikom.

W którymś momencie Ała wypatrzyła prawie niewidoczny skręt w wąską asfaltową uliczkę wspinającą się stromo.

— To tutaj! — powiedziała.

Domek Ingi Winkler leżał nieco na uboczu, ledwie widoczny pośród drzew, i praktycznie nie różnił się od innych budynków o spadzistych dachach i szerokich oknach. Może tylko sprawiał wrażenie bardziej filigranowego. Naturalnie był po szwajcarsku czysty, schludny, solidny. I jeśli cymkolwiek się wyróżniał, to opuszczonymi żaluzjami w oknach.

— Czy nie powinniśmy wcześniej zadzwonić i uprzedzić o naszym najściu?
— zapytał Igor.

— Pani Winkler nie używa telefonu.

Wysiedli. Obejście tchnęło ciszą i spokojem. Niska furteczka okazała się jedynie przymknięta i otworzyła się po przekręceniu gałki z drugiej strony.

Opodal drzwi inżynier zauważył miskę z wodą.

— Jest tu pies? — zapytał.

— Dwa — odpowiedziała Osmanowa — ogromne nowofundlandy.

— Trochę dziwne, że nie reagują na nasze przybycie.

— Rzeczywiście, kiedy przybyłam tu pierwszy raz, podniosły spory rejwach. Ale może gosposia wyprowadziła je na spacer.

Rykw poczuł na plecach znajome mrowienie, które od kwietnia 2010 roku nawiedzało go kilkakrotnie, zawsze zwiastując kłopoty. Wyciągnął pistolet i dla pewności go odbezpieczył.

Ała chciała nacisnąć dzwonek przy drzwiach, ale powstrzymał ją.

— Obejdźmy najpierw dom!

Tak zrobili. Z tyłu znajdował się długi wąski ogródek dowodzący rustykalnych upodobań pani Winkler, a może jedynie jej gospodyni. Wśród krzewów i grządek dostrzegli małe oczko wodne i dwa fotele pod parasolami. Brakowało jedynie mieszkańców. Czyżby wyjechali?

Zaprzeczały tej hipotezie uchylone drzwi na tarasie, które dosłownie zapraszały do środka.

— Pani tu zostanie! — zdecydował Igor.

Osmanowa energicznie pokręciła głową.

— Idziemy razem!

Weszli i młoda kobieta ledwie powstrzymała się od okrzyku. Wnętrze zaprzeczało sielskości obejścia! Wyglądało, jakby przez mieszkanie przeszedł tajfun. Otwarte szafy, pozdejmowane obrazy, wybebeszony dość prymitywny sejf. Ot, już na pierwszy rzut oka — napad rabunkowy u zasobnej emerytki. Przeszli kuchnię, salon, zajrzeli do łazienki — żywego ducha, wspięli się więc na schody. Drzwi do sypialni zastali uchylone. Ała krzyknęła.

Zobaczyła rękę bezwładnie opadającą z łóżka.

Igor powstrzymał kobietę i wskoczył pierwszy do pokoju. Pani Winkler, drobna, chuda, pomarszczona jak zeszłoroczne jabłuszko, leżała na poduszkach, bokiem. Głowa pokryta rzadkimi siwymi loczkami skrzycona była pod dziwnym kątem. Wytrzeszczone oczy wpatrywały się w sufit, jakby oczekując pomocy ze strony niebios.

— O Boże, udusili ją! — jęknęła śpiewaczka.

— Raczej fachowo skrzył jej kręgi szyjne — poprawił Rykow, pochylając się nad denatką. — I to bardzo niedawno, ciało jest jeszcze ciepłe.

— Ale to oznacza, że oni powinni tu gdzieś być! — wyszeptała coraz bardziej przestraszona Osmanowa. — Przecież kiedy jechaliśmy pod górę, nie minęło nas żadne auto jadące z naprzeciwka. — To powiedziawszy, chciała wejść głębiej do pokoju, ale Igor szybkim ruchem pociągnął ją na podłogę.

— Przepraszam za brutalność — szepnął — ale przy oknie bylibyśmy jak tarcza strzelnicza!

Przywarła do niego całym ciałem, toteż czuł, że jej serce łomocze jak u zmęczonego ptaka. Poza tym panowała kompletna cisza, tak jakby cały dom umarł wraz ze swoją gospodynią. Nie skrzypiały schody, nie poruszały się firanki, nie docierało nawet tykanie zabytkowego zegara z salonu.

Mimo to na czworakach wycofali się na pozbawione okien schody. Igor ani na chwilę nie wypuszczał pistoletu z garści.

— Co tu się mogło stać? Wspominał pan komukolwiek, że tu jedziemy? — pytała półgłosem kobieta.

— Tylko moim współpracownikom, do których mam absolutne zaufanie. A pani?

— Nawet nie zdążyłam z nikim porozmawiać. Wyjeżdżaliśmy tak szybko... Jedynie Wolfgangowi wspomniałam, że będę w Ticino.

— Wolfgangowi? Ma pani na myśli majora Asta, teścia pani siostry?

— No właśnie. Ale to człowiek jak mało kto godny zaufania. Wspaniale się mną opiekuje. Szwajcarski emerytowany policjant, służbista w każdym calu.

Rykwow wolał nie mówić, co sądzi o służbistach.

Zeszli na dół, lustrując starannie mieszkanie starszej pani. Bałagan ujawnił, że nie było to bynajmniej lokum dobrotliwej staruszki, wśród wyrzuconych z półek książek złościł się wyłoczonymi literami oprawny w skórę *Mein Kampf*, a zza odsuniętej komódki wyglądał portret führera. Rykwow zaglądał uważnie we wszystkie kąty, aż wrócił do sieni i stanął w drzwiach piwnicy. Otworzył je i od razu uderzył go odór fekaliiów. Całe schody i wycieraczka, którą ktoś wrzucił do środka, były zachlapanie ludzkimi odchodami. Ciało drugiej starszej pani, nawet po latach postawnej, jak przystało na aktywistkę Hitlerjugend, leżało u dołu schodów. Ktoś, komu zapewne otworzyła drzwi, fachowo zarzucił jej pętlę na szyję.

— Garota, to wskazuje na profesjonalistę! — mruknął na wpuł do siebie, na wpuł do swojej towarzyszki. — Dziwna sprawa. Przy swych kwalifikacjach nie powinna odwracać się tyłem do nieznanomego.

— Może go znała? — podsunęła Ała.

— Nie sądzę, chociaż nie można wykluczyć...

Starając się nie oddychać przez nos, zszedł na dół i pochylił się nad zwłokami. Opiekunka miała na sobie grubą, niezbyt pasującą do wiosenno-letniego sezonu suknię, w kieszeni której wymacał spluwę. Profesjonalną beretę. Naładowaną, ale zabezpieczoną. Czemu nie spróbowała jej użyć? Otworzyła drzwi gościowi, chciała prowadzić dalej... On tymczasem zarzucił pętlę i udusił ją stojącą na wycieraczce. Musiał ją kompletnie zaskoczyć, na starczych dłoniach nie zauważył śladów walki. Ani jeden paznokieć nie został złamany. Czyżby był to ktoś na pierwszy rzut oka wzbudzający zaufanie? Policjant, może listonosz...? Albo...

— Proszę poczekać! — zawołał do Osmanowej, która blada stała

w przedpokoju, opierając się o ścianę. W dwóch susach wrócił do sypialni. Już wcześniej wydawało mu się, że dostrzegł coś w zaciśniętej dłoni nieboszczki.

Nie mylił się. Znalazł tam jeden długi włos blond. Z pewnością nienależący do żadnej z mieszkanek.

— Kobieta! — powiedział autorytatywnie. — Jednym z morderców była kobieta, dlatego tak łatwo wpuszczono ją do środka.

Tymczasem Ała zdołała nieco ochłonąć. I widać było, że też się nad czymś zastanawia.

— A gdzie psy? — zapytała w końcu. — Domu broniły dwa ogromne brytany. Ingeborga mówiła, że są „przyjacielskie wobec przyjaciół, bezwzględne wobec wrogów”.

— Przebywały na stałe wewnątrz domu?

— Oczywiście. To były wielkie bestie, ale posłusznie reagowały na wszystkie komendy.

— W takim razie napastnicy musieli je jakoś zneutralizować.

— Weszli? Myśli pan, że było ich kilku?

— Co najmniej dwójka! Takich akcji służby nie przeprowadzają w pojedynkę. Jedno jest zastanawiające. Jak tu dotarli? Sama pani zwróciła uwagę na brak jakichkolwiek zaparkowanych samochodów. Nie mogli zaparkować gdzieś dalej, bo uliczka kończy się ślepo.

— A może ktoś ich podwiózł, wysadził, po czym sam się usunął, żeby nie wzbudzać naszej czujności.

— W takim razie jak zamierzali się stąd ewakuować?

Zastanawiała się tylko chwilę.

— Garaż! — rzuciła.

Niski, ledwie widoczny w dzikim winie budynek przylegał do lewej ściany domu. Wewnątrz znajdowały się dwa samochody, wypucowane bmw z lat

trzydziestych, stanowiące chyba bardziej zabytek niż środek transportu, i współczesny volkswagen combi przystosowany do jazd terenowych.

— Za poprzedniej mojej bytności Inga pokazywała mi te samochody. A zatem napastnicy, gdyby tylko chcieli, mieliby czym uciec. Nawet kluczyki są w stacyjce. Dziwne, że nie wykorzystali tej możliwości... Czekali na nas?

Mrowienie w kończynach stało się dla Rykova jeszcze bardziej nieprzyjemne. Był nieomal pewien, że mordercy są w pobliżu. Zastanawiał się tylko, dlaczego do tej pory nie zostali zaatakowani? Niewykluczone, że napastnicy dostali z samej góry kategoryczny rozkaz oszczędzenia Osmanowej i nie ryzykują strzału z dystansu. Dlatego najprawdopodobniej zaatakują Igora dopiero przy wyjściu, kiedy będzie już sam.

Potok myśli przerwał przenikliwy, z sekundy na sekundę bliższy sygnał wozu policyjnego. Ktoś, sąsiedzi, a może sami sprawcy zadzwonili na komisariat.

Ała odetchnęła z ulgą, przekonana, że szczęśliwie kończą się ich kłopoty. Rykow nie podzielał jej optymizmu.

— Musimy uciekać! — rzucił. — Policja nie może nas tu zastać!

— Miałabym się bać szwajcarskiej policji? To jakiś absurd! — zawołała kobieta.

— W tej chwili jak najbardziej powinniśmy jej unikać! To, że nie mamy nic wspólnego ze zbrodnią, dla funkcjonariuszy nie miałoby najmniejszego znaczenia. Musieliby nas zatrzymać do wyjaśnienia! Znaleźliśmy się w złym czasie i w niewłaściwym miejscu. Jesteśmy uzbrojeni. Dom jest pełen naszych śladów. Pewnie gdzieś w ogrodzie znajdą się porzucone łupy. W dodatku mój paszport jest fałszywy, a do Szwajcarii wjechałem nielegalnie. Idealny podejrzany. Nie! Nie możemy dać się zamknąć. Proszę za mną!

Wybiegli do ogródka, wtulając głowy w ramiona i rozglądając się czujnie. W każdej chwili mogli spodziewać się skrytobójczego strzału. Inna sprawa,

czy sprawcy zaryzykowałiby strzelaninę. Wycie policyjnych wozów stawało się coraz bliższe. Biegając ku furteczce znajdującej się z tyłu posesji, przez którą, jak twierdziła Ała, można było wyjść do lasu, zobaczyli wśród krzaków malin zwłoki dwóch kudłatych wodołazów. Piana na pyskach i rozlane odchody wskazywały, że użyto wobec nich jakiejś silnie działającej trucizny.

— Bydlaki — mruknął Igor.

Osmanowa natomiast zwróciła uwagę na małą szopę znajdującą się tuż przy furtce i zajrzała do środka.

— Niech pan popatrzy, czy to się może nam przydać? Zwłaszcza jeśli zamierzamy kierować się na bezdroża?

W budce znajdował się prawdziwy magazyn sprzętu turystycznego. Rykow „pożyczył sobie” czekan, latarkę i linę. Ała z satysfakcją stwierdziła, że turystyczne buty należące do opiekunki Ingi idealnie na nią pasują.

— Inga mówiła, że już po osiemdziesiątce przeszła szlakiem na włoską stronę — stwierdziła Osmanowa. — Zajęło jej to podobno dwa dni... Moglibyśmy powtórzyć ten wyczyn w krótszym czasie.

— W takim razie musimy wziąć jeszcze plecaki i śpiwory.

— Tylko szybko.

Nie minęły trzy minuty, a opuściwszy naznaczoną śmiercią posiadłość, dotarli do zagajnika. Kręta ścieżka prowadziła stromo w górę, a Rykow nie mógł oprzeć się wrażeniu, że lada moment natkną się na morderców.

— Patrz — szepnęła naraz Ała, coraz częściej zapominająca, że są na pan i pani. Trakt przecinała wąska ścieżka. Po nocnym deszczu pozostało trochę wilgoci i dzięki niej dostrzegli kilka kroków dalej odcisk opony górskiego roweru. I jeszcze krok dalej, a przecinające się koleiny upewniły ich, że pojazdy były dwa.

— Tak tu przybyli i tak się ulotnili — skonstatował Igor.

Osmanowa zamierzała skrócić na ścieżkę dla rowerów, ale Rykow powstrzymał ją delikatnie.

— Z dwóch powodów to niewskazane. Idąc tą ścieżką, albo natkniemy się na morderców, którzy postanowili na nas poczekać, albo na szwajcarskich policjantów. Ani jedno, ani drugie za bardzo mnie nie interesuje. Pozostańmy przy dawnym planie. Maszerujemy w górę!

Ała wzięła głęboki oddech i ruszyła prosto. Rykow wyciągnął telefon i połączył się z Charlesem. Reszcie grupy należały się jakieś informacje.

*

Anastazja Jegorowa i Michaił Worobiow, ksywa „Wor”, siedzieli na dwóch bliźniaczych gładkich na skraju potoku, pałaszując kanapki, które przygotowała zapobiegliwa agentka SMERSZ-u. Oboje nie przepadali za fast foodami. Skądinąd do tej pory pracowali ze sobą może dwa razy.

Worobiowa ściągnięto z Włoch, gdzie zajmował się pewnymi skomplikowanymi przygotowaniem do programu o poetyckiej nazwie „Gwiazdy Orientu” związanej dość bezpośrednio z operacją „Inga”, a Jegorową Centrala znalazła w Bernie.

Przebywała tam w związku z akcją planowaną za kilka dni w Bawarii. Była nią bardzo zaabsorbowana i mocno zaangażowana, jednak polecenia z Moskwy brzmiały jednoznacznie — ich najnowsze działanie otrzymało najwyższy priorytet. Mieli zlikwidować pewną szwajcarską staruchę i sprawić, żeby wyglądało to na napad rabunkowy.

— Czy mamy dokonać szczegółowego przeszukania? — zapytała agentka.

— Nie ma potrzeby — zdecydował Kontroler. — Ingeborga Winkler od roku nie przechowywała żadnych dokumentów, zdjęć ani innych naprawdę kłopotliwych pamiątek. Zresztą po akcji możecie dla pewności podpalić jej dom.

Później, gdy już byli na wysokości Locarno, dotarło do nich jeszcze jedno polecenie.

„Ewentualny dodatkowy cel — mężczyzna Igor Rykow — aktualne nazwisko nieznane!” — przekazywał Kontroler. W załączniku znajdowało się zdjęcie inżyniera z Samary.

Anastazja, mimo że normalnie nie dawała się ponosić emocjom, zadrzała jak szlachetna klacz trącona ostrogą. Z Rykowem miała zadawnione porachunki — półtora roku temu postrzelił jej partnera i miała nadzieję, że teraz odpłaci mu pięknym za nadobne.

„Macie nad nimi około godziny przewagi — brzmiała dalsza część komunikatu. — Towarzyszy mu kobieta. Nazwisko Ała Osmanowa. Pod żadnym pozorem nie może ponieść jakiegokolwiek uszczerbku. Czy są jakieś dodatkowe pytania?”.

Nie musiała zadawać pytań. Wiedziała, kim była śpiewaczka.

Akcja przebiegła bez komplikacji. Wrzucenie psom trucizny przez płot nie przedstawiało problemu. Przewidywalnie zachowała się Liza Stenmayer, kiedyś niebezpieczna funkcjonariuszka STASI, obecnie wiekowa i przygłucha kobieta. Widząc przez wizjer uśmiechniętą blondynkę, jakby wyciętą z reklamy zdrowej żywności dla stuprocentowych Aryjczyków, bez wahania otworzyła drzwi na oścież.

Ingeborga Winkler również nie sprawiła kłopotów swoim zabójcom. Kiedy wchodzili na górę, drzemała.

Idąca przodem Anastazja się zawahała.

— Ja czy ty? — zapytał gestem Misza.

Anastazja pokazała, by usunął jej się z drogi.

Misza tylko wzruszył ramionami. Staruszka ocknęła się dopiero, gdy Jegorowa klękła nad nią na łóżku. Wrzasnęła i próbowała chwycić ją za włosy. I na tym się skończyło. Później zajęli się upozorowaniem rabunku. Do

przybycia Rykowa mieli sporo czasu. Może dlatego w akcji popełnili jeden błąd. Kiedy wlekli martwe psy na koniec ogrodu, aby ich trupy nie ostrzegły przybyszów, ujrzeli błysk słońca odbity w szklach. Jakiś skurwiel sąsiad obserwował ich działania przez lornetkę.

— Sprzątnijmy go! — zaproponowała Anastazja.

— A jak nie jest sam w domu? — zaproponował „Wor”. — Teren jest nierozpoznany, a kolejne egzekucje mogą skutkować nieprzewidywalnymi komplikacjami.

— Więc co robimy? Znajac Szwajcarów, już telefonują na policję.

— Spadamy tą samą drogą, którą przybyliśmy.

— A rozkazy?

— Co się odwlecze, to nie uciecze! Nasi wrogowie nie mają dobrego wyjścia. Albo będą musieli gęsto tłumaczyć się policji, i wtedy dorwiemy inżyniera w areszcie, albo spróbują uciekać w las i wpadną prosto na nas — tłumaczył. — To jedyna droga okrążająca wioskę — dodał, pokazując jej mapę na ekranie smartfona.

— Mogą jeszcze uciekać w góry — zauważyła Anastazja.

— Mało prawdopodobne. Facet w półbutach i kobieta na szpilkach... Daleko by zaszli?

Nad strumykiem czekali ponad godzinę, podrywając głowy na najmniejszy nawet szelest. Nikt się nie pojawił. Z radiowego nasłuchu szwajcarskiej policji wynikało, że sprawcy napadu nie zostali złapani, a dopiero za pół godziny miały zostać sprowadzone psy tropiące.

— Przewidywałam — warknęła Anastazja. — Zdecydowali się pójść przez góry. To do Rykowa podobne! Idziemy za nimi!

— Nie gorączkuj się — powstrzymał ją „Wor”. — To nie jest dobry pomysł. Mają nad nami ponad godzinę przewagi. Niech ścigają ich Szwajcarzy, zresztą sędzę, że i im się to nie uda. Znacznie praktyczniej będzie

poczekać na tę parkę po włoskiej stronie. Łatwo przewidzieć, któredy będą schodzić ze szlaku.

Kontroler, z którym się połączyli, był tego samego zdania.

6. Alpejska ścieżka

Ała i Igor mieli do pokonania w linii prostej zaledwie kilkanaście kilometrów, aliści w górach sięgających dwóch i pół kilometra wysokości oznaczało to półtora dnia forsownej wspinaczki.

Szczęście im sprzyjało, w ciągu dnia szli lasami, toteż gdyby nawet Szwajcarzy wysłali w ślad za nimi helikopter, ten nie byłby w stanie ich namierzyć.

Nie wiedzieli o jeszcze jednym uśmiechu losu. Sprowadzone do domu pani Winkler psy podjęły wprowadzić trop, ale po dotarciu do miejsca, w którym Anastazja i Michaił wsiedli na rowery, ruszyły — poza jednym, krytycznym wobec sfory wyżłem, który chciał biec w góry — śladem prawdziwych morderców. Doprowadziło to grupę pościgową do parkingu w Asconie, gdzie ostatecznie ślad się urwał.

Obsługa przypomniała sobie, że pół dnia parkował tam spory kamper z niemiecką rejestracją, który jednak odjechał ponad dwie godziny wcześniej, prawdopodobnie na południe. Zapisane numery okazały się fałszywe, a goście, wyglądający bardziej na turystów z Europy Wschodniej niż z Zachodniej, zapłacili gotówką. Pech!

W trakcie forsownej wspinaczki Ała nie przestawała zadziwiać Rykova. Nie przypominała w niczym jednej z wiecznie rozkapryszonych gwiazd, zajmujących się głównie własną dietą i koncertami. Mimo upału maszerowała równo, nie nalegając na zbyt częste postoje. Nie poskarżyła się słowem, chociaż, jak się okazało wieczorem, w niedopasowanych butach koszmarnie obtarła sobie nogi.

O zmierzchu ich otoczenie uległo zmianie — lasy ustąpiły wysokogórskim

halom, a skalisty grzebień gór mocno się przybliżył. Coraz trudniej było trzymać się szlaku. Na szczęście wzeszedł księżyc i można było jeszcze przez pewien czas kontynuować marsz bez obawy wpadnięcia w jakąś rozpadlinę. Ale wytrzymałość organizmu ma swoje granice. Kiedy ściemniło się zupełnie, Igor uznał, że dalsza wspinaczka może być zbyt niebezpieczna. Ała przyjęła to z ulgą. Dotąd nadrabiała miną, ale ledwie trzymała się na nogach. Znaleźli w miarę płaskie miejsce, wysłane jakimiś miękkimi porostami, i rozłożyli śpiwory. Opodal połyskiwał staw i mimo lodowatej wody opłukali się w nim kolejno. Kiedy Osmanowa zrzuciła ubranie, Igor skromnie się odwrócił, choć obserwacja nagiej kobiety z pewnością byłaby zajęciem przyjemnym. Po kąpieli szybko wskoczyli do swoich śpiworów. Rykow zastanawiał się nad roznieceniem ognia, ale oboje uznali to za zbyt niebezpieczne.

Powiedzieli sobie dobranoc, zamknęli oczy... Jednak mimo ogromnego zmęczenia sen długo nie nadchodził.

Śpiwory wydzielały specyficzną woń starzyzny pomieszanej z lawendą. Powodowało to, że przed oczami Ały ciągle pojawiały się martwe twarze właścicielek sprzętu. Być może jedna była hitlerowsko-komunistyczną fanatyczką, a druga pozbawioną empatii „Fräulein Doktor” z obozu koncentracyjnego, ale upływ lat i starość sprawiały, że nie potrafiła być obojętna na ich śmierć.

— Gdyby nie nasza wizyta, ciągle by żyły! — powiedziała w pewnej chwili półgłosem.

Mówiła do siebie, ale leżący obok Igor usłyszał jej słowa i zaprotestował zdecydowanie:

— Nie wolno tak rozumować! Nikt nie wie, co jest nam pisane. I jakie wynikną z tego konsekwencje. Rzeczy, które na pierwszy rzut oka wydają się bezsensowną tragedią lub idiotyczną ofiarą, mogą okazać się czymś, co posłuży sprawom ważniejszym.

— Naprawdę? Nie uwierzę, że potrafisz odnaleźć jakiś sens w śmierci Aloszy czy twojej żony.

Wspomnienie chyba go zabolalo, bo dluzsza chwile nie odpowiadalo. Wpatrywalo sie w rozgwiezdzone niebo, ktore wydawalo sie blizej niz kiedykolwiek. Wreszcie rzekl:

— Nie potrafie wszystkiego racjonalnie wytlumaczyc, ale ciagle o tym mysle. Dlaczego Zina...? Moze chodzilo o to, zeby wzbudzic moj gniew. A moze... moze bylo kara za wcześniejsze grzechy.

To stwierdzenie wyraźnie ją zaskoczyło.

— Grzechy? Wierysz w Boga? — zapytala, znowu przechodząc na ty.

— Kiedyś nie wierzyłem...

— A teraz?

— Trudno jednoznacznie odpowiedzieć... Pewnie nie mam innego wyjścia, jak wierzyć. Bez Niego nic nie miałoby sensu.

— Myślisz podobnie jak ja. Kiedyś nie zastanawiałam się nad takimi sprawami i byłam nieprawdopodobnie pyszna, zadufana, jeśli idzie o moje możliwości. Pamiętam, miałam dziewiętnaście lat i wydawało mi się, że jakaś złota rybka postanowiła spełniać wszystkie moje marzenia. Wygrałam ogólnorosyjski konkurs piosenki, dostałam się do konserwatorium i, jakby tego wszystkiego było mało, spoczęło na mnie oko samego prezydenta... Podszedł do mnie, gratulował, pocałował w rękę... A ja... Boże, jaka byłam koszmarnie głupia, że zgodziłam się pojechać z nim na wieczorną przejażdżkę...

— Przejazdkę?

Wzdrygnęła się.

— Tak to nazwał, w istocie spotkał mnie koszmar nieprzypominający w najmniejszym stopniu bajki o Kopciuszku. Pobiedin potraktował mnie jak przekąskę między innymi daniami. Bez żadnego przygotowania, w jakiejś

altance wziął mnie brutalnie na stole, po chamsku rozdziewiczył, a potem zostawił, bo miał z żoną wystawną kolację na cześć kanclerza Niemiec. Nigdy nie byłam bliższa samobójstwa niż tamtej nocy. Czułam się jak upadły anioł, któremu nie udało się dolecieć nawet do pierwszego piętra. Na szczęście musiałam mu się spodobać bardziej niż inne kandydatki, bo po tygodniu wezwał mnie ponownie. Odmówiłam! Ale moja wychowawczyni prawie siłą wepchnęła mnie do przysłanej limuzyny. „Carowi się nie odmawia!”. Jego ludzie zawieźli mnie na daczę w Kuncewie. (Nawet w tym chciał być podobny do Stalina). I tam zachowywał się zupełnie inaczej, żadnej brutalności. Przeciwnie. Czułe słówka, pierścionek z brylantem. Tak mnie zaskoczył, że nie stawiałam oporu. A potem spotkania stały się coraz częstsze, coraz bardziej namiętne. A ja... Poza platonicznymi zalotami chłopaków z podwórka nie miałam żadnego doświadczenia z mężczyznami, więc myślałam, że to zawsze musi być tak... Nie będę ukrywać, status „carskiej konkubiny” do reszty przewrócił mi w głowie. Świat wydawał się leżeć u moich stóp. Masz pojęcie, Igorze, nie skończyłam jeszcze konserwatorium, a miałam już angaż do Teatru Wielkiego. A kiedy jeszcze Wołodia zaczął mówić o nieporozumieniach z żoną, o planowanym rozwodzie, dla mnie, poczułam się królową wszechświata. Zaprzestałam jakiegokolwiek ostrożności. Zresztą kiedy powiedziałam mu o ciąży, wydawał się najszczęśliwszy na świecie. „Daj mi syna — mówił — a zostaniesz naszą carycą!”. Dałam mu dwóch... Szalał ze szczęścia. Incognito odwiedził nas w szwajcarskim szpitalu, niepokoił się, że bliźniaki przez pewien czas muszą pozostać w inkubatorze... — Tu urwała i głębiej zaczerpnęła powietrza. — Właśnie wtedy widziałam go po raz ostatni.

— Mówi pani o prawdziwym Pobiedinie?

— Najprawdziwszym. I przestańmy sobie mówić per pan i pani. Ała jestem. A wracając do tamtej rozmowy... W ciągu następnych tygodni nic nie

zapowiadało nieszczęścia. Codziennie rozmawialiśmy przez telefon. Nalegał, żebym wróciła do Rosji. A potem, pamiętam dokładnie, to była środa. Po raz pierwszy nie zadzwonił. Mijały dni. Nie odzywał się i nie odpisywał ani na SMS-y, ani na moje maile.

— To wtedy doszło do zamachu!

— Teraz wiem, ale wtedy nie miałam pojęcia. Tym bardziej że po paru dniach przerwy, kiedy się nie pokazywał publicznie, dając pożywkę najbardziej fantastycznym plotkom, znowu zagościł w telewizji. Najpierw krótko, w szerszych ujęciach, potem coraz bliższych. Nadal jednak odmawiał kontaktu ze mną. Nie pojmowałam, co się stało. Obwinałam siebie, analizowałam jakieś niepopołnione błędy, podejrzewałam, że to sprawa nowych, młodszych kochanek, i stawałam na głowie, żeby do niego dotrzeć. Przeklinałam go i równocześnie tęskniłam. I wreszcie, kiedy mi się udało z nim spotkać, okazało się, że to nie on.

— I pokochałaś Aleksieja Mordakowa, niższego oficera Federalnej Służby Bezpieczeństwa?

— Pokochałam? Bo ja wiem...? To raczej on się we mnie zakochał. Co do mnie, byłam wystarczająco ostrożna, by póki sam nie wyznał mi prawdy, nie zdradzić, że ją odgadłam.

— Ale w końcu powiedział?

— Musiał! Byłam mu potrzebna, wręcz niezbędna do przerzutu pieniędzy i innych aktywów. Twierdził, że to zabezpieczenie na naszą wspólną starość.

— Naprawdę wierzył, że pozwolą mu przejść na emeryturę?

— Nie wiem, czy była to silna wiara, czy jedynie słaba nadzieja, ale chyba w coś wierzyć musiał. Tymczasem ja, realizując jego polecenia, coraz bardziej się bałam. Na szczęście na Kremlu tolerowano nasz związek, a mnie w sumie było coraz lepiej z Aloszą niż Wołodią. Sobowtór był bardziej ludzki, a kiedy mógł już zdjąć maskę, czułam, że jest okropnie samotny. Niekiedy było mi go

naprawdę żal, chociaż kiedy indziej doprowadzał mnie do wściekłości. Tym bardziej że jeżdżąc po świecie, poznawałam coraz więcej zła, jakie wyrządzały władze Rosji, obojętnie, czy reprezentował je prawdziwy Pobiedin, czy jedynie zmiennik. A jak doszła jeszcze sprawa Ukrainy... „Jak możesz to autoryzować?” — wołałam do Aleksieja po zestrzeleniu samolotu nad Donbasem. „Przecież to nie ja podejmowałam decyzje o wysłaniu tam rakiet »Buk«” — odpowiadał i dodawał: „Jestem jedynie aktorem, który musi za wszystko świecić oczami!”. Chciał, żebym mu współczuła. Biedaczek! Zresztą w głębi duszy chyba podziwiał prawdziwego Pobiedina i popierał jego mocarstwowe aspiracje. Jestem przekonana, że gdyby był suwerenny w swych decyzjach, zmieniłby co najwyżej taktykę, nie strategię... Zresztą przez długi czas i ja byłam skłonna wiele rzeczy sobie tłumaczyć. Ale po tragedii na Ukrainie już nie dawałam rady. A kiedy zabito Giermanowa...

— Kogo?

— Przywódcę umiarkowanej opozycji. Anatolija Giermanowa! Zastrzelono go pod samymi murami Kremla... Tamtego wieczora do reszty utraciłam wiarę we własne państwo. Zresztą wtedy Samodzierzcy dawał twarz już inny dubler, a ja miałam pełne podstawy, by sądzić, że ojczyzna, której wszystko poświęcił, wykonała na Aloszy wyrok śmierci. Postanowiłam wówczas, że nigdy nie wrócę do Rosji, a dzieci wychowam na bezpaństwowców!

Rykov nie skomentował jej wypowiedzi, postanowił jednak wrócić do sprawy, która przywiodła go do Szwajcarii.

— Nie rozumiem zupełnie dlaczego, skoro miał do ciebie pełne zaufanie, nie powiedział ci wszystkiego na temat Ingeborgi Winkler?

— Nie powiedział mi właściwie niczego! Do tej pory nie wiem nawet, dlaczego Aleksiej tak się nią interesował. I z jakiego powodu to zainteresowanie tak w ostatnim czasie jeszcze się wzmogło. Nie mam pojęcia, w jaki sposób niedozwolone eksperymenty medyczne w dawnej DDR miałyby

się łączyć z obecnymi planami imperialnymi.

— A więc coś ci jednak powiedział?

— Więcej wydedukowałam sama. Przypuszczam zresztą, że i Aleksiej nie był wtajemniczany we wszystko. Chyba pewne sprawy po prostu przeczuwał.

— Czy jest możliwe, żeby nie znał planów swego rządu, przecież musiał realizować określone posunięcia?

— Pobiedin nigdy nie zwierzał się nikomu ze swych dalekosiężnych zamierzeń. Myślę, że o szczegółach operacji „Inga” Alosza dowiedziałby się dopiero we właściwym czasie! Kiedy nie mógłby już niczemu zapobiec.

— Czemu?

— Przecież powiedziałam, że nie wiem — ucięła, jakby orientując się, że powiedziała zbyt wiele, a po dłuższej chwili dorzuciła: — Śpijmy już. Jutro czeka nas ciężki dzień.

— Dobranoc.

Więc zasnął, płytko, czujnie.

Nie pospał zresztą długo, obudziło go lekkie trącenie, otworzył zamek śpiwora i natychmiast uderzyło go chłodne powietrze. Na fosforyzującym zegarku dochodziła trzecia w nocy i temperatura na wysokości dwóch tysięcy metrów musiała spaść w pobliże zera. Dla człowieka, który przeszedł w Rosji twardą szkołę życia, nic szczególnego. Nerwowo próbował wymacać broń, ale nie było to potrzebne. Pochylała się nad nim Ała.

— Strasznie mmmi zzzimno — mówiła, dygocąc. — Nie wytrzymam!

Rozwiązanie problemu nasuwało się samo. Zaprosił ją do swego śpiwora. Wślizgnęła się zwinnie. I nakryła ich porzuconym śpiworem. Ręce miała lodowate, ale reszta emanowała przyjemnym ciepłem.

— Tylko nie myśl, że zamierzam cię poderwać — uprzedziła.

— Nawet nie przyszłoby mi to do głowy.

Ale przyszło.

Kiedy rozciągnięta na całą długość przytuliła się do jego pleców wszystkimi swymi wypukłościami, poczuł ogromną tęsknotę. I niekoniecznie tęsknota ta miała kształt Ziny. Ani nawet Wandy.

Igor był w końcu tylko mężczyzną. Na szczęście po chwili młoda kobieta przestała dygotać, oddech jej się wyrównał. Zasnęła. Poszedł w jej ślady.

Obudziło go słońce przedzierające się przez szparę uchylonego śpiwora. Zauważył, że w ciągu nocy oboje obrócili się i spali zwróceni do siebie. Ała z twarzą wtuloną w jego szyję.

„Ależ ona jest cholernie piękna!” — pomyślał, odsuwając się z lekka, ponieważ jego męski organ, mniej zdyscyplinowany niż cała reszta ciała, samowolnie przyjął pozycję bojową.

Ten ruch nie uszedł uwagi Osmanowej.

— Już nie śpisz? — zapytała.

— Właśnie się obudziłem.

— To jak ja. — Rozpięła zamek i przeciągnęła się rozkosznie. — Dziękuję! — powiedziała, a potem przysunęła się do Igora, pocałowała go mocno w usta i wyskoczyła ze śpiwora.

Kompletnie zgłupiał.

— Za co to podziękowanie?

— Za niewykorzystaną sytuację. Nie znam mężczyzny, który w podobnej sytuacji by nie próbował... Co gorsza, nie wiem, jak bym postąpiła. Ale masz rację, chyba nie jestem jeszcze gotowa.

Zastanowiły go słowa „chyba” i „jeszcze”. Ale nie miał czasu rozważyć tego zagadnienia, bo Ała rozebrała się do naga i bez skrupowania podeszła do błękitnego stawu.

— A ty? — zapytała.

Niewiele myśląc, rozebrał się i wskoczywszy, zanurkował w lodowatej toni. Dla niego nie było w tym nic nadzwyczajnego, jeszcze w Samarze należał

do miejscowego klubu morsów. Paroma uderzeniami ramion dotarł do przeciwległego brzegu, zawrócił, jeszcze raz zanurkował... Kiedy się wynurzył, Ała, ponownie kompletnie ubrana, przypatrywała się swojej poranionej pięcie. Włożył majtki i czekając, aż reszta ciała wyschnie w porannym słońcu, kucnął obok śpiewaczki i obejrzał jej stopę.

— Kiepsko to wygląda — mruknął — dasz radę iść?

— Jeśli nie ma innego wyjścia, to będę musiała.

Prowizorycznym rozwiązaniem okazało się poświęcenie jednego ze śpiworów... Igor wyciągnął nóż i rozpruł tworzywo, dobierając się do puchu, z którego uformował miękki opatrunek, a następnie nałożył go na stopę Ały, dopasowując do rozmiaru buta.

Potem napili się jeszcze wody ze strumyka wpływającego do stawu i zjedli resztkę sucharów znalezionych w plecaku, które zdaniem Osmanowej musiały pamiętać III Rzeszę.

Godzinę później przekroczyli graniczną przełęcz i zaczęli schodzić po włoskiej stronie, kierując się na zaznaczone na mapie schronisko powyżej osady Santa Maria Maggiore.

Po dobrze przespanej nocy i z zabandażowaną stopą Ała, niezwykle ożywiona, kipiała wprost pomysłami na dalsze śledztwo. Oboje zgadzali się, że zarówno zainteresowanie Mordakowa, jak i wysłanie komanda zabójców dowodziły, iż natknęli się na sprawę najwyższej wagi. Należało jedynie zgadnąć, o co w niej chodziło.

— Sądzę, że wytłumaczenia zagadki należy szukać w dawnej DDR — twierdziła Osmanowa. — Wprawdzie tajny ośrodek pod Bautzen został, jak twierdzisz, zniszczony, jednak nie mógł działać w kompletnej próżni, a w swych doświadczeniach medycznych korzystał z usług licznych kobiet. Poza tym ktoś musiał zajmować się dziećmi narodzonymi wskutek przedsięwziętych eksperymentów.

— Dziećmi? Dlaczego przyszło ci do głowy, że chodziło o dzieci?

— Bo tego udało mi się dowiedzieć od Aloszy. Ustalił, że w tajnym ośrodku eksperymentowano nad klonowaniem. I bynajmniej nie chodziło o wyprodukowanie jakiejś owieczki Dolly. Medycznym szamanom z DDR marzyło się wyprodukowanie Honeckera bis, nie mówiąc już o Breżniewie.

— W jakim celu?

— Nie mam pojęcia, może wierzyli, że w ten sposób zapewnią przywódcom wieczne życie, a może potrzebowali sobowtórów. Nie wykluczam też, że chodziło o matrioszki.

— O kogo?

— O sobowtóry dzieci z zachodniego establishmentu, o których było wiadomo, że mogą zrobić karierę. Wyobrażasz sobie mieć wyszkolonego ideologicznie klona z klanu Kennedych czy brytyjskiej rodziny królewskiej i podstawić go w odpowiednim momencie...

— Fantazja. Myślisz, że mogło się to im udać?

— Nic mi na ten temat nie wiadomo. Alosza też się nie pochwalił. Wyposażenie, być może łącznie z embrionami, wywieziono, reszta uległa zniszczeniu. Pracownicy trafili do Związku Radzieckiego. Wszyscy z wyjątkiem Ingi, której pozwolono zostać.

— Wiadomo, w jakim celu?

— Nie mam pojęcia. Chociaż mam wrażenie, że z początkiem lat osiemdziesiątych Inga Winkler próbowała robić jakieś doświadczenia na własną rękę... I miała plany daleko wykraczające poza umacnianie socjalistycznego budownictwa.

— Co ty mówisz?

— Kiedy po raz pierwszy znalazłam się w jej domu, na komodzie zauważyłam zdjęcie w srebrnej ramce, przedstawiające trzech kilkuletnich chłopców. Korzystając z tego, że staruszka oddaliła się zrobić mi herbatę,

sfotografowałam je ze wszystkich stron za pomocą telefonu komórkowego. Mam je tu nadal.

Wyciągnęła aparat. Otworzyła plik o nazwie „galerie” i podała smartfon Igorowi. Po przeleceniu aktualnych fotek Wadima i Władimira dotarł do czarno-białego zdjęcia przedstawiającego trzy fotografie formatu legitymacyjnego w jednej ramce. Przedstawiły trzech sześć-, może siedmioletnich chłopców o dość pospolitej urodzie, w standardowych ubrankach.

— Zobacz dalej — palcem przesunęła obrazek. Następny ujawnił tył fotografii. — Jak myślisz, czyj materiał genetyczny Inga, zatwardziała nazistka, zużyła do stworzenia tych klonów?

Na pożółkłym rewersie widać było trzy podpisy: „Sepp”, „Heini” i „Alfi”, ale Igor nie bardzo wiedział, od jakich imion mogły pochodzić te zdrobnienia.

— Zobacz następne obrazki — powiedziała Ała. — Ściągnęłam je z Wikipedii.

Igor przesunął palcem po wyświetlaczu i zadrżał.

Pojawiły się fotografie trzech dorosłych mężczyzn w nazistowskich mundurach, bez trudu rozpoznał trzy bestie, przed którymi drżał kiedyś świat — Joseph Goebbels, Heinrich Himmler i Adolf Hitler.

— Nie powiesz chyba...

— Nie zdążyłam odstawić fotografii na miejsce, kiedy wróciła Inga z herbatą — kontynuowała Ała. — Zauważyła, że oglądałam zdjęcie. Ale najwyraźniej nie miała mi tego wścibstwa za złe.

„Moje dzieci — powiedziała z dumą. — Byłam z nimi od samego początku. Bardzo cierpię, nie mogąc mieć z nimi kontaktu”.

„Rozumiem” — powiedziałam, żeby coś powiedzieć.

„Niczego nie rozumiesz, moja mała. Tęsknię za nimi. Tym mocniej, że nie miałam z nimi kontaktu od chwili, kiedy postanowiono oddać je do adopcji.

Bardzo jestem ciekawa, co osiągnęły w życiu?”.

— I zaspokoila tę ciekawość?

— Niestety pojawiła się jej gosposia i to był koniec rozmowy. Wydaje mi się jednak, że Inga, mówiąc o swej współczesnej niewiedzy, kłamała.

*

Było niedługo po dziewiątej, kiedy obiektywy lornetki „Wora” Worobiowa zatrzymały się na dwóch postaciach posuwających się w dół skrajem piargu, nieco na wschód od Pizzo la Scheggia, monumentalnego, skalistego grzbietu, na pierwszy rzut oka przypominającego zakopiański Giewont.

— Mamy fart — powiedział Michaił. — Za parę minut weszliby w las i nie moglibyśmy ich zlokalizować, a tak przynajmniej wiemy, dokąd zmierzają.

— Czyli? — Anastazja w sprawach terenowych wolała zdać się na swego partnera.

— Nie mają szczególnego wyboru. Mniej więcej dwa kilometry niżej na polanie znajduje się małe schronisko, którego nie sposób ominąć, pragnąc dojść do drogi, tam na nich zaczekamy. — Tu poklepał plecak ukrywający składany karabinek snajperski. — Tylko musimy się pospieszyć, jeśli chcemy dotrzeć przed nimi.

— A dziewczyna? — upewniła się Anastazja. — Nierozsądnie będzie pozostawić ją żywą.

— Taki mamy rozkaz. Niech sobie kontynuuje przechadzkę po górach. No, ruszamy.

Jegorowa popatrzyła z uznaniem na swego partnera. W ogóle nie wykazywał emocji. Przypominał doskonale zaprogramowanego cyborga. Odwrotnie niż ona. Zabijanie dostarczało jej satysfakcji. Robota w domku starej nazistki wiązała się z ogromną porcją adrenaliny, która działała jak narkotyk. Miała w swoim dorobku kilka zabójstw. Ale czy można porównać

strzał z dystansu, dosypanie trucizny czy podłożenie bomby z rozgrywką twarzą w twarz? Nawet uduszenie garotą gosposi nie dostarczyło jej tylu emocji, co mord na Indze. Początkowo miało to być zadanie „Wora”, ale ten najwyraźniej wiedział, jak zrobić jej przyjemność. Dodatkowo kpiący uśmiech na jego ustach „chyba że się boisz” przesądził sprawę. Poszła. Nie takie rzeczy ćwiczyła z manekinami, choć chrupnięcie łamanego kręgosłupa sprawiło, że poczuła potężną rozkosz.

— O kurwa, mam orgazm! — skostatowała.

A ponieważ była uczynną koleżanką i dobrą partnerką, więc zrewanżowała się Worobiowowi w zagajniku, skracając mu oczekiwanie jedną z najbardziej profesjonalnych „lasek”, jakich doświadczył w swoim życiu.

Kiedy było po wszystkim, a „Wor” rozpływał się w podziękowaniach, uśmiechnęła się szelmowsko:

— Daj spokój, to nic osobistego!

Zupełnie inaczej było w stosunku do Ałły Osmanowej. Tę rozgrywkę traktowała jak najbardziej osobiście. Wiedziała, że zgładzenie śpiewaczki dałoby jej satysfakcję nieporównywalną z niczym. Ale rozkaz to rozkaz. Pocieszała się jedynie, że co się odwlecze, to nie uciecze...

Noc spędzili w kamperze już po włoskiej stronie bez dalszych seksualnych ekscesów, mimo pewnych nadziei Worobiowa. („To w twoim interesie, żebyś się przypadkiem nie zakochał” — wytłumaczyła Jegorowa). Wczesnym rankiem, zanim jacykolwiek turyści pojawili się na szlaku, ruszyli na spotkanie nieświadomej zagrożenia pary, zlokalizowali ją i pół godziny później zalegli na skraju lasu, mając od zachodu doskonały widok na zbity z bali budynek schroniska. Jeśli Rykow i jego towarzysza nawet już do niego dotarli, to z całą pewnością nie opuścili. Blisko kilometrowy, doskonale widoczny odcinek ścieżki w dół był pusty. Czekali więc spokojni jak myśliwi, pewni, że zwierzyna musi wyjść na strzał.

Tymczasem nie minęło dziesięć minut, a szeroką polanę wypełnił hałas silnika i szum wiatru wzbudzony przez jego wirniki.

— Co się dzieje? — wybuchnął Worobiov. — Nadciąga powietrzna kawaleria?

W samej rzeczy od wschodu nadleciał śmigłowiec i miękko usiadł za budynkiem.

— Tego nie przewidzieliśmy! — zawołała Anastazja.

Partner błyskawicznie złożył wydobyty z plecaka karabin.

— Nic nie szkodzi. Załatwimy go! — zadeklarował.

Sytuacja jednak okazała się trudniejsza, niż początkowo myślał. Zaimprovizowane lądowisko dość skutecznie zasłaniały zabudowania, co gorsza, kiedy maszyna poderwała się do lotu, oślepiające słońce kompletnie uniemożliwiło celowanie. Czy był to przypadek, czy też pilot doskonale się orientował, gdzie mógł kryć się przeciwnik?

— Strzelaj, na co czekasz — gorączkowała się Anastazja.

— Jak?! — Próba spojrzenia przez celownik optyczny omal nie pozbawiła go wzroku. A strzelanie na ślepo mogło się skończyć przypadkowym trafieniem Osmanowej. W dodatku pierwszy, prawdopodobnie niecelny strzał zdradziłby ich obecność i jeśli koledzy Rykowa uzbrojeni byli w broń automatyczną, roznieśliby ich w pył.

Worobiov kilkoma sprawnymi ruchami rozmontował karabinek.

— Koniec wycieczki! — stwierdził ponuro.

*

Nieświadomi, jak wielkiemu niebezpieczeństwu uszli, Osmanowa i Rykow w towarzystwie doktora Majewskiego i mecenasa Bortnika przelecieli do Lugano, gdzie głodni jak wilki pospiesznie pochłonęli lunch i zalegli w maleńkim pensjonacie z widokiem na jezioro.

Igor nie miał poczucia porażki. Ekspedycja w niewielkim stopniu poszerzyła wiedzę na temat poczynąń Rosjan, przyniosła natomiast śmierć dwóch starszuch, nie wspominając już o ich psach.

Bortnik i Majewski z pewnym niedowierzaniem wysłuchali opowieści o klonach doktor Winkler.

Mecenasowi zakrawało to na czyste science fiction.

Majewski też powątpiewał, czy możliwe było, żeby socjalistyczna nauka o piętnaście lat wyprzedziła eksperyment z owieczką Dolly.

— Załóżmy zresztą, że klonowane ludzi stało się możliwe i dodatkowo Indze Winkler udało się wprowadzić do preparowanych istot materiał genetyczny hitlerowskich hierarchów — mówił doktor. — Tylko jaki sens miałyby wyhodowanie klonów najważniejszych przywódców Trzeciej Rzeszy?

— Dla sfiksowanej na punkcie nazizmu Ingi cel był dość oczywisty — kontynuacja marzeń o Tysiącletniej Rzeszy!

— Nie mówię o niej, tylko o Rosjanach. Nawet jeśli nie zauważyli jej prywatnych zabiegów, to dlaczego mieliby je kontynuować? Przydatność replik Hitlera, Himmlera czy Goebbelsa we współczesnym świecie jest znikoma. Rosja, owszem, w swych imperialnych intrygach stawiała na rozmaite skrajne ruchy z prawa i z lewa na Zachodzie, ale posłużenie się jawnymi faszystami, w dodatku pod wodzą zmartwychwstałych zbrodniarzy, jest zupełnie nieprawdopodobne.

— Samo ujawnienie istnienia żywych kopii któregośkolwiek z tych zbrodniarzy miałyby katastrofalne skutki, łącząc we wspólnym froncie wszystkich, od liberalnych antyfaszystów zaczynając, na agentach Mossadu kończąc — wsparł jego argumentację Rykow.

— Pod warunkiem że taki klon ujawniłby swoją tożsamość — nie rezygnowała Osmanowa.

Nieoczekiwanie poparł ją Bortnik.

— Jeśli chcecie fantazjować, to zwracam uwagę, że lekko zmieniając swój wygląd, klony byłyby nierozpoznawalne.

— Czyżby? — zaoponował Rykow.

— Jestem pewien, że Hitler bez charakterystycznego wąsika, w dodatku ostrzyżony na zero nikomu nie skojarzyłby się z führerem.

— Wydaje mi się, że zapędzamy się w ślepią uliczkę — pohamował spekulacje Filip Majewski. — Nazistowskie sentymenty pani Winkler to jedno, a praktyczny dorobek ośrodka to drugie. Nie wiemy nawet, czy chodzi akurat o tych ludzi, w grę mogą wchodzić zupełnie inne klony. Czort wie, kogo naprawdę wyprodukowali w tej obłąkanej klinice.

— Masz na ten temat jakieś sugestie? — zapytał Bortnik.

— Pani Osmanowa wspominała o „matrioszkach”. I każdy wie, że były one obsesją dawnego, a zapewne i współczesnego GRU... Nawet CIA traktowała tę sprawę niezwykle poważnie i stworzono specjalną sekcję... — Tu zamilkł, orientując się, że mówi za dużo.

— Ale dlaczego nie mielibyśmy o tym mówić? — Bortnik podchwycił temat niczym biegacz w sztafecie upuszczoną pałeczkę. — Ostatnimi czasy wiedza na ten temat przestała być ekskluzywna. Przynajmniej od wpadki pani Chapman coraz więcej mówi się o ludziach radzieckich wychowanych na perfekcyjnych agentów, obdarzonych zachodnią tożsamością i wpuszczanych na podobieństwo mikroelementów w krwiobieg wolnego świata.

— Mówiłam o tym z Rykowem — odezwała się Ała. — Jestem pewna, że perfekcyjne repliki przedstawicieli elity, które w odpowiednim momencie podmieniłyby postacie oryginalne, stanowiłyby gigantyczne zagrożenie dla świata. Dotąd takie zabiegi były możliwe jedynie wśród szeregowych rzesz ludzi Zachodu.

— Pytanie tylko, czy taka operacja z lat zimnej wojny mogłaby trwać nadal?

— zastanawiał się Rykow. — Z tego, co się mówiło, pierestrojka, a następnie Jelcynowska smuta okazały się zabójcze dla wielu podobnych programów.

— Po upływie ćwierci wieku widzimy, że zapasć nie dotyczyła służb — rzekł doktor.

— Sądzi pan, że mamy dziś takie matrioszki w pierwszej lidze światowych polityków? — zawołała Ała. — Rzeczywiście wielu postępuje tak, jakby było marionetkami Kremla.

— Bardziej wierzę w korupcję i istnienie użytecznych idiotów — odezwał się Majewski. — Zresztą gdyby nawet do takich podmian doszło, czy jest jakikolwiek sposób, żeby udowodnić, że polityk X lub Z jest swoją własną zmanipulowaną kopią? Mają przecież takie same DNA, linie papilarne...

— Wydaje mi się, że wasze spekulacje idą za daleko — odezwał się Bortnik. — Ja bym wrócił do faktów, bez mnożenia bytów ponad potrzebę. Gdyby chodziło wyłącznie o trójkę cudownie zmartwychwstałych nazistów, zabijanie Ingi Winkler byłoby całkowicie bezsensowne.

— Niekoniecznie! Jeśli Inga uczestniczyła w produkcji matrioszek, to jej wiedza na temat tożsamości klonów mogłaby okazać się porażająca — odparł Majewski. — I to mógłby być powód nerwowości ludzi z Łubianki. Niewątpliwie zdecydowali się na podwójne morderstwo, sprawa musi być poważna.

— I najwyraźniej pilna! — dorzucił Rykow.

Osmanowa miała na ten temat swoje zdanie.

— Przypominam wam, że Aleksiej nic mi nie wspominał o matrioszkach, za to bardzo zainteresowali go sklonowani naziści. Żebyście wiedzieli, jak zmienił się na twarzy, kiedy pokazałam mu zdjęcie tej trójki dzieciaków. „Trzej jeźdźcy Apokalipsy” — mruknął tylko i zaklął paskudnie.

— Załóżmy, że masz rację — zgodził się Majewski. — Nadal nie wiemy, ba, nawet nie podejrzewamy, w jaki sposób ci ludzie mogliby zostać dziś

wykorzystani. Jest wprawdzie w całym świecie pogoda na skrajną prawicę, ale nawet najbardziej reakcyjny ruch nie ma zamiaru odwoływać się do Hitlera i jego pomagierów w zbrodni.

— Ja bym na to popatrzyła inaczej — odezwała się Osmanowa. — Koncentrujemy się na twarzach, nazwiskach, symbolach. A jeśli nie o to chodzi?

— A o co?

— O specyficzne umiejętności każdego z nich. Potwory, nie potwory, wszyscy trzej byli w pewnym sensie genialni.

— Co pani?! — zaproponował Bortnik.

— Kiedyś rozmawiałam o tym z Aloszą. Lubił historię i raz zeszło mu na porównywanie kierownictwa sowieckiego i hitlerowskiego. „Popatrz — mówił — nasz Woroszyłow, Kalinin, Chruszczow, Kaganowicz, Malenkow, same miernoty, a Hitler otaczał się ludźmi utalentowanymi — Goebbels, Goering, Speer, jeśli idzie o organizacje Himmler...”.

— Chce pani nam zasugerować — przerwał jej Majewski — że kierownictwo rosyjskie postanowiło skorzystać ze specyficznych talentów tych potworów dla jakichś swoich planów...?

— Nie wiem...

— Nie można tego wykluczyć — wsparł Ałłę Rykow — ich potencjał demagogiczny, organizacyjny, koncepcyjny może być naprawdę straszny...

— Tylko czemu miałyby to posłużyć? — zapytał Bortnik.

Zapadła dłuższa cisza. Nikt jakoś nie kwapił się do zabrania głosu. Uczynił to w końcu doktor Filip.

— Jedno jest pewne, że w Szwajcarii, a tym bardziej we Włoszech nie rozwiążemy tej zagadki. Trop wiedzie do Niemiec i tam powinniśmy się udać. Odwieźmy panią Ałłę do domu i ruszajmy do Budziszyna. Być może odnajdziemy ludzi, którzy pracowali w tym tajemniczym ośrodku albo coś

wiedzieli o pacjentkach wykorzystywanych jako surogatki.

— Chwileczkę! — zaprotestowała Ała. — Tak łatwo się mnie nie pozbędziecie. Jadę z wami do Niemiec!

— Wykluczone! — zawołali równocześnie trzej mężczyźni. — To zbyt niebezpieczne!

— Przydam się wam! — przekonywała niezrażona odmową. — Sprzątaczką, która wpada do mnie raz w tygodniu, góralką z Polski, mawia w podobnych okolicznościach: „gdzie diabeł nie może, tam babę pośle”. Poza tym, jak być może zauważyliście, wiele wskazuje na to, że Wołodia zakazał im mnie zabijać. W razie potrzeby mogę się więc okazać przydatna jako wasza tarcza.

Chcieli dalej zaprotestować, ale dorzuciła jeszcze:

— Poza tym na terenach byłej DDR znajomość angielskiego nadal nie jest powszechna, a kto z was mówi perfektnie po niemiecku?

Ten argument przesądził sprawę.

7. Matki realne, matki zastępcze

„Czy w tym kraju żyją wyłącznie starzy ludzie?!” — zastanawiał się Rykow, krążąc razem z Ałłą po zapadłych dziurach pogranicza Niemiec, Polski i Czech. Pozostali członkowie ekipy trzymali się nieco z tyłu, gotowi przyjść z pomocą, gdyby tylko pojawiło się jakiegokolwiek zagrożenie. Ale niczego takiego nie zauważyli.

W komplecie spotykali się dopiero wieczorami, nocując w małych pensjonatach, przed snem wymieniając opinie.

Rykov zadowolony był z takiej sytuacji. Już samo pozostawanie cały dzień z Osmanową stanowiło spore wyzwanie, a co dopiero gdyby spędzali również wspólnie noce... Starali się zachowywać wobec siebie normalnie. Niewątpliwemu zainteresowaniu towarzyszyła ostrożność i lęk przed zaangażowaniem. Ot, dwójka ludzi po przejściach.

Okolice też nie nastrajały optymistycznie. Z wyjątkiem przebudowanej autostrady niewiele zmieniło się tu od czasów nieboszczki DDR. Osady wyglądały na wyludnione, kilka dawnych fabryk i kopalń stało nieczynnych, zdewastowanych. Młodzież wyjechała na Zachód, na miejscu pozostali tylko starzy zgorzkniali Ossi, których świat skończył się ćwierć wieku temu. Jediną aktywność wykazywał wielki ośrodek dla uchodźców. Zlokalizowany w budynkach zlikwidowanej pięć lat wcześniej kliniki położniczej. Złośliwi mówili, że w okresie schyłkowym dla tej instytucji bywały miesiące, kiedy nie urodziło się w niej żadne dziecko.

— Europa umiera! — komentował głośno Igor. — W dodatku na własne życzenie.

— A może tylko zmienia skórę na bardziej beżową — dodała Ałła.

— W takim razie dobrze, że w porę zostałem Amerykaninem! — stwierdził z westchnieniem.

Rzeczywiście za symbol tej „nowej Europy” można by uznać grupki śniadoskórych przybyszów szwendających się najwyraźniej bez celu, bo z powodu braku rdzennych mieszkańców w całej okolicy nie było nawet kogo zgwałcić, oraz krążące wozy patrolowe niemieckiej policji, zachowujące, co rzucało się w oczy, odpowiedni dystans wobec przybyszów, jeśli zaś któryś próbował się zbliżyć, natychmiast obrywał kamieniem.

Z dawnego tajnego ośrodka nie zostały nawet ruiny, lecz jedynie porośnięta trawą ślady fundamentów. Budynek główny spłonął jeszcze w roku 1989, baraki rozebrano, metalowe ogrodzenie sprzedano na złom, a maskujący las wycięto, pozostał tylko samotny komin szpitalnego krematorium, budzący jak najgorsze skojarzenia.

Do serc Igora i Ałły zaczęło wkradać się zwątpienie. Dwa dni kręcili się po okolicy, bezskutecznie próbując znaleźć mieszkańca pamiętającego czasy świetności DDR i gotowego opowiedzieć cokolwiek o tajnych laboratoriach. Nieliczni autochtoni niczego nie wiedzieli, a może tylko nie chcieli mówić, zasłaniając się brakiem pamięci.

Dopiero pijaczek, napotkany przed sklepem wielobranżowym, na oko Cygan pochodzący z któregoś z państw Mitteleuropy, stał się bardziej rozmowny, zwłaszcza na widok banknotu 20 euro.

Tradycyjnie spytali go o pobliską ruinę, przekonani, że w najlepszym razie usłyszą parę plotek. Pomylili się.

Cygan okazał się bardziej rezolutny, niż mógł świadczyć o tym jego menelski wygląd.

— Interesuje was „fabryka aniołków”? — zapytał.

Rykov skinął głową, ale Ałła, z natury swej bardziej nieufna, zapytała:

— A pan tu od dawna?

— No... z dziesięć lat będzie.

Czyli nic nie mógł wiedzieć. Chcieli mu grzecznie podziękować i się oddalić, ale nieoczekiwanie przejął inicjatywę, wietrząc szansę dodatkowego zarobku.

— Sam wiele nie wiem, ale żyje tu jedna kobieta. W czasach, o które pytacie, była sprzątaczką w tym ośrodku. Niestworzone rzeczy opowiada.

— To znaczy?

Przełknął ślinę.

— Dużo by mówić. Tyle że w gardle zaschło.

— Gardło można zwilżyć!

Podjechali pod sklep i kupili mu czteropak piwa. Cygan opróżnił duszkiem jedną puszkę, beknął i zrobił się jeszcze rozmowniejszy.

— Stary Grety pracował przed laty jako kotłowy w tym ośrodku. Normalnie milczek był, ale jak sobie podpił, nawijał takie historie, że po prostu mózg stawał.

— Jakie konkretnie? — naciskała Osmanowa.

— Choćby o potworach, którymi w piecu palił.

— Co ma pan na myśli, mówiąc potwory?

— A co mam mieć? Bachory z paroma głowami albo w ogóle bez głowy, świnię pokryte łuską, zające ze skrzydłami...

— Może ten kotłowy po prostu zmyślał?

— Może, ale żeby pan popatrzył wtedy na jego starą. Normalnie zieleniała ze strachu. Wódkę nam zabierała i w kółko lamentowała: „Nie gadaj tyle, Hans, nie gadaj, bo cię jeszcze zabiją!”. I wykrakała.

— Naprawdę został zabity? — zainteresował się Igor. — Wiadomo w jakich okolicznościach i przez kogo?

— Musi przez tych brudasów, co ich uchodźcami nazywają, choć co to za uchodźcy, swołocz jakaś, która prawdziwym Niemcom zasiłki podbiera. Hans

handlował z nimi. I któryś mu nóż pod żebro wraził.

— Dawno temu się to stało?

— Będzie ponad rok. Gdzieś na przedwiośniu.

Rykwow wymienił z Osmanową porozumiewawcze spojrzenia — tajemnicze morderstwo przypadło już na czas po ucieczce sobowtóra Pobiedina — a głośno powiedział:

— Wspomniał pan o „fabryce aniołków”, rozumiem, że w tym ośrodku dokonywano również aborcji na przemysłową skalę.

— Jakich aborcji? — Popatrzył na nich zaskoczony. — Raczej przeciwnie. Z tego, co mówił Grety mąż, poza tym, że wychodziła im czasem świnka morska ze skrzydłami, przywożono tam pacjentki, ale tylko takie, które miały kłopot z zajściem w ciążę. Poddawano je leczeniu i odsyłano do tej kliniki za wzgórzem, którą zamknęli parę lat temu. Podobno kuracja robiła cuda.

— Czy mogły być jej efektem wspomniane potwory?

Cygan wzruszył ramionami.

— Pewnikiem nie wszystko się udawało.

— To też wie pan od kotłowego?

— To akurat słyszałem od Grety. W końcu została również jedną z pacjentek. Dziesięć lat nie mogła zajść w ciążę, a potem znienacka czworaczki. Niestety za malutkie były i trójka z miejsca pomarła.

— A to czwarte?

— Czwarta! — poprawił. — Ruda Karla. Żyje do dziś i daje dupy na cmentarzu w Chemnitz.

— Gdzie?! — Ała wyglądała na zaskoczoną bezpośredniością rozmówcy.

— Kiedyś miasto nazywało się Karl-Marx-Stadt i niektórzy dalej tak je nazywają... Mieszka tam jako żona grabarza. Ale ponieważ mąż wszystko, co zarobi, przepija, więc musi dorabiać działalnością ogólnousługową.

— Zaprowadzi nas pan do tej Grety?

Cygan podrapał się po głowie.

— Czemu nie, tylko to będzie więcej kosztować.

— Tyle wystarczy. — Rykow wyciągnął banknot 100 euro.

— Wolałbym dwa razy tyle. Spora fatyga...

— Sto pięćdziesiąt musi wystarczyć.

Greta mieszkała w starych blokach pochodzących z lat trzydziestych, po zjednoczeniu Niemiec pięknie otynkowanych i ocieplonych, ale obecnie ponownie zapuszczonych w sposób zupełnie niepasujący do opinii o niemieckiej czystości i umiłowaniu porządku.

Już w bramie owionął ich zapach uryny z lekkim dodatkiem palonej trawki.

Cygan chyba zauważył ich obrzydzenie.

— Połowa tego blokowiska to głównie pustostany, resztę zajęli uchodźcy, miejscowych jest jak na lekarstwo — wyjaśnił. — Greta mieszka pod trzynastym, na parterze. Trzeba mocno walić, bo dzwonek nie działa!

To mówiąc, oddalił się błyskawicznie, nie czekając na dalsze finansowe zachęty.

— Nie podobał mi się ten facio — powiedziała Osmanowa. — Zbyt chętny, zbyt gadatliwy i w dodatku znalazł się w zaskakująco odpowiednim momencie.

— Myślisz, że był podstawiony? Ała! Nie wymagasz przypadkiem zbyt wiele od Cygana włóczęgi? — Na przekór temu stwierdzeniu Igor rozejrzał się czujnie. — Gdyby zabójcy nas znaleźli, mieli wielokrotnie możliwość ataku na tych pustkowiach. Bez świadków. Poza tym widzisz niebieskie audi, które zaparkowało pod sąsiednim blokiem...?

— Wiem, pan Bortnik nas ubezpiecza.

— A jego dodatkowo Charles Smith. Obaj znają się na rzeczy i skoro zapewniają, że od trzech dni nikt nas nie śledzi i nikt nie podążał naszym tropem, nie widzę powodu, żeby w to nie wierzyć.

— Masz rację, chyba jestem przewrażliwiona — uśmiechnęła się Ała.

Odpowiedział jej uśmiechem, pokrywając nim niepokój, który od pewnego czasu sam odczuwał.

Na drzwiach oznaczonych numerem 13 nie wisiała żadna wizytówka, a ułamana klamka trzymała się wyłącznie na słowo honoru, natomiast w miejscu dzwonka ziała dziura w murze. Stukali dłuższy czas i Ała zaczęła sądzić, że lokal jest pusty, kiedy rozległy się kroki, pokasywanie, a potem pytanie rzucone głosem chrapliwym i niskim:

— Czego?

Rykw, zamiast się przedstawiać, wsunął szparą pod drzwiami nowiutki banknot o nominale 100 euro.

Magia pieniądza zrobiła swoje i drzwi stanęły otworem. Ukazała się w nich kobieta mniej więcej sześćdziesięcioletnia, tęga, siwa, w brudnej, podartej halce, pod którą zwisały monstrualne piersi.

— Nie ma towaru! — warknęła, lustrując ich podejrzliwie. Czuć było od niej odór alkoholu, ale jeszcze całkiem krzepko trzymała się na nogach.

— Chcieliśmy tylko pogadać — powiedziała Ała. — Jesteśmy dziennikarzami.

Niemka rozpoznała śpiewny akcent w jej głosie.

— Ruskie? — zapytała, a gdy potwierdzili, wyraźnie się rozpogodziła. — To były czasy, kiedy tu stacjonowali. Żyć nie umierać.

— Właśnie piszemy reportaż o tamtych czasach. Pracowała pani w ośrodku GD-23 w latach osiemdziesiątych...

— Stare dzieje, gdzie to człowiek nie pracował. — Kobieta wyglądała na nieco spłoszoną. — Ale przynajmniej był szanowany... A wy skąd dowiedzieliście o mnie?

Ała chciała wspomnieć o Cyganie, ale ugryzła się w język. Przyszło jej do głowy coś zdecydowanie lepszego:

— Rozmawialiśmy jakiś czas temu z doktor Ingeborgą Winkler. I pani Inga, mówiąc o ludziach z ośrodka, wspomniała panią.

— Pani doktor pamiętała o mnie? To ona jeszcze żyje?

— Niestety parę tygodni temu zmarła. Pechowo się złożyło, że stało się to, zanim dokończyliśmy autoryzację wywiadu, toteż mamy pewne luki w jej relacji, które chciałabym uzupełnić.

— A co ja tam mogę wiedzieć? Ja tam tylko sprzątałam. Robili jakieś eksperymenty ze zwierzętami. Miczuriny jedne. Do dziś dnia nie wiem, po co komu pies skrzyżowany z kotem?

— Bardziej interesowałyby nas eksperymenty przeprowadzane tam z ludźmi — powiedziała Osmanowa.

— Z kobietami! — poprawiła sprzątaczką. — Myślę, że chodziło o takie, które miały trudności z zajściem w ciążę. Przywozili takie niewiasty, zajmowali się nimi miesiąc, czasem dwa, a potem z brzuchem odsyłali do domu. To się dziś chyba nazywa sztuczne zapłodnienie. Nie znam szczegółów.

— Inga wspominała jednak, że osobiście uczestniczyła pani w programie.

— A co miałam nie uczestniczyć — wyszczerzyła zadziwiająco zdrowe zęby — nie mogliśmy z Hansem mieć dzieci, więc kiedyś poskarżyłam się pani doktor. Niedługo musiałam prosić, żeby zaproponowali mi kurację. Obiecali nawet dobrze zapłacić. Nie ukrywali też, że to kuracja pionierska, łącząca się z pewnym ryzykiem. Ale co mi tam...!

— Pamięta pani, kiedy to było?

Zamyślona podrapała się po kałdunie.

— W osiemdziesiątym szóstym... nie, pod koniec osiemdziesiątego piątego, bo Karla ma dziś trzydzieści lat.

— A sam przebieg tych zabiegów może nam pani opisać?

— Nic przyjemnego, badania, w kółko badania. Grzebali we mnie pod narkozą i na żywca... Hansowi dawali do oglądania takie świńskie książeczki

i kazali zbierać do słoiczka... sama pani wie co. Potem dawali mi w kółko zastrzyki... Aż na koniec powiedzieli: „Jesteś w ciąży”. Mądrale. I bez ich gadania to poczułam. Wtedy naturalnie nie znałam medycznych określeń, ale dziś sądzę, że nasi lekarze już wtedy stosowali metodę in vitro. I kto uważa, że socjalistyczna nauka stała gorzej od zachodniej?! Teściowa, która nawet w komunie ciągle do kościoła latała, byłaby przeciwna takiej metodzie, ale ja się jej nie spowiadałam, okropnie chciałam mieć dzieci. Za wszelką cenę.

— Gdzie pani rodziła?

— Normalnie, w tutejszej klinice. — Wykonała gest w kierunku gór. — Dbali o mnie, nie ma co. A ponieważ poród miał być mnogi, przyjechała sama pani doktor Winkler. Wiele nie pomogła, bo poza Karlą wszystkie dzieciaczki przyszły na świat martwe. Nawet pochować ich nie mogłam!

— Dlaczego?

— Wszystkie ciała natychmiast zabrano do ośrodka na dalsze badania. Pokroili moje biedactwa... A potem pewnie sam mój stary je spalił... — Zaczęła chlipać, ale szybko się opanowała. — Dobrze, że chociaż Karla wyrosła pięknie, żeby pani ją widziała, dorodna, bystra.

— A inne dzieci, które się rodziły z tych zabiegów, też były tak udane?

— Nie wiem, ani matek po położu, ani dzieciaków już do ośrodka nie przywozili.

— Ale wcześniej chyba poznała pani parę pacjentek?

— Był zakaz kontaktowania się. Zresztą co to były za pacjentki. Przeważnie jakieś ogłupiałe lekami bidule, więźniarki albo narkomanki. Poza mną niewiele nacieszyły się swoim pociechami.

— Dlaczego?

— Bo noworodki przekazywano bardzo szybko od ośrodka adopcyjnego w Dreźnie. Proponowano, żebym tak samo zrobiła z Karlą. Ale nie mogłabym oddać mojego maleństwa za żadne pieniądze.

— Dużo można było na tym zarobić?

— Czasami bardzo dużo, jak dzieciaczek był ekstra. Nie wiem, jak to organizowano, ale jak powiedziała mi raz doktor Winkler, działał jeszcze jeden ośrodek adopcyjny. Specjalny.

— Gdzie?

— W Berlinie Zachodnim. Gdybym się zdecydowała oddać tam moje maleństwo, mogłabym sobie kupić trabanta, a Karlę wychowywaliby jacyś milionerzy na Zachodzie...

— Żałuje dziś pani swojej decyzji?

— Nie! Przynajmniej nie jestem sama.

Rykw rzucił coś do Osmanowej, ale stara pijaczka słuch miała całkiem dobry i najwyraźniej знаła rosyjski, bo odpowiedziała, nie czekając na tłumaczenie.

— Adresu tego urzędu nie znam. Ale obito mi się o uszy, że był gdzieś przy Spandauer Damm, niedaleko jakiegoś parku.

— Bardzo nam pani pomogła — powiedziała z uśmiechem Ała. — Mam tylko jeszcze jedno pytanie: czy słyszała pani o dalszych losach któregoś z tych adoptowanych dzieci?

— A skąd niby miałabym wiedzieć. Towarzyszki Winkler było spytać...

Zauważyli, że alkohol, zapewne wypity wcześniej, zaczął robić swoje, bo język kobiecie plątał się coraz bardziej, a ręce zaczęły się trząść.

— Muszę wziąć lekarstwo! — wybełkotała.

Rykw domyślił się, jaki specyfik ma na myśli.

— Nie będziemy pani zawracać więcej głowy — powiedziała Ała. — Może wpadniemy jeszcze jutro rano.

— No to pospieszcie się. Bo w południe wyjeżdżam do córki.

Zanim wyszli z bloku, Rykw ostrożnie wyjrzał z klatki. Nikogo. Charles trwał na swym stanowisku i gdy uruchomili silnik, wolno ruszył za nimi.

— Może trzeba było posiedzieć u niej dłużej — zastanawiała się Osmanowa, tłumacząc inżynierowi te fragmenty rozmowy, które nie do końca zrozumiał.

— Nie sądzę, żebyśmy się dowiedzieli wiele więcej — stwierdził inżynier.
— Teraz najważniejszy jest trop prowadzący do Berlina. Być może tam uzyskamy jakieś szczegóły o adopcjach i dowiemy się, kim są dzisiaj te trzy małe kloniki.

— Sądzisz, że to naprawdę były klony? Uważasz, że pani Inga mogła tego dokonać? Jak?!

— Szczegółów pewnie nigdy nie poznamy, co najwyżej możemy mówić o możliwościach. Teoretycznie stan nauki to umożliwiał, zwłaszcza że w NRD nie przejmowano się zastrzeżeniami natury moralnej.

— Ale skąd by wzięli materiał genetyczny?

— Nie mam pojęcia i nie znam się na tym. Zważ jednak, że pani Winkler przebywała w berlińskim bunkrze w momencie, kiedy samobójstwo popełnili Hitler i Goebbels, być może zdobyła również dostęp do ciała Himmlera...

— I zachowała na pamiątkę jakieś fragmenty ich ciał? Jak je przechowywała, że nie uległy rozkładowi, przez tyle lat? Czy to w ogóle możliwe?

— Dla fanatycznej nazistki nie ma rzeczy niemożliwych! — odparł Rykow i dodał już poważnie: — Wczoraj doktor Majewski opowiadał mi, że dzięki Internetowi udało mu się wyszukać w katalogu biblioteki uniwersyteckiej w Heidelbergu tytuł rozprawy doktorskiej pani Winkler. Wprawdzie egzemplarz dysertacji gdzieś się zawieruszył, ale już sam tytuł jest wielce znaczący — *O możliwości długotrwałego, trwałego przechowywania materiału biologicznego...*

— W takim razie nie pozostaje nic innego, jak jechać do Berlina i szukać śladów adopcji.

*

Greta, ukryta za brudną zasłoną, obserwowowała, jak jej goście odjeżdżają, a potem jak rusza w ślad za nimi drugi wóz. Uśmiechnęła się chytrze, a następnie wypła tęgi łyk z gwinta. Od razu ręce przestały jej się trząść. Naciągnęła na siebie kieckę, narzuciła płaszcz, włożyła buty i szybko wybiegła z mieszkania. Kluczem yale otworzyła tylne wyjście i między garażami wydostała się na sąsiednią uliczkę. Stał tam nieduży mercedes dostawczy z napisem „Usługi ogrodnicze”. Zapukała. Uchyliły się drzwi. W środku za skrzynkami z kwiatami, grabiami i łopatami zobaczyła przyjaźnie uśmiechniętą kobietę i mężczyznę.

— Zrobiłam dokładnie, jak kazaliście — pochwaliła się. — Rzeczywiście to byli Rosjanie i strasznie interesowała ich sprawa tych zachodnich adopcji!

— Słyszeliśmy wszystko i jesteśmy z ciebie dumni — powiedziała agent Jegorowa, a Worobiov wyciągnął z kieszeni poręczną piersiówkę obciążoną skórą — to dla ciebie.

Greta chwyciła skwapliwie podarunek i pociągnęła tęgi łyk.

— Mocne cholerstwo! — powiedziała, ocierając usta wierzchem dłoni.

Były to jej ostatnie słowa.

Prawie natychmiast oczy wyszły jej z orbit, zatrzepotała rękami i charcząc, upadła na podłogę mikrobusu.

— Siadaj za kierownicą! — powiedział „Wor” do Anastazji. I dodał, spoglądając na łopaty przymocowane do ściany furgonetki: — Zdaje się, że czeka nas trochę ogrodniczej roboty w plenerze.

*

Do Berlina cała piątka zajechała pod wieczór. Pora była zbyt późna, żeby złożyć wizytę w jakiegokolwiek instytucji, i zbyt wczesna, żeby od razu pójść

spać. Bortnik zarezerwował trzy pokoje w hotelu „Leonardo”, nowoczesnym (na gust Rykowa nawet zbyt nowoczesnym) przeszklonym gmachu, zlokalizowanym przy Wilmersdorfer Strasse, niecałe sto metrów od stacji metra przy Bismarck Strasse, alei współtworzącej oś Berlina, za Bramą Brandenburską przechodzącą w Unter den Linden.

Od początku ich podróży utarło się, że Bortnik mieszkał razem z Charlesem, a Rykow z doktorem Majewskim. Nie wszystkim pasował taki podział par. Charles, stuprocentowy samiec alfa, nie był zachwycony towarzystwem mecenasa Bortnika, zdeklarowanego homoseksualisty. Z kolei Igor skarżył się, że doktor, śpiąc, strasznie chrapie i pogwizduje (jak imbryk), a Majewski rewanzował się mu twierdzeniem, że inżynier wprawdzie przeważnie śpi spokojnie, ale przynajmniej raz na dwa dni zdarza mu się krzyczeć przez sen.

— Po jakimu? — dopytywał się Rykow.

— Nie znam tego języka! W każdym razie ani rosyjski, ani polski to nie jest. Najbardziej wygląda na jakiś dialekt kaukaski.

W kwestii zakwaterowania wyjątek zrobiono dla Osmanowej, ta zawsze miała pojedynczy pokój i jak dotąd nikogo do niego nie zapraszała. Sam niezainteresowany kobietami, ale bardzo spostrzegawczy, Bortnik zauważył, jak wielkie napięcie wywołuje w pozostałych samcach sama obecność pięknej śpiewaczki. Co najmniej od ponownego spotkania w Lugano trwała podskórna rywalizacja trójki dżentelmenów o jej względy. Majewski, drobny, nerwowy, wręcz przebierał nogami, żeby skrócić wzajemny dystans, natomiast Charles wprawdzie cały czas demonstrował kamienny spokój, nie był jednak w stanie zapanować nad grdyką, która w momencie każdego pojawienia się Osmanowej podskakiwała niczym szczur w pułapce. Najtrudniejsze do zdefiniowania były relacje między byłą konkubiną prezydenta a Igorem Rykowem. W jego towarzystwie Ała robiła się wyjątkowo ożywiona i prowokacyjna. A inżynier? Czy przypadkiem jego wyszukana uprzejmość i pozorny dystans

nie pokrywały rosnącej fascynacji?

„Jeśli nasza ekspedycja potrwa dłużej, to któryś w końcu ją dorwie” — myślał Bortnik. „Inna sprawa, że gdyby na mnie padło, też bym specjalnie się nie brzydził”.

Równocześnie nie ulegało wątpliwości, że śpiewaczka z dnia na dzień robiła się coraz piękniejsza. Jakby odżywała otoczona męską energią, a poszukiwania dodawały sensu jej egzystencji. W Bazylei sprawiała wrażenie osoby przygaszonej, którą przy życiu utrzymują jedynie obowiązki względem dzieci i codzienna dawka alkoholu. Teraz praktycznie nie piła, za to często parskała śmiechem, żywo reagowała na dowcipy opowiadane przez Majewskiego i pasjonowała się szczegółami prowadzonej przez nich akcji.

Jeśli chodzi o powód oszczędnego wynajmu pokojów, to mecenas — spełniający w ich gronie funkcję kasjera — nie kierował się bynajmniej skąpstwem, choć zbytecznie szastać forszą nigdy nie lubił, ale względami bezpieczeństwa. Pojedynczego człowieka łatwiej zaskoczyć niż dwójkę. Na razie nikt jakoś nie zamierzał ich zaskakiwać i to trochę niepokoiło Bortnika, który słynął z ostrożności.

— Trudno mi uwierzyć, żeby tak łatwo nam odpuścili — twierdził.

— Może uznali, że po śmierci pani Winkler nie jesteśmy w stanie dociec prawdy, a może skutecznie udało nam się ich zgubić — sugerował Rykow.

— Może, może, ale w żadnym wypadku nie możemy zrezygnować z czujności — odpowiedział prawnik.

Wedle informacji, jakie udało się zdobyć Charlesowi, dawny ośrodek adopcyjny przy Spandauer Damm nie istniał już od dwudziestu lat, w wyniku reorganizacji jego funkcje przejęły inne instytucje. Co gorsza, wskutek pożaru, który wybuchł z początkiem lat dziewięćdziesiątych, czyli zanim jeszcze zdigitalizowano akta, przepadła większość danych z lat 1983/84, kiedy to wedle ich wyliczeń mogło dojść do adopcji wspomnianych dzieciaków.

(Zdjęcia posiadane przez panią Winkler pochodziły najpóźniej z 1989 roku i dowodziły, że nie utraciła kontaktu z dziećmi powstałymi wskutek jej eksperymentów). Z nieoficjalnej rozmowy, jaką Charles Smith przeprowadził ze swoim kumplem z BND, wynikało, że mimo braku danych z ośrodka jest możliwe prześledzenie kwestii od drugiej strony, to znaczy dotarcie do pozytywnie załatwionych starań o adopcję.

— Rudi ma mi dać kontakt do pewnego archiwisty, który pilnie potrzebuje pieniędzy — wyznał Amerykanin. — Praca będzie wymagać od niego przejrzenia paru tysięcy wniosków, ale daje szansę ustalenia, kim dziś są mali Sepp, Heini i Alfi.

— Muszą mieć gdzieś koło trzydziestki — zauważył doktor Majewski — są więc ciągle dosyć młodzi, żeby odgrywać jakąś poważną rolę.

— Młodość to rzecz względna, zwłaszcza w przypadku jednostek wybitnych — zaproponował Iwan Bortnik. — W wieku trzydziestu jeden lat Joseph Goebbels był już gauleiterem NSDAP w Berlinie. Mając tyle samo lat co on, Henrich Himmler został reichsführerem SS.

— A Hitler? — zapytała Ała.

— Mając trzydzieści dwa lata, został wodzem NSDAP.

— Jedno nie ulega wątpliwości — zauważył Rykow — jeśli dzisiaj są tak ważni dla operacji „Inga”, to musieli zyskać niezłe wpływy i porobić spore kariery. Dlatego nie mógł ich adoptować byle kto.

Tak gadali mniej więcej do wpół do dziewiątej wieczorem, kiedy Osmanowa przeprosiła całe towarzystwo.

— Głowa mnie rozboleła — wyznała. — Muszę się przejść. Przy okazji wpadnę do apteki po jakieś środki przeciwbólowe.

— Jeśli można, chętnie potowarzyszę — zaofiarował się Filip Majewski z galanterią doktora-uwodziciela. — Nie powinnaś spacerować sama po nocy.

— Z miłą chęcią.

— W takim razie ja wpadnę do baru — mruknął Charles, wyraźnie niezadowolony, że dał się ubiec. — Pójdiesz ze mną, Igor?

— Planowałem wpaść do siłowni na dole — odparł Rykow, który również spochmurniał. — I chyba na tym poprzestanę.

— Ja pójdę — zaofiarował się Bortnik. — Jeden albo dwa drinki w miłym towarzystwie świetnie zrobią mi na sen.

— No to miłego wieczoru! — Filip, przekonany o wielkich szansach u pięknej Rosjanki, potoczył pogardliwym wzrokiem po rywalach. W czasach swej kariery medycznej zyskał opinię superpodrywacza, a ponieważ wyznawał zasadę „dobry doktor nie powinien się niczego brzydzić”, lista jego podbojów dawno osiągnęła wynik trzycyfrowy.

Z hotelu skręcili w prawo, doszli do Bismarck Strasse, kierując się w stronę centrum miasta. Minęli paskudne pudło Opery Niemieckiej i szereg sklepów, w aptece Ała nabyła co potrzebne. Wraz z nadciągnięciem zmierzchu ulica zaludniała się coraz bardziej, chwilami robiło się wręcz tłoczno, toteż po dojściu do ronda Ernsta Reutera przeszli na drugą stronę, gdzie było zdecydowanie luźniej, i zawrócili, szukając miejsca, gdzie mogliby przysiąść. Sierpniowy wieczór był dość ciepły, dookoła rozblyskało coraz więcej świateł. Majewski sypał jak z rękawa anegdotkami z życia wyższych sfer, w których swego czasu poruszał się zwinnie jako lekarz rządowy, a zarazem agent zaprzyjaźnionego mocarstwa... Ała słuchała go jednym uchem, czasem się śmiała z zabawnych sformułowań, ale wydawało się, że myślami jest zupełnie gdzie indziej. Może przy pozostawionych w Bazylei dzieciach...? Kiedy usiłował podczas przechodzenia przez ulicę ująć ją opiekuńczo pod ramię, odsunęła się delikatnie. Taktownie nie podejmował kolejnej próby.

Sympatyczny spacerek zakończył się wkrótce po przekroczeniu Krumme

Strasse, przy której parkował radiowóz. Znudzeni policjanci, na oko bliźniacy o wielkich kartoflanych nosach, zdradzających wschodniosłowiańskich przodków, oglądali sobie pornograficzne pisemka, być może skonfiskowane jakiemuś małoladowi. Za trotuarem rozciągał się całkiem spory zielony skwerek. Tuż obok pulsował różowymi światłami „Tabu Bar”, wabiąc zwolenników grzesznych uciech, w głębi łomotała dyskoteka, o tej porze jeszcze dość pustawa.

Filip rzucił okiem na Ałłę. Nie wydawała się zainteresowana tego typu rozrywką.

Znienacka otoczyła ich grupa młodych ludzi. Nie wyglądali na wzorcowych nordyków z fantasmagorii doktora Rosenberga. Przeciwnie, sprawiali wrażenie, jakby latający dywan przyniósł ich wprost z algierskiej Kasby czy zaułków syryjskiego Aleppo. Jedyнным europejskim akcentem były butelki, z których wlewali w siebie dobre niemieckie piwsko. Trójka z tych przyjemniaczków władowała się bezceremonialnie między Filipa a Osmanową.

Doktor zafascynowany swą towarzyszką, nieświadom zagrożenia, ustąpił im z drogi, sądząc, że pójda dalej. Pomylił się.

— Chodź, dziewczuszko, pokaż cycuszki! Zabawimy się — zawołał z lewentyńskim akcentem najwyższy z mężczyzn z ospowatą twarzą i kozią brodą.

Osmanowa chciała go wyminąć, ale drugi, niski, z haczykowatym nosem podrzędnego diabła, złapał ją za pośladek.

— Won, chamie! — Próbowała wymierzyć mu kopniaka, ale nie trafiła.

W tym momencie dwaj inni chwycili ją pod ramiona.

— Panowie, puśćcie ją! — zawołał Majewski, nadal sądząc, że ma do czynienia ze zwykłymi amatorami kwaśnych jabłek. I w tym momencie spadły na niego razy pozostałych. Może gdyby był w dawnej formie, potrafiłby na nie

odpowiedzieć. Nie teraz. Nim niesprawna ręka sięgnęła po schowaną broń, leżał już na ziemi zasypywany gradem kopniaków.

— Policja, na pomoc! — krzyknęła rozdzierająco Ała w stronę radiowozu.

Policjanci oderwani od pornosów zareagowali cokolwiek zdumiewająco. Dali wsteczny bieg i razem z wozem zniknęli z pola widzenia. Odwróciła głowę w stronę Majewskiego. Doktor leżał na ziemi i już się nie ruszał. Nadal go kopali.

— Zostawcie go, czego chcecie...?

Ospowaty zarechotał radosnym rechotem, który niespodziewanie uwiązał mu w gardle. Osmanowa zobaczyła, jak dryblas osuwa się na ziemię niczym podcięta topola.

Igor!

Łagodny dotąd Rykow zachowywał się jak maszyna bojowa. Kolejny cios powalił haczykowatego kurdupła. Dwaj kolorowi nadal trzymający Ałę pod ramiona na moment zgłupieli, dopiero po paru sekundach puścili ją, rzucając się w stronę inżyniera. W pośpiechu nie skoordynowali działań. To ułatwiło zadanie młodej kobiecie. Zdjęta z nogi damska szpilka może być straszną bronią, zwłaszcza jeśli obcas trafi w skroń.

Chwilę później potężny hak Igora trafił drugiego z napastników od dołu, aż jego zdekompletowana szczęka poszybowała gdzieś w kierunku Obłoków Magellana.

Odwróciła się pozostała trójka agresorów, dotąd zajmująca się doktorem. Trudno opisać wściekłość malującą się na ich twarzach. W rękach błysnęły noże.

„Niedobrze!” — pomyślała Ała.

Całe szczęście, że doktor symulował jedynie nieprzytomnego. Korzystając z tego, że przestał być obiektem ataku, wyłuskał z kieszeni broń. Wystrzelił ostrzegawczo w powietrze. Raz po razie!

W mgnieniu oka napastnicy rozpięchli się jak stado wróbli.

— Długo nie wracaliście, więc postanowiłem wyjść wam naprzeciw — wyjaśnił Igor, pochylając się nad zakrwawionym Filipem.

— Jestem twoim dłużnikiem — wycharczał doktor i zemdłał.

Zaraz pojawiła się policja (bliźniacy z kartoflanymi nosami), potem karetka pogotowia. Chciano Majewskiego natychmiast zabrać do szpitala, ale Rykow zagrał na zwłokę, a tymczasem Ała wydzwoniła Charlesa. Smith zjawił się po pięciu minutach.

— Kto to był? — zapytał ostro „kartoflarzy”.

— Chuligani — stwierdził flegmatycznie policjant spisujący zeznania.

— Wyglądali na islamskich emigrantów — próbowała powiedzieć Ała.

— Chuligaństwo nie ma barwy etnicznej ani religijnej — zgromił ją policjant, notował swoje.

— Zauważyłem, że nikt ich nie ścigał — powiedział Rykow, co Osmanowa bezzwłocznie przetłumaczyła na niemiecki.

— A kto by ich dogonił — skrzywił się drugi funkcjonariusz — odjechali tak szybko!

— Przecież ich busik parkował obok waszego — dorzuciła Ała. — Biały volkswagen na numerach próbnych. Zanotowaliście je może?

— Nie zwróciliśmy uwagi na żadnego busika.

Tymczasem Charles wdał się w utarczkę z załogą karetki, która po zatamowaniu krwi poturbowanemu doktorowi — żadna z ran Majewskiego nie okazała się szczególnie groźna — załadowała go na noszach do samochodu. Smith upierał się, że pojedzie z przyjacielem do szpitala. Kierowca, lekarz i sanitariusz utrzymywali, że to wykluczone.

— Pacjent może mieć problemy psychiczne, niedawno wyszedł z długotrwałej amnezji i najlepiej będzie się czuć, widząc znajome twarze — do rozmowy włączyła się Osmanowa. Już wcześniej zauważyła, że przybyły

lekarz od paru minut przygląda się jej bardzo uważnie.

— Czy ja przypadkiem pani nie znam? — zaczął niepewnie — wygląda pani jak ta słynna śpiewaczka...

— Ała Osmanowa, tak, to ja... Mogę dać panu autograf, tylko proszę zabrać do ambulansu mojego przyjaciela.

— Nie widzę problemu!

Karetka odjechała, a policjanci dłuższą chwilę koniecznie chcieli odwieźć Ałę i Rykova do hotelu.

— Nie ma takiej potrzeby — ucięła Osmanowa — to tylko parę kroków. Zresztą mam bardzo dobrego obrońcę.

— Mamy obowiązek zapewnić pani bezpieczeństwo — upierał się stróż prawa.

— Chyba słyszeliście, co pani powiedziała — warknął groźnie Rykow. Zachowanie policjantów podczas incydentu w najmniejszym stopniu nie mogło być gwarantem bezpieczeństwa w ich ewentualnym towarzystwie. — Cieszcie się, jeśli nie złożymy na was skargi!

Funkcjonariusze się cofnęli. Inżynier objął opiekuńczo ramieniem młodą kobietę i ruszyli w drogę powrotną. Czuł, że Ała drży, ale nie usłyszał od niej słowa skargi. Dzielna dziewczyna!

— Sądzisz, że ta napaść była nieprzypadkowa? — zapytała, gdy znaleźli się w rześście oświetlonym hallu przy recepcji.

— Nie można tego wykluczyć. Z pewnością ci gówniarze nie byli zawodowcami. Jednak wiele wskazuje na to, że wynajęto ich — nie, żeby zabić naszego doktora, lecz by ciebie uprowadzić.

— Ale po co?

— Żeby zapewnić ci swoistą ochronę, a nas wepchnąć w głęboką defensywę.

— To oznacza, że nas śledzą?

— Niekoniecznie; jeśli monitorują sieć hoteli, namierzenie nas stało się łatwe. Ale nie rób takiej przerażonej miny. To nie jest Trzeci Świat ani Europa Wschodnia; tu, choć mogą nas namierzyć, mają mimo wszystko dość ograniczone możliwości działania. Poza tym gdyby chodziło im o śmierć Majewskiego, Bortnika lub moją, wynajęliby snajpera lub podłożyli bombę pod samochód.

Doprowadził ją aż do drzwi jej pokoju, przekonany, że rozstaną się, jak do tej pory bywało. Spotkało go zaskoczenie.

— Wejdiesz? — zapytała młoda kobieta. — Chciałabym się napić, ale wolałabym nie robić tego w samotności.

— Chętnie. — Jeśli był zaskoczony, to nie okazał tego po sobie. — Ale lepiej jeśli najpierw doprowadzę się do porządku. Mogę być za pięć minut.

— Za piętnaście.

Z przyjemnością zrzucił z siebie zakrwawione ciuchy i wszedł pod prysznic. Przymknął oczy, czując, jak spływa z niego pot i zmęczenie. Zamiast tego poczuł narastającą erekcję. Zaskoczony włączył zimną wodę i starał się myśleć o czymś innym:

„Mieliśmy dużo szczęścia, że zaufałem swojej intuicji, a napastnicy nie byli profesjonalistami. Cóż za patałachy! W siódemkę nie dali rady nam dwóm i dziewczynie...”.

Kiedy Ała wpuściła go do pokoju, zauważył, że też się wykąpała i nałożyła pachnący, ponętny szlafroczek.

— Strasznie ci dziękuję! — powiedziała już na progu i zamknąwszy starannie drzwi, pocałowała go w usta. — Dlaczego jesteś taki zimny?

Nie odpowiedział, porwał ją w ramiona, uniósł jak piórko. Wszelka samokontrola przestała istnieć. Rzucił ją między poduszki... I w tym momencie zadzwonił telefon hotelowy.

— Nie odbierajmy — szepnęła.

— Musimy!

Niechętnie podniosła słuchawkę.

— To Iwan — wyciągnęła rękę do Igora.

— Wiedziałem, że cię tam zastanę — powiedział mecenas. — Sytuacja wymaga, żeby się spotkać.

— Jak trzeba, to trzeba. — Rykow zwrócił się do Osmanowej: — Bortnik zwołuje zebranie. Mam pójść sam czy chcesz nam towarzyszyć?

Westchnęła.

— Dobrze, pójdziemy razem, tylko wrzucę coś na siebie.

Ała odwróciła się i podeszła do szafy, zupełnie nie krępując się obecnością inżyniera. Peniuar spłynął z niej na podłogę, obnażając wspaniałe, niespełna trzydziestoletnie kształty. Wyciągnęła jakąś jasną sukienkę i przyłożyła do nagiego ciała.

— Czy w tym mi będzie dobrze?

— We wszystkim jest ci pięknie.

Tym razem jej pocałunek był delikatnie studzący.

Wyszli prawie natychmiast.

Bortnik oczekiwał na nich mocno podniecony, choć były to emocje wyłącznie zawodowe. Dwa otwarte laptopy i tablet wskazywały na to, że nie marnował czasu.

— Charles dzwonił ze szpitala i opowiedział mi, co się stało — powiedział. — I prosił, żebym sprawdził tych gliniarzy, którzy zachowywali się tak dziwnie podczas całego zajścia. Podał mi numer ich radiowozu, więc wszedłem do bazy danych berlińskiej policji.

— Czyżby okazali się fałszywi? — zapytała Osmanowa.

— Wręcz przeciwnie! Funkcjonariusze są jak najprawdziwsi! Tyle że dzisiejszego wieczora mieli służbę w dość odległej dzielnicy Koepenick i naprawdę nie wiadomo, jakie лихо poniosło ich aż do Charlottenburga.

— Akurat „licho” jest dość oczywiste — powiedział Rykow. — Mniej jasne jest, co zamierzają. Uprorowadzić Ałłę, a nam przeszkodzić w śledztwie, to moim zdaniem program minimum. Ale nie panikujmy.

— Powiedz lepiej, co Charles powiedział o Filipie?

— Był cały czas przy nim. Twierdzi, że stan Majewskiego nie jest taki zły, jak się mogło wydawać. Jeśli nie liczyć dwóch pękniętych żeber, zwichniętego nadgarstka, pół litra upuszczonej krwi i mnóstwa siniaków, doktorek jest w bojowym nastroju i pali się do opuszczenia szpitala.

— Mam nadzieję, że Charles mu na to nie pozwoli.

— Ma po swojej stronie lekarzy. Chcą, żeby Filip został do rana. Weźmie kroplówkę, zrobią mu tomografię mózgu, sprawdzą, czy nie ma jakichś krwiaków.

— Bardziej się boję, że ktoś, kto go chciał sprzątnąć, może mu złożyć niezapowiedzianą wizytę.

— Charles zostanie z nim do rana. Zaproponował też — uśmiechnął się, łypiąc na Rykova — żebyśmy dla naszego wspólnego bezpieczeństwa spali w jednym pokoju. Igor, możesz spać na jego łóżku, a pani Osmanowa na kanapce w saloniku.

— Mogę odmówić? — zapytała Ałła.

— Nie bardzo, to rozkaz!

Brak entuzjazmu Ałły oraz Igora był dla Bortnika oczywisty. Ta dwójka miała zupełnie inne plany na noc. Ale uczucia musiały ustąpić wymogom bezpieczeństwa. Wróg podchodził niebezpiecznie blisko, musieli być gotowi w każdej chwili poderwać się na równe nogi.

Nie okazało się to potrzebne.

W ciągu nocy nic się nie przydarzyło.

Ani złego, ani dobrego.

Tylko Rykowowi po raz pierwszy od dawna nie przyśniła się Zina.

*

Dzień wstał pogodny i ciepły. Ze szpitala nadeszły kolejne optymistyczne wieści. Specjalistyczne badania Filipa Majewskiego wypadły pozytywnie. „Może leżeć w domu” — orzekli lekarze, co zainteresowany uznał za przyzwolenie do dalszej aktywności. Jednak zdaniem całej grupy nie nadawał się na kontynuowanie akcji. Charles zaczął rozglądać się za jakąś tymczasową bezpieczną kryjówką. Równocześnie wysłał Bortnika do umówionego archiwisty. Pan Klaus Möller — chudy staruch, siwiutki jak gołąbek, z twarzy do złudzenia przypominający Ericha Honeckera — przyjął zlecenie bez większych emocji. W końcu przez dłuższy czas pracował w Instytucie pastora Gaucka i nie takim zamówieniom musiał sprostać.

— Nie gwarantuję jednak szybkiego rezultatu — stwierdził. — Rejestry z tamtych czasów, dotyczące podań o adopcję, zawierają około trzech tysięcy dwustu złożonych wniosków. Tylko część z nich załatwiono pozytywnie. Trzeba będzie odcedzić dzieciaki płci męskiej odpowiadające wiekiem tym, których poszukujecie, sprawdzić aktualny stan rodzinny wnioskodawców, jeśli chodzi wam wyłącznie o tych, którzy zrobili jakieś spektakularne kariery, no i upewnić się, czy nie nastąpiły kolejne adopcje.

— Kolejne? — zapytał adwokat.

— Często zdarza się, że dzieciak nie adaptuje się w nowej rodzinie i trzeba szukać ponownie dla niego opiekunów... — Tu zakasłał i spojrzał na Bortnika uważnie spoza szkieł wielkich okularów. — A właściwie dlaczego szukacie tej trójki?

Mecenas na szczęście przygotowany był na podobne pytanie.

— Podejrzewamy u tych osobników pewną rzadką skazę genetyczną, która ujawnia się dopiero po trzydziestce. Musimy do nich dotrzeć, bo bez zastosowania odpowiedniej terapii ich życie będzie zagrożone.

— Rozumiem. — Nic nie wskazywało, by archiwista wątpił w przekazaną

mu wersję wyjaśnienia. — Zobaczę, co da się zrobić. Jednak nie gwarantuję, że ich odnajdziemy. Część przybranych rodziców mogła wyjechać za granicę, zmienić nazwisko w wypadku rozwódek, niektóre z dzieci mogły umrzeć... — Tu znów zakasłał i spojrzał na kopertę z pieniędzmi. — Ale oczywiście będę szukać.

— Druga połowa po zakończeniu pracy — oznajmił Bortnik.

Kiedy opowiedział o tym przyjaciółom, zgodnie uznali, że ich dalszy pobyt w Niemczech jest niekonieczny, a co ważniejsze, kryje wiele zagrożeń. Zwłaszcza dla Majewskiego, który pilnie potrzebował bezpiecznego miejsca, gdzie mógłby wrócić do sił.

Ała uważała, że nie powinni się rozdzielać, i miała w tej sprawie pełne poparcie Rykova, toteż Charles zaproponował wszystkim wjazd do Ameryki. Spotkał się ze sprzeciwem doktora.

— Moim zdaniem najbezpieczniej będzie nam w Polsce. Tam mamy przyjaciół, możliwą dyskretną opiekę ABW, no i nie ma muzułmańskich imigrantów, którzy w każdym z państw Zachodu mogą zaatakować nas w biały dzień. I żeby skrócić procedurę, proponuję głosowanie. Kto jest za.

— Może być — powiedział Bortnik.

— I ja — zgodził się Rykow.

— Nie będę się sprzeciwiał — zabrzmiała opinia Smitha.

Jedynie Osmanowa pokręciła głową.

— Muszę wracać do dzieci — powiedziała. — I tak pozostawiłam je na zbyt długo. Ale jeśli znów będę potrzebna, to stawię się w dowolnym miejscu. — Zauważyła, że Rykow sposepniał, toteż dorzuciła prędko: — Na pewno się jeszcze spotkamy. Szybciej, niż myślicie.

*

— Dobra robota, Kontrolerze. — Dubnow zatarł ręce, a Sorokinowi

wydało się, że jego szef ma wielką ochotę poklepać go po plecach. Nie lubił takiej poufałości, w dodatku ze strony człowieka dziesięć lat młodszego. Inna sprawa, że od pewnego czasu Gienrich wyglądał na piętnaście lat starszego.

— Moi ludzie woleliby definitywnie wyeliminować zagrożenie! — rzekł sucho. — Drugi raz taka okazja może się nie powtórzyć, wszyscy nasi przeciwnicy byli w Berlinie w jednym miejscu... A w hotelach zdarzają się przecież wybuchy gazu...

— Stare myślenie! — przerwał mu doradca prezydenta. — Owszem wymierzylibyśmy zasłużoną sprawiedliwość notorycznym szkodnikom, ale podnieśliśmy niepotrzebny alarm. Nie potrzebujemy spiąć z Niemcami, którzy nie lubią, jak się wysadza w powietrze ich hotele. Poza tym ludzie Bortnika i Rykow nie działają w próżni, pozostają w kontakcie ze służbami polskimi i amerykańskimi wśród innych poważniejszych naszych przeciwników. Jak sami mówicie, nie wiedzą niczego konkretnego na temat „Ingi”, a wasi ludzie podsunęli im fałszywy trop. Zajście w Berlinie jeszcze wzmocniło ich przekonanie. Rozumiem, że działań ze strony Möllera jesteście pewni?

— Opóźni sprawę, jak długo będzie mógł, a potem rzuci im kilka nazwisk ludzi sukcesu rzeczywiście w latach osiemdziesiątych adoptowanych w berlińskim ośrodku. Znajdą tam tak smakowite kąski, że nikt nie będzie szukał gdzie indziej.

— Jednak ludzie od nieboszczyka Czerkasowa z całą pewnością będą próbowali to jakoś zweryfikować.

— Niech próbują! Wszystko będzie spreparowane doskonale. Nim przyjdzie im do głowy szukać gdzie indziej, operacja „Inga” rozkręci się na całego i nie będzie ludzkiej siły, która zdoła nad nią zapanować.

Kontroler chętnie podzielałby optymizm zwierzchnika, gdyby dysponował jego wiedzą. Chociaż był istotnym ogniwem największej operacji swego

życia, pewne informacje pozostawały dla niego tajemnicą. Choćby — o co naprawdę chodziło z akcją dezinformacyjną na temat klonów doktor Winkler. Kim byli i jaką rolę mieli odegrać w nadchodzących tygodniach? Oczywiście mógł zapytać, ale czuł, że nie powinien.

— Byłbym o wiele spokojniejszy, gdybym wiedział, co udało im się ustalić, do czego doszli — rzekł.

— No to dowiedzcie się! — w głosie doradcy zabrzmiało zniecierpliwienie. — Czekam na konkrety.

— Z rezerwacji lotniczych wynika, że Ała Osmanowa postanowiła odłączyć się od grupy i wrócić do Szwajcarii. We własnym mniemaniu uważa się za osobę sprytną. Toteż zarezerwowała lot okrężną drogą, przez Londyn i Paryż, po czym — Sorokin się roześmiał — wysłała SMS do teścia swojej siostry, podając godzinę przylotu.

— A major Ast to nasz człowiek?

— W samej rzeczy.

— Znakomicie! Przejmijcie ją zatem, postawcie propozycję nie do odrzucenia. W końcu stawką jest los nie tylko jej, ale przede wszystkim dzieciaków — woli chyba, żeby chłopcy pobierali edukację w szkole elit w Gstaad, a nie uczęszczali do zawodówki w Magadanie. Oczywiście trzeba to zrobić delikatnie i taktownie. Mam nadzieję, że wasi ludzie to potrafią.

Przez chwilę Kontrolerowi stanęły przed oczami postacie agentów od operacji specjalnych. Ale po namyśle zdecydował inaczej:

— To zbyt delikatna, a zarazem zbyt prosta misja, żeby wysyłać ludzi od mokrej roboty. Zrobię to sam.

— Byle skutecznie!

8. Przed burzą

Do Polski Charles Smith, mecenas Bortnik i doktor Filip Majewski postanowili udać się pociągiem. Ała samolotem wyruszyła w innym kierunku, spragniona spotkania z dziećmi, a Igor Rykow, ze względu, jak się wyraził, na ważne sprawy rodzinne, obiecał dołączyć do nich za parę dni.

Iwan Bortnik był przeciwny rozdzieleniu się, ale przeważyło zdanie kolegów. Na domiar wszystkiego w Warszawie na Dworcu Centralnym Charles pożegnał się z nimi, twierdząc, że ma ważne spotkanie z przyjaciółmi, a poza tym nie odpowiada mu życie stadne, nawet jeśli stado jest wyjątkowo sympatyczne.

— Będę w pobliżu — obiecał.

Dotąd ta praktyka dawała niezłe owoce.

Pendolino z pozostałą dwójką punktualnie dojechało na Warszawę Wschodnią, skąd taksówką przejechali do Radości.

Trwało senne popołudnie, a dom Zabielskich, opisywany przez Rykova jako pełen życia, wydał się im pustawy. Na gospodarstwie zastali samą panią Monikę, kobietę po pięćdziesiątce, ale zadbaną i nadal urodziwą. Na co dzień zajmowała się prowadzeniem galerii sztuki, ale pod koniec lata zdecydowała się wreszcie wysłać personel i siebie na urlop i osobiście dotrzymywać towarzystwa gościom.

— Wszyscy uwijają się jak w ukropie — opowiadała. — Miałam nadzieję, że spotkacie się przynajmniej z Bogdanem i Wandą, ale od wczesnego rana polecieli pracować.

— Jakieś ciekawe zlecenie? — zainteresował się Majewski.

— Z pewnością trudne i nagłe. Bogdan tak się nim przejął, że zapomniał

nawet zamknąć komputer, toteż mogłam zerknąć na materiały, które przyszły pocztą elektroniczną.

— Widocznie nie były tajne — zauważył doktorek. — A jeśli wolno spytać, to polityka czy obyczajówka?

— Poszukiwanie zaginionej nieletniej — odparła pani Monika. — Bogdan dość często zajmuje się podobnymi sprawami z niezłymi skutkami. W ostatnim roku, ku radości rodziców, odnalazł kilkanaścioro zabłąkanych małych, żywych i zdrowych, tylko jedna dziewczyna została odszukana martwa. Spora w tym zasługa Wandy, która jest po prostu bezkonkurencyjna. Ze swoją aparycją dziecka bez trudu wślizguje się w dowolne towarzystwo, każda szajka, a nawet bardzo ostrożna sekta, przyjmuje ją z otwartymi ramionami. Chyba renoma naszej firmy sprawiła, że właśnie do nas zwrócili się z błaganiami państwo Nowiccy, cenieni w Warszawie lekarze...

— Antoni i Anna. Stomatolodzy? — „Lekarz rządowy” popisał się znajomością środowiska.

Zabielska skinęła głową.

— Zadzwonili dziś koło szóstej. Mają córkę jedynaczkę, siedemnastoletnią licealistkę o imieniu Agata. Do niedawna, jak twierdzili, była prawdziwym aniołkiem, który niestety z impetem wkroczył w okres buntu. Nowiccy od pewnego czasu podejrzewali, że ich córka zafascynowała się islamem. Już dobry rok wcześniej definitywnie odmówiła chodzenia z rodzicami do kościoła, przez pewien czas wydawało się, że przystanie do buddystów, ale chyba żal jej było pięknych ciemnych włosów, które wypadło zgolić. Kiedy przerzuciła się na islam, jej rodzice sądzili, że to również chwilowa fascynacja. Tolerowali dywanik modlitewny, odmowę spożywania schabowego czy zakładanie chustki na głowę i zastanawiali się, na jakie wyznanie Agata przekieruje się w dalszej kolejności. Dziewczyna tymczasem dobrała sobie koleżankę, równie łatwo zapalającą się kretynkę (we dwójkę

zawsze jest różnie!), i odtąd wszędzie podążały razem, a to na zgromadzenia modlitewne, a to na bliżej nieokreślone eskapady. Któregoś dnia rodzice zauważyli w jej pokoju Koran, a kiedyś, korzystając z niezamkniętego komputera, trafili na pełną namiętności korespondencję z kimś podpisującym się Szamir. Gdyby trafiło na jakichś konserwatystów, nastolatka dostałaby pewnie zakaz wychodzenia z domu, a w ostateczności w dupę, państwo Nowiccy jednak należą do katolików postępowych, otwartych niczym bar na dworcu w Koluszkach. Próbowali z córką rozmawiać, ale ta zamknęła się jeszcze szczelniej. Również próby śledzenia jej kontaktów na własną rękę niewiele dały.

— I postanowili zwrócić się o pomoc do renomowanych detektywów?

— Niestety, w tym wypadku państwo Nowiccy podnieśli alarm zbyt późno.

— To znaczy? — zapytał mecenas Bortnik, który po polsku rozumiał znacznie lepiej, niż był w stanie mówić.

— Nie wiadomo, czy ich córka zorientowała się w zamiarach rodziców, w każdym razie dwa dni temu opuściła mieszkanie przed świtem, nie zostawiając żadnych informacji, dokąd się udaje. Po prostu wyszła i znikła jak kamfora! Policja radziła czekać, a próby samodzielnych poszukiwań nie dały rezultatów. Bogdan i Wanda zajmują się tym dziś od samego rana, ale chyba jeszcze jej nie odnaleźli. Z tego, co powiedzieli mi przez telefon, spełniam poniekąd rolę ich centrali telefonicznej, mają laptopa dziewczyny. Wprawdzie Agata skasowała wszystkie dane i wyczyściła dyski, ale...

— Amator nie jest w stanie usunąć wszystkiego — wtrącił Majewski.

— Właśnie. Już skontaktowali się z informatykiem, który rozwiązuje dla nich podobne problemy. Jest również szansa na zlokalizowanie miejsca pobytu małolaty za pomocą namierzenia jej komórki. Pod tym względem nasze biuro współpracuje ściśle z ludźmi Kamilli.

— A właśnie, gdzie podziewa się pani nadinspektor? — zapytał Bortnik,

zadowolony, że przy swojej słabej polszczyźnie może włączyć się do rozmowy.

— Moja szwagierka praktycznie nie opuszcza pracy. Mówi, że od kiedy pracuje, tak gorącego okresu jeszcze nie było. W rezultacie wszystkie sprawy domowe są wyłącznie na mojej głowie — tu popatrzyła na przybyłych, jakby dopiero zauważając, że jest ich trochę za mało. — Słyszałam, że mieliście przejechać we czwórkę?

— Jeden z kolegów — Majewski wolał nie wymieniać i tak fałszywego nazwiska Charlesa Smitha — zwykł poruszać się własnymi drogami, natomiast inżynier Rykow dobije do nas za parę dni.

— Miły człowiek — zauważyła Monika — pogodny, uczynny, mimo że tak okropnie doświadczony przez los.

O Adama nie zdążyli zapytać. Sam pojawił się na motorze, w czarnym kasku i skórzanej kurtce, niczym jeden z jeźdźców Apokalipsy. Jak się okazało, wpadł zmienić ciuchy i wziąć ze sobą kilka potrzebnych mu gadżetów.

— Kiedy wrócisz, syneczku? — zapytała pełnym czułości głosem Monika. Jak każda matka widziała go ciągle w krótkich spodenkach, z poobijanymi kolanami.

— Nie wiem. Przez najbliższe dni będę nocował na mieście.

— A co mam powiedzieć Wandzie?

— Zadzwoń do niej — rzucił i nie było w tym zdaniu ani grama czułości.

Uścisnął rękę gościom i nie dając się wciągnąć w rozmowę, pognął z powrotem.

— Ta polityka wszystkich nas kiedyś zgubi — powiedziała Zabielska, odprowadzając go matczynym spojrzeniem.

— Zgubi? Co zgubi? — Bortnik nie do końca zrozumiał.

— Podziały między ludźmi sięgnęły zenitu. Oczywiście, zawsze były różnice między Polakami. Komuchy — solidaruchy, Polska socjalna versus

liberalna! Ale teraz przypomina to prawdziwą wojnę na śmierć i życie. Nie uwierzcie, panowie, ale ostatnio klienci pobili się w mojej galerii. Ludzie z towarzystwa! Ktoś skrytykował ryciny Kossaka, że to „bogoojczyźniane barachło”, ktoś inny w odpowiedzi nazwał krytyka „kosmopolitycznym zdrajcą”. No i od słowa do słowa...

— Ale o co tak naprawdę chodzi? — dociskał mecenas.

Majewski był wprawdzie ostatni rok nieprzytomny, przespał wybory prezydenckie i parlamentarne, a także serię błyskawicznych zmian przeprowadzanych przez nowy gabinet, ale z pomocą prasy i Internetu szybko uzupełnił luki.

— Sytuacja w Polsce jest z grubsza taka — wyjaśniał mecenasowi po angielsku — zjednoczony obóz prawicy niepodległościowej wygrał wybory, ale partie dotychczas rządzące od blisko roku nie chcą przyjąć tego do wiadomości.

— Czy to sensowne? — zdziwił się Bortnik, od lat przesiąknięty standardami demokracji brytyjskiej. — Opozycja powinna wyciągnąć wnioski z przegranej, zmobilizować się i wygrać następne wybory.

Monika wybuchnęła śmiechem.

— Nie u nas! W Polsce problem polega na tym, że przegrane partie nie chcą czekać na kolejne wybory. Na wszelkie sposoby chcą obalić rząd już teraz. Demonstracje, donosy do organizacji międzynarodowych...

— I w efekcie widać gorsze sondaże dla opozycji — wzruszył ramionami Filip. — Naród popiera premiera i prezydenta. Nie rozumiem tylko, czym się tu przejmować?

— A ja się boję — stwierdziła Majewska — desperacja bywa fatalnym doradcą.

Motor pod wieloma względami góruje nad samochodem. Po krótkim krosie uliczkami Radości Adam przemknął jak błyskawica Wałem Miedzeszyńskim, mijając kolejne warszawskie mosty, przecisnął się jakoś wąskim gardłem koło zoo, wjechał na stosunkowo najluźniejszy most Gdański, przebił się przez permanentny korek pod Arkadią i ulicą Powązkowską wzdłuż nekropolii dotarł na drugi kraniec miasta, by wkrótce znaleźć się w Puszczy Kampinoskiej, praktycznie graniczącej z warszawską aglomeracją. Czterdzieści pięć minut po wyjeździe z domu dotarł do namiotowej wioski, w której odbywało się szkolenie „samoobrony obywatelskiej”.

ROW mienił się wprawdzie demokratyczną organizacją, prowadzącą walkę pokojowymi metodami w ramach demokratycznego porządku prawnego, którego ogłosił się najsilniejszym obrońcą. Była to jedynie część prawdy. Jak wiadomo, najbardziej nawet demokratyczne zgromadzenia potrzebują logistyki, straży porządkowej i ochroniarzy, zapewniających właściwy komfort przywódcom. Bywa też, że takie formacje osiągają przemożny wpływ na całość ruchu. Od czasu, kiedy osobą numer dwa ROW-u stał się wcześniej nikomu nieznanym nauczyciel akademicki Julian Krakowski, dalsze puszczenie na żywioł spraw bezpieczeństwa wieców stało się niemożliwe.

Tym bardziej że stugębna plotka obiegająca kraj głosiła, że Oddziały Obrony Terytorialnej, tworzone przez nowego Ministra Obrony, to w gruncie rzeczy bojówki partii rządzącej, które prędzej czy później przystąpią do siłowego dławienia opozycji.

— Ich zbrodniczy plan to zapędzić nas wszystkich do jakiejś nowej Berezki Kartuskiej i zamienić kraj w jeden wielki łagier rządzony przez klechów — przekonywał Krakowski. — Musimy być gotowi na przejście do konspiracji i zdecydowanie się na bardziej radykalne metody działania!

Wiele z jego słów trafiało do rozgrzanych umysłów. Na pytanie, dlaczego faszystowski system miałby stworzyć prezes partii rządzącej, warszawski

inteligent, od jakiegokolwiek fanatyzmu religijnego odległy jak Papuas od bieguna, zapalony ornitolog i kolekcjoner znaczków pocztowych — odpowiedź Krakowskiego brzmiała krótko: „Bo taki już ma charakter!”.

Inna sprawa, że początkowo poza słownym poparciem w mediach wezwanie do tworzenia samoobrony obywatelskiej dawało nikłe rezultaty — na manifestacjach zjawiały się głównie podstarzałe „ciotki rewolucji” i różnego rodzaju „leśni dziadkowie”, żyjący wspomnieniami walk o utrwalanie Władzy Ludowej.

Trudno było też liczyć na młodych wiotkich lewaków, dla których relaks oznaczał głównie trawkę, piwko i dupeczkę towarzyszącą tęczowej rewolucji. Jednak gdy okazało się, że ROW gotów jest płacić kursantom sztuki walki, i to płacić całkiem nieźle, chętni sypnęli się zewsząd, bez oglądania się na polityczne konotacje — bezrobotni ze wsi i małych miasteczek, którym brak umiejętności językowych uniemożliwił dotąd emigrację, i miejskie lumpy, gotowe wzbogacić swoje umiejętności dawania w ryj. Co prawda początkowo najłatwiej było wzbudzić ich entuzjazm hasłami typu „Bij Żyda”, ale od czego zajęcia ideologiczne, po których mieli stać się pełnoprawnymi Europejczykami. Spotkanie w Kampinosie miało w założeniu łączyć teorię z praktyką.

— Spóźniłeś się dwie godziny — warknął Szymek Kowalik, który wyszedł z namiotu, usłyszawszy warkot motoru Krajewskiego. — Funkcyjny nie może dawać złego przykładu!

— Odpierdol się, byłem w gazecie załatwiać druk ulotek — odpalił Adam i wszedł do namiotu, gdzie pięćdziesiątka kandydatów na samoobronców wartości europejskich oglądała na dużym ciekłokrystalicznym ekranie nagrane na płytce DVD przemówienie Krakowskiego.

Wystąpienia wicewodza (naczelnik ROW-u ostatnio podróżował głównie za granicą, ciułając kasę i poparcie postępowych sił wszystkich stron),

kierowane do wtajemniczonych, mocno się różniły od występów dla zwykłej gawiedzi. Mniej krzykliwe, a jednocześnie dobitne, jadowite, potrafiły się odwoływać do najciemniejszych stron duszy, choć on sam wmawiał swym akolitom, że są rycerzami Jasnej Strony Mocy.

— ...Te pokraki, karły fizyczne i mentalne — mówił oczywiście o wrogach ROW-U — zasługują jedynie na pogardę, ale jeśli ich nie powstrzymamy, to wepchną nas w najciemniejsze mroki średniowiecza, przy których legendarne Okopy Świętej Trójcy będą jedynie wybiegiem dla dupeczek po dziesięć tysięcy euro sztuka — tu zrobił pauzę na przewidywane śmiechy. — Już teraz smród naszego ciemnogrodu unosi się nad całą Europą. Faszyści od Indykiewicza nie ustaną, aż nie staniemy się wrzodem na jej dupie. Zaropiałym parchem... Dlaczego? Bo taką mają naturę. Z ich wodzem, zagorzałym hodowcą papużek falistych, z jego świtą spoconych facetów w marynarach z lumpeksu, wiecznie obsypanych łupieżem, z tą całą sforą ministerialnych młodzianków prosto z zakonu Braci Onanistów! — Znow sypnęły się brawa, oczywiście nagranie szło dalej. — Ich cele: upaństwowić macice naszych kobiet, postawić przy każdym z Polaków policjanta-klechę, ocenzurować Internet albo w ogóle go wyłączyć. Chcemy tego...?

Odpowiedzą było chóralne „Nie”.

W kolejnych zdaniach Krakowski sypał przykładami mniej lub bardziej wydumanych niegodziwości reżimu, przy czym w roli zła absolutnego występowali, bez wyjątku, prominentni przedstawiciele aktualnej władzy, podczas gdy dobro absolutne uosabiał Stanisław Żeromski, Pierwszy Prezes Sądu Najwyższego, strażnik praw, konstytucji, ładu moralnego i przynależności do kultury Zachodu.

— Na szczęście ich parszywe kończyny są zbyt słabe, by osiągnąć naszego Sędziego — podkreślał prelegent.

— I zbyt krótkie! — dorzucił ktoś z sali.

Na moment na monitorze pojawiło się zdjęcie Pierwszego Prezesa. Nalana, pozbawiona wyrazu twarzy, okolona rachitycznymi bokobrodami, nie emanowała jakąś szczególną charyzmą. Trochę pychy, odrobina nadętej uwagi i mściwość, skoncentrowana w świdrujących oczach. Można powiedzieć, że sędzia Żeromski, który awansował na to wysokie stanowisko po nagłej dymisji swej poprzedniczki, był człowiekiem nieco przypadkowym. Choć zapewne przypadkiem nie był jego resortowy rodowód, z dziadkiem funkcjonariuszem KPP i ojcem prokuratorem w latach stalinowskich. Sędzia Żeromski orzekał ochoczo w stanie wojennym, tyle że w mało głośnych procesach, toteż w III RP mógł bez przeszkód uchodzić za wielkiego zwolennika demokracji i prawniczy autorytet.

Tymczasem Krakowski, coraz bardziej rozkręcony, wymieniał kolejnych ministrów rządu „Wielkiej Przemiany”, charakteryzując ich dosadnie jako nieudaczników, fanatyków, nieuków, niewładających obcymi językami i brzydzących się współczesną kulturą.

— Czy chcecie ministra kultury, który nocą odtrąca kutasy rzeźbom w galeriach i nakłada biustonosze nimfom w parkach? — pytał, po czym zawieszał głos, a zgromadzeni w namiocie wołali gromko:

— Wyjebać!

— Czy chcecie ministra sprawiedliwości, co nad ranem wysyła do domów seryjnych samobójców?

— Wyjebać!

— Czy chcecie ministra spraw zagranicznych, który nie potrafi zachować się nawet w brukselskim kiblu?

— Wyjebać.

Lista hańby ciągnęła się, a zarzuty stawały się coraz gorsze, coraz obrzydliwsze.

— A czy chcecie prezydenta, który jest wyłącznie błaznem na kiju,

marionetką prezesa, jedną z jego nakręcanych papużek?

— Wyjebać!

Choć było to jedynie nagranie, Krakowski wydawał się słyszeć odpowiedzi swoich wyznawców. Toteż po dotarciu do końca listy zrobił efektowną pauzę, uśmiechnął się i zapytał słodziutko:

— A jeśli z wielu względów nie uda się polskiej zjednoczonej opozycji dokonać tego ze wszech miar potrzebnego impeachmentu?

Na chwilę zapadła cisza, podminowana gniewem, podnieceniem, adrenaliną, w której tym silniej zabrzmiał głos Franka Żołądzia, weterana najśłynniejszych zadym na Krakowskim Przedmieściu.

— To zajebać!

Adamowi zakręciło się w głowie. Czuł mdłości. Ale najbardziej zdumiewała go bezrefleksyjna nienawiść emanująca ze wszystkich zgromadzonych. Po raz tysięczny zadawał sobie pytanie: „Skąd właściwie się wziął ten Krakowski?”.

Nie on jeden głowił się nad tą sprawą. Dziennikarze, liderzy wielu partii, ABW i CBA zastanawiali się nad fenomenem tego gościa od chwili, kiedy przebojem wdarł się na czoło ROW-u, którego animusz przed wakacjami wydawał się gasnąć. I nic nie znaleźli. Przed trzema miesiącami był nikim, a teraz gromadził tłumy niczym gwiazda rocka. Ten pracownik naukowy jednej z renomowanych uczelni był zbyt młody, by mieć cokolwiek wspólnego z dawnym reżimem. Nie przyniosła żadnych rewelacji analiza jego rodziny — rodzicami byli średnio wykształceni obywatele z Dolnego Śląska, niepraktykujący katolicy — matka Rozalia, pielęgniarka, ojciec Fred, mechanik samochodowy, który dorobiwszy się na saksach, założył niewielki warsztat pod Bolesławcem. Interes może by się rozwinął dynamiczniej, gdyby nie śmierć Freda pod samochodem, który nieoczekiwanie spadł na niego z podnośnika.

Sam Julian wszystko zawdzięczał sobie; zwycięzca wojewódzkiej olimpiady historycznej, w wieku dwudziestu dwóch lat skończył kulturoznawstwo, dwa lata później zrobił doktorat, a po następnych czterech — habilitację. Szczęście mu sprzyjało. Śmierć starszego kolegi, który utonął w Jeziorze Łagowskim, otworzyła mu drogę do asystentury na uniwersytecie we Wrocławiu. Nieoczekiwane samobójstwo docenta na tej samej uczelni pozwoliło mu przed terminem zostać adiunktem. Profesura była kwestią czasu. I wtedy, zgoła nieoczekiwanie, gdzieś z początkiem zeszłego roku pociągnęła go polityka. W wyborach parlamentarnych kandydował na posła z ramienia Nowej Lewicy i osiągnął nawet niezły wynik, tyle że jego ugrupowanie nie weszło do parlamentu. W międzyczasie wkręcił się do redakcji miesięcznika „Praktyka Polityczna” i publikował tam mętne eseje o dekonstruktywizmie, których chyba nikt nie czytał. I zanim z końcem wiosny pojawił się na wiecach ROW-u, nikt nie dałby za niego złamanego grosza. Nie był niczym człowiekiem i nie było dowodów, żeby ktokolwiek go sponsorował.

Po przemówieniu wystąpiło kilku lokalnych gadaczy międlących te same frazesy, ale bez żaru Krakowskiego.

Adam głosu nie zabierał i nudził się śmiertelnie, rejestrując co najwyżej w pamięci twarze uczestników i marząc, żeby pójść sobie na spacer w las. Wreszcie podszedł do niego Szymon Kowalik i pociągnął go ku wyjściu.

— Słuchaj, stary — zaczął — wspominałeś mi kiedyś, że masz samodzielną chatę?

— Od razu chata? Dwuizbowa klitka w blokach za Żelazną Bramą i tyle. Nie wytrzymałem ze starymi, a dzięki kasie od was mogłem szarpnąć się na coś niedrogiego.

— I bardzo dobrze, postarasz się, będzie cię stać na coś większego. Na razie potrzebujemy, żebyś na kilka dni przenocował u siebie jednego gościa.

— Kto to taki?

— Dysydent z Białorusi. — Wskazał mężczyznę, który siedział zgarbiony w kącie namiotu. — Dał nogę przez granicę i kombinujemy, jak go przekazać dalej w głąb Unii. Jest wielkim sympatykiem naszego ruchu.

Mężczyzna wstał i dopiero teraz Adam zauważył, że przerasta go o głowę.

— Witia — powiedział śpiewnie.

— To jak, pomożesz nam? — pytał Szymon. — To będzie kilka dni, góra tydzień. Tyle że potrzebna jest dyskrecja. Witka poszukują agenci Łukaszenki, a nasze służby... Chociaż mają pełną gębę frazesów, wydałyby go jak nic. To jak. Załatwione?

Krajewski zamierzał odmówić, ale przez głowę przeleciała mu pewna myśl, więc rzucił:

— Okay!

*

Kamilla cały dzień spędziła w „Bunkrze”, jak wtajemniczeni nazywali nierzucający się w oczy obiekt położony na warszawskim Mokotowie, na pierwszy rzut oka przypominający plac budowy. Wersja dla ciekawskich brzmiała, że jest to nowo wznoszone centrum telekomunikacji — czego mogło dowodzić kilka potężnych anten, wznoszących się ponad resztką dawnego fortu.

Oficjalnie tajną instytucję mieszczącą się w podziemiach nazwano Sztabem Analiz Kryzysowych. Kiedy powoływano SAK, chodziło głównie o zabezpieczenie całego cyklu spotkań zaplanowanych w Warszawie w trakcie tego lata i wczesnej jesieni. Ponadto jako ciało całkowicie nowe miał być odporny na ewentualną inwigilację zewnętrzną. Powołana struktura składała się z zaufanych przedstawicieli delegowanych z agencji rządowych, włączając w to służby wywiadu i kontrwywiadu, Biura Ochrony Rządu, Centralnego Biura Śledczego Policji, Jednostki Antyterrorystycznej i paru innych struktur

tak tajnych, że ich pełnych nazw mogli nie znać nawet ich tajni współpracownicy. Centrum tego ciała stanowiła Główna Komórka Analityczno-Praktyczna, której jednym z dyrektorów została Kamilla Zabielska.

Zazwyczaj powodem niepokoju dla podobnych jednostek bywają niestandardowe sygnały, wzmożona aktywność monitorowanych grup ekstremitów — dziwne transfery pieniędzy, pogróżki czy ostrzeżenia względem osób lub instytucji.

Tego dnia zajmowano się głównie doniesieniami z zagranicy, bo sytuacja w kraju wydawała się uspokajać. Miasteczko namiotowe w Alejach Ujazdowskich, nazywane zdecydowanie na wyrost „Nowym Majdanem” (co wywoływało uśmiech politowania u imigrantów z Ukrainy), rozeszło się w trakcie olimpiady. Cosobotnie demonstracje przeciw władzy stały się za sprawą Krakowskiego może bardziej agresywne, ale mniej liczebne. Najpierw przestano organizować je w mniejszych miastach, potem w większych.

Niezmienna za to pozostawała agresja opozycyjnych mediów, przekładająca się na ataki całego światowego lewactwa. Rząd jednak się tym nie przejmował i robił swoje. Ostatnio nawet doniesienia z zagranicy brzmiały uspokajająco. Ciała unijne wyraźnie traciły ochotę do mieszania się w wewnętrzne sprawy Polski.

Poza tym szykowały się inne kłopoty. Mimo zapewnień, że sytuacja z uchodźcami jest pod kontrolą, na granicach Unii postawiono płoty i rozpoczęto też (skądinąd dość niemrawo) odsyłać uchodźców zakwalifikowanych jako imigrantów socjalnych do krajów macierzystych. Szło to opornie.

Obozy uchodźców poza Unią puchły w szwach, a wśród setek tysięcy tych, którzy dotarli już do swych wymarzonych krajów osiedlenia, panowała również podminowana atmosfera. Dawno zakończyły się demonstracje

poparcia i napisy „Herzlich Willkommen”. Zasiłki systematycznie zmniejszono, nie było mowy o wymarzonych domkach jednorodzinnych ani samochodach za darmo. Mitem okazała się łatwość europejskich kobiet. Tym bardziej że od Sztokholmu i Kopenhagi po Madryt i Rzym większość mieszkanek wielkich miast, zgodnie z pouczeniami władz, nie wychodziła samotnie z domów po zmierzchu.

„Poradzimy sobie — zapewniano się nawzajem na europejskich naradach ministrów spraw wewnętrznych, ale zaraz dodawano półgębkiem — jeśli nie będzie »drugiej fali«!”.

Ta opóźniała się, choć wyglądało na to, że jest tylko kwestią czasu, kiedy miliony z Turcji i krajów Afryki Północnej wznowią potop na wielką skalę.

Radykalne środki, o które apelowały partie antysystemowe, dla rządzących były nie do przyjęcia. I nawet nie chodziło o polityczną poprawność establishmentu wywodzącego się z pokolenia „dzieci Marksa i coca-coli”, o wiele ważniejszy był strach. Paraliżujący strach przed zamieszkami, które mogły w każdej chwili przekształcić się w wojnę religijną. Mimo że najsłynniejsze autorytety twierdziły, że nie ma mowy o żadnym zderzeniu cywilizacji, a zgodna multikulturowość stanowi przyszłość świata.

Całkiem inaczej widziała to jedna z asystentek Kamilli — doktor Leyla Abbadi, córka Polki i Libańczyka, żarliwa katoliczka i bezlitosny krytyk religii Proroka pod każdą postacią.

— Nie ma łagodnej wersji islamu, jest jedynie ta widoczna i ta utajona — twierdziła. — Wszelkie różnice ograniczają się wyłącznie do słów i metod. Ostatecznym celem wszystkich odłamów jest światowy kalifat, wytepienie niewiernych i ewentualna zamiana chrześcijan i Żydów w posłusznych obywateli drugiej kategorii, płacących wysokie podatki zwane dżizją.

Kamilla, choć krytyczna wobec multikulti, uważała, że jest to ocena przesadzona, ale przyznawała Leyli pełne prawo do tego rodzaju skrajności.

Znaczna część rodziny Abbadi zginęła podczas walk w Bejrucie, a rodzinę jej ciotki, wybitnej lekarki, wymordowano w roku ubiegłym wkrótce po zdobyciu Mosulu przez Państwo Islamskie.

— Nie kieruję się żadnymi uprzedzeniami, a jedynie wynikami swych badań! — utrzymywała Leyla.

Dotąd jednak były to wyłącznie spekulacje, a tego dnia postanowiła uderzyć na trwogę.

— Obawiam się, więcej, jestem prawie pewna, że Wielki Dżihad jest kwestią dni — powiedziała.

— Co masz na myśli?

— Sytuacja ulega dramatycznej zmianie. To, że dotąd Izrael mógł egzystować, a reszta świata lawirować między Turcją, Iranem, Irakiem, Arabią Saudyjską czy Pakistanem — wynikało z religijnego rozbitcia świata Orientu — mówiła. — Szyjci, sunnici, wahabici, umiejętnie napuszczani na siebie, skakali sobie do gardeł, traktując walkę z grzesznym Zachodem jako cel marginalny. Również siatki terrorystyczne, takie jak Al-Kaida czy Państwo Islamskie, choć marzyły o światowym kalifacie, ostro rywalizowały między sobą. Syria i Libia pogrążone są w bratobójczej wojnie. Egipt musiał wrócić do metod dyktatorskich, żeby rozprawić się z Bractwem Muzułmańskim. Jednak znawcy tematu od lat zastanawiają się, co by mogło się stać, gdyby ten cały antyzachodni i antychrześcijański świat naraz się zjednoczył.

— Politycznie to niewykonalne, zbyt wiele różnic interesów.

— Ale emocjonalnie prawdopodobne! Tak jak Żydzi na Mesjasza, tak muzułmanie czekają na Mahdiego, kogoś z charyzmą, zdolnego czynić cuda i zapanować nad żywiołem blisko miliarda ludzi. Przez lata wyglądało to na czcze mrzonki. Do teraz. Chce go pani posłuchać?

Włączyła odtwarzanie w swoim telefonie komórkowym i zaraz rozległ się głos męski, nieco chrapliwy, ale niewątpliwie elektryzujący. Kamilla nie знаła

arabskiego, ale poznała ten charakterystyczny tembr.

— To ten... Almanzor? — zapytała pro forma.

— Tak. Tarik Al-Mansur, okrzyknięty „nowym Almanzorem”. Człowiek bez twarzy, jeśli nie liczyć pałających oczu szaleńca widocznych w wycięciu terrorystycznej kominiarki.

— Masz na jego temat jakieś nowe konkrety?

— Tyle co nic. Rok temu objawił się na Filipinach, wśród separatystów w południowej części Mindanao, potem występował w Indonezji. Teraz uważają go za nieformalnego ideologa ISIS.

— Ale przecież po zajęciu Rakki przez wojska rządowe Państwo Islamskie jest w rozsypce — przerwała Zabielska. — Wszyscy ważniejsi przywódcy zginęli lub zostali schwytani.

— Nie jestem w tej kwestii szczególną optymistką — odparła Libanka. — Wycięcie rakowatego guza może tylko spotęgować złośliwość przerzutów. Upadek ISIS może oznaczać jedynie wzrost liczby uchodźców. A i bez tego dane wywiadowcze na temat bomby demograficznej wiszącej nad granicami Unii są porażające. Obozy w Maroku to pół miliona, w Libii prawie milion, w Turcji mówi się o trzech milionach, a co najmniej pół miliona jest już w obozach w Grecji i Serbii i miejscowe władze z trudnością utrzymują sytuację pod kontrolą. W dodatku po zawarciu porozumienia turecko-rosyjskiego Istambuł szantażuje Europę możliwością pełnego otwarcia granic... A mam wrażenie, że i bez tego sytuacja w Europie się komplikuje.

Kamilla mogła tylko przyznać jej rację. Chociaż policja i zachodnioeuropejskie media nie chciały przerażać opinii publicznej i pogłębiać rosnącej wrogości wobec „obcych”, maskowały mnożące się incydenty. Te narastały z dnia na dzień.

Nie było dnia bez ataków indywidualnych samobójców-szahidów, morderstw księży i zakonnic, ale również wciąż częstszych wystąpień

samoobronnych.

Ze stolicy Lesbos musiano ewakuować miejscową ludność, żeby nie powtórzyła się słynna rzeź z Chios, dochodziło do silnych starć z coraz bardziej bojowo nastawionymi uchodźcami we Włoszech. We Florencji próbowano podpalić Il Duomo, w Rawennie zbezczeszczono dwie świątynie, zamieniając je w szalety. W dodatku we Francji aktywność policji koncentrowała się na walce z nową Tajną Armią Francuzów nazywaną OAS 2.

Abbadi westchnęła.

— I dlatego dla mnie tak szalenie groźne jest, że na niekwestionowany autorytet muzułmanów wyrasta ktoś taki jak Almanzor. Jeden większy incydent może wysadzić nasz świat w powietrze. Nawet autorom powieści fantastycznych trudno wyobrazić sobie religijną wojnę wewnętrzną połączoną z masową inwazją na kontynent.

— Amerykanie obiecują, że unicestwią tego drania.

— Tylko nie wiedzą nawet, gdzie go szukać. Jak pani zapewne wie, Al-Mansura nie było w Rakce. Podobnie nie odnaleziono go w Sanie, Rawalpindi, w dolinie Pandższiru i setce innych miejsc, skąd za pośrednictwem sieci kontaktował się ze swymi współwyznawcami.

— CIA twierdzi, że nie korzysta z komputera podłączonego do Internetu, tylko jego przemówienia są przekazywane przez zaufanych kurierów w formie nagrań na różnego rodzaju nośnikach do punktów emisji... Chłopcy z Langley uważają jednak, że jego wpływ na terrorystyczne struktury jest niewielki.

— Dlatego nie mówię o stałych strukturach, z którymi można walczyć albo chociaż pertraktować — powiedziała Abbadi — tylko o masach, które oby dobry Bóg nigdy nie pozwolił, aby wyruszyły na antykrucjatę.

— Mam nadzieję, że się mylisz. Być może jakaś część muzułmanów uważa się za żołnierzy przyszłego kalifatu, ale zdecydowana większość dąży do Europy w poszukiwaniu lepszego życia, bezpieczeństwa, socjału...

— Jedno nie wyklucza drugiego, zwłaszcza jeśli zastane realia rozminą się z oczekiwaniami!

Pani komisarz tylko westchnęła i zasugerowała przejście do konkretów:

— Czy przygotowałaś ten materiał dotyczący nowych szlaków, jakie mogliby wybrać imigranci podczas kolejnej fali? Obiecałam przygotować wyciąg dla pani premier.

— Prezentację mam gotową, razem z mapami i rozmieszczeniem głównych sił zainteresowanych państw. — Na ciekłokrystalicznym ekranie zapłonęła szczegółowa mapa Bałkanów, w każdym momencie mogąca się zmienić w bieżący obraz satelitarny wprost z kwatery głównej NATO. — Wiele wskazuje na to, że zachodni szlak bałkański został zablokowany na dobre. Uchodźcy z Turcji dość łatwo przedostają się do Grecji, ale napotykają pas umocnień na granicy Macedonii i nawet jeśli go sforsują, natrafią na kolejne przeszkody w Chorwacji, Słowenii, na Węgrzech i w Austrii. Tamtejszy kandydat na prezydenta zagroził nawet budową granicznych pól minowych...

— Ale na razie go nie ma, a każda przeszkoda jest do sforsowania, zależy tylko od liczebności i determinacji przybyszów.

Abbadi nie skomentowała, tylko przesunęła obraz tak, by całość ekranu wypełniła wschodnia część Bałkanów.

— Teoretycznie z Grecji i Turcji najłatwiej byłoby przedostawać się do Bułgarii, w której uchodźcy mogliby dodatkowo liczyć na mniejsze lub większe wsparcie mniejszości tureckiej — powiedziała. — Rząd jest słaby, a infrastruktura NATO-wska prawie nie istnieje. Tyle że uchodźcy raczej nie marzą o pozostaniu w Bułgarii na stałe. I tu czeka ich niespodzianka, Rumuni znakomicie ufortyfikowali Dunaj, a władze w Bukareszcie twierdzą, że w wypadku zagrożenia migracyjną falą nie zawahają się zaminować mostów. Dlatego największe obawy należy łączyć z Serbią. Tradycyjnie sprzymierzona z Rosją, dotąd nie wydawała się tak newralgicznym punktem, co więcej, liczne

obozy uchodźców na jej terenie były w zasadzie poza międzynarodową kontrolą. Uchodźcy przez Bułgarię wlewali się do tej pory wąskimi strugami, ale za to non stop, poza tym niechęć serbskich władz do jakiegokolwiek międzynarodowej kontroli sprawiła, że kanał przerzutowy z Albanii przez Kosowo pozostaje dla nas zagadką. Ostatnie źródła wywiadowcze dowodzą, że liczba przybyszów wynosiła już kilkaset tysięcy...

— Sama jednak twierdzisz, że przedarcie się szlakiem zachodnim może być trudne.

— Dlatego jestem pewna, że ci, którzy sterują wędrówką ludów, wyciągnęli wnioski. Jeśli ruszy kolejna, to wybiorą drogę dłuższą, ale de facto łatwiejszą. Na granicy serbsko-węgierskiej przeszkody są symboliczne, między Serbią a Rumunią praktycznie nie ma ich wcale. W dodatku na większości tego obszaru nie ma poważniejszych przeszkód terenowych ani naturalnych zapór w postaci rzek.

— I co dalej?

— Proszę popatrzeć. — Zielone linie symbolizujące potoki przybyszów podążały na północ, trafiając do Mołdawii i na Ukrainę. — Sytuacja robi się dramatyczna, oba te kraje nie mają najmniejszego doświadczenia z islamskimi uchodźcami, w dodatku Ukraina toczy wojnę w Donbasie, Krym kipi i gotuje się w Naddniestrzu. Dlatego obawiam się, że miejscowe władze będą co najwyżej chciały przyspieszyć tranzyt i całe to ludzkie morze wleje się do Polski, ponieważ nic go nie powstrzyma.

Kamilla zmarszczyła brwi. Hipoteza Abbadi była całkiem prawdopodobna. Dane wywiadowcze z zaprzyjaźnionych państw bałkańskich donosiły o nasileniu wizyt zamożnych „turystów” z krajów Południa, których często identyfikowano jako przemytników ludzi. Cel ich działań był ewidentnie rozpoznawczy...

Tymczasem zabręczczała komórka. Zabielska rzuciła okiem na wyświetlacz.

Adam! Wyszła na korytarz i odebrała.

— O co chodzi?

— Musimy porozmawiać — w głosie młodego człowieka pobrzmiwała nieskrywana emocja — chyba zauważyłem coś, co powinno was zainteresować.

— Porozmawiamy w domu przy kolacji.

— W obecnej sytuacji nie mogę wracać do domu — przerwał. — Najprawdopodobniej jestem obserwowany. Ale wziąłem to pod uwagę i, jak wiesz, już jakiś czas temu wynająłem lokal w Śródmieściu. Nie chcę, żeby ktoś dowiedział się o związkach Adama Krajewskiego z rodziną Zabielskich...

— Sądzisz, że ROW dysponuje aż takim wywiadem?

— Myślę raczej o tych, co stoją za ROW-em.

— Masz jakieś podejrzenia na ten temat?

— Powiedzmy, że mam, droga ciociu. — Wyraźnie nie chciał rozmawiać przez telefon i to było zastanawiające.

— Mam wpaść do tej twojej garsoniery?

— Lepiej nie, nie będę tam sam, ale macie chyba jakieś lokale kontaktowe w mieście.

Podawała mu adres lokalu przy Wiktorskiej.

— Możesz być tam za dwie godziny? — zaproponowała, myśląc o ogromie pracy piętrzącej się przed nią. W dodatku jutro miała polecieć ze swym ministrem do Brukseli i wypadało przygotować mu tezy do rozmów.

— Będę za pół!

*

Kamienica przy Wiktorskiej swoje najlepsze lata musiała przeżyć jeszcze przed drugą wojną światową, z powstania wyszła bez większego szwanku, toteż obeszła się bez gruntownych remontów czy śmiałej przebudowy. Była

idealnie bezosobowa. Lokal kontaktowy, który ABW odziedziczyła po swych poprzedniczkach z osławioną Informacją Wojskową na czele, mieścił się na półpiętrze powyżej parteru, za wąskimi, anonimowymi drzwiami, które mieszkańcy z wyższych pięter mijali, w ogóle ich nie zauważając. Zresztą przeważnie używano windy, która na półpiętrze się nie zatrzymywała.

Ci, którzy korzystali z lokalu, starali się wchodzić do niego tylko wtedy, kiedy nikogo nie było na klatce schodowej. Wewnątrz znajdowała się wąska klatka z okienkiem wychodzącym na podwórko sąsiedniej kamienicy, które najbardziej przypominało otwór strzelniczy. Adam pojawił się o czasie i nie pukając, nacisnął kłamkę.

Drzwi nie były zamknięte.

Ciotka siedziała w środku, paląc smrodliwego papierosa, tak jakby pragnęła zniszczyć do cna resztkę powietrza, która pozostała jeszcze w pomieszczeniu.

— I cóż tam nowego wykryłeś, obrońco demokracji? — rzuciła zamiast przywitania.

Przekazał jej informacje o najnowszych „naukach” Krakowskiego, podał listę nowo zwербowanych kursantów i przystąpił do najważniejszego.

— Chcą, żebym zakwaterował u siebie na kilka dni białoruskiego bojownika o prawa człowieka.

— Szlachetne zajęcie! — skomentowała ironicznie. — Dobrze przynajmniej, że to mężczyzna, bo inaczej Wanda wydrapałaby ci oczy.

— Gdyby na tym polegał cały mój problem, nie zawracałbym ci głowy. Rzecz w tym, że Witalij w najmniejszym stopniu nie wygląda na działacza opozycji.

— Po czym poznałeś? — Ton jej głosu pozostawał nadal lekko drwiący, ale Adam dobrze znał ciotkę: zawsze w ten sposób sondowała swych rozmówców.

— Po pierwsze, nie mówi po białorusku, po drugie, jego aparycja i zachowanie nie pasują do kogoś, kto ugania się po ulicach z ulotkami, ciska kamienie, gardłuje na wiecach czy drukuje samizdaty. Przypomina raczej zawodowego wojskowego. I to z jednostek specjalnych.

— Taak? — W oczach ciotki pojawiło się zainteresowanie.

— Facet jest wielki, ale zręczny i czujny. Precyzyjny w ruchach. I nadzwyczaj milczący. W ciągu paru godzin nie zamieniliśmy więcej niż pięć zdań.

— Czyli twoim zdaniem, kim może...?

— Ruskim człowiekiem, który kombinuje coś z ROW-em.

— Znasz może jego nazwisko?

— Przedstawił się jako Witalij Kozdrow.

— Poczekaj! — Zabielska wyciągnęła z torby palmtopa i włączyła właściwe programy. Zajęło jej to niecałe pięć minut.

— To ten? — zapytała na koniec.

Z niewielkiego ekranu patrzyła na Adama przyjacielsko uśmiechnięta twarz Białorusina, tym razem ukryta za rogowymi okularami.

— Tak, to on, trochę ucharakteryzowany.

— Wszystko się zgadza — mruzczała pani podinspektor. — Witalij Kozdrow, handlowiec z Mińska. Wczoraj w nocy przekroczył polską granicę. Podczas kontroli granicznej wymienił Niemcy jako cel podróży. Ciekawe... W ogóle nie zamierzał wysiadać w Warszawie. Daj mi trochę czasu. Sprawdźmy ptaszka. Tylko bądź ostrożny!

— Będę!

9. Bezpieczne miejsca

Punktualnie o godzinie jedenastej emerytowany policjant Wolfgang Ast wyprowadził z garażu ulubione auto Ałły. Wielkie bmw z dwoma fotelikami dla dzieci z tyłu i ogromnym bagażnikiem, przydatnym podczas wyjazdów na rodzinne pikniki.

Wyjechał samochodem na ulicę, zgasił silnik. Potem wrócił przed garaż, metodycznie zaryglował go od środka, stoczył krótką utarczkę z dziećmi, które koniecznie chciały jechać po mamę. Dyskusję uciął zdecydowanym „Nie dzisiaj!”, po czym wyszedł z domu, rozglądając się czujnie. Uliczka na Bruderholzu była pusta. Na lotnisko w Miluzie, położone zaledwie kilkanaście kilometrów za granicą francuską, dojechał o czasie. Osmanowa ukazała się w drzwiach terminalu dziesięć minut po wylądowaniu samolotu. Poza podręczną torbę nie miała ze sobą żadnego bagażu, toteż kiedy rzucił się otwierać bagażnik, machnęła tylko ręką.

— Nie trzeba!

Wyglądała na bardzo zmęczoną.

Ruszyli. Dystans dzielący ich od domu był zbyt krótki, żeby zapadać w sen, toteż mimo opadających powiek Ałła zauważyła natychmiast, jak nie dojeżdżając do granicy szwajcarskiej, Wolfgang zjechał w skręcającą w prawo wąską drogę pośród małych francuskich osad.

— Dokąd to? — zawołała.

— Ktoś chce z tobą porozmawiać! — odrzekł z pewnym zakłopotaniem.

Zaprotestowała gwałtownie, ale twarz starego mężczyzny pozostała nieporuszona.

— Nic ci nie grozi! — powiedział, siląc się na spokój. — Bardzo mi

przykro, ale robię, co muszę. Zagrozili — nie musiał mówić kto — że jeśli nie będziesz współpracować, na zawsze pożegnasz się z dziećmi.

— Przecież wiesz, czyje to są dzieci?!

— Wiem i dlatego, jeśli będziesz postępować wbrew poleceniom, to resztę życia spędzą pod opieką swego ojca.

Tymczasem wiejskie zabudowania się skończyły, droga skręciła w ustronny lasek. Ast zatrzymał bmw i wskazał na oddalony o pięćdziesiąt metrów mercedes.

— Czekają tam na ciebie... Masz pójść sama.

Przestraszona, rozejrzała się dookoła, jakby licząc, że ktoś może udzielić jej pomocy, ale nawet ikona Matki Boskiej Kazańskiej kołysząca się przy przednim lusterku wydawała się bezradna.

Na miękkich nogach doszła do mercedesa o przyciemnionych szybach. Ta od strony kierowcy się otworzyła. W środku zobaczyła eleganckiego mężczyznę, który już na pierwszy rzut oka wydał jej się znajomy. Z ulgą stwierdziła, że jest sam i zamiast wciągnąć ją do środka, wyszedł na powitanie.

— Redaktor Sorokin — wykrztusiła po dłuższej chwili. — To chyba nie najlepsza chwila na wywiad.

— Dziś reprezentuję bardziej kontrwywiad, szanowna pani — uśmiechnął się, dwornie cmoknął ją w rękę i zaprosił do środka. — Musimy porozmawiać.

— Nie mam panu nic do powiedzenia!

Zlekceważył tę odzywkę.

— Zapraszam do środka. — Tym razem zabrzmiało to bardziej kategorycznie. — Jeśli odpowie pani na kilka moich pytań, rozstaniemy się w pełnej zgodzie.

— A jeśli nie?

Zrobił zafrasowaną minę.

— Może się okazać, że Wadim i Wołodia znajdują się pod niewłaściwą opieką i będą musieli wrócić do Moskwy.

Wsiadła, widać było, że jest bardzo poruszona.

— O co wam chodzi?! — wybuchnęła. — Nigdy nie zrobiłam czegokolwiek, co mogłoby zaszkodzić Rosji i jej władzom. Nie udzieliłam ani jednego wywiadu, nie dopuściłam się najmniejszej niedyskrecji, mogącej postawić pana prezydenta w złym świetle...

— Wszyscy jesteśmy za to pani niewymownie wdzięczni. Dlatego chodzi o drobiazg. O podróż, którą pani odbyła w towarzystwie swoich nowych przyjaciół.

— O ile wiem, istnieje w Europie swoboda podróżowania.

— Naturalnie, nie ma dzisiaj żadnych „żelaznych kurtyn”. Toteż jedynie chcemy uzyskać informację, czego pani towarzysze szukali i co zostało znalezione...

Ktoś zastukał w okno wozu, Kontroler odwrócił głowę i ze zdumieniem zobaczył lufę pistoletu na wysokości swoich oczu.

„Czy szkło w tym samochodzie jest pancerne?” — pomyślał Sorokin, ale w tym momencie szyba rozprysła się na milion kawałków.

— Trzeba było przyjechać służbowym wozem — usłyszał głos strzelca. Głos, który przesłuchiwał na licznych nagraniach.

— Rykow? — wybąkał z niedowierzaniem.

— We własnej osobie, towarzyszu! Mam nadzieję, że cię nie drasnąłem. — Tu zwrócił się do zaskoczonej jego pojawieniem się Ałły. — Bądź łaskawa i wysiądź z samochodu. Przejdź do swojego auta i podjedź tu do nas. A my tymczasem — zwrócił się do Kontrolera — sobie porozmawiamy.

— Popelniasz ogromny błąd, Rykow — wysapał generał.

— Nie pierwszy, nie ostatni. Ale skoro chciałeś wypytywać panią Osmanową, to ja zadam ci pytanie. Na czym polega operacja „Inga”...?

Zauważył błysk w oku Sorokina, mimo że reszta twarzy pozostała kamienna.

— Nie mam pojęcia — burknął. — Jestem tylko skromnym żurnalistą, którego poproszono o pośrednictwo w rodzinnych rozmowach...

— Gówna prawda! — Igor postanowił okazać zdecydowanie. — Masz minutę na wyjaśnienia. — To mówiąc, odbezpieczył pistolet.

— Popęlnisz cholerny błąd... — powtórzył oficer.

Prawie równocześnie gdzieś z oddali huknął strzał i kula zrykoszetowała po karoserii mercedesa.

Zaskoczony Igor błyskawicznie przykląkł, a Kontroler wykorzystał okazję i przez siedzenie pasażera wyturlał się na zewnątrz. Rykow strzelił za nim i chyba trafił, bo usłyszał jęk, a Sorokin znikł za samochodem.

W tym momencie odezwał się karabin maszynowy. Dopiero teraz zza drzew wyłonił się kabriolet z blond dziewczyną za kierownicą i masywnym facetem w ciemnych okularach, z automatem w ręku... Najwyraźniej ubezpieczali Kontrolera i zwabieni strzałem przystąpili do akcji.

— Niedobrze — Inżynier przypadł do ziemi, zastanawiając się, czy leżący po drugiej stronie samochodu Rosjanin jest uzbrojony. Na szczęście chwilę potem z piskiem opon nadjechała Ała. Bezwładny Wolfgang kołysał się na tylnym siedzeniu między dziecięcymi fotelikami.

— Wsiadaj! — krzyknęła do Igora.

Nie musiała dwa razy powtarzać, wskoczył do samochodu. Ruszyli, słysząc przeraźliwe krzyki leżącego Sorokina: „Nie strzelać, nie strzelać!”. Wyraźnie nie chciał dopuścić, aby Ała oberwała.

Ogień ustał zresztą chwilę przedtem.

„Trudno” — pomyślał Worobiov, zdejmując palec ze spustu. „Dorwiemy Rykova przy innej okazji”.

Na razie trzeba było pilnie zająć się Kontrolerem. Krew tryskała z przebitej tętnicy udowej jak ze strażackiego węża.

„Od kiedy to dowódcy mieszają się w akcje terenowe?” — zastanawiała się Jegorowa, klękając przy rannym.

Tymczasem bmw Osmanowej bez przeszkód zniknęło za zakrętem.

— Jesteś kochany! — szepnęła śpiewaczka, całując Igora w policzek. — Wierzyłam, że przybędziesz z pomocą, ale nie sądziłam, że nastąpi to tak prędko.

— Wykonałem jedynie nasz plan. Kiedy ty, dla zmylenia przeciwnika, kręciłaś się po Europie, przyleciałem, posługując się mym kolumbijskim paszportem, bezpośrednio do Bazylei.

— Rzeczywiście udało się ich zmylić! — parsknęła. — Ale jak poradziłeś sobie z Wolfgangiem?

— Wykorzystałem twoje wskazówki. Oczekałem, aż pan Ast wyprowadzi samochód na ulicę. Kiedy odszedł, przy pomocy kluczka, który mi dałaś, dostałem się do bagażnika. I czekałem spokojnie, aż ten zdrajca pojedzie wydać cię w łapy czekistów.

— Nie wierzyłam, że to zrobi... Wolfgang? Mój Boże! Taka bliska osoba!

— Nie wiem, co na niego mają. Ale każdy, jeśli jest na haku, może posłużyć za przynętę. Byłem prawie pewien, że spróbują zrobić coś takiego. Nie wziąłem jedynie pod uwagę tego, że ten kagebista zechce się aż tak ubezpieczyć. Miał przeciw sobie jedynie słabą kobietę.

— Nie taką słabą — sprostowała. — Zresztą naszą przeciwniczką też była kobieta... — Urwała, zauważając, że jego rysy dziwnie stężały. — Co się stało, Igorze?

Przez krótką chwilę wyraźnie wahał się, czy jej powiedzieć, wreszcie wydusił z siebie:

— Przypomniało mi się, skąd znam tę parkę z kabrioletu. Przynajmniej kobietę... Jestem prawie pewien, że była w Liechtensteinie, kiedy zginęli Zina i Mordakow. Jebana zabójczyni!

Osmanowa nic nie powiedziała. Skupiła się na kierowaniu samochodem, tylko palce tak mocno zacisnęła na kierownicy, aż pobieleły z wysiłku. Dopiero po paru minutach opanowała się i rzuciła okiem w lusterko, które skrzywiła tak, aby mieć na oku bezwładnego Asta.

— Co z nim?

— Sądzę, że za jakiś czas się ocknie. Nie uderzyłem go jakoś szczególnie mocno. Chociaż mu się należało.

Przed granicą zatrzymali się na chwilę, która wystarczyła Igorowi, aby zdemontować lokalizator umocowany do podwozia bmw i wyłuskać dwie pluskwy ukryte we wnętrzu samochodu.

— Mam nadzieję, że to wszystko — powiedział.

Zbliżając się do wzgórza Bruderholz, Ała zadzwoniła do swej siostry Katii, polecając jej ubrać chłopców.

— Procedura E-3 — dodała z naciskiem.

— Co takiego? — Igor uniósł w zdumieniu brwi.

— Nasz prywatny szyfr, na wypadek gdyby ktoś podsłuchiwał rozmowę. W tym przypadku oznacza ewakuację według wariantu trzeciego. — Tu wreszcie się uśmiechnęła. — Czemu się tak dziwisz? Swego czasu Alosza zrobił nam niezłe przeszkolenie z propedeutyki agentury.

— I na czym miałby ten wariant polegać?

— Katia wywiezie chłopców swoim samochodem...

— I to byłby błąd, kochanie. Nasi przeciwnicy są wystarczająco sprytni, aby naszpikować oba wasze wozy elektroniką. Ten chyba jest czysty, ale drugi... Jeśli pozwolisz, zrobimy inaczej. Zadzwoń tylko do siostry, żeby za dziesięć minut wyszli z domu.

— Skoro nalegasz...

Na parkingu przy Kannenfeldpark zostawili bmw razem z komórką Ały schowaną w bocznej kieszeni drzwi.

— Biedactwo, czy ja cię kiedyś jeszcze zobaczę? — szepnęła czule śpiewaczka, głaszcząc karoserię samochodu.

— Nie czas żałować aut, kiedy płoną stacje benzynowe! — mruknął, w swym mniemaniu dowcipnie, Rykow.

Taksówką dojechali pod dom na Bruderholzu. Katia z bliźniakami czekała na schodach w towarzystwie męża policjanta. Osmanowa wręczyła siostrze kluczyki, informując, gdzie będzie mogła odebrać samochód i nieprzytomnego teścia. Dzieciaki, szalejące ze szczęścia na widok matki, posłusznie wsiadły do taksówki, w której miejsce obok kierowcy zajmował postawny mężczyzna. Przywitał się z chłopcami serdecznie jak ktoś z rodziny.

— Wujek Igor jestem — powiedział.

Potem na wypadek ewentualnego ogona posłużyli się prostym zabiegiem. Taksówką podjechali na tyły dworca SBB, gdzie cała czwórka wysiadła i tunelem szybko przebiegła na drugą stronę dworca. Po wyjściu na miasto skręcili w małą uliczkę. Tam błyskawicznie nadjechał jasny mikrobusik bez okien. Za kierownicą siedział Charles. (Jak zdążył wrócić z Warszawy, pozostawało jego tajemnicą).

— Wskakujcie! — zawołał.

Kiedy Osmanowa gramoliła się razem z dziećmi, Rykow popatrzył w górę i odetchnął z ulgą — jeśli ktokolwiek pragnął obserwować ich za pomocą drona czy satelity, rozczarowałyby się srodze — wsiadających do samochodu skrywała markiza restauracji.

Trzy sekundy potem już ich nie było. I nawet po przegrupowaniu sił ludzie Kontrolera nie mogli nic im zrobić.

— Jak podróż? — zapytał Smith, zwinnie manewrując w ruchu ulicznym.

— Z przygodami — odpowiedzieli, po czym Igor zrelacjonował przebieg rozgrywki pod Miluzą i zakończył stwierdzeniem: — Nasi przeciwnicy koniecznie chcą dowiedzieć się, czego się dogrzebaliśmy.

— Dlatego może lepiej, że nie wiedzą, jak naprawdę mało wiemy — dorzuciła Ała.

Pół godziny potem, po przejechaniu granicy niemieckiej dotarli na niewielkie lotnisko w miasteczku Lörach, gdzie czekał na nich specjalny samolot. Osmanowa, wiedząc z grubsza o planie jej ewakuacji, spodziewała się, że na ten cel została wycarterowana awionetka ku jej zaskoczeniu na pasie oczekiwał piękny gulfstream, jak ją poinformowano, dopiero od paru tygodni znajdujący się na wyposażeniu sił specjalnych. W środku czekała nadinspektor Kamilla Zabielska.

— Czy to lot sponsorowany? — dopytywała się Ała. — Wynajęcie takiego odrzutowca to przecież majątek?!

— Ależ nie, akurat zawiozłam moich przełożonych na naradę ministrów spraw wewnętrznych do Brukseli, a po drodze nieco zboczyłam z trasy.

— I dokąd zamierzacie nas zabrać?

— Do Polski — wyjaśnił Igor. — Uznaliśmy, że tam będzie najbezpieczniej.

— W dodatku — dorzuciła Kama — prezydent Pobiedin, wiedząc, że tam przebywacie, pięć razy się zastanowi, zanim wyśle atomówkę na Warszawę.

*

Podróż przebiegła bez komplikacji, jeśli nie liczyć dzieciaków, które — gdyby nie nieustanne interwencje matki i pewien respekt odczuwany przed Igorem, który wydawał się im olbrzymem z baśni braci Grimm — z pewnością rozebrałyby samolot od środka.

Po niecałej godzinie wylądowali na lotnisku w Mińsku Mazowieckim, zdecydowanie lepiej chronionym przed oczyma ciekawskich niż aeroport na Okęciu. Stamtąd niepozorny ford transit, należący do ABW, przewiózł ich do domu Zabielskich.

W porównaniu z willą na Bruderholzu budynek nie robił wrażenia twierdzy,

ale jak poinformowała witająca ich Monika Zabielska, zarówno wzmocnienie ścian, jak i systemy elektroniczne zabezpieczały go nieźle przed niespodziewanymi gośćmi. W dodatku za sprawą Kamilli obiekt otrzymał całodobową ochronę w postaci dwójki co jakiś czas zmieniających się funkcjonariuszy.

— Czy to nie jest przypadkiem wykorzystywanie uprawnień służbowych do celów prywatnych? — zaniepokoił się Igor.

— Och nie! — zaprzeczyła Zabielska. — Zeznania, które złożycie, a szczególnie pani Osmanowa, będą miały ogromne znaczenie dla naszych służb.

— Tylko co ja wiem? — odezwała się Ała. — Ani prawdziwy Pobiedin, ani jego zmiennik nie dopuszczali mnie do swoich tajemnic.

— Na to nie liczymy — odparła Kama. — Ale jutro spotkają się z panią nasi specjaliści od profilów psychologicznych, którzy na podstawie drobnych reakcji, przyzwyczajęń i zachowań potrafią stworzyć bardzo prawdopodobny model przeciwnika. Dzięki pani, mam nadzieję, zdołamy ustalić, w jakim stopniu jest przewidywalny, jakie ryzyko jest gotów ponieść i czego można się po nim spodziewać.

— Rozumiem — skinęła głową. — A gdybym tak wykazała niechęć do takiej współpracy? Zmusicie mnie?

— Do niczego nie zamierzamy pani zmuszać. Z własnej woli dała pani mnóstwo dowodów swego zaangażowania. I chyba w równym stopniu jak my zna wagę stawki w tej rozgrywce.

— A wiecie chociaż, co to za rozgrywka?

— Z pani pomocą zamierzamy to ustalić. Możemy podejrzewać, że duże znaczenie mają w niej odegrać tak zwani uchodźcy. Z sygnałów otrzymywanych z Interpolu i tajnych służb państw frontowych wynika, że za przemytnikami ludzi w znakomitej większości stoi mafia rosyjska.

— Sprywatyzowane GRU! — odpowiedział Igor.

— Nie zamierzam zaprzeczać. Nadzór *razwiedki* nad tym biznesem jest oczywisty. Niestety nie można tego szczegółowo udowodnić. Kilkoro ludzi gotowych sypać szybko opuściło ten „padół łez”.

Dalszą rozmowę przerwało zaproszenie na posiłek.

Kamilla wymówiła się, musiała wracać do pracy. Monika oświadczyła, że nie ma co liczyć na udział Bogdana i Wandy.

— Są w ferworze działania, zadzwonili jedynie, żeby poinformować, że śledztwo jest rozwojowe i muszą wyjechać poza Warszawę.

Po kolacji większość czasu wypełniło rozlokowanie gości. Dla Osmanowej i jej potomstwa przeznaczono dwa pokoje prawego poddasza. Spadziste sufity i małe okienka wzbudziły zachwyty bliźniaków.

— Jak zamek z bajki! — orzekli.

Kolejny pokój na tej kondygnacji przydzielono Rykowowi, następnemu doktorowi Majewskiemu i mecenasowi Bortnikowi. Charles swoim zwyczajem wymówił się kwaterą w mieście.

„Może ma tam jakąś kobietę?” — zastanawiała się Ała.

Nie doczekali się ani powrotu detektywów, ani Adama i postanowili pójść spać stosunkowo prędko. Doktor ciągle był jeszcze rekonwalescentem, Igor miał prawo być zmęczony, a Bortnikowi nie uśmiechały się długie rozmowy z panią Zabielską. Zdecydowanie preferował męskie towarzystwo!

Toteż już koło dziesiątej Monika zaprowadziła ich do pokoi.

Od chwili opuszczenia Szwajcarii Rykow nie miał okazji porozmawiać z Ałą sam na sam. Zastanawiał się, czy emocje, które poniosły ich w Berlinie, mogą mieć jakieś dalsze konsekwencje, ale był zbyt senny, aby to sprawdzać.

Pokój na poddaszu był czysty, pościel mocno ukrochmalona, żywicznie pachniała świeża boazeria. Rozbierając się, zdołał jedynie skonstatować, że przydzielone mu pomieszczenie łączył wspólny balkon z apartamentem

Osmanowej. Czy gospodyni kierowała się tu jakimś głębszym zamysłem, czy po prostu tak wyszło?

Naprawdę niczego nie planowali. Chociaż pewnych spraw po prostu nie sposób zaplanować! Igor obudził się mniej więcej po czterech godzinach snu. Niebo za oknem było mroczne. Nie słyhać było ptaków, ale romantycznie cykały świerszcze. Rykow wstał i wyszedł na balkon. Powietrze miało upajający zapach i smak. Zaczerpnął go pełną piersią. I dopiero wówczas zobaczył postać w bieli na krańcu balkonu.

— Ała? — zapytał półgłosem.

— Nie mogę spać. To pewnie przez nowe miejsce...

Stała oświetlana jedynie blaskiem księżyca w prześwitującej nocnej koszulce, dalekiej od standardów obowiązujących w żeńskich zakonach.

Zbliżył się do niej. I otoczył ramieniem. Zadrżała.

— Zimno ci? — zapytał.

— Przeciwnie, chyba za gorąco.

Odwrócił ją delikatnie i pocałował rozchylone usta.

Smakowały słodkim likierem, którym przy kolacji częstowała Zabielska, i czymś jeszcze, czego nie potrafił zdefiniować.

Oddała pocałunek. Jej język wybiegł mu na spotkanie. Ręce kobiety objęły go, pełne piersi mocno przywarły, a łono natarło na wyprężoną męskość.

Namiętne przytulenie trwało najwyżej trzy sekundy.

— Lepiej nie! — Osmanowa odsunęła się pod niego. Drżała cała, a jej policzki płonęły.

— Co ty mówisz?

— Lepiej nie! — powtórzyła. — Nie chcę znowu kogoś oplakiwać!

Nadal niczego nie rozumiał.

— Można śmiać się z opowieści na temat kobiet fatalnych, ale masz właśnie jedną z nich przed sobą. Nie przynoszę szczęścia moim mężczyznom.

— Rozumiem, Pobiedin ledwie cię poznał, został kaleką, a Mordakow zginął po paru latach romansu. Tyle że to jeszcze żadna prawidłowość.

— Byli inni. — Zauważył, że się mocno zmieszała. Jednak postanowiła niczego przed nim nie ukrywać. — Przed Pobiedinem spotykałam się z chłopakiem z podwórka, Wanią. Pierwsza miłość. Nieporadny seks... Długo to nie trwało, wkrótce po tym, jak wpadłam w oko „carowi”, mój chłopak zabił się na motorze.

— Ale chyba trudno obwiniać cię o to...

— Pozwól, że skończę. Po tym, jak straciłam kontakt z prezydentem, przeżyłam krótkotrwały związek z moim akompaniatorem. Długie trasy koncertowe zbliżają do siebie ludzi nawet bardzo od siebie odległych, natomiast alkohol ośmiela... No i stało się, ale też niedługo to trwało. W Meksyku podczas fiesty pokłóciłam się z nim o jakiś drobiazg i poszłam sama w miasto... Kiedy wróciłam, zastałam go powieszonoego. Nie zostawił żadnego listu. Nie miał, jestem prawie pewna, żadnych powodów...

— Przypuszczasz, że ktoś mu pomógł?

— Może. Nie mam żadnych dowodów... Potem był Alosza. Wreszcie w zeszłym roku w listopadzie... Trudno to nawet nazwać romanssem. Postanowiłam spędzić weekend z moim terapeutą w Alpach... Pojechaliśmy na narty do Zermatt. Już pierwszej nocy doktor Claude zaproponował mi „ćwiczenia rozluźniające”... Pomyślałam, czemu nie? Seks bez żadnych zobowiązań. Pierwszy raz w życiu. Zdecydowanie mi pomogło. Jemu chyba nie. Trzeciego dnia jeździliśmy cały dzień, korzystając z wyciągów. Trochę przesadziliśmy z brawurą. Na pewno nie powinniśmy zjeżdżać o zmierzchu trudną trasą z Klein Matterhorn. Pan doktor miał pecha, zjechał z trasy i runął w głęboką rozpadlinę. Nie było mnie przy tym. Obluzowała mi się narta i zostałam z tyłu. Dziwiłam się trochę, że na mnie nie czekał. Dopiero gdy zjechałam na dół, zorientowałam się, że nigdzie go nie ma. Szukali go całą

noc. Znaleźli zamrożonego na kość w południe następnego dnia... Śledztwo nie stwierdziło udziału osób trzecich...

— Znam ten schemat.

— Więc sam rozumiesz. Nie chcę, żeby cokolwiek stało się tobie.

— Nie stanie się!

Zrozumiała, że rozsądek pozostawili z dzienną zmianą odzieży. Co gorsza, pragnęła go. Jak nikogo wcześniej. Ponowiła jednak wysiłek.

— Igorze, powtarzam. Uciekaj ode mnie, póki czas! Wszystkich, których pokocham, spotyka tragedia. Ale to nie wszystko, w Berlinie prawie byłam gotowa, ale myślałam, że to będzie, krótki niezobowiązujący romans, po którym każdy wróci do swojego życia.

— Ja nie mam swojego życia! — Delikatnie gładził jej ramiona.

— Ale ja mam! W dodatku mam dzieciaki tego „Minotaura”, który jest sprawcą wszystkich twoich nieszczęść. Nie oddam ich nikomu...

— Rozumiem, ale...

— Nic nie mów, niczego nie obiecuj. Mam do ciebie jedną wielką prośbę: zostań ze mną do świtu, albo więcej, do końca całej akcji. Nie dłużej. Niczego sobie nie obiecujemy, tylko spróbujmy zapomnieć o reszcie świata i bądźmy chociaż chwilę szczęśliwi!

Więc spróbował. Delikatnie pchnął ją na łóżko, peniuar spłynął z niej jak uciekająca fala, piersi wyprężyły się same spragnione jego ust, łono uchyliło z lekka, czekając pierwszego pchnięcia.

Wszedł w nią tak jakby był pierwszym i ostatnim człowiekiem na Ziemi, zapominając wszystkie inne twarze, fascynacje, złudzenia.

I tylko w chwili szczytowania wydało mu się, że z gęstego mroku w kącie pokoju spogląda na niego potwornie okaleczona twarz Pobiedina.

Ale to on, inżynier Rykow, był tej nocy imperatorem!

10. Śledztwo

Każdy uciekinier, nawet jeżeli uważa się za wyjątkowo sprytnego, pozostawia po sobie ślady. Agata Nowicka nie była wyjątkiem. Wprawdzie skasowała pliki i wyczyściła dyski w swoim komputerze, ale Emil Łęski, wąły, wiecznie niedogolony informatyk na usługach Zabielskich, który już po godzinie zjawił się w luksusowym mieszkaniu pary dentystów, twierdził, że ich zawartość da się dość łatwo odtworzyć.

— Dajcie mi trzy dni — poprosił.

— Musi ci wystarczyć doba! — naciskał nieubłaganie Bogdan.

— Będę musiał rzucić wszystkie inne zajęcia.

— No to rzuć!

— Sądysz, że pośpiech w tej sprawie jest aż tak ważny? — dopytywał się informatyk.

— W przypadku zaginięcia decydująca jest pierwsza doba.

— W takim razie już się poszkapiliście, bo minęło półtorej.

— Tym bardziej bierz się szybko za robotę.

Po rozmowie z rodzicami zaginionej najlogiczniejsze wydawało się porozmawianie z jej najbliższą przyjaciółką czy, jak kto woli, „siostrą w islamie” — Dominiką Krysiakówną. Mieszkała na tej samej klatce Bursztynowego osiedla tuż obok kościołka na Gocławku.

— Niestety, rodzice Dominiki okazali się przezorniejsi od nas — wyjaśniła Anna Nowicka. — Tydzień temu pan Krysiak, budowlanec od kilku lat pracujący sezonowo pod Glasgow, zabrał córkę do siebie, mając nadzieję, że szkockie powietrze wywieje egzaltowanej pannicy islamskie fascynacje.

— Rozumiem, że Agata źle odebrała ten wyjazd? — zapytała Wanda.

— Fatalnie. W ogóle przestała się odzywać do kogokolwiek!

Mimo to próbowali sporządzić listę kolegów, a także bliższych i dalszych krewnych zaginionej.

— To nic nie da! — stwierdził doktor Nowicki. — Skontaktowaliśmy się ze wszystkimi osobami, które mogły coś wiedzieć o jej zamiarach. A do babci Broni pojechaliśmy jeszcze tej nocy.

— Dlaczego akurat do niej?

— Moja matka była jedyną w rodzinie osobą, do której Aga miała ciągle pełne zaufanie i już raz kiedyś po awanturze do niej uciekła.

— I czego się dowiedzieliście?

— Moja mama nie miała pojęcia, że Agata zniknęła.

W oczekiwaniu na rezultaty odzyskiwania danych z komputera detektywi skontaktowali się z policją i sprawdzili wszelkie dostępne dane, o wypadkach, incydentach. Agaty nie było w żadnej kostnicy ani szpitalu.

Pewną nadzieję stwarzał zapis billingów z telefonu komórkowego dziewczyny.

Normalnie jest to sprawa skomplikowana, ale dzięki Kamilli, która nigdy nie była formalistką i przymknęła oczy, jeden z dawnych kolegów Bogdana udostępnił mu rejestr telefonicznych rozmów dziewczyny, a także dane pochodzące z telemetrii, toteż mogli zająć się wędrówkami komórki Agaty.

Dane na ten temat dotarły do ich biura około czwartej po południu. Od zniknięcia Agaty upłynęły już trzydzieści cztery godziny. Okazało się, że panna Nowicka po swym zniknięciu jeszcze przez całą dobę nie rozstawała się z aparatem i wyłączyła go na dobre dopiero dwadzieścia sześć godzin po opuszczeniu swego mieszkania. Można było przypuszczać, że dokonała tego na czyjeś wyraźne polecenie. Do próby ostatniego połączenia doszło przed godziną dziesiątą w okolicy stacji metra i dworca autobusowego na Młocinach, a wybierany numer należał do nieczynnej o tej porze szkolnej

czytelnia na Grochowie.

— Wygląda to na próbę wpuszczenia nas na fałszywy trop — powiedziała Wanda.

— Dlatego na razie prześledźmy całą drogę, którą odbyła komórka, prawdopodobnie razem ze swoją właścicielką.

Pomysł wyglądał na dość rozwojowy.

Wzięli mapę Warszawy i narysowali punkty wszystkich logowań telefonu. Między piątą a szóstą rano Agata pięciokrotnie usiłowała się połączyć z numerem, który, jak się okazało, od kilku dni przestał funkcjonować. Był to telefon na jednorazową kartę, którego właściciel pozostawał nieznany, a lokalizacja była niemożliwa.

Prawdopodobnie wkrótce po kolejnej nieudanej próbie dziewczyna kilkanaście minut po szóstej zdecydowała się opuścić mieszkanie. Zgadzało się to z zeznaniami matki, która twierdzi, że o siódmej, kiedy wstała, już jej nie było. Z kolejnych logowań wynikało, że jej pierwszym punktem docelowym była ulica Siennicka na Grochowie, gdzie, jak dowiedzieli się od Nowickich, mieszkała najstarsza przyjaciółka Agaty, Kinga. Prawdopodobnie jej nie zastała — dziewczyna wyszła do szkoły, rodziców też nie było w mieszkaniu.

Wyglądało na to, że zatelefonowała do niej o 7.55. Jednak rozmyśliła się i rozłączyła, zanim Kinga zdążyła odebrać. Potem zaczęła się lekcja, a gdy po czterdziestu pięciu minutach przyjaciółka usiłowała oddzwonić, Agata nie odebrała połączenia.

— Potrafisz to wytłumaczyć? — Bogdan zwrócił się do swej asystentki.

— Rozchwianie emocjonalne. Gonitwa myśli. Rezygnacja z pomysłu w trakcie realizacji, strach...

Następna lokalizacja — bloki przy ulicy Meissnera na Gocławiu. Tu Agata zabawiła nieco dłużej, dzwoniąc jeszcze dwa razy na ten sam nieistniejący już

numer. Trzy godziny potem nieoczekiwanie znalazła się w Józefowie. A ściślej mówiąc, w lesie pomiędzy dawnym letniskiem a wsią Emów. Co tam mogła robić, nie wiadomo. Z Józefowa popołudniem kolejką przejechała aż do położonego na drugim krańcu Warszawy Ursusa. I najwyraźniej tam, w blokach położonych nieopodal Alej Jerozolimskich spędziła wieczór i noc. W tym czasie wielokrotnie dzwoniły do niej matka i Kinga. Jednak Agata już nie użyła swego telefonu. Historie jego peregrynacji zamykała tajemnicza próba połączenia wybranego na Młocinach.

— Od czego byś zaczęła? — Zabielski popatrzył na swą asystentkę, a przy okazji synową.

— Od końca! — wypaliła. — Czyli od Młocin.

— Gdybyśmy wiedzieli, kogo należy szukać, zapewne tak. Przejrzelibyśmy nagrania z miejscowego monitoringu i ustalili, dokąd nasza uciekiniarka się udała. Sądzę jednak, że w ogóle tam się nie pojawiła, co najwyżej ktoś z jej aparatem. I wcale bym się nie zdziwił, znajdując jego szczątki w którymś z okolicznych koszy na śmieci.

— Co więc proponujesz?

— Pójść chronologicznie śladem rozmów.

Zaczęli od licealistki Kingi, którą na szczęście zastali w domu. Wydawała się bardzo zaniepokojona ucieczką przyjaciółki, wieści o jej poszukiwaniu dotarły do szkoły. Kinga już na pierwszy rzut oka stanowiła przeciwieństwo Agaty Nowickiej, nieszczerólnie atrakcyjnej fizycznie (tęgawej, niskiej, z brzydką cerą). A na pewno mało fotogenicznej. Kinga strzelista, blond słowiańska, prawem kontrastu powinna być o wiele atrakcyjniejsza dla dżihadystów, ale jakoś nie wpadła im w ręce.

Różnice między dziewczętami nie były szczególnym zaskoczeniem dla Bogdana. Znał zasadę, że ludzie dobierają się często wedle przeciwieństw, a piękne dziewczyny szukają brzydka na swe powiernice.

— Wiele państwu nie pomogę — zapowiedziała Kinga. — Owszem, jeszcze w zeszłym roku byłam najbliższą przyjaciółką Agaty. Papużki nierozłączki, tak o nas mówiono. Ale co najmniej od pół roku nasze kontakty właściwie uległy zerwaniu.

— Widywałyście się przecież codziennie w szkole?

— Ostatnio Agata cały czas wagarowała.

— I nic o niej nie wiesz? Gdzie przebywała, z kim...?

— Niewiele poza tym, że zupełnie odbiło jej z tym islamem. A jeszcze bardziej z islamistami.

— Orientujesz się, jak do tego doszło?

— Powiedziałabym, że dosyć śmiesznie.

— Czyli?

— Badając swoje korzenie rodzinne, znalazła jakiego pradziadka Tatara, potem nawiązała kontakty w Internecie z tym środowiskiem, nie wyglądało to szczególnie groźnie, aż jakieś pół roku temu nawinął się Szamir.

— Szamir?

— Z tego, co wiem, kiedyś nazywał się Stasiek. Ale ostatnio szpanował nowym pseudo. Od tej znajomości kompletnie przewróciło jej się w głowie... W dodatku od chwili, gdy się poznali, przestała mi się zwierzać. Dopiero w ostatnim tygodniu zadzwoniła do mnie ze trzy razy w niedzielę i zaprosiła mnie do domu. Rozmawialiśmy głównie o szkole. Była przygotowana na oblanie roku, bo tak zabagniła sprawę, że nie warto nawet próbować się wyciągać, ale równocześnie stwierdziła, że po wakacjach zacznie wszystko od początku.

— Rozmawialiście o tym Szamirze?

— Nie. W ogóle poza sprawami nauki nie gadałyśmy o niczym istotnym. Miałam wrażenie, że pragnie powiedzieć mi o czymś ważnym, ale brakuje jej odwagi. Wymieniałyśmy aktualne plotki o koleżankach, na przykład o jej

psiapsiółce Dominice, którą stary wywiózł do Anglii... Teraz myślę, że jedno zdanie mogło być szczególnie ważne. Zapytała mnie, co bym zrobiła, gdyby mnie chłopak wyrolował.

— No i...?

— Nie mogłam jej nic poradzić, nie miałam chłopaka. W każdym razie wydawała się smutna i znerwicowana. A nawet wyglądało, jakby się czegoś przestraszyła.

— Taak? — Wanda zauważyła, że jej rozmówczyni się zawahała.

— Pytałam ją, czy nie mogę jej w czymś pomóc, ale zmieniła temat.

— Czego może przestraszyć się zauroczona nastolatka — zastanawiał się Bogdan. — Może ktoś zażądał od niej zbyt wiele...?

Kolejnym etapem rajdu było osiedle na Gocławiu. Po drodze zasięgnęli opinii na temat Szamira. Kamilla skierowała ich do swej libańskiej asystentki, a panna Abbadi błyskawicznie znalazła dla nich czas.

— Szamir, a jak nazwisko? — zapytała.

— Nie mamy pojęcia, wiemy, że jego polskie imię to Staszek.

— Dajcie mi trochę czasu, to coś sprawdzę.

Oddzwoniła, gdy tankowali benzynę na stacji na rogu Emila Fieldorfa.

— Mam jednego gościa, który chyba pasuje — powiedziała.

— Dyktuj, zanotuję.

— Stanisław Kruk pseudo Szamir, rocznik 1990 — powiedziała. — Związany ze środowiskiem wyznawców Mahometa, choć dotąd nie był przedmiotem jakiegoś szczególnego rozpracowania. Choć chyba powinien...

— Co masz na myśli?

— Mimo młodego wieku zgromadził bogatą kartotekę przestępczą. Pochodzi z patologicznej rodziny z Ursusa. Z aktualnych danych wynika, że jego matka nie żyje, zapiła się na śmierć, a ojciec odsiaduje długoletni wyrok w Strzelcach Opolskich. Sam Stanisław, wychowywany przez babcię, to

klasyczny młody człowiek z dziedzicznym genem agresji. Jako nastolatek karany za bójki, spędził pół roku w poprawczaku, potem załapał się na dealerkę narkotyków. Był dwa razy aresztowany, ale nic mu nie udowodniono. Trzy lata temu wyjechał do Niemiec.

— Jakież związki z islamem?

— Do tego czasu żadnych. Jednak za Łabą musiała dopaść go fascynacja Bliskim Wschodem. Zmienił imię i wyznanie. Do Polski wrócił roku temu, odmieniony. Do handlu narkotykami nie powrócił, nie zaliczył nawet jednego mandatu za złe parkowanie... Owszem, uczęszczał do meczetu, stąd jego obecność w naszej bazie, ale poza tym w jego zachowaniu nie zauważono nic podejrzanego, nie odnotowano kontaktów z Państwem Islamskim ani żadnych agresywnych wypowiedzi bądź działań. Zdaje się, że pasjonowało go głównie podrywanie dziewcząt... Ale żadna nie złożyła na niego skargi.

— To wszystko?

— Mamy jeszcze jego ostatni adres. Na Gocławiu, ulica Meissnera. Dlaczego pytacie?

— Bo wydaje się nam, że stoimy przed jego blokiem.

Przed wejściem do lokalu 147 Bogdan profilaktycznie odbezpieczył broń. Nie okazało się to potrzebne.

Już po pierwszym dzwonku drzwi otworzyło mu dwoje młodych ludzi, najwyraźniej zajętych remontem lokalu. Młode małżeństwo typowych prowincjonalnych „słoików”, spędzających w stolicy pięć dni tygodnia z siedmiu. Lekko zaskoczeni wyjaśnili, że wynajęli to mieszkanie dopiero przed tygodniem.

— A poznali państwo poprzedniego lokatora? — zapytała Krajewska.

— Według właścicielki nie pokazywał się od miesiąca, a nie płacił od trzech. Pozostawił po sobie gigantyczny syf i smród jakichś orientalnych przypraw, który ustąpił dopiero po malowaniu i cyklinowaniu.

— Zostały po nim jakieś rzeczy? — zapytał jeszcze Bogdan.

— Nic wartościowego poza tym... — Pani „słoikowa” pokazała ozdobny kindżał z napisami po arabsku. — Zawieruszył się za kaloryferem.

— A reszta? Jakież papiery, książki?

— Było trochę papierów, tanich naczyń, brudnej bielizny, no i mnóstwo pustych butelek i puszek po piwie. Wszystko wywaliliśmy.

— Rozumiem, a czy moglibyśmy wziąć tę broń?

Lokatorzy skinęli głowami, a Zabielski zwinnie owinał nóż foliową torebką. Jeśli mieli szczęście, to powinny zachować się na rękojęści jakieś odciski palców.

Wanda zapobiegliwie wzięła odciski gospodarzy, resztę miano sprawdzić w policyjnym laboratorium. Już wychodzili, kiedy Bogdan odwrócił się w drzwiach.

— Jeszcze jedno pytanie: czy w trakcie państwa bytności tutaj ktoś się pytał o poprzedniego lokatora?

— Nikt — odpowiedział mężczyzna, a jego partnerka dodała: — Poza tą dziewczyną.

— Jaką dziewczyną?

— Nie przedstawiła się. Wpadła tu wczoraj rano. — Dość precyzyjnie odmalowali Agatę. — Podobnie jak państwo dopytywała się o mężczyznę, który mieszkał tu przed nami.

— I nikt więcej?

— Nikt więcej! — I już z własnej inicjatywy kobieta dodała: — Ta dziewczyna wyglądała na bardzo zdenerwowaną.

Wyszli z klatki schodowej i Zabielski rzucił do Wandy:

— Wnioski?

— Coraz mniej wygląda to na ucieczkę, a coraz bardziej na porwanie. Gdybym miała wyrokować, to powiedziałabym, że chłopak dał drapaka,

a dziewczyna próbuje za wszelką cenę go odszukać.

— Zgoda, w takim razie zobaczymy, czego szukała w Józefowie.

Przebijanie się w korku zajęło im prawie godzinę, tymczasem zadzwoniła pani Nowicka. Głos jej drżał.

— Może to będzie jakaś wskazówka dla państwa, ale właśnie znalazłam... znalazłam...

— Co pani znalazła?

Widać było, że ciężko przychodzi jej mówić.

— Jeszcze raz przeszukałam całe mieszkanie i znalazłam w koszu na śmieci opakowanie po teście ciążowym... O mój Boże, w co nasza dziewczynka się wpakowała?!

Namiary telemetryczne dostarczają informacji o miejscu, z którego telefonowano, jedynie w przybliżeniu. Mogą wskazać dom, ale nie mieszkanie, obszar leśny, ale nie konkretne drzewo.

Tym razem jednak nie mogło być mowy o pomyłce. W kompleksie leśnym, rozciągającym się na północ od drogi biegnącej równoległe do rzeki Świder, znajdował się tylko jeden nieukończony budynek, o sporych rozmiarach, wzniesiony z szarych pustaków i ogrodzony płotem zwieńczonym drutem kolczastym. Podobno w PRL-u budował tu sobie rezydencję jeden z komunistycznych bonzów, ale przerwał w nieznanym bliżej okolicznościach. Po transformacji do atrakcyjnej działki przymierzało się kilku nabywców, ostatecznie teren nabył anonimowy inwestor z zagranicy. Mówiono, że z Bliskiego Wschodu. W każdym razie na zamkniętej bramie widniał napis po polsku „Teren prywatny”. Bogdan postanowił się tym nie przejmować, tym bardziej że kilkanaście metrów dalej zauważył dziurę w siatce i wydeptaną ścieżkę prowadzącą do nieukończonego zamczyska.

Obiekt nie miał dachu, otwory okienne i przestrzenie przeznaczone na kominki stanowiły jedynie dziury z trudem dające wyobraźnię o przyszłych

luksusach. Zdążono jednak wylać silnie uzbrojony strop, a piwnica zdradzała wykorzystywanie na liczne zgromadzenia. Jakże? Odpowiedź znaleźli już po chwili. Na tylnej ścianie ktoś wymalował zieloną farbą półksiężyc.

— A więc tak wyglądają katakumby pierwszych muzułmanów! — mruknął detektyw.

Uczestników zgromadzeń musiało być niemało, o czym świadczyły liczne pety i wypełnione zaimprovizowane latryny.

Czyżby Agata była tu wcześniej, na jakimś modlitewnym spotkaniu, i desperacko szukając swego kochasia (być może ojca oczekiwanego dziecka), przybyła tutaj, spodziewając się, że dowie się, gdzie go szukać?

Robiło się coraz ciemniej, ale Zabielski doszedł do przeciwległego krańca posesji. Zauważył tu drugi wyjazd na drogę do Wiązownicy, wyraźnie używany, o czym świadczyły koleiny w rozmiękłej ziemi. Było oczywiste, że przy bramie, oświetlanej ciągle mocną lampą, dłuższy czas musiała stać spora przyczepa kempingowa, być może spełniająca funkcję wartowni. Dowodził tego niezarośnięty prostokąt ziemi i ślady po kołach. Przyczepę musiano odholować najwyżej kilka dni temu.

Wychodząc z kręgu latarni i oświetlając teren latarką, zauważyli jeszcze inne głębokie koleiny, prowadzące do drewnianej szopy kompletnie niewidocznej wśród młodych sosenek. Ją też opuszczono niedawno i widać było, że w pośpiechu. Nikt nie zadbał chociaż o przymknięcie drzwi, wcześniej najwyraźniej zamykanych na solidną kłódkę, która teraz leżała w błocie.

— Ciekawe, dlaczego tak ich przypiliło — zastanawiał się Bogdan, oglądając zgniecenia trawy i stan kolein, po czym wszedł do środka.

— Może wrócimy tutaj za dnia? — Wanda rozglądała się coraz bardziej zaniepokojona, że ktoś może ich nakryć na cudzej bądź co bądź posesji, ale Zabielski nie dawał za wygraną.

— Ewakuowali się dziś rano — mówił na wpół do siebie — w ogromnym pośpiechu. Jak myślisz, dlaczego?

— Może doszli do wniosku, że szukający Agaty prędzej czy później tu dotrą.

Obejrzał każdy centymetr polepy, niuchając nosem niczym pies poszukujący sukki w rui.

— Tu musiało spaść im coś ciężkiego — zauważyła nagle Wanda.

Pokiwał głową, a potem wyszedł z szopy i okrążył ją, dochodząc do miejsca, gdzie widać było resztki ogniska.

— Czego nie udało się zabrać, spalili?

Patykiem wygrzebał kilka metalowych elementów, przypominających wzmocnienia jakiejś skrzyni, następnie z ciepłego jeszcze popiołu wyciągnął niedopalony kawałek deski, potem wrócił do szopy i jął obwąchiwać jakieś drzazgi. Krajewska tymczasem skupiła się na dwóch literkach widocznych na resztkce deszczułki.

— Jakie słowo w języku polskim kończy się na „ex”? — rozważała głośno.

— A jaki materiał może być przechowywany w podobnych skrzynkach?

— Nie mam pojęcia.

— Semtex, nazywany często czeskim plastykiem, produkowany jeszcze za komuny w czeskich Pardubicach — wyjaśnił. — Trudno wykrywalny podczas transportu materiał wybuchowy, ulubiony przez wszelkiej maści terrorystów.

— Co ty mówisz?

— To, co słyszysz. Jeszcze wczoraj ta szopa była składem materiałów wybuchowych. — Sięgnął po komórkę. — Musimy zadzwonić do Kamilli, bo sprawa wydaje się dużo poważniejsza, niż myśleliśmy.

Jak było do przewidzenia, siostra najpierw opierniczyła ich za wchodzenie na cudzy teren bez zezwolenia, potem podziękowała za informacje. Zadała kilka pytań na temat lokalizacji, później przez chwilę rozmawiała na temat

rozstawu osi i odcisków opon, a następnie kazała się wynosić, zanim spotka ich naprawcę coś nieprzyjemnego.

— Moja ekipa zjawi się w ciągu godziny! — zakończyła.

Dopiero wycofując się przez mroczny las, poczuli pietra. Dodatkowo, kiedy przełazili przez dziurę, zgasła latarnia przy wejściu.

— Padnij — rzucił Bogdan.

Usłuchała. Jednak nic nie zmąciło nocnej ciszy, zresztą latarnia po parosekundowej przerwie rozbłysła ponownie. Dobiegli do samochodu, ruszyli. I dopiero wtedy dziewczyna zdała sobie sprawę z tego, że jej koszulka jest mokra od potu.

— Spokojnie — powiedział Bogdan — byliby durniami, gdyby po ewakuacji zostawili tu kogokolwiek.

Jednak lepszy humor wrócił Wandzie, dopiero kiedy już przejechali przez wiadukt nad torami w Józefowie i znaleźli się na szosie prowadzącej do miasta.

— Czy to koniec na dzisiaj? — zapytała.

— A Ursus?

Szwendanie się po blokowisku wiele im nie dało. Domek babci Staszka Kruka padł ofiarą żarłoczności deweloperów i dziś wznosiło się tam gęsto zabudowane osiedle, toteż odszukanie miejsca, z którego mógł pochodzić impuls z komórki, przypominało szukanie igły w stogu siana.

— Masz jakiś pomysł? — Detektyw popatrzył na swoją asystentkę.

— Nie wiem, czy dobry, ale wydaje mi się, że na tym osiedlu mogą mieszkać dawniejsi klasowi koledzy Szamira Kruka.

— I koleżanki!

— I koleżanki. Tyle że o tej porze nikt nie udzieli nam informacji. Wracajmy do domu. Adam i tak będzie na mnie wściekły, bo w ogóle się nie widzimy.

Ale nie dane było im pospać tej nocy. Dojeżdżali już do mostu

Siekierkowskiego, kiedy zadzwonił Emil Łęski.

— Dane odzyskane! — zameldował.

Zabielski błyskawicznie zjechał z drogi pierwszym dostępnym zjazdem, zawrócił i ruszył w stronę Stegien, gdzie w zagraconej piwnicy znajdowała się kwatera informatyka.

Jeśli liczyli na natrafienie na dokumentacje zaciągu młodych dziewcząt do armii Państwa Islamskiego, to musieli przeżyć rozczarowanie.

Z materiału odzyskanego z laptopa wyłaniał się obraz panienci z dobrego domu, która, owszem, interesowała się religią Bliskiego Wschodu, ale o wiele bardziej jej wyznawcami. A szczególnie jednym z nich, używającym imienia Szamir.

Gdzieś od dwóch miesięcy wyznania zakochanej dziewczyny, która dla ukochanego zamieniła prozaiczne imię Agata na pachnącą arabskimi afrodyzjakami Aiszę, stały się tak gorące, że Wanda czuła zażenowanie z powodu ich bezceremonialnej ingerencji w cudzą prywatność.

Co ciekawe, o ile w pierwszych listach istniała równowaga między skrzynką nadawczą a odbiorczą, o tyle w miarę trwania romansu odpowiedzi Szamira stawały się coraz bardziej zdawkowe.

— Typowy facet. Przeleciał małolatę i próbował się z tego wycofać — oceniła Wanda.

Agata zareagowała na to dość typowo. Gdzieś przed miesiącem zaczęły się gorzkie wymówki. Dlaczego jej unika, często nie odbiera telefonu i nigdy nie ma go w mieszkaniu. Szamir stosował standardowe męskie wykręty, w końcu wspomniał, że na jakiś czas musiał wyjechać za granicę, a tam często nie ma zasięgu. Wywołało to błyskawiczną replikę:

„Dlaczego kłamiesz? Diana widziała cię wczoraj w Złoty Tarasach”.

Po kolejnych kilku dniach namiętych bombardowań i głuchego milczenia Staszka Kruka pojawiła się konkretna propozycja.

„Daj mi dwa tygodnie, a obiecuję, że już się nie rozstaniemy”.

Wyglądało na to, że ją jakby uspokoił. Ostatni mail wysłany późnym wieczorem w dniu poprzedzającym zniknięcie „Aiszy” brzmiał: „Odezwij się, bo zupełnie tracę głowę. Mamy chyba poważny problem”. Nie było na niego żadnej odpowiedzi.

Detektywi popatrzyli sobie w oczy.

— Wszystko jasne. No, może prawie — powiedziała Wanda. — Dziewczyna dowiaduje się, że jest w ciąży, rzuca wszystko, żeby odnaleźć swego amanta, który najwyraźniej się nią znudził. Chcieliśmy historii sensacyjnej, a mamy zwyczajny romans.

Bogdan zmarszczył brwi.

— Tylko jak ma się do tego semtex i ewakuacja ośrodka nad Świdrem? — zapytał. — Możemy wyobrazić sobie rozszerzoną interpretację wydarzeń. Nasz donzuan dziewczyny traktował rozrywkowo, ale swoje zadanie bardzo poważnie. Jestem prawie pewny, że był trybikiem w jakiejś niesympatycznej organizacji. Rozrywkowy tryb życia stanowił doskonałą przykrywkę dla fundamentalisty neofity. Przynajmniej dopóki nie doszło do poważniejszego zaangażowania. Tymczasem napalona panienska mogła stać się problemem, zwłaszcza jeśli w trakcie romansu dowiedziała się czegoś, o czym wiedzieć nie powinna. Na przykład o ruinie pod Józefowem...

— Myślisz, że powinniśmy zacząć się o nią bać?

— Nie możemy wykluczyć, że znalazła się w wielkim niebezpieczeństwie.

Wanda znieruchomiała i zaczerpnęła więcej powietrza, tak jakby zaczęła się dusić.

— Czy naprawdę nie możemy jej pomóc?

— Możemy przynajmniej próbować, mam pewien pomysł...

Była trzecia w nocy, kiedy dojechali na autobusowy terminal na Młocinach. Tym razem mogli mówić o farcie! W ochronie autobusowego dworca

pracował akurat emerytowany starszy sierżant Pawlak, który znał Zabielskiego jeszcze z lat pracy w Milicji Obywatelskiej.

Bez większych ceregieli udostępnił nagrania, co zresztą stanowiło jakieś urozmaicenie w codziennej rutynie.

Wandę, której kleiły się oczy, przerażał ogrom pracy.

— Nie przesadzaj, znamy dokładnie porę, w której dzwoniło z komórki Agaty. Dziewięta pięćdziesiąt osiem...

Wszelka senność pierzchła, kiedy na kamerze obejmującej stanowisko, przy którym zatrzymywały się autobusy firmy Polski Bus, ukazał się ciemny jak heban Murzyn z komórką przytkniętą do ucha. Gadał i gestykulował, nie przerwał nawet, kiedy podjechał autobus, tylko zwinnie wskoczył do środka.

— Mamy go! — klasnęła w ręce Krajewska.

— Obawiam się, że twoja radość jest przedwczesna — zgasił ją szef. — Użytkownik aparatu Nowickiej próbował się połączyć z biblioteką, a nie gadał przez dziesięć minut. Szukamy dalej, przy innych stanowiskach.

Piętnaście minut później dostrzegli postać, która stała w cieniu naprzeciw słonecznego daszka. Szczupła wysoka kobieta, jej twarz była niewyraźna, chociaż z całą pewnością nie była to Agata Nowicka.

— Zwolnij — poprosił ochroniarza Bogdan. — Teraz, kiedy telefonuje... Stop!

Obejrzeliby parę razy proces wybierania. Najciekawsze jednak nastąpiło później. Oto użytkowniczka, nieświadoma zapewne wszechobecności kamer, rozmontowała aparat, a następnie cisnęła do kosza na śmieci.

Zabielski poderwał się na równe nogi.

— Spokojnie! — powstrzymał ją Nowicki. — Najpierw zobaczymy, dokąd poszła.

Kobieta spokojnie wyszła z kadru, kierując się w stronę wyjścia do metra.

— Mamy tam stanowisko.

Punkt szósta blondynka pojawiła się w zasięgu kolejnej kamery. Nawet uniosła głowę, tak jak gdyby poczuła, że jest filmowana. Miała charakterystycznie głęboko osadzone oczy, dostrzegli też wydatny nos i ukarminowane wąskie usta. Jak na ich zamówienie rozchyliła je, ujawniając łopatomate zęby.

— Ta kobieta jest dużo starsza od koleżanek Agaty — powiedziała Wanda.
— Ma gdzieś koło trzydziestki.

— Oczywiście — zgodził się Zabielski i zwrócił się do ochroniarza: —
Potrzebujemy fotografii tego kadru.

— Ile to roboty. Jak masz smartfona, to przerzucę ci obrazek.

Gdy wracali do miasta, zaczęło świtać. Nie było sensu jechać do Radości. Na szczęście w biurze dysponowali dwiema dość wygodnymi kanapami. Przedrzemali na nich do rana.

O dziesiątej po wypiciu potrójnej kawy i przedarciu się przez gigantyczne korki, dowodzące, że wakacje dobiegają końca, dojechali do Ursusa. Tam skierowali się do miejscowej szkoły, do której uczęszczał przed laty Szamir.

Zabielski, używając swego osobistego czaru, bez trudu przekonał sekretarkę, aby udostępniła albumy kolejnych maturzystów. Przejrzeli pięć roczników. Żadna jednak z dziewcząt nie przypominała kobiety z terminala.

— Kogo państwo szukacie? — Do gabinetu zajrzała jakaś starsza nauczycielka.

Zabielski przedstawił się i wspomniał, że poszukują zaginionej licealistki.

— Jesteśmy na tropie, w którym mogła być nam pomocna dziewczyna, która, jak sądziliśmy, uczęszczała do państwa szkoły. Niestety chyba popełniliśmy błąd...

— A macie może jej zdjęcie? Pokażcie! — Nauczycielka nałożyła na nos eleganckie okulary i popatrzyła na wyświetlacz smartfona. — No, to przecież Patrycja Żaba. Nasza legendarna chuliganka. Nie mogliście jej znaleźć

w pamiątkowych albumach, bo wyleciała za pobicie nauczyciela rok przed maturą.

— Czy możecie państwo udostępnić nam jej adres? — zapytała Wanda.

Nauczycielka łypnęła na sekretarkę.

— W zasadzie obowiązuje nas ochrona danych osobowych, ale w wyjątkowych sytuacjach możemy pozwolić sobie na odstępstwa od zasad... Oczywiście będzie to adres Patrycji z czasów, kiedy uczęszczała do naszej szkoły.

Tego poranka szczęście wydawało się im sprzyjać. Adres doprowadził ich w sam środek strefy, z której telefonował użytkownik aparatu Agaty, a na drzwiach mieszkania na czwartym piętrze nadal pyszniła się tabliczka z napisem „Żaba” bez imion, tytułów, a nawet dokładniejszej przynależności gatunkowej.

Zabielski zapukał raz i drugi.

Ze środka nie dobiegł najmniejszy nawet odzew.

— Spóźniliśmy się — szepnęła Wanda. — Też uciekła.

— A może tylko właścicielka nie życzy sobie porannych wizyt.

Sąsiedzi, typy jakby wybrane z kastingu do serialu *Kiepscy*, udzielali wykrętnych odpowiedzi na temat trybu życia panny Patrycji.

Pomocna okazała się dopiero lokatorka mieszkania piętro niżej, pulchna staruszka, najwyraźniej niesłychanie wścibska, która sama zaczęła ich, kiedy zaczęli schodzić. A właściwie pierwszy zaczął ich ratlerek, który z ujadaniem wymknął się z jej mieszkania przez uchylone drzwi.

— Cicho, cicho, Feliks! — daremnie próbowała uspokoić psa, zerkając ciekawie na detektywów. — Państwo może z administracji? — zapytała.

— Dlaczego pani tak sądzi? — zareagowała Wanda, na wszelki wypadek nie zaprzeczając.

— Słyszałam, jak walili państwo do tej lafiryndy z góry — powiedziała. —

Szkoda czasu! Jak kogoś nie zna, to za nic nie wpuści.

— Ma pani na myśli Patrycję Żabę?

— Lafirynda i tyle. Zawsze było u niej mnóstwo mężczyzn, takie rzeczy tam robili, że aż tynk się sypał. Ale wczoraj kompletnie przeholowali.

— Wczoraj?

— Koło południa. Wrzaski i łomoty, jakby wpuścili tam konia. A potem cisza. Do tej pory.

— Może wszyscy wyszli?

— Wątpię. Jej seat stoi od dwóch dni tam, gdzie stał.

— Może więc poszła na spacer?

— Co pan, od kiedy umarli jej starzy, pieszo to ona nawet do kiosku z papierosami po drugiej stronie ulicy by nie poszła...

— Jak w takim razie wytłumaczy pani, że koło dziesiątej zjawiała się przy stacji metra na Młocinach? — Bogdan pokazał jej zdjęcie.

— A, policja! — staruszka ucieszyła się jeszcze bardziej. — W Młocinach, pan mówi? Może ktoś tam ją zawiózł. Jakiś kliencik. O! Tych nigdy jej nie brakowało. Nie wiem, co oni widzą w takich kościotrupach.

— A nie domyśla się pani przypadkiem, kto mógł być tym razem?

— Widziałam jednego, wczoraj, wcześniej rano — ściszyła głos — zaparkował auto dokładnie na przejściu, chamisko jedno... Minęłam go rankiem, jak wracałam ze sklepu.

— Potrafi pani go opisać?

— A co tu opisywać. Wysoki, kudłaty, jak nie przymierzając małpa.

— Blondyn?

— Gdzie tam. Stuprocentowy brunet. Wyglądał jak Żyd. W każdym razie, kiedy przechodziłam tamtędy po południu, jego auta już nie było.

— Zapamiętała pani może markę?

— Oczywiście, miało taki charakterystyczny znaczek. Bmw.

— A konkretnie?

— Konkretnie białe.

Postanowili jeszcze raz zapukać do lokalu pani Żaby. Wyszli na korytarz. Ratlerek Feliks wyskoczył za nimi i puściwszy się po schodach, dopadł drzwi panny Patrycji, ujadając wściekle i nie zwracając uwagi na wezwania właścicielki.

— Robił tak kiedyś? — zapytała Wanda.

— Bez powodu nigdy! — zachnęła się sąsiadka. — Feluś, wracaj, Feluś!

Zabielski walnął w drzwi jeszcze dwa razy, a potem kopnął je silnie, tak że stanęły otworem. Z wnętrza doleciał mdły zapach.

— Zostań! — krzyknął do Wandy, która zamierzała wejść za nim. — To nie jest widok dla ciebie! Jak chcesz zrobić coś pożytecznego, to wezwij policję!

Krew była wszędzie, na ścianach, meblach, nawet na suficie.

Ciało panny Żaby leżało na środku pokoju zamienionego w prawdziwe pobojuwisko. Zanim zginęła, musiała stoczyć długą walkę, a napastnik nie był wystarczająco wprawnym zabójcą, aby udało mu się poderżnąć gardło młodej kobiecie za jednym zamachem. Zabielski poważnie obawiał się, że wewnątrz znajdą jeszcze jedno ciało, ale nie chciał zatrzeć śladów przed przybyciem policji.

Gliniarze zjawili się po dwóch kwadransach. Bardzo podejrzliwie odnieśli się do legitymacji prywatnych detektywów, ale jeden telefon do komendy stołecznej, gdzie znano Zabielskiego, wyjaśnił sytuację. Toteż zanim pozwolili im odejść, poinformowali, że więcej ciał w domu nie znaleźli. Były rozesłane dwa łóżka i ślady po śniadaniu spożytym przez trzy osoby.

Jeśli oprócz martwej gospodyni byli nimi Szamir i Agata, to oznaczało, że zniknęli na dobre.

11. Tropy, znaki, zapowiedzi

Do obiadu zasiedli znów w składzie mocno niepełnym. Kamilla nie miała szansy wyrwać się z pracy, a Adam z racji swoich działań pod przykrywką nie mógł nawet marzyć o powrocie do domu.

Z pozostałych stołowników oprócz pani domu jedynie Bortnik i doktor Filip byli w pełni sił. Bogdan i Wanda po nieprzespanej nocy ledwie trzymali się na nogach, a Ała i Igor też sprawiali wrażenie nieprzytomnych — tyle że ze szczęścia.

Krajewskiej jeden rzut oka na gości wystarczył, by pojęła wszystko. Uczuć, jakie rozgorzały między Osmanową i Rykowem, nie dało się ukryć przez zachowanie konwenansów.

„I na co liczyłaś, kretynko?” — pomyślała, zagryzając wargę. I odpowiedziała sama sobie: „Mimo wszystko to boli!”. Wprawdzie jeszcze w Szwajcarii postanowiła zamknąć ostatecznie pewną część marzeń i wspomnień, ale co innego postanowienia, a co innego zderzenie z brutalną prawdą.

„Ale może to lepiej” — tłumaczyła bardziej racjonalna część jej umysłu, gdy reszta płakała na widok szczęścia zakochanych. „Przynajmniej nie będę zdradzać Adama nawet w myślach”.

Cokolwiek by rzec o ich świeżym jeszcze związku małżeńskim, była w nim przyjaźń, było rosnące przywiązanie, ale trudno byłoby doszukać się choćby odrobiny tego szaleństwa, które mogło wywołać jedno spojrzenie inżyniera z Samary.

Posiłek toczył się leniwie i spokojnie, jako że mogące wnieść element niepokoju bliźniaki Osmanowej przebywały w innej części domu pod opieką

pani Stasi, gosposi rodziny Zabielskich.

Pani Monika przestrzegała zasady, by przy obiedzie nie rozmawiać o polityce i sprawach zawodowych, ale beztruską wymianę zdań udało się utrzymać jedynie do deseru.

Wszyscy ciekawi byli efektów śledztwa w sprawie zaginionej Agaty Nowickiej, toteż Bogdan, wspomagany sporadycznie przez Wandę, zreferował dramatyczny przebieg wydarzeń, wspominając ogólnie o zbrodni w Ursusie i nie pomijając tajemniczego wątku związanego z semtexem.

— Ale to już zadanie dla agencji Kamilli, nie dla nas! — zaznaczył.

Gdy skończył, Filip Majewski zapytał o roboczą hipotezę przebiegu zdarzeń.

— Mam w głowie pewną bardzo przybliżoną rekonstrukcję... — rzekł Zabielski.

— No to podziel się nią z nami — zawołała jego żona.

— Wydaje się, że najbardziej prawdopodobny przebieg wypadków wyglądał następująco. Punktem wyjścia był wynik testu ciążowego; nie należy się dziwić, że Agata skłócona z najbliższymi poszukiwała swego islamskiego kochanka we wszystkich możliwych miejscach: dawnym mieszkaniu, w ruderze pod Józefowem, gdzie kiedyś musiała mu towarzyszyć. Być może wcześniej poznała dawną koleżankę Stanisława Kruka — Patrycję Żabę, toteż udała się do niej, przekonana, że ta doprowadzi ją do Szamira.

Sądząc po billingach komórki, została tam na noc. Patrycja skontaktowała się ze swym kolegą, który zjawił się rano, zapewne dość wzburzony rozwojem zdarzeń. Być może szczególnie zdenerwowała go wizyta Agaty pod Józefowem i zalecił ewakuację magazynu. Orientując się w możliwości, jaką stwarzają billingi, postanowił wyprowadzić nas w pole i zyskać na czasie. Dlatego skłonił Patrycję, aby z komórką Nowickiej pojechała na drugi kraniec Warszawy (konkretnie do Młocin), tam zadzwoniła pod obojętnie jaki numer,

po czym pozbyła się aparatu. Możliwe, że sam dowiózł ją na stację metra, a po powrocie przywiózł do mieszkania swoim bmw. W międzyczasie ukrył gdzieś Agatę.

— Skąd ta pewność? — zapytała Ała.

— Z pierwszych oględzin wynika, że w mieszkaniu w trakcie zabójstwa nie było osoby trzeciej. Są ślady ofiary i Szamira, a gdyby przebywała tam jeszcze Nowicka, trudno uwierzyć, że biernie przypatrywałaby się masakrze — albo by się włączyła, albo próbowałaby uciec — a już wręcz niemożliwe jest, by wychodząc, nie wdepnęła w którąś z kałuż.

— W takim razie co się mogło z nią stać? — zapytała Ała.

— Może ów islamski barbarzyńca zabił ją w innym miejscu? — zasugerował Rykow.

— Wątpię — odparł Bogdan — jako muzułmanin neofita nie zabiłby matki własnego dziecka, w dodatku z nienarodzonym potomkiem w brzuchu.

— Ale nie miał skrupułów wobec koleżanki z dzieciństwa? — wtrąciła się Monika.

— Tu możemy jedynie spekulować. Prawdopodobnie nie miał innego wyjścia.

— Nie można też wykluczyć, że doszło do jakiejś sprzeczki — zauważyła Wanda. — Nie znamy przecież intymnych relacji Szamira i Patrycji. Może panna Żaba uznała się za zdradzoną.

— Najbardziej interesujący jest powód tak drobiazgowego zacierania śladów — powiedział Majewski. — Te wszystkie zabiegi z komórką, zabójstwo dawnej przyjaciółki, ewakuacja magazynu...

— Jeśli uznamy, że Szamir związany był z jakąś konspiracją fundamentalistów, to reakcja na nieprzemyślane działania Nowickiej jest w pełni zrozumiała. Mam jednak nadzieję, że sprawą zabójstwa zajmie się policja, a tropem semtexu podąży ABW, dla nas do rozwiązania pozostaje

kwestia, gdzie jest Agata! — podsumował Bogdan.

— A jeśli wywiózł już ją za granicę? — podsunął Bortnik.

— Jeśli ma ważne zadanie do wykonania w Polsce, byłoby mu trudno wyjeżdżać gdzieś dalej — odparł Zabielski. — Sądzę, że uznał teren Ursusa za spalony, przecież prędzej czy później zabójstwo wyszłoby na jaw, i poszukał innej meliny.

— Czyli zarówno on, jak i dziewczyna mogą być wszędzie — zauważyła Monika.

— Postanowiłem zawęzić te możliwości. Za radą Wandzi poprosiłem miejscową policję o wykaz członków grupy przestępczej, w której Kruk działał jako małolat. Zwróciłem się też do zakładu poprawczego, w którym odbywał karę, o listę jego ówczesnych współtowarzyszy.

— Mnie bardziej ciekawiłby wykaz jego „braci w islamie” — powiedział Bortnik.

— O to już poprosiłem podkomisarz Abbadi. Równocześnie ustaliliśmy z Kamillą, że jej ludzie zajmą się dokładniej Szamirem, a nam zostawia inicjatywę w poszukiwaniach Agaty. Oczywiście mamy jak najściślej współdziałać z policją, ale sami wiecie, jak ta służba funkcjonuje, zwłaszcza na głębszej prowincji.

Dalszą rozmowę kontynuowali na tarasie, gdzie Monika podała kawę i trunki.

Rykwowi nie podobała się otwarta przestrzeń, a Bortnik miał uczulenie na punkcie wszelkich możliwości inwigilacyjnych, ale Zabielski ich uspokoił.

— Obawiacie się mikrofonów kierunkowych ukrytych gdzieś w tych krzakach? To raczej mało prawdopodobne. Z tyłu posesji mamy rezydencje zachodnich dyplomatów, a uliczkę nieustannie patrolują nasi ludzie.

Zmieniając miejsce, zmienili również temat. W rewanżu za informacje o śledztwie dotyczącym Agaty doktor Majewski zapoznał detektywów

z dokonaniem ich grupy w Szwajcarii i w Niemczech.

— To brzmi jak powieść science fiction — skomentowała Monika Zabielska, kończąc: — Klony superzbrodniarzy adoptowane dzieci, zbójcy GRU. Jaki w tym wszystkim może być sens?

— Mamy przekonanie, graniczące z pewnością, że Hitler, Himmler i Goebbels bis zajmują dziś ważne stanowiska, w jakimś stopniu pozostające w związku z operacją „Inga”.

— O której nie macie pojęcia?

— O której mamy powody sądzić, że jest niezwykle poważna i ma zacząć się niedługo!

Zabielski nie krył swego sceptycyzmu.

— Powiedzmy nawet, że ustalicie, kim są dziś te klony i jaką rolę przewidziano dla nich we wspomnianej operacji, ale kto wam uwierzy? Jak zamierzacie ich zdemaskować? Każdego można gołosłownie oskarżyć, że jest Hitlerem czy Himmlerem, ale jak to udowodnić? Wyłącznie na podstawie fizycznego podobieństwa?

— A DNA? — wtrąciła Ała.

— Jeśli Ingeborga Winkler zostawiła próbki materiału genetycznego hitlerowskich przywódców, to sprawa będzie łatwa.

— Tak dobrze nie jest. Ale sporo czytałam na temat nazistów i wiem, że żyją ich rodziny, a także bezpośredni potomkowie...

— Zatem na co czekacie — ożywiła się Wanda — na waszym miejscu już zajęłabym się pozyskiwaniem tego materiału. I zdobyłabym go. Nawet gdyby przyszło mi przespać się z wnukiem Goebbelsa.

— Nie potrzeba aż takiego poświęcenia — ostudził jej zapał Majewski — w większości wypadków wystarczy próbka śliny...

— A poza tym Goebbels nie miał wnuków — wtrącił z pełnym przekonaniem mecenas Bortnik, który, jak przystało na Izraelitę, nieźle znał się

na genealogiach swych katów — ma jedynie wnuczkę...

— Wnuczkę? — zdziwiła się Monika. — Skąd? Przecież wymordował wszystkie swoje dzieci, zanim którekolwiek zdołało dożyć do dojrzałości.

— Mało kto wie o zakazanym romansie ministra propagandy z pewną wyjątkowo piękną aktorką o imieniu Rachel, podpadającą niestety pod ustawy norymberskie — opowiadał mecenas. — Owocem sekretnych schadzek było dziecko, które przyszło na świat w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku i po ojcu dostało imię Józef. Chłopczyk razem z matką opuścił Niemcy następnego roku, po latach ożenił się w Izraelu i zanim zginął w zamachu terrorystów palestyńskich, spłodził córkę Sarę. Dziewczyna ma dziś dwadzieścia jeden lat, mieszka w Stanach i okazała się na tyle niedyskretna, by opowiedzieć o swych niezwykłych korzeniach dziennikarzom. Wprawdzie wywiad się nigdzie nie ukazał, ale jego treść znana jest służbom paru krajów...

— Czyli materiał ministra propagandy jest do pozyskania, a co z resztą?

— Z tego, co wiem, żyje i jest aktywna w ruchu neonazistowskim Gudrun Burwitz de domo Himmler, córka reichsführera.

— A Hitler, miał jakieś dzieci? — zapytał Rykow.

— Jeśli nie liczyć jego prawdopodobnych i nieprawdopodobnych potomków, o których rozpisują się brukowce, żyją na pewno dwaj dalsi krewni Adolfa, jeden w Austrii, jest rolnikiem, a drugi w Stanach Zjednoczonych. Ponadto BND ma próbki genetyczne führera uzyskane swego czasu przez STASI od Rosjan, którzy zabezpieczyli resztki spalonych zwłok z ogrodów Kancelarii Rzeszy.

— Na co więc czekacie? — gorączkowała się Wanda. — Trzeba do tego dotrzeć, zweryfikować.

— Porozumiem się z Charlesem — powiedział Bortnik. — Dziewczyna ma rację, nie czekając na identyfikację adoptowanych klonów, trzeba jak

najszybciej zdobyć materiał porównawczy.

*

Adam nigdy nie lubił hałasu. Szczycił się, że ma jeden z najcichszych motorów w Warszawie. I tym razem wszedł do mieszkania bez trzaskania drzwiami, tak że współlokator chyba nie zauważył przybycia gospodarza, w swoim pokoju oglądał z DVD jakiś film akcji. Krajewski czuł ogromne parcie na pęcherz, toteż wszedł do łazienki, wysikał się, spuścił wodę i zamierzał właśnie umyć ręce, kiedy odgłosy filmowej strzelaniny urwały się jak ucięte nożem, a w powstałej ciszy dało się słyszeć brzęczenie komórki.

— *Da* — powiedział lokator wyraźnie poirytowany. — Mówiłem, żebyś nie dzwonił. Ani ty, ani Andrusza! Wytrzymajcie te trzy dni... A co za hałasy koło ciebie? Poszedłeś do knajpy? *Durak!* Był przykaz nie opuszczać kwater i żadnych dziwek. Wracaj do domu!... Milcz i nie dzwoń. Koniec!

Głos ucichł i Adam przekonany był, że Białorusin wróci do oglądania filmu. Ale ten wyszedł z pokoju na korytarz.

„Idzie do łazienki! Zorientuje się, że słyszałem jego rozmowę!” — ta i sto innych myśli przeleciało równocześnie przez głowę młodego człowieka. Nie miał bronie, toaleta pozbawiona była okna, a wiara, że najemnik zapomni to, o czym przed chwilą mówił, nie miałyby najmniejszego sensu.

A jednak zdarzył się cud. W momencie kiedy ręka Kozdrowa dotykała klamki, rozległ się dzwonek do drzwi.

Skrzypnęło linoleum. Witalij się odwrócił, otworzył drzwi wejściowe.

— Cześć — rozległ się znajomy głos Szymona Kowalika. — Wpadłem z połówką, bo myślałem, że możecie się nudzić. Jest Adam?

— Jeszcze nie wrócił.

— To dziwne, widziałem jego motor koło domu... Masz jakieś piwo, bo mnie suszy...

Weszli do pokoju gościa. Adam błyskawicznie opuścił łazienkę i mieszkanie. Zjawił się po pięciu minutach, z sześciopakiem piw, a wchodząc, energicznie trzasnął drzwiami.

— A gdzie ty byłeś? — zapytał Szymek.

Kozdrow nic nie mówił, tylko spoglądał na Krajewskiego podejrzliwie.

— Przecież widzisz. Kupiłem w sklepiku na rogu zgrzewkę piwa, bo zapas nam się kończył.

— Znakomicie. Będzie utrwalacz!

Balowali wesoło do pierwszej w nocy, potem Witalij się położył, a Adam wyprowadził zataczającego się Szymona.

— Wezwę ci taksówkę — zaproponował.

— Dobra, zamawiaj! — zabełkotał ROW-owiec i zajął się zwracaniem w krzaki zawartości żołądka.

Krajewski musiał go podtrzymywać, by nie upadł.

— Słuchaj, a właściwie jak długo mam bawić się w hotelarza? — zapytał, gdy Szymek skończył.

— Chyba ci mówiłem, tydzień.

— No, to chyba zabierzemy Witę na sobotnie protesty.

Kowalik błyskawicznie oprzytomniał.

— Nie wtykaj nosa w cudze sprawy! — warknął. A potem zgiął się i spokojnie wrócił do wymiotowania.

Krajewski, dużo mniej pijany, niż symulował, odczekał, aż taksówka odjedzie, a potem wszedłszy w głęboki cień, wyciągnął telefon. Smartfon dla postronnego obserwatora wyglądał całkiem normalnie, ale po wbiciu odpowiedniego kodu przechodził na system zaszyfrowany.

— Nie obudziłem cioci?

Głos Kamilli był zmęczony, ale rezolutny.

— Nie, a co się dzieje?

— Podśluchałem rozmowę mego lokatora. Wiem już, że przybyli do Polski we trzech. Jeden nazywa się Andriej. Planują coś na sobotę i dostali polecenie niekontaktowania się ze sobą. Można obawiać się najgorszego, bo przecież na najbliższą sobotę ROW-owcy zapowiadają protesty i policja będzie nimi bardzo zajęta...

— W każdej chwili możemy zdjąć Kozdrowa.

— Ale jak wtedy odkryjemy pozostałych? Nie wiemy w dodatku, co planują.

— Bądź zatem czujny i uważaj na siebie!

— Nic innego nie robię.

Wrócił do mieszkania. Z pokoju gościa dolatywało pijackie pochrapywanie. Wszedł i zgasił światło. Zdołał jeszcze dostrzec wystający spod łóżka róg ciemnej walizki.

Ciekawe, skąd się tam wzięła. Kiedy poprzedniego dnia przywoził Kozdrowa, ten miał ze sobą jedynie niewielki plecak. Dużo by dał, aby dowiedzieć się, co waliza zawiera, ale nie mógł ryzykować, że gość przyłapie go na grzebaniu w jego rzeczach, tym bardziej że spał niespokojnie i rzucał się po łóżku.

Adam liczył na to, że w ciągu kolejnych dni nadarzy się stuprocentowa okazja, a żeby pomóc szczęściu, postanowił poprosić Kamillę o jakiś mocny środek usypiający.

*

Dużo w ciągu roku zmieniło się w działalności służb w Polsce. Generalnie i w szczegółach. Począwszy od zarządzenia, że wszystkie sekcje zwłok w przypadku podejrzanych zgonów mają się odbywać bezzwłocznie, czyli przed upływem ośmiu godzin od chwili zgonu, a skończywszy na błyskawicznym reagowaniu instytucji państwowych na pytania napływające od

odpowiednich organów.

Informacja o współtowarzyszach z ośrodka poprawczego Stasia Kruka została nadesłana do Warszawy jeszcze w środy wieczór.

Nazwisk na liście było wiele. Co najmniej kilka wymagało sprawdzenia, z tym że jeden z chłopców, z którymi Szamir dzielił pokój, nazywał się dość osobliwie — Selim Murzyński i pochodził z miejscowości Bohoniki, jednej z paru na Białostocczyźnie, w których zachowały się oryginalne wspólnoty polskich Tatarów.

Czy znajomość obu chłopaków mogła mieć wpływ na późniejszą religijną konwersję Kruka i czy w kłopotliwej sytuacji ktoś taki nie byłby osobą, do której muzułmanin zwróciłby się o pomoc?

Niestety (a może na szczęście) nazwisko Murzyńskiego nie znalazło się w aktualnej bazie ludzi monitorowanych w związku z podejrzeniami o kontakt ze środowiskami muzułmańskich ortodoksów, nie figurował też wśród osób, które w ciągu ostatnich lat weszły w jakikolwiek konflikt z prawem. Wyglądało na to, że po opuszczeniu poprawczaka ustatkował się na dobre, skończył nawet leśnictwo na uczelni w Białymstoku i nie stwarzał najmniejszych kłopotów wymiarowi sprawiedliwości.

— Mam nadzieję, że do rana ustalimy jego miejsce zamieszkania — zapewniono Zabielskiego.

W sumie ucieszyła go ta informacja, toteż nie mając nic lepszego do roboty, mógł nareszcie pójść spać. Wanda mogła mu jedynie zazdrościć, mimo zmęczenia obudziła się ledwie po kilku godzinach snu i do rana leżała samotnie w łóżku, popłakując i wyobrażając sobie baraszkuje ciała w pokoju na poddaszu.

*

Archiwista Klaus Möller zadzwonił do Charlesa Smitha, wyrrywając go

z objąć Morfeusza, a co gorsza, z hebanowych ramion Peggy Atkinson, trzydziestotrzyletniej funkcjonariuszki CIA, zatrudnionej na co dzień na urzędniczym etacie w warszawskiej ambasadzie USA. Były agent uważał, że powinien podtrzymywać kontakty zawodowe na płaszczyźnie pozasłużbowej, łącząc w ten sposób przyjemne z pożytecznym. Poza tym zlokalizowane na Saskiej Kępie mieszkanie czarnoskórej pani sierżant było dla niego nie tylko tanie (czy zgoła darmowe), ale też dodatkowo bezpieczne.

— Zrobiłem, o co pan prosił — zaskrzypiał archiwista — i jak pan sobie życzył, ze względów bezpieczeństwa zdecydowałem się umieścić wspomniane dossier w chmurze.

— Chętnie się z nim zapoznam.

— Ale — archiwista kaszlnął. — Rozumiem, że honoracyjny przelew dla mnie jest gotowy.

— Mogę uruchomić go jednym kliknięciem.

— W porządku, zatem proszę klikać. — Potrwało to około minuty, po czym Niemiec, wyraźnie zadowolony, powiedział: — Teraz mogę panu podać kod dostępu. Pod warunkiem że linia jest bezpieczna.

— Z mojej strony na pewno, a z pańskiej?

— Rozmawiam z jednorazowej komórki — rzekł Möller — proszę notować.

Smith zrobił to bezzwłocznie, po czym na wszelki wypadek powtórzył kombinację cyfr i liter.

Zakończyli rozmowę, życząc sobie dobrej nocy.

Charles wysunął się z pościeli, z zadowoleniem zauważając, że telefon nie wyrwał kochanki ze snu. Nie tracąc czasu na ubieranie, zasiadł do komputera.

Materiał, który przygotował dla niego archiwista, nie był wielki, ale bardzo interesujący. Przynajmniej zaprzeczał tezie, że dzieciom adoptowanym jest trudniej osiągać życiowy sukces niż naturalnym.

Z siedmiu nazwisk zawartych w przygotowanym zestawie uwagę Smitha przykuły szczególnie trzy.

Jean Tully — major Deuxième Bureau czy w pełnej formie Drugiego Biura Sztabu Generalnego, jak brzmiała tradycyjna nazwa francuskiego wywiadu.

Z danych, jakie otrzymał, ten wybijający się oficer, który we francuskiej Dwójce odpowiadał za walkę z terroryzmem, świetnie pasował do kłona Himmlera.

Kolejny z adoptowanych, Jean Claude Kleiber, wychował się w Luksemburgu i ukończył jakieś podrzędne uczelnie, co jednak nie przeszkadzało mu stać się gwiazdą telewizji ogólnoeuropejskiej. Nazywano go „czarodziejem opinii publicznej”. Jako zagorzały wyznawca poprawności politycznej sterował nastrojami i, jak twierdzili przywódcy Unii, wart był więcej niż legion cenzorów i policjantów równocześnie. To dzięki jego komentarzom wiele z konfliktów we współczesnej Europie uznawano za wybryki szaleńców, zbiorowe działania chuligańskie lub wypadki osobistej zemsty, nie łącząc ich z faktycznym „zderzeniem cywilizacji”. Na marginesie papierowego wydruku Smith zanotował „Goebbels”.

Czyim w takim razie klonem mógł być Arni Fischer — od paru lat osobisty doradca pani kanclerz, szara eminencja jej rządu i, jak twierdzono, autor jej proemigranckich wystąpień? Samym Adolfem?

A przecież nie byli to jedyni z prawdopodobnych klonów. Wśród adoptowanych znalazł się wpływowy spadkobierca jednej z największych fortun przemysłowych dawnej Rzeszy — Kurt Steiner. A także jeden z dyrektorów koncernu medialnego ERTI, Maurycy Apfelbaum, twardo trzymający w garści ogromną połąć europejskiego Internetu. Co prawda jego adopcyjni rodzice byli Żydami, ale nie do takich gniazd potrafią składać jaja kukułki!

Listę rezerwową zamykał Ugo Lischke, szef wojowniczej prawicowej

partyjki, która w ciągu ostatnich miesięcy rwała ostro do góry w wyborach w poszczególnych niemieckich landach, przebijając kolejne szklane sufity, oraz Leopold Krebst, mimo młodego wieku ceniony profesor fizyki, zatrudniony w szwajcarskim ośrodku CERN, w zespole pracującym nad nową generacją broni nuklearnych.

Zaiste ciekawy zestaw ewentualnych pogrobowców Trzeciej Rzeszy.

— Kiedy wrócisz do łóżka? — dobiegł go senny głos Peggy.

— Już wracam — mruknął, zamykając komputer, i wślizgnął się pod kołdrę.

Powitała go apetycznym cmoknięciem.

— Będę miał niewielkie zlecenie dla naszych przyjaciół — powiedział.

Funkcjonariuszka przejechała dłonią po jego umięśnionym ciele.

— Faktycznie niewielkie — zachichotała frywolnie — mam się tym zająć teraz czy jutro?

— Tym teraz, resztą jutro — zdecydował, obracając się ku niej. — Będziemy musieli uruchomić naszych znajomych z kilku państw.

— Mokra robota?

— Ależ nie, trzeba będzie zdobyć DNA siedmiu wpływowych osobników. Nie tak szybko — syknął, czując, że pieszczoty Peggy z sekundy na sekundę przybierają na sile.

— Przecież kazałeś mi pobierać materiał DNA. Zaraz osobiście pobiorę próbkę. — Kiedy wchodził w nią z impetem, dodała: — Miałam dziesięć lat, kiedy podglądając rodziców, którzy zapomnieli sprawdzić, czy zasnęłam, zorientowałam się, że o tej porze ludzie mogą jedynie spać albo się kochać.

Nie wszyscy!

W berlińskiej dzielnicy Lichtenberg nie spał ani „Wor”, ani Anastazja. Przesłuchali całą rozmowę Klause Möllera z Charlesem Smithem. Nie sprawiło im to szczególnej trudności. Sami zakupili dla archiwisty ten „bezpieczny” telefon i dołączyli do niego odpowiednie nazwiska

adoptowanych.

— Myślisz, że to łykną? — zastanawiała się Jegorowa.

— Powinni. Zwłaszcza jeśli odpowiednio uwiarygodnimy przekaz.

Po skończeniu rozmowy Möller nie poszedł od razu do łóżka. Czekał. Ludzie, z którymi współpracował od lat, obiecali się odezwać. Liczył na to. Obok honorarium od Amerykanina miał nadzieję otrzymać wynagrodzenie i z drugiej strony.

Czekał koło kwadransa. Jednak zamiast telefonu zabrzmiał dzwonek do drzwi.

— Kto tam? — Poczłapał do drzwi. — Kto tam? — zaskrzypiał ponownie, upewniając się, że zasuwka jest przekręcona, a zabezpieczający łańcuch znajduje się na swoim miejscu.

— Swoi — padło z drugiej strony, głosem wdzięcznym, kobiecym, acz z obcym akcentem.

Wyjrzał przez wizjer. Pod drzwiami stała znana mu z poprzednich spotkań para młodych ludzi — szczupła kobieta i kanciasty mężczyzna przypominający szafę. Zaniepokoił się nieco. Po co przyszli osobiście, o tej porze? Wystarczyło przecież, by zadzwonili, a on by potwierdził wykonanie zadania.

Na moment otwór ściemniał. A potem wypełnił go ogień. Tyle że to już nie dotarło do mózgu archiwisty, który zachłapał reprodukcję van Gogha na przeciwległej ścianie.

Drugi strzał rozwalił zamek i umożliwił wsunięcie ręki, aby odhaczyć łańcuch. Mimo tłumika hałas był dosyć donośny, ale napastnicy liczyli na grube mury i mocny sen sąsiadów. Przeskoczyli zwłoki i wbiegli do środka. Zabranie komputerów, dewastacja mieszkania i podpalenie go zajęło im nie więcej niż kwadrans.

Wykonawszy plan, opuścili dom tylnym wejściem. Odjeżdżając, widzieli płomień buchające z okien na piętrze.

— Znowu sukces! — skomentowała Anastazja.

12. Akcja przyspiesza

Noc, dla jednych miłosna, dla innych samotna, skończyła się dosyć wcześnie. Niewiele brakowało, by Staś Kruk wpadł na warszawskim lotnisku, skąd późnym wieczorem poprzedniego dnia odleciał do Wiednia. Sam. Niestety, list gończy trafił zbyt późno do Austrii, by tam go zatrzymać. Lot krótki, procedury ślamazarne, kontrola wewnętrzna nie funkcjonowała, toteż zanim miejscowi funkcjonariusze zorientowali się, jaki ptaszek wylądował, Szamir opuścił lotnisko i udał się nie wiadomo dokąd.

— Służby nastawione są na wyłapywanie zagrożeń napływających z zewnątrz krajów Unii lub z państw granicznych, ale nie z Polski — tłumaczyła Kamilla, przekazując informacje bratu. — W dodatku nasz gagatek ogolił się i ostrzygł i obecnie w najmniejszym stopniu nie przypomina dżihadysty. Jedno, co można stwierdzić z całą pewnością: w podróży nie towarzyszyła mu Agata.

— Chyba nieprędko go zobaczymy — skomentował Zabielski, dzieląc się informacją z uczestnikami śniadania.

— Bardziej niepokoi mnie, że nie było z nim Agaty — powiedziała Wanda. — Obawiam się, że już nie żyje.

— Szamir nie jest idiotą, żeby ciągnąć ją ze sobą, zwłaszcza jeśli uczestniczy w jakiejś konspiracji. Wie, że Nowicka jest poszukiwana, toteż sądzę, że po prostu dobrze ją ukrył. Przy okazji uzyskaliśmy cenną wskazówkę, z grubsza, gdzie.

— Co ty mówisz?

— Człowiek, który popełnił zbrodnię, zaciera ślady i wie, że może być namierzony, więc ucieka jak najszybciej. Jeśli zdecydował się na ostatni lot,

oznacza, że wcześniej był bardzo zajęty.

— Albo nie było miejsc.

— Sprawdzono, były!

— I co z tego wynika?

— Że Nowickiej nie ma w Warszawie, a jest w miejscu, do którego w ciągu dnia można dojechać i wrócić.

— Czyli mamy do dyspozycji całą Polskę.

— Pod warunkiem, że przemieszczalibyśmy się autostradami.

Wyjaśnienie tej kwestii przyszło kilkanaście minut później z Komendy Głównej. „Murzyński jest aktualnie gajowym w miejscowości Chojnowo, niedaleko Siemiatycz, gdzie zamieszkuje starą leśniczówkę, położoną na odludziu”.

Po konsultacji z ABW ustalono, żeby miejscowi zachowali powściągliwość.

— Niech obserwują leśniczówkę z dystansu i zablokują możliwość jej opuszczania — zdecydowała Kamilla. — Wyślemy ekipę z Warszawy.

Potem ponownie zadzwoniła do brata.

— To wprowadźcie wbrew procedurom, ale zdecydowałam, że jako eksperci od osób zaginionych możecie polecieć z antyterrorystami.

To spowodowało, że detektywi zerwali się, nie kończąc śniadania.

Reszta jego uczestników też nie miała powodów, żeby się nudzić. Gdzieś po półgodzinie z kolejnymi rewelacjami zadzwonił Charles. Jeszcze w nocy policja niemiecka sporządziła raport, że w wyniku napadu rabunkowego zginął stary berliński archiwista Klaus Möller. Z pewnym opóźnieniem, wynikłym z niezrozumienia wagi sprawy, informacja dotarła nad ranem do miejscowej rezydentury CIA, a wkrótce również do Peggy. Smith poprosił, aby dowiedziała się możliwie dokładnego czasu dokonania zabójstwa. Dzięki zeznaniom sąsiadów na temat strzałów na klatce schodowej — nikt wprowadzie

nie wyjrzał, ale co najmniej kilku z nich wezwało policję — mógł z ulgą stwierdzić, że archiwistę zabito dopiero w kwadrans po tym, jak przekazał Charlesowi informacje o klonach zbrodniarzy.

— Tym razem się spóźnili — pochwalił się Rykowowi i reszcie współpracowników.

— Szkoda tylko, że ten staruszek stracił życie — zmartwiła się Ała, słysząc wiadomości dzięki głośnomówiącej opcji w telefonie.

— Sympatyczny staruszek miał swoje za uszami. Czterdzieści lat wiernej służby dla STASI! — wyjaśnił Smith.

— No to teraz wystarczy jeszcze potwierdzić genetyczną zgodność adoptowanych z hierarchami III Rzeszy i będziemy mogli zrobić z tego użytek — zauważył Igor.

— Zrobi się!

— Możemy jakoś pomóc? — wtrącił się Bortnik.

— Akurat tę usługę załatwią nam koledzy z Firmy w ramach prac zleconych.

Nie musiał dodawać, że wcale to nie było łatwe. W służbach amerykańskich coraz bardziej dawało się odczuć głęboki podział. Część kierownictwa orientowała się już na przyszłą administrację, której przywódcą mógł zostać ekscentryczny biznesmen, zwolennik izolacjonizmu, druga część wierzyła w kontynuację pod berłem prezydenta — kobiety, która przynajmniej wydawała się przewidywalna, choć Charles, który zaczynał pracę w służbach jeszcze w czasie zimnej wojny, nie wierzył, żeby jakakolwiek kobieta mogła być taka na dłuższą metę. Wystarczyło popatrzeć na aktualną „żelazną” kanclerz Niemiec. Korozja jej struktur nerwowych poczyniła dalekie postępy. *Kanzlerin* twarda na zewnątrz, w zaciszu domowym popłakiwała po nocach i prowadziła długie rozmowy nie tylko ze swym nieboszczykiem ojcem, pastorem i tajnym współpracownikiem STASI, ale również z samym Panem Bogiem.

„Wszyscy obwiniają mnie o otwarciu drzwi Europy tej hordzie brudasów!” — szeptała. „Vater, co ty, ze swoim polskimi genami, byś zrobił na moim miejscu?”. Odpowiedzią była cisza, ale przedwcześnie podstarzałej najpotężniejszej kobiecie świata wydawało się, że słyszy głos tatusia: „Strzeliłbym sobie w łeb!”.

*

Śmigłowiec jednostki specjalnej wylądował na polanie trzysta metrów od leśniczówki w Chojnowie. Bogdan pomógł wyskoczyć Wandzie i podał jej przetransportowany rower. Dowódca dość długo opierał się przed wysłaniem na zwiad młodej dziewczyny, ale ustąpił pod wpływem jej determinacji i argumentów Bogdana, że tradycyjny atak może wyrządzić więcej szkód niż pożytku.

— Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle! — zakończył rubasznie.

Wprawdzie Krajewska nie kojarzyła się majorowi Orłowskiemu z żadną ze znanych bab, tylko bardziej z własną córką, jednak ustąpił. W ubraniu Wandy ukryto aparaturę podsłuchową i w ślad za dziewczyną ruszyła szóstka żołnierzy, gotowych bez wahania przystąpić do akcji, gdyby tylko wymagała tego sytuacja. Dano jej też zabrany na żądanie Zabielskiego rower.

Na skraju lasu dziewczyna odkręciła wentyl w przednim kole. Powietrze natychmiast zeszło z opony. Prowadząc jednośląd, dotarła do obejścia. Zaszczekały psy i zaraz z domu wypadł spory drab, sękaty, nieogolony, z dubeltówką w ręku.

Na widok samotnej dziewczyny z bezradnym wyrazem twarzy złagodniał, ale tylko częściowo.

— Czego tu szuka? — fuknął niczym wyrwany z zimowego snu borsuk.

— Byłam na wycieczce z przyjaciółmi — zaczęła tłumaczyć. — Zgubiłam się, na dodatek zeszło mi powietrze z koła i nie wiem, co teraz zrobić. — Tu

wybuchła płaczem, dowodząc, że talenty aktorskie idą w parze z jej urodą.

Któż jest w stanie oprzeć się dziewczęcym łzom. Szczególnie muzułmanin, odludek, recydywista. Wpuścił ją na podwórko i poszedł po miskę z wodą, aby znaleźć w oponie przebicie i ewentualnie nałożyć łątkę.

Wanda rozglądała się, zastanawiając, co może kryć się za opuszczonymi firankami i jak wejść do środka. Ale rzecz rozwiązała się sama. Otworzyły się drzwi i wyjrzała dziewczyna, tęgawa, o szarej cerze, z włosami szczelnie przykrytymi obyczajem kobiet z Bliskiego Wschodu.

— Mogę jakoś pomóc? — zapytała.

„Agata” — przemknęło przez myśl Wandzie. A głośno powiedziała: — Byłabym szczęśliwa, mogąc dostać szklaneczkę wody. — Tu wspomniała o swej przygodzie z rowerem.

— Proszę do środka — zaproponowała Nowicka.

W tym momencie wrócił Murzyński. Wyraźnie wściekły, omal nie upuścił miski.

— A ty co tu robisz? — warknął do Agaty.

— Zaproponowałam pani coś do picia.

— Miałaś nie wyściubiać nosa.

— A co, boisz się, że się za bardzo opalę? Napraw rower, a ja porozmawiam z gościem.

Weszły do środka, living był ciemnawy, pełen skór, poroża dzikich zwierząt i starych oleodruków. Być może atmosfera wnętrza sprawiła, że Krajewska, zamiast bawić się w długie wstępy, postanowiła zagrać w otwarte karty.

— Nie będę cię oszukiwała, Agato — powiedziała — wysłali mnie twoi rodzice.

Uciekiniarka zbladła i energicznie pokręciła głową.

— Nie ma mowy, żebym wróciła! Proszę stąd wyjść!

— Nie zamierzam cię do niczego namawiać, lecz jedynie uświadomić...

Nowicka nie dała jej dokończyć. Podniosła głos:

— Nie chcę tego słuchać, Selim...!

Krzyk musiały usłyszeć psy, bo podniosły niebywały harmider w swej zagrodzie. W tej sytuacji Wandzie pozostało już tylko zagrać *va banque*. Zza pazuchy wyciągnęła plik zdjęć i rozrzuciła na stole...

Agata rzuciła na nie okiem i ucichła.

— Co to jest? — wyszeptała, biorąc jedno ze zdjęć, przedstawiające martwą twarz panny Żaby, z upiornie wytrzeszczonymi oczami i rozplataną szyją. — Kto to mógł zrobić Patce...?

— Twój Szamir.

— Kłamiesz! — krzyknęła. — Byli ze sobą bardzo zaprzyjaźnieni. Mówił o niej „moja najlepsza kumpela”... — Wyraźnie jednak straciła pierwotną pewność siebie. — Kiedy niby to się miało stać?

— Wczoraj rano.

— Bzdura! Patrycja pojechała wyrzucić moją komórkę. Zawieźliśmy ją na stację metra i przywieźliśmy z powrotem. — Tu znów podniosła głos, tak że mogła być słyszana nie tylko na podwórku, ale w całym lesie. — Selim...!

Gajowy nie zareagował. Zresztą nie miał takiej szansy. Obezwładniony przez trzech funkcjonariuszy, którzy wyrosli nie wiadomo skąd, był już w drodze do śmigłowca.

— A poszłaś za nią do mieszkania się pożegnać?

— Nie. Czekałam w samochodzie. Modliłam się. Szamir dał mi do przeczytania wyjątkowo długą surę... — jej głos zaczął drżeć — więc stąd wzięła się ta pręga na jego twarzy?!

— Jaka pręga?

— Głębokie zdrapanie. Szamir powiedział, że wziął u Patrycji kąpiel, a potem zaczął golić brodę, żeby go nie rozpoznali, i zaciął się... Niemożliwe, dlaczego miałyby to zrobić?

Krajewska spokojnie odczekała, aż Agata się wypłacze. A potem rozpoczęła z nią długą rozmowę.

Bogdan powstrzymał ekipę przed wkraczaniem do leśniczówki.

— Panienska więcej powie po dobroci niż podczas regularnego przesłuchania — przekonywał Orłowski. I chyba przekonał.

Tymczasem Agata zgodziła się wreszcie na połknięcie środka uspokajającego — Wanda nie informowała jej, że to placebo — i wkrótce zaczęła rozmawiać przytomniej.

— Kim ty jesteś? — zapytała.

— Psychologiem rodzinnym — skłamała Krajewska.

— I wsadzisz mnie do domu wariatów?

— Nie mam najmniejszego zamiaru. Gdybym ci opowiedziała, jakie wariactwa wyczyniałam sama w twoim wieku...

— Naprawdę? — Nowicka lekko się uśmiechnęła.

— Zaliczyłam i ucieczkę z domu, i romans z żonatym mężczyzną.

— Szamir mówił, że może mieć cztery żony, ale kocha tylko mnie.

Rozmowa trwała ponad trzy godziny. Wanda nie próbowała dziewczyny straszyć ani możliwymi oskarżeniami o współudział w zabójstwie, ani za przynależność do spisku. Słuchała jak starsza przyjaciółka, pełna zrozumienia i empatii. Okazało się, że Agata odczuwała ogromną potrzebę mówienia.

Jak było do przewidzenia, jej przejście na islam wynikało bardziej z fascynacji mężczyzną niż zachwyty nad egzotyczną religią.

— Bardzo trudno mi było przekonać się do tych wszystkich reguł — wyznała. — Pod tym względem nigdy chyba nie dorównam pobożnością Szamirowi.

— To znaczy?

— Zanurzył się w tym z głową. Nie mogłam uwierzyć, kiedy mówił, że dla sprawy wiary gotów jest zabijać i samemu zginąć. A teraz... — jeszcze raz

popatrzyła na zdjęcia z pobojowiska w Ursusie — teraz wiem, że mówił prawdę.

— Domyślasz się, dlaczego ją zabił?

— Skąd niby miałabym wiedzieć?

— Może pokłócili się z zazdrości o ciebie?

Pokręciła głową.

— Wykluczone. Patka wiedziała od początku, jakie relacje nas łączą, a mnie traktowała jak siostrę. To nie to!

— Może więc zwróciłaś uwagę na coś nietypowego w zachowaniu twojego chłopaka, jakąś zmianę?

— Zmiana zaszła dużo wcześniej. Między nami.

— Tak...? — Wanda postanowiła nie przeszkadzać swobodnej wypowiedzi, wiedząc, że i tak wszystko jest nagrywane.

— Poznaliśmy się w Internecie. Zaczęliśmy korespondować, potem się spotykać. To był cudowny chłopak, wrażliwy i... — zaczerwieniła się — strasznie namiętny.

Wanda pomyślała w tym momencie o innym namiętym facecie, ale tylko przygryzła wargę.

— Byłam gotowa iść za nim na koniec świata, a nawet dalej, zmienić religię, przyjąć zasady szariat. Tymczasem niespodziewanie z dnia na dzień przestał się do mnie odzywać.

— Kiedy to się stało?

— Dwa miesiące temu. Zupełnie nieoczekiwanie! Kochaliśmy się przez całe popołudnie w jego mieszkaniu na Gocławiu, po czym pod wieczór wyznał mi, że musi wyjechać za granicę, że przez pewien czas nie będzie mógł dzwonić ani pisać, ale jak wróci, będziemy się spotykać jak dawniej. Okłamał mnie!

— To znaczy?

— Wrócił do Polski, bo widzieli go moi znajomi, ale się do mnie już nie odezwał. Próbowałam się z nim skontaktować na różne sposoby, ale mi się nie udało. Może bym odpuściła, bo mam swoją godność, kiedy okazało się, że jestem w ciąży. Nie miałam wyjścia, musiałam go odszukać!

Reszta jej relacji z grubsza zgadzała się z wynikami śledztwa pary detektywów.

— Kiedy dotarłam do Patrycji i opowiedziałam jej o dziecku, Patka obiecała skontaktować się z Szamirem — opowiadała Agata. — Nie wiem, jak tego dokonała, bo przy mnie nie dzwoniła, tylko wychodziła na kwadrans, w każdym razie powiedziała, że mogę u niej przenocować i zaczekać. Rzeczywiście zjawił się wcześniej rano. Był wściekły i krzyczał, że go odszukałam. Najgorsze, że miał w oczach coś takiego, że się naprawdę przeraziłam. Ale kiedy dowiedział się o ciąży, zupełnie się zmienił. Zrobił się wobec mnie czuły i wydaje mi się, że dłuższy czas nad czymś rozmyślał. Nie wiedziałam, czy chodzi o mnie, czy o sprawę...

— Jaką sprawę?

— Nie chciał mi powiedzieć. Ale powtarzał, że Dzień Sądu dla niewiernych jest niedaleki. A kiedy wczoraj wyjechaliśmy samochodem z Warszawy, powiedział jeszcze, że ten dzień już nadchodzi.

— Pytałaś, na czym to będzie polegać?

— Nie mogłam, bałam się...

— Czego?

— Żeby go pani wtedy widziała. To było straszne, wyglądało to tak, jakby wyszedł z siebie i stanął obok. Wołał o obowiązku wobec Boga, o potrzebie ofiar nawet z siebie i ze swoich najbliższych, jeśli sprawa tego wymaga. Nie miałam pojęcia, że może mieć na myśli biedną Patrycję.

— A wracając do tego terminu Dzień Sądu. Nigdy wcześniej o tym nie rozmawialiście?

— Niejeden raz, ale zawsze bardzo ogólnie. Szamir mówił, że stary świat umiera, rozkłada się jak sterta kompostu, ale młody już się rodzi. Że nadchodzi era islamu, w którym grzeszni, jeśli nie wybiorą prawdziwej wiary, zostaną skazani na śmierć i wieki potępienie, a islam zatriumfuje w całym świecie.

— Nie wspominał, jak to się ma dokonać?

— Wcześniej myślałam, że przemiana będzie się dokonywała powoli metodą ewolucyjną, pokojową. Na początku naszej znajomości Szamir uwielbiał przedstawiać wykresy dzietności islamskich kobiet, fascynował się napływem uchodźców, przewidywał, kiedy we Francji staną się większością... Ale...

— Co, ale?

— Podczas ostatnich spotkań już o tym nie mówił. Zdarzało się, że stawał się obojętny, nieobecny. A kiedy wczoraj jechaliśmy samochodem, przeraziłam się. Czułam w nim zarazem determinację, jak i rezygnację. Nie pytałam, ale bez słów rozumiałam, że ma do odegrania w tym czasie rolę szczególną. Tragiczną!

— To znaczy?

— Myślę, że przygotowywał mnie na swoją śmierć — powiedziała niezwykle poważnie.

— Co ty gadasz?!

— Kiedy mnie tu przywiózł, kazał mi się dużo modlić i przestrzegać prawa. A dziecko — miał nadzieję, że to będzie chłopczyk — wychować na dobrego muzułmanina. Potem kochaliśmy się jeszcze raz, ale za bardzo się spieszył, żeby było naprawdę dobrze. Potem dał mi to... — wyciągnęła piękną złotą bransoletkę w stylu orientalnym. — I powiedział, że jego brat Selim mi pomoże. Będzie... — zaczerwieniła się — moim nowym mężem. A gdy całował mnie na pożegnanie, czułam, że robi to po raz ostatni.

— Myślisz, że wyruszył na świętą wojnę, z której można nie wrócić?

Energicznie pokręciła głową.

— Idąc na dżihad, każdy wierny bierze pod uwagę możliwość śmierci, chociaż jest przekonany, że z pomocą Allaha uda mu się wrócić bezpiecznie do rodziny. Szamir zachowywał się jak ktoś, kto takiej perspektywy nie ma.

„Samobójca, z pasem szahida” — przemknęło Krajewskiej.

— A nie mówił ci, dokąd się wybiera?

— Nie. Wspomniał tylko, że będzie „bramą dla oceanu”...

Dziewczyna nie miała pojęcia, co może oznaczać ten termin. Dużo później, już po dostarczeniu Nowickiej do Warszawy i oddaniu — po ponownym, tym razem oficjalnym przesłuchaniu — w ręce rodziców, Agata nieoczekiwanie zadzwoniła do Wandy.

— Coś mi się przypomniało — powiedziała, z punktu przechodząc do rzeczy.

— Powiedziałaś policji?

— Wolę tobie. W trakcie wsiadania do samochodu wypadła Szamirowi z kieszeni marynarki niewielka książeczka.

— Co to było?

— Rozmówki polsko-włoskie. To może znaczyć, że postanowił pojechać do Włoch.

*

Informacja o językowych zainteresowaniach amatora dżihadu nie dawała Krajewskiej spokoju. Swoimi odczuciami podzieliła się przy kolacji z resztą towarzystwa, do którego późnym wieczorem dołączyła Kamilla. Wanda przypomniwała nagrane fragmenty rozmów z Agatą na temat Szamira, do których wcześniej nie przywiązywała znaczenia. Z tego, co mówiła dziewczyna, jednym z motywów konwersji Stanisława Kruka na islam była żywołowa niechęć do chrześcijaństwa, a katolicyzmu w szczególności. Nazywał Jezusa

falszywym prorokiem, jego wyznawców gromadą mięczaków-hipokrytów, a większość obelg, które miotał pod adresem kleru, po prostu trudno było przytoczyć. „Nałogowi pedofile”, „geje w koloratkach” — należały do epitetów najłagodniejszych.

— Myślę, że ktoś w dzieciństwie musiał go potwornie skrzywdzić — powiedziała pani Monika.

— Ja bym się nad nim nie litowałam — wszedł jej w słowo Majewski — teraz to przede wszystkim groźny przeciwnik.

— Jednak takie nastawienie wobec chrześcijaństwa rodzi uzasadnione obawy, że może zostać wykorzystany do jakiejś akcji terrorystycznej przeciwko Kościołowi katolickiemu — powiedział Igor.

— Dotychczas terroryści nie atakowali otwarcie katolickich obiektów kultu. Były wypadki profanacji świątyń i zabójstw duchownych, ale nigdy nie przybierało to formy zorganizowanej akcji — powiedział Bortnik — przynajmniej w Europie.

— Fakt, od czasów Alego Aǧcy nie było zamachów na przywódców Kościoła — zgodził się Bogdan.

— Tyle że w przypadku Aǧcy KGB cynicznie posłużyło się islamistami — zaoponowała Monika.

— A jest pani całkiem pewna, kto ostatecznie stoi za Państwem Islamskim? — wtrącił Majewski.

Temat podchwyciła milcząca dotąd Kamilla Zabielska.

— Obawiam się, że czas, w którym celem islamskich terrorystów bywali głównie bezbożnicy, sataniści czy zbrodniarze, kończy się na naszych oczach. Nie wiem, czy mieliście okazję słuchać wystąpień Almanzora, ale wygląda na to, że nasz Szamir jest jego wyjątkowo gorliwym wyznawcą.

— W moim szpitalu nie było radiowęzła — stwierdził Majewski.

— No to może posłuchajcie. Stacje islamskie nadają jego kazania na

okrągło.

— Nie znamy arabskiego — powiedział Rykow.

— Kapłani islamskiej rewolucji przewidzieli taką sytuację. Cały czas obok oryginalnej przemowy idzie symultaniczne tłumaczenie angielskie.

W domu Zabielskich znajdowała się telewizja satelitarna z kilkuset kanałami, toteż po krótkim wyszukiwaniu znaleźli Al-Mansura przemawiającego na co najmniej trzech kanałach i były to wystąpienia najwyraźniej skierowane do Europejczyków.

Doskonale zamaskowany samozwańczy prorok z mieczem w jednej i karabinem w drugiej ręce przemawiał pełen pasji i żaru. Nie widać było tłumy i wiele wskazywało na to, że przemówienie nagrano w studiu, jednak jakiś sprytny reżyser podłożył pod nie żywiołowe reakcje tłumy, idealnie zgrane z gestykulacją Tarika. Wrzawa i oklaski wypełniały pauzy, przygasły, kiedy Almanzor zaczynał mówić, zrywały się, kiedy jego głos wznosił się dynamicznym crescendo.

Można było zauważyć też istotną różnicę w stosunku do wystąpień innych przywódców ISIS czy Al-Kaidy. Ci zazwyczaj atakowali bezbożny Zachód, jego ideową pustkę, występki, wymieniali krzywdy wyrządzone przez „krzyżowców” świata islamu — wrogiem Almanzora było w pierwszym rzędzie chrześcijaństwo. Fałszywa religia wypaczająca nauki Jezusa, proroka, którego nauki zostały niezrozumiane i wywrócono je na lewą stronę.

— Nie może być prawdziwa religia, która poniża Wszechmocnego Boga, każąc mu umierać jak niewolnikowi na krzyżu, nie może być prawdziwa religia głosząca kult słabości, wzywająca do miłowania nieprzyjaciół i nadstawiania drugiego policzka, gdy uderzono w pierwszy. Bóg prawdziwy kocha silnych, mężnych, a gdy trzeba, bezlitosnych. Wezwanie do tolerancji to nic innego, jak namawianie do zdrady.

Śledzili wystąpienie około dziesięciu minut, czując, jak w nich samych

rośnie agresja.

— Tego nie da się słuchać! — powiedziała w końcu Monika i za przyzwoleniem wszystkich pozostałych zgasiła odbiornik, pozostawiając jedynie włączone nagrywanie.

— To są nasze odczucia — powiedział mecenas Bortnik, który podobnie jak pozostali odetchnął z ulgą. — Niestety dla milionów muzułmanów to pożądany narkotyk.

— Tego nie zmienimy. Warto byłoby jednak dowiedzieć się, gdzie nagrywają te seanse nienawiści — powiedziała Kamilla.

— Wygląda na realizację w profesjonalnym studio — ocenił doktor Majewski. — Nienaganne światło, dobrze prowadzona kamera, mistrzowsko dodany podkład.

— A ja myślę... — zaczęła Osmanowa i raptownie umilkła.

Wszyscy popatrzyli na Alłę.

— Co myślisz? — zachęcił ją Igor.

— Mam wyczulone ucho, dlatego zwróciłam uwagę na coś, co mogło wam wszystkim umknąć.

— A mianowicie?

— Wsłuchałam się uważnie w głos lektora.

— Nagranie ma doskonale utrzymane proporcje, mówca i tłumacz nie zagłuszają się nawzajem — powiedziała Wanda — ale poza tym niczego szczególnego nie zauważyłam.

— A jego angielski?!

— Jest perfekcyjny, ale trochę szkolny — zgodził się Bortnik.

— Właśnie, brzmi jak język człowieka, który co prawda posiadał go w rewelacyjnym stopniu, ale się z nim nie urodził.

— W takim razie jaki może być jego język pierwotny, bo z pewnością nie arabski? Inne oddechy, napięcia emocjonalne — zapytał Zabielski.

— Gdybym miała się zakładać, powiedziałabym, że mówi to Rosjanin, wykształcony na brytyjskich uniwersytetach — powiedziała śpiewaczka, o której słuchu krążyły legendy. — Zauważyłam coś jeszcze, w trakcie nagrania ktoś otworzył okno i prawie jestem pewna, że usłyszałam morze rozbijające się o skały. Zresztą posłuchajmy tego jeszcze raz.

Kamilla poparła propozycję. Chciała jeszcze raz zobaczyć mężczyznę w masce. Już po chwili dla czterech obecnych pań nie ulegało wątpliwości, że oprawa jego oczu została poddana makijażowi. W jednym miejscu podkład wytarł się i wyjrzał skrawek naturalnego jasnego ciała.

— To Europejczyk! — zawołała Wanda.

*

Trudno byłoby nazwać nowego lokatora Adama Zabielskiego człowiekiem absorbującym. Witalij Kozdrow jak na posiadacza nieokiełznanej duszy słowiańskiej zachowywał się aż nazbyt spokojnie. Niemal nie opuszczał pokoju. A że nie miał zamiaru głodować, poprosił Adama o zrobienie niewyszukanych zakupów. Menu wyglądało skromnie: kiełbasa, chleb, wódka czysta, ogórki i piwo. I taki zestaw znakomicie wystarczył mu na śniadanie, obiad i kolację.

Trudno też było nazwać go osobnikiem towarzyskim, owszem, podobnie jak poprzedniego wieczora rozpił z gospodarzem pół litra, ale mimo tego ich rozmowa ograniczyła się do monosylab.

— Na długo przyjechałeś do Polski? — pytał Adam.

— Na krótko.

— A co dalej?

— Zobaczysz się.

Jeśli idzie o telewizję — Zabielski wstawił mu do pokoju mały odbiornik — Witalij oglądał wyłącznie kanały sportowe, chociaż nie wydawał się

zainteresowany żadną konkretną dyscypliną.

Z ludzkich cech pozostała mu konieczność wizytowania co jakiś czas toalety. Jedną z takich wizyt Adam wykorzystał na dolanie do piwa Kozdrowa środka nasennego.

Specyfik zadziałał po piętnastu minutach. Witalij zaczął mamrotać, ziewać, a potem ułożył się na łóżku i zachrapał.

Zabielski miał ogromną ochotę poznać zawartość jego walizki, ale Kamilla przestrzegła go przed działaniem na własną rękę.

— Wystarczy, że zadzwonisz.

A więc zatelefonował. Po kwadransie zjawiła się trzyosobowa grupa techników. Adam był pełen podziwu dla ich sprawności. Sfotografowano śpiącego Kozdrowa, pobrano mu krew, odciski palców. Specjaliści błyskawicznie skopiowali również zawartość komórki. Zeskanowali dokumenty. A przede wszystkim dobrali się do walizki, w której, jak można się było spodziewać, znajdował się snajperski sztucer z celownikiem wspomagany komputerowo, czyli sprzęt, na jaki może pozwolić sobie tylko bardzo profesjonalny zabójca.

Cała operacja zajęła technikom równo godzinę, po czym ulotnili się, polecając Adamowi, aby też poszedł spać.

— A on, kiedy się obudzi? — zapytał, wskazując chrapiącego snajpera.

— Gwarantujemy, że nie otworzy oczu przez co najmniej osiem godzin.

— No dobrze, a co potem, z pewnością nabierze podejrzeń wobec mnie...

— Być może, dlatego otoczmy go troskliwą opieką.

13. Dowód zgodności

Sprawy, z którymi zwykle mamy do czynienia, dzielą się na łatwe, trudne i niewykonalne. Niestety zdarza się, że na pierwszy rzut oka mylimy wspomniane kategorie. Tak było w przypadku konieczności pobrania DNA krewniaków hitlerowskich zbrodniarzy. Próbka dotycząca Adolfa Hitlera okazała się stosunkowo łatwo dostępna dla kogoś dobrze dającego sobie radę w przepaścistych archiwach CIA. Także 85-letnia córka Himmlera — Gudrun Burwitz — poszła im w sposób nadzwyczajny na rękę. Kiedy Peggy Atkinson, podając się za amerykańską dziennikarkę, usiłowała dostać się na konferencję starej nazistki, zwołaną do Bochum (tematem były podpalenia miejscowego schroniska emigrantów, o co oskarżono rzecz jasna neonazistów), starsza pani najpierw kazała wyrzucić „tę czarną małpę”, potem sponiewierała ją słownie, a na koniec opluła!

Trudno o korzystniejszy rozwój wypadków.

Peggy wyszła z sali, nie ocierając twarzy, tylko (już w samochodzie) pieczołowicie zebrała plwocinę do specjalnego pojemniczka.

Pozostawała jeszcze wnuczka Goebbelsa, Sara, panienska wielce ekscentryczna, która przez ostatnie tygodnie szlajała się incognito po Europie z grupą podobnych jej lesbijek. Ludzie z Firmy namierzyli ją w Neapolu, niestety przy pierwszej próbie zbliżenia jeden z agentów został bezlitośnie skopany przez jej dwumetrowe przyjaciółki, a drugi stracił zęby. Kobiety nie tyle chroniły swoją prywatność, ile odczuwały bezgraniczny wstręt do rodzaju męskiego. W tej sytuacji Charles zwrócił się z prośbą do Ałły, czy nie mogłaby wyskoczyć razem z nim do Włoch i pomóc w pobraniu próbki DNA.

— Ja z nią pojedę — stwierdził kategorycznie inżynier Rykow.

W efekcie pojechali w trójkę.

Mieli nadzieję, że jeśli agenci z Paryża, Brukseli i Berlina uwiną się równie chwacko z osobnikami z listy zabitego archiwisty, to nie minie doba, a będą mieli pełną wiedzę o rzeczywistych klonach przywódców III Rzeszy.

*

Dymitr Lipkin pocił się obficie. Klimatyzacja w pałacu w Praskowiejewce, położonym na urwistym brzegu Morza Czarnego, niedaleko Gelendżyka, ciągle jeszcze nie działała, jak należy. Może dlatego, że obsesja właściciela na punkcie bezpieczeństwa nie pozwalała na zatrudnienie specjalistów którejś z firm zagranicznych. Oficjalnie pałac należał do jednego z moskiewskich oligarchów, ale faktycznie rezydencja większa niż Wersal i rozleglejsza niż Camp David stanowiła prywatną własność „demokratycznego imperatora”. Dodajmy — jedną z dwudziestu podobnych rozsianych po całym świecie.

Posiadłość, położona na lesistym cyplu, była zapewne jednym z najlepiej zabezpieczonych miejsc na świecie, a mimo to najważniejsze narady odbywano w dolnym gabinecie osadzonym głęboko w skale, pod głównym trzonem pałacu, co powodowało, że było na nich gorąco, duszno, a gdy waga roztrząsanych spraw była tak doniosła jak dzisiaj, sobowtórowi robiło się jeszcze duszniej.

Od czasu, kiedy przejął rolę Władimira Władimirowicza Pobiedina, nigdy dotąd nie uczestniczył w naradzie zwołanej w tak konspiracyjnym trybie. Trzech ministrów, szefowie służb, doradca Dubnow.

Zastanawiał się, ilu z tych ludzi wie, że jest jedynie sobowtórem Pobiedina, funkcjonującym z mikroskopijną słuchawką w uchu. I to podobno nie najlepszym. W porównaniu z Mordakowem, który do roli prezydenta pasował idealnie, chirurdzy plastyczni musieli się mocno napracować nad twarzą Lipkina. I nie do końca im się powiodło. Nie dziw, że od wielu miesięcy

wytykano „nowemu carowi” stosowanie botoksu i innych środków, które mają poprawić urodę, a jak dowodzą przypadki większości starzejących się gwiazd filmowych, jedynie ją pogarszają.

Skądinąd nerwy sobowtóra były w pełni uzasadnione. Do operacji „Inga” pozostały trzy dni.

Operacji, której istota nigdy nie miała wyjść na jaw. Pobiedin obok aspektów doraźnych dbał również o przyszłych historyków. Stąd przygotowania przeprowadzono w najgłębszej konspiracji, a kryptonim miał być na zawsze utajniony. Wszystko miało wyglądać na przypadkowy splot zdarzeń, na który władze „największego kraju świata” miały zareagować w pełnym poczuciu odpowiedzialności. Zareagować i uratować zachodnią cywilizację. A że były zaskakująco przygotowane na rozwój wypadków, których nie mógłby przewidzieć nawet koncesjonowany wróżbita? To jest właśnie podstawowa cecha wybitnych władców, którzy, jak ongiś Józef Stalin, łączą talenty wizjonerów ze sprawnością działań właściwą ludziom czynu.

„Żeby już był poniedziałek” — pomyślał dubler i jeszcze raz otarł pot. „Czy w tym bunkrze nie mają żadnej klimatyzacji?”

Swoją drogą tego dnia czuł się jak aktor, który tuż przed wejściem na scenę dowiedział się od suflera (nieocenionego Dubnowa), że gra w innej sztuce, niż myślał. Tekst własnego wystąpienia znał od paru godzin, a w szczególności „Ingi” wprowadzano go stopniowo przez ostatni miesiąc. Resztę miał mu zapewnić głos dudniący w uchu.

Jeśli przez ponad rok Lipkin zastanawiał się nad powodem zniknięcia swego poprzednika, to teraz wszystko układało się w logiczną całość. Mordakow musiał dowiedzieć się o „Indze” i nie zaakceptował operacji.

Lipkin też by jej nie zaakceptował, gdyby mógł.

Ale nie mógł. Gdzieś w Moskwie, a może nawet tu, w trzewiach czarnomorskiego kompleksu, znajdował się przecież suweren, mający oko na

nich wszystkich, pan życia i śmierci — współczesny Minotaur, monstrum, wobec którego nikt nie miał odwagi Tezeusza.

Dymitr wodził wzrokiem po sali, czując, że nie on jeden ma wątpliwości. Ot, choćby minister spraw zagranicznych, chytry gracz o obliczu starego buldoga, który będzie musiał przyjąć wszystko na swoją klątę, twarz i całą resztę. Przeczołga go Rada Bezpieczeństwa ONZ, sponiewierają światowi przywódcy, lecz on, uczeń samego Władysława Mołotowa i Andrieja Gromyki, wszystko wytrzyma, z kamienną twarzą będzie klepać frazesy, naśmiewając się w duchu z bezradności wielkich tego świata.

Co innego minister obrony, rosły byczek o pozbawionym śladów empatii licu skośnookiego Azjaty, wierny towarzysz wszystkich najtajniejszych i najbrudniejszych sprawek hegemonu, człowiek, który, jeśli tylko dostanie odpowiedni rozkaz, nie zawaha się zmienić w parę żadnej ze światowych metropolii... Tyle że tym razem nie chodziło o przyciśnięcie atomowego guzika czy rzucenie kolumn pancernych... Przynajmniej na razie.

Nie ulega wątpliwości, że wszyscy wsłuchiwali się w tekst, który wykuł na blachę z właściwymi intonacjami, podkreśleniami i pauzami mającymi wywołać grozę.

Nigdy jeszcze idea wojny hybrydowej nie miała zostać zastosowana w podobnej skali. I nigdy jej następstwa nie mogły być większe.

— Operacja, jak wiecie, towarzysze, ma pięć faz i każda faza w przypadku niepowodzenia jej elementów składowych lub nieprzewidzianych niekorzystnych komplikacji może zostać zatrzymana bez szkody dla wizerunku Federacji Rosyjskiej — mówił. — W każdej z ewentualnych wersji występujemy jako rozjemcy, wybawcy, wyzwoliciele, nigdy agresorzy. Nawet jeśli przyjdzie użyć siły, zawsze w oficjalnym przekazie będzie to wybór mniejszego zła. Plan nasz dojrzewał latami i początkowo, jak wiecie, był rozłożony na lata. Aktualne przyspieszenie zdarzeń w Europie i korzystna

koniunktura międzynarodowa sprawiają, że możemy zacząć realizować go już teraz. I z Bożą pomocą, przy niewielkich kosztach własnych, osiągniemy wszystkie zamierzone cele cudzymi rękami. Na chwałę Trzeciego Rzymu!

Rozległy się oklaski. Kątem oka zobaczył, jak Dubnow wstaje i zmierza ku wyjściu. Ponieważ i on musiał mieć w uchu malutką słuchawkę, wyglądało na to, że został wezwany przez Najwyższego Zwierzchnika. Dlaczego? Chodziło o pochwałę czy karę? Pobiedin nie uznał za celowe poinformować swego sobowtóra.

— Zaraz wracam — rzucił szeptem do pozostałych Pierwszy Doradca. I wyszedł z sali.

Dzwoniącym był jedynie Kontroler.

— O co chodzi? — warknął Dubnow. — Mówiłem, żebyś nie przeszkadzał!

— Pojawiły się kłopoty. — Sorokin wydawał się podenerwowany. — Szybciej, niż myśleliśmy.

— To znaczy?

— Ludzie od Czerkasowa postanowili zweryfikować DNA celebrytów, których im podstawiliśmy. Jeśli zorientują się, że nie są to chłopcy od Ingeborgi, mogą zacząć szukać właściwych.

— Skurwiele! — syknął Dubnow, a jego szkła w złocistych oprawkach gwałtownie zapotniały. — Mówiłeś, że nie zdążą.

— Zdani wyłącznie na siebie zapewne by nie zdążyli, ale pomagają im ludzie z CIA.

— Pomagają? I nikt tego nie utracił na czas? Czy nasze wtyczki z Langley zapomniały, od kogo biorą pieniądze?!

— „Zet” i „Sigma” są ulokowani dość wysoko, ale nie mają wpływu na akcje, jakie ochotniczo podejmują na boku szeregowi funkcjonariusze. Cud, że w ogóle się o nich dowiedzieli.

— Wnioski! — Dubnow był coraz bardziej zdenerwowany.

— Możliwe więc, że nasi wrogowie jeszcze dziś będą mieli materiał genetyczny całej trójki potomków nazistowskich.

— Muszą go jeszcze porównać z tymi, których im podstawiliśmy.

— Obawiam się, że uporają się z tym w dwa dni. Z tym, że nie wiadomo, ile czasu zabierze im rozgryzienie właściwych...

— Nie można do tego dopuścić. — Pierwszy Doradca zacisnął pięści.

— Rozumiem, trzeba wyeliminować podstawionych. Pytanie, czy całą trójkę, czy też wystarczy...?

— Spokojnie, spokojnie! Jeśli wysadzimy w powietrze tego Francuza z Drugiego Biura, dostarczymy materiału genetycznego więcej, niż cały świat potrzebuje. Trupy tylko pogorszą sytuację.

— Więc co pan proponuje?

— Na początek skoncentrujcie się na najważniejszym.

— Tym, którego uznali za Adolfa?

— Tak! Mamy informacje, gdzie aktualnie przebywa?

— Towarzyszy pani kanclerz w podróży do Włoch. W planie rozmowy bilateralne z premierem Republiki, wizyta w obozie uchodźców, kurtuazyjna audiencja u papieża.

— Rozumiem, że nasi ludzie potrafią sprawić, żeby zniknął. Powiedzmy na trzy dni. Potem szczęśliwie się odnajdzie. Nie trzeba go fizycznie eliminować, bo jeszcze może się nam przydać, wystarczy tylko, żeby nikt z naszych przeciwników do rozpoczęcia „Ingi” nie był w stanie pobrać jego próbek.

— Dobrze, zajmiemy się tym, do końca dnia problem zostanie rozwiązany. Przy okazji proponuję, żeby ostatecznie pozbyć się tego zdrajcy Rykowa. Widziałem w raportach, że razem z panią Osmanową przybył do Włoch.

— Świetnie, i powiem więcej. Mamy starać się, żeby tej śpiewaczce włos nie spadł z głowy...

— Oczywiście! Po co komu łysa śpiewaczka. — Sorokin pozwolił sobie na

żarcik.

— Ale jeśli przypadkiem spadnie? Zdarzają się przecież wypadki przy pracy. — Dubnow znacząco zawiesił głos. — Aha, jeszcze jedno...

— Tak?

— Jeśli możesz, to nie zawracaj mi więcej tym głowy.

— Tak jest!

*

Wejście Ały na plażę nudystek w stroju pramatki Ewy (strój Osmanowej ograniczał się tego popołudnia wyłącznie do ciemnych okularów i fantazyjnego kapelusza) nie wywołało tak wielkiej reakcji, jaka wystąpiłaby na kąpielisku komunalnym, na którym jedną trzecią zajmują muzułmanki, opakowane w strój burkini, jednak harmonijne kształty śpiewaczki w połączeniu z dokładną depilacją zrobiły wrażenie na większości zgromadzonego tam towarzystwa — podstarzałych feministek, zmanierowanych lesbijek i kilku zwykłych kobiet, dla których regularna, pozbawiona zacienień opalenizna jest spełnieniem życiowych marzeń.

Nawet zajęte sobą towarzyski Sary zwróciły uwagę na przybyłą, która rozłożyła koczek nieopodal ich matecznika, a następnie zanurkowała między skałkami. Potem schła, rozkoszując się słońcem i nasłuchując rozmów z sąsiedniego stanowiska. Kobiety żartowały na temat co brzydszych sąsiadek, zwróciły też uwagę na tatuaż Ały, pięknego smoka, przykrywającego elegancko ślad po cesarskim cięciu.

Osmanowa miała opracowanych kilkanaście metod pobrania materiału genetycznego. Mogła na przykład wywołać awanturę z Sarą i wyrwać jej kilka kłaków. To jednak przy ilościowej przewadze potężnych feministek mogłoby mieć przykre następstwa. Mogła liczyć na to, że wnuczka Goebbelsa zechce obcinać sobie paznokcie i zostawi skrawki na piasku, w ostateczności

zamierzała podpłynąć i drasnąć ją paznokciem, a potem zdobyć odrobinę krwi. Niestety, choć wszystkie towarzyszki chodziły się kąpać, Sara nie weszła do wody. Znamienne było też, że jako jedyna na całej plaży nosi figi.

Rzecz wyjaśniła się ostatecznie, kiedy kobieta warknęła coś o tych przeklętych kosztach kobiecości, wzięła torbę i poszła w stronę toalet. Osmanowa odczekała chwilę i udała się za nią, a potem, gdy Sara wyszła z kabiny, weszła do środka i zajrzała do kosza z odpadkami. Ktoś musiał niedawno go opróżnić, w środku bowiem nie było niczego poza jednym zużytym tampaxem. Pokonując obrzydzenie, wrzuciła go do torebki. Zwycięstwo!

O zwycięstwie chwilowo nie mógł mówić Mike — rzymski agent CIA, który jako fotoreporter usiłował zbliżyć się do Arniego Fischera.

Ciasny krąg ochroniarzy wokół pani kanclerz sprawiał, że nieodstępujący jej ani o krok doradca był praktycznie nieosiągalny. Mike liczył na to, że w którymś momencie Arni uda się do toalety (wątpliwe, by chodził tam w parze ze swą szefową), a wtedy go dopadnie, niestety Fischer miał pęcherz jak z żelaza.

Tymczasem minęło południe, stadko paparazzich się przerzedziło, a i czujność ochroniarzy jakby osłabła.

— Dopadnę cię, jak będziesz wychodził od papieża! — mruczał Mike.

Audiencja nie trwała długo. Pani kanclerz nie była praktykującą katoliczką, a papież, mimo że nad wyraz postępowy, nie był fanem niemieckiej chadecji — która chrześcijańska pozostawała już jedynie z nazwy. Toteż po trzech kwadransach pomiędzy renesansowo przyodzianymi gwardzistami na schodach Pałacu Apostolskiego ukazał się mały orszak. Mike podskoczył do przodu i w tym momencie zorientował się, że Fischera w świcie nie było.

„Co jest grane?”

Czekał minutę, drugą, trzecią.

Niemcy zaczęli wsiadać do samochodów. Mike, widząc, że nie ma na co czekać, podszedł szybkim krokiem do rzeczniczki rządu.

— Nie widzę mojego przyjaciela, Arniego Fischera... — rzekł, nie musząc udawać zakłopotania.

— Poprosił o możliwość zobaczenia czegoś w Muzeach Watykańskich. Dołączy do nas później.

Mike zaklął w duchu. Wyjście z muzeów znajdowało się po drugiej stronie watykańskich murów. Szansa, że biegnąc dookoła, dogoni doradcę, była niezbyt wielka. Dlatego zamiast biec, rzucił okiem na program wizyty niemieckiej delegacji. Za godzinę *Kanzlerin* miała spotkanie w obozie dla uchodźców w Latynie.

„W taki razie tam cię dorwę, Arni!” — zdecydował.

Niestety Arni Fischer nie dotarł do Latiny. Nie pojawił się na spotkaniu u prezydenta Republiki ani na wieczornym bankiecie. Zresztą wcześniej jego nieoczekiwana absencja wzbudziła stan alarmowy w służbach włoskich i niemieckich.

Rychło o sprawie wiedziała również CIA. Ważny urzędnik Kancelarii Rządu Federalnego zniknął bez wieści. Z kamer monitoringu wynikało, że przemierzył watykańskie galerie prawie biegiem, pod prąd zwiedzających dotarł do wyjścia i skręcił w ulicę Viale Vaticano, gdzie złapał taksówkę. Nieco później ustalono, że przejechał nią na Piazza del Popolo, gdzie wysiadł i znikł w tłumie na dobre. Dziennikarze snuli domysły na temat możliwej schadzki, analizowali przeszłość młodego eksperta wraz z politycznymi afiliacjami i pozostawali bezradni.

Charles, choć wściekły, domyślał się, co się stało — konkurencja z GRU ich ubiegła. Nie był to zresztą jedyny kłopot, jaki spadł na nich tego wieczoru. Około siódmej bowiem gotowa była analiza porównawcza dotycząca rzekomego Himmlera.

Materiał Gudrun Burwitz i Jeana Tully wykazywał tak wielką niezgodność, jakby próbki pobrano od Pigmeja i Laponczyka.

Dwie godziny później komputerowo zestawiono charakterystykę genetyczną Sary, wnuczki Goebbelsa, i Jeana Claude'a Kleibera. I tu wykluczono jakiegokolwiek pokrewieństwo.

Charles przedstawił te wyniki przyjaciółom w trakcie kolacji, na której spotkali się w jednej z drogich restauracji przy Via del Corso.

— Musieliśmy popełnić jakąś pomyłkę — denerwował się Rykow. — Wytypowaliśmy niewłaściwych ludzi. Zbadajmy pozostałą czwórkę.

— Obawiam się, że stracimy jedynie czas — powiedziała Osmanowa. — Moim zdaniem istnieje ewentualność, że ktoś całkiem świadomie mógł wprowadzić nas w błąd, pragnąc zyskać na czasie.

Charles Smith milczał, ale zmarszczone czoło wykazywało ogromną pracę umysłową.

*

Zawodowi zabójcy znają ponoć sto jeden sposobów skutecznego uśmiercenia człowieka. Problem w tym, że nie każda metoda daje się użyć w konkretnej sytuacji. Worobiov, mając za cel Igora Rykova, zdecydował się na jeden z prostszych sposobów.

Sprawa wyglądała na łatwiznę, inżynier posługiwał się nadal swym latyńskim paszportem, Ała też nie zachowała reguł konspiracji, doskonale więc wiedzieli o ich przylocie do Rzymu. Niepotrzebny był nawet ogon. Już na lotnisku Osmanowa włączyła komórkę, co nie uszło uwagi obserwującej ją agentki. Ustalenie numeru okazało się nietrudne. Podobnie jak odbiorcy w Warszawie. Jak każda dobra matka, Ała musiała zadzwonić do swoich dzieci w Radości, tylko po to, aby upewnić się, że wszystko jest w porządku.

Wprawdzie obserwowani urwali im się na chwilę, robiąc wypad do

Neapolu, ale już wieczorem znaleźli się ponownie w Rzymie. Podążając za nimi jak po sznurku, Worobiov i Jegorowa najpierw ustalili miejsce zakwaterowania, gdzie inżynier i jego partnerka zabawili bardzo krótko, pozostawiając jedynie bagaże, a następnie dotarli do restauracji przy Via del Corso. Michaił razem z Anastazją zajęli miejsca w sąsiedniej sali, skąd przez ponad kwadrans obserwowali przeciwników. Nie spieszyli się, ofiary niepodejrzewające niczego nie mogły im uciec, a pragmatyka zawodowa nakazywała najpierw rozgryźć ich kontakty, aby móc wyrwać całe zło z korzeniami.

Cierpliwość została nagrodzona, bo na sali pojawił się szpakowaty mężczyzna, na którego pewnie nie zwróciliby uwagi, gdyby nie dosiadł się do stolika Rykowa.

— Nie wiesz przypadkiem, kim jest ten facet? — Worobiov zwrócił się do Jegorowej, która z apetytem pałaszowała lody, pragnąc ochłodzić się choć odrobinę. Czarna peruka, którą w ramach maskowania wdziała na głowę, grzała ją niemiłosiernie.

— Nie mam pojęcia, ale na kilometr śmierdzi od niego CIA... — odpowiedziała, ledwie podnosząc wzrok. — Przyniósł im instrukcje albo sprawdził, co załatwili pod Neapolem... Patrz, już wstaje.

Rzeczywiście Smith pożegnał się z przyjaciółmi i ruszył ku wyjściu.

— Pójdiesz za nim! — zdecydował Wor.

— Przecież mieliśmy się nie rozdzielać...

— Dam sobie radę sam. — Niedbałym ruchem rzucił na stół sto euro i widząc, że Igor kieruje się w stronę toalety, poszedł za nim.

„Wor” ze swego bogatego repertuaru wybrał jako atrakcję wieczoru — garotę. Był w tej dziedzinie mistrzem GRU.

Wszystko zdawało się sprzyjać jego zamiarom. W toaletach było pusto, a dyskretna muzyka, sącząca się z niewidzialnych głośników, głużyła

ewentualny dźwięk jego kroków. W dodatku w kiblach nie instalowano kamer!

Rykw podszedł do pisuaru. Worobiov postanowił zarzucić pętlę, kiedy jego ofiara będzie miała ręce zajęte rozporkiem.

Nie wziął pod uwagę niechlujstwa Włochów. Drugi dzień nie paliła się lampa nad pisuarami i za całe oświetlenie wnętrza musiała wystarczyć świetlówka ponad kabinami, toteż cień mordercy musiał pojawić się na ścianie przed Rykowem, zanim „Wor” zauważył, że go rzuca.

Inżynier zareagował instynktownie, targnął się w bok, z półobrotu uderzając butem w napastnika. Nie trafił wprawdzie w splot słoneczny, ale i tak Worobiov zwinął się w bólu. Pętla upadła na terakotę.

Tymczasem Rykw, zamiast skoczyć do wyjścia, cofnął się ku umywalkom, nie chcąc odwrócić się tyłem. Dobrze zrobił.

Zabójca błyskawicznie wyłuskał nóż i zważył go w dłoni. Znał dane na temat kwalifikacji Rykova i wiedział, że w walce wręcz potrafi nastreczyć sporo trudności, nie mógł jednak uciec przed celnie ciśniętym ostrzem.

Ale Igor nie czekał, wcześniej kątem oka zauważył przy lustrze pojemnik z mydłem w płynie, oderwał go jednym szarpnięciem i cisnął prosto w twarz napastnika, równocześnie przypadając do ziemi.

Oba „pociski” minęły się w locie. Nóż przeleciał ponad inżynierem, natomiast pojemnik trafił wprost w twarz Michaiła. Ciecz rozlała mu się po gębie.

Na wpół oślepiony, rycząc wściekle, ruszył w stronę Rykova, ale nie zauważył, że ten nagłym ruchem szarpnął drzwi kabiny i otworzył je na oścież. Szarżujący jak bawół „Wor” trafił dokładnie w ich kant.

Zachwiał się, tracąc szanse obejrzenia, co działo się obok niego. W otwartej kabinie siedział jakiś biedny homoseksualista, który trzymając świerszczyk dla gejów, onanizował się zawzięcie.

— Przepraszam — powiedział Rykw i szybko sięgnął po nóż zabójcy,

który odbiwszy się od lustra, upadł pod ścianą.

Zalany krwią Worobiov próbował jeszcze się podnieść, ale Igor błyskawicznym cięciem przeciął mu tętnicę w prawej ręce. Krew buchnęła z ramienia jak fontanna. — Mam nadzieję, że nie wykrwawisz się na amen, zanim nadejdzie pomoc — mruknął i opuścił toaletę. Bez sikania i bez mycia rąk.

— Co tak długo? — spytała Ała i uśmiechnęła się, widząc otwarty rozporek.

— Ktoś próbował mnie molestować — odparł Rykow.

— I co?

— Nie gustuję w chłopakach. Dlatego nie skończyło się to dla niego zbyt dobrze.

*

Tymczasem w Warszawie owego wieczoru ABW również nie marnowało czasu. Niestety historia komórki Witalija Kozdrowa okazała się tak krótka, jak CV dziewczynki udającej się do pierwszej komunii. Co nie znaczy, że nie była ciekawa. Aparat Białorusina zalogował się po raz pierwszy na dworcu Warszawa Wschodnia, tak jakby dopiero tam włożono do niego polską kartę. W ciągu kwadransa jeszcze z dworca Witalij prowadził z niego dwie rozmowy, jedną z Szymonem Kowalikiem, drugą z bliżej nieznanym abonentem przebywającym w rejonie Terespola.

— Mamy przekonanie graniczące z pewnością, że ten ktoś, nazwijmy go „Prowadzącym”, znajduje się tuż za naszą wschodnią granicą — powiedział Leszek Juraś, specjalista dotąd zajmujący się tropieniem wschodnich mafii, a szczególnie tych powiązanych z siłami specjalnymi ościennego mocarstwa. Kamilla ściągnęła go przed dwoma miesiącami z Białegostoku, a obecnie wyznaczyła na szefa zespołu w operacji „Trio”.

— Jak to za granicą? — zdziwił się jeden z młodszych funkcjonariuszy. — Przecież połączenie zostało zarejestrowane jako krajowe.

— Na tym polega urok telefonicznej zmyłki. Nasi... hm... nazwijmy ich „partnerzy”, zdają sobie sprawę, że rozmowy międzynarodowe są pod baczniejszą obserwacją niż krajowe, dlatego znajdują punkty tuż przy granicy, które obejmuje zasięg polskiej telefonii. Dzięki temu połączenia giną w tłumie innych banalnych rozmów. Tu mamy do czynienia niewątpliwie właśnie z takim przypadkiem. — Kapitan uruchomił ścienny monitor. — Zdjęcia satelitarne pokazują samotną chałupę nieopodal Bugu.

Z dalszej analizy przedstawianej przez Jurasia wynikało, że z tego samego telefonu Kozdrow prowadził w kolejnych dniach jeszcze dwie rozmowy i dwie odebrał. Wszystkie ograniczające się zaledwie do parunastu sekund.

— Czy możemy ustalić, z kim jeszcze rozmawiał ów „Prowadzący”, skoro korzystał z przekaźnika polskiej telefonii? — zapytała Kamilla. — No i gdzie przebywa obecnie?

— Zajmujemy się tym od paru godzin. I zapewne moglibyśmy, niestety, wspomniana komórka milczy dzisiaj jak grób.

— Może „Prowadzący” wyniósł się stamtąd?

— Nie sądzę. Ktoś z owego miejsca zatelefonował kilka razy na zaszyfrowane numery za pomocą linii białoruskich.

— I to wszystko, czym możecie się pochwalić?

— Poza tymi rozmowami analizowaliśmy jeszcze ów „telefon od przyjaciela”, który podsłuchał Adam. Zlokalizowaliśmy nawet miejsce, w którym mógł przebywać telefonujący. Tanią knajpę przy Targowej, opodal słynnego ongiś bazaru Różyckiego. Jednak to ustalenie niewiele posunęło śledztwo naprzód. Przez knajpę przewijały się setki ludzi dziennie, w większości nieskorych do rozmów z przedstawicielami władzy. Nikt z personelu nie odnotował bytności nieznanego Rosjanina, monitoringu zaś

lokal nie posiadał.

— Czy to wszystko? — Kamilla była już bardzo zmęczona, dawno minęła północ, a kolejny dzień mógł być krytyczny. Jeśli przysłane z zagranicy komando szykowało jakiś zamach, to sytuacja, kiedy na ulicach będą znajdowały się tysiące demonstrantów, zapowiadała się naprawdę dramatycznie.

— Na razie wszystko — zameldował Juraś — choć pracujemy nad pewnym pomysłem.

*

Postępująca w ślad za Charlesem Smithem agentka Jegorowa musiała zdrowo wyciągać nogi. Amerykanin ku jej zaskoczeniu nie wziął taksówki, nie skorzystał również z metra, tylko dziarskim krokiem udał się w kierunku fontanny di Trevi. Nie zatrzymał się jednak, by napawać się jej widokiem, ani nie zanurkował po pieniądze obficie zalegające dno płytkiego basenu, tylko skierował się w stronę Pałacu Kwirynalskiego, stanowiącego tradycyjną siedzibę prezydenta Republiki Włoskiej.

Iluminowany pałac gorzał jak świąteczna choinka, choć przyjęcie minęło raczej swoją fazę kulminacyjną. Pod główną bramę co rusz zajeżdżały samochody po wychodzących celebrytów, chociaż tylko nieliczne starannie kontrolowane miały prawo wjazdu na dziedziniec. Strumyk wychodzących gości podążał więc pieszo przez furkę, przy której gęsto było od ochroniarzy. Charles, który należał do nielicznych idących pod prąd, z wdziękiem światowca pokazał im jakąś odznakę, a może jedynie zaproszenie, i bez trudu wszedł do środka. Anastazja nie mogła pójść w jego ślady. Zresztą, prawdę powiedziawszy, nie cierpiała tego typu przyjęć.

Wyciągnęła komórkę, włączyła system szyfrujący i zadzwoniła do Worobiowa. Była ciekawa, czy uporał się z Rykowem i jaki los spotkał piękną

śpiewaczkę.

Dłuższą chwilę nikt nie odbierał. I kiedy zamierzała się rozłączyć, usłyszała silny głos mówiący po włosku:

— *Pronto?*

— Misza? — zapytała niepewnie, choć jej rozmówca z całą pewnością nim nie był.

— Kto dzwoni? — pytał obcy.

— Siostra — powiedziała bez większego zastanowienia.

— W takim razie proszę przyjechać do szpitala San Giovanni na Lateranie.

— Ale proszę powiedzieć, co się stało?

— Nie udzielamy informacji przez telefon.

— Na Boga, powiedzcie chociaż, czy żyje — udała skrajne zdenerwowanie i załkała. Kamień by się wzruszył, a co dopiero jakiś włoski gliniarz.

— Żyje, ale jego stan jest ciężki. Stracił bardzo wiele krwi.

„Przeklęty Rykow” — pomyślała Jegorowa. „Zapłaci mi za to”. Szybko skontaktowała się z rezydentem i poinformowała „wujka Pietię”, że „kuzynek Misza” trafił do szpitala.

— Wracaj do ciotki! — padło polecenie.

„Ciotka” oznaczała bezpieczną kryjówkę w pobliżu Via Cassia. Aliści Anastazja Jegorowa pierwszy raz w swej karierze nie zamierzała posłuchać polecenia. Przynajmniej nie od razu. Skończywszy rozmowę, wyjęła z aparatu kartę, przełamała ją i upuściła do kratki ściekowej. Nieprzydatna komórka wylądowała w pojemniku na śmieci.

To nie było działanie profesjonalne, ale postanowiła, że zabije osobiście Igora Rykova, a jeśli napatoczy się Osmanowa, również i byłą konkubinę prezydenta Pobiedina.

„Obowiązek i przyjemność w jednym”.

14. Gorąca noc

Około 22.30 przyjęcie w Pałacu Prezydenta Republiki na rzymskim Kwirynale, wydane na cześć delegacji niemieckiej, wchodziło zdecydowanie w fazę schyłkową. Samuel Blumenbaum, wiceambasador USA, wyzwolił się od towarzystwa podejrzanie przyjacielskiego ambasadora Białorusi, dokończył ostatniego podwójnego drinka i chwiejnym krokiem ruszył w stronę parkingu dla VIP-ów, zlokalizowanego na tyłach pałacu. Jako szef rzymskiej delegatury CIA unikał głównych wejść, fleszy paparazzich, a kontakty towarzyskie, jeśli nie liczyć młodych kobiet, ograniczał do niezbędnego minimum. Teraz absorbowała go głównie Olivia, której buzia rozświecała jego myśli i mroczną galerię. Omal nie zderzył się z człowiekiem, który zniemacka zastąpił mu drogę...

— Co jest?... — rzucił i urwał, ponieważ twarz mężczyzny wydała mu się dziwnie znajoma.

— Cześć, Sam — powiedział Charles Smith. — Musimy porozmawiać.

— Cześć! — odburknął i natychmiast wytrzeźwiał. Człowiek, który tarasował mu drogę, był jednym z najlepszych agentów Firmy, do którego zwolnienia walnie się przyczynił. — Daj mi spokój. Nie czas i pora na pogawędki. Jestem skonany. Jak masz do mnie sprawę, to wpadnij jutro.

— Sprawa nie może czekać! — Głos intruza był bardziej niż natarczywy. — I to ją odróżnia od panny Orsini, która w pokoju dwieście trzydzieści cztery z przyjemnością obejrzy kolejną kreskówkę, bardziej odpowiednią dla jej szkolnej legitymacji niż alkohol i seks z ojcem pięciorga dzieci.

Blumenbaum nigdy nie uchodził za wzór moralności, ale od czasu, kiedy ożenił się z młodszą o trzydzieści lat irlandzką katoliczką, starał się nie

narażać opinii publicznej. Jego osobisty kandydat do Białego Domu obiecywał mu w przypadku zwycięstwa wspaniałe awanse, pod jednym warunkiem: „Żadnego kurwiarstwa, Sam, żadnych skandali”.

— Czego chcesz ode mnie? — zapytał bardziej pojednawczo, zastanawiając się, skąd były agent może mieć informacje o chętniej nimfetce ze stajni byłego premiera Włoch. Nie wiedział o dyskretnej współpracy starych i byłych agentów, którzy chętnie świadczyli sobie usługi, pod warunkiem że nie zagrażało to bezpieczeństwu Ameryki.

— Ależ drobiazgu, szefie. Potrzebuję jedynie krótkiego dostępu do programu „Argus” — rzekł emerytowany agent.

— Jakiego programu? — wiceambasador dobrą chwilę próbował grać idiotę. — „Argus?”... Nigdy o czymś podobnym nie słyszałem.

— Podobnie jak nigdy nie widziałeś małej Olivii, jej drobnych piersi ani tego rozkosznego pieprzyka między jej pośladkami. Jutro zdjęcia ukazujące wszystkie te wspaniałości, w twoim towarzystwie, jeśli nie okażesz mi odrobiny uwagi, obiegą portale światowych mediów.

— Nawet jeśli coś obilo mi się o uszy, to nie znam konkretów.

Smith się roześmiał.

— Błagam, Sam, nie pogrywaj ze mną, bo umrę ze śmiechu. Doskonale wiem, że mamy to cudo od roku i wykorzystujemy dość często, nawet jeśli nie wie o tym prasa, obrońcy praw człowieka, a nawet pan Bambo w Białym Domu.

Blumenbaum sapnął i rozejrzał się dookoła, tak jakby rozważał, czy uciec, czy wezwać ochronę i kazać jej pozbyć się nieproszonego gościa.

Wybrał trzecie rozwiązanie — dialog.

— Po co ci „Argus”? — zapytał.

— A jeśli ci powiem, że ktoś wyhodował w brzydkim celu klony trzech nazistów, Hitlera, Himmlera i Goebbelsa, i zamierza użyć ich przeciwko nam

i naszym sojusznikom?

Trafił celnie. Znaczna część rodziny Blumenbauma dokonała życia w komorach Auschwitz, a jego matka jako dziewczynka cudem przeżyła w Terezynie, więc wszelka informacja o nazizmie wprawiała go w stan podwyższonej ekscytacji.

— Kto ich niby miał wyhodować? — zapytał.

— Ekstremiści — odparł szybko i ogólnikowo Smith. Wiedział, że jakakolwiek wzmianka o Rosjanach przerwałaby z trudem zadzierzgnięty dialog. Blumenbaum podobnie jak jego mocodawcy należał do zagorzałych filorusów.

— I nie potrzebujesz nic więcej? Nie ma w tym żadnego drugiego dna?

— Słowo skauta. Łącznie z gwarancją, że żadna dygresja na temat systemu globalnej inwigilacji przed wyborami nie trafi do mediów.

— Dobra, wpadnij jutro rano do ambasady, zobaczę, co uda się zrobić! — W tym momencie wiceambasador nie marzył o niczym innym jak o możliwie najszybszym zakończeniu rozmowy.

Smith pozostał nieubłagany.

— Pojedziemy tam teraz — powiedział. — Nikt z nas przecież nie chce niepotrzebnych kłopotów. Potrzebuję gestu dobrej woli, bym mógł odwołać moich ludzi.

— Odwołać?

— Przecież nie przyszedłbym bez ubezpieczenia. Jeśli nie dostaną ode mnie sygnału, twój hardcore z Olivią Orsini znajdzie się na czołówkach jutrzejszych tabloidów.

Samuel pomyślał o rozgrzanej nastolatce oczekującej go w zaufanym pensjonaciku, westchnął i się zgodził.

Normalnie Charles mógłby mieć kłopoty z wejściem do ambasady, ale zastępca ambasadora stanowił najlepszą z możliwych przepustek. Wprowadził

go do swego gabinetu i połączył z pokojem operacyjnym. Potem zalogował się w systemie „Argus” i zachrapał na sofie.

Wszystkie parametry i możliwości superkomputera nie były znane nawet jego konstruktorom, a co dopiero użytkownikom. Charles zamierzał jednak wykorzystać tylko drobną część jego zasobów.

Najpierw ściągnął wszystkie możliwe zdjęcia trójki przywódców III Rzeszy i stworzył z nich trzy trójwymiarowe modele — co zajęło około dwóch godzin. Potem wydał komendę „Wyszukaj współczesne odpowiedniki”. I zaczęło się.

W pierwszej fazie „Argus” znalazł dwa tysiące dwustu trzydziestu czterech potencjalnych Himmlerów, ośmiuset dziewięćdziesięciu siedmiu Hitlerów i tylko stu dziewiętnastu Goebbelsów. Zawężenie obszaru wyszukiwania wyłącznie do Europy zmniejszyło zbiór o ponad połowę. Kolejne ograniczenia ze względu na wiek, a także pozycję społeczną zmniejszyły liczbę ewentualnych klonów do około dziesięciu procent. Pozostałych poddano dokładnej analizie, uwzględniając możliwości, jakie daje charakterystyka czy zabiegi kosmetyczne.

Wiceambasador chrapał od wielu godzin, za oknem gabinetu pojawiły się pierwsze zapowiedzi brzasku, kiedy Smith dokonał ostatnich eliminacji. Z osłupieniem przyglądał się postaciom, które były dosłownie sobowtórami Himmlera i Goebbelsa, i co ważne w obu przypadkach, jako miejsce ich urodzenia wskazane były Niemcy. Natomiast liczba potencjalnych Hitlerów spadła do zera. Niedobrze!

Charles cofnął program o jedno wyszukiwanie wcześniej i w kadrze ukazało się jedenaście postaci. Wszystkie niezwykle podobne do wizerunków Adolfa Hitlera w okresie odbywania przez niego kary w więzieniu w Landsbergu. Żadna jednak nie zajmowała pozycji, w której miałyby wpływ na cokolwiek istotnego, i żadna nie była związana w najmniejszym stopniu z ośrodkiem

adopcyjnym w Berlinie.

„Co to znaczy?” — Smith zamyślił się głęboko. „Albo wypada przyjąć, że »Argus« się mylił, albo z jakiegoś powodu klon führera nie znalazł się w jego bazie danych. Funkcjonował gdzieś na krańcach cywilizowanego świata. A może »duplikat« przeszedł tak doskonałą operację plastyczną, że najlepszy nawet komputer jest bezradny?”.

*

Zajęcia związane z przygotowaniem do sobotnich demonstracji, które wedle najnowszych planów miały przybrać formę marszu gwiazdzistego i całkowicie sparaliżować ruch w Warszawie, zajęły Szymonowi Kowalikowi czas do północy. Ostatni z aktywistów rozjechali się do najważniejszych miast Polski. Wiedzieli, co robić, skąd wyruszyć miały wynajęte autokary. Po miesięcach wakacyjnej przerwy marsze miały być wyjątkowo okazałe.

Jednak północ nie oznaczała końca zajęć Kowalika. W opustoszałym namiocie musiał przelecieć jeszcze dwie osiemnastoletnie aktywistki ROW-u, których zadaniem było uporządkowanie okolicy i spalenie wszystkich śladów ich dotychczasowej działalności. Tylko seks na krótko pozwolił zapomnieć mu o innych rosnących emocjach. Po krótkiej drzemce, około trzeciej zabrał obie panny do samochodu i ruszył do Warszawy. Szosa była pusta, mocniej przycisnął pedał gazu.

Zatrzymali go koło Łomianek — cywilne auto z kogutem i dwaj umundurowani policjanci. Przez chwilę myślał o depnięciu gazu, ale opanował się, nie teraz. Najwyżej zapłaci mandat.

Nie byli skłonni przyjąć łapówki. Co gorsza, kazali dmuchać w balonik.

— Panowie, po co to wszystko — zaprotestował. — Alkoholu nie piłem od tygodni!

— Zatem będzie to tylko formalność.

Faktycznie od początku akcji przestrzegał wstrzemięźliwości, toteż osłupiał, kiedy balonik ściemniał niebezpiecznie.

— Musimy zabrać was na pobranie krwi — powiedział funkcjonariusz. — Czy któraś z pań posiada prawo jazdy?

— Ja! — pisnęła ruda Julka.

— Zatem proszę jechać dalej. — Tu zwrócił się do Kowalika: — Jeśli próba wypadnie negatywnie, przeprosimy za kłopot i odstawimy pana do jego domu, jeśli nie, zanocujecie w Izbie Wytrzeźwień.

— To jakiś idiotyzm! — wołał Szymek. — Macie felerne urządzenia. Ja złożę skargę...!

Nie przejmując się jego okrzykami, wcisnęli go do samochodu, gdzie siedział jeszcze jeden starszy funkcjonariusz, w cywilu.

Kowalik był mocno zdenerwowany obrotem zdarzeń, ale jeszcze nie odczuwał paniki. Ta pojawiła się, kiedy skręcili w boczną drogę.

— Co jest? Co to wszystko ma znaczyć? — zawołał.

Odpowiedział mu trzeci z funkcjonariuszów.

— Zdradziliście, towarzyszu Kowalik, zawiedliście na całej linii.

Mówił po rosyjsku i nic nie wskazywało na to, że języka tego nauczył się w trakcie kursów w komendzie.

— Ja? To wykluczone! — zawołał Szymon.

— Ulokowaliście Witalija u agenta ABW — powiedział twardo prowadzący rozmowę.

Kowalik otworzył usta i natychmiast je zamknął. W głowie rozdzwonił się system alarmowy. Ludzie z GRU z całą pewnością użyliby ustalonych pseudonimów przypisanych trzyosobowemu komandu — Sokoł, Oriel, Jastreb. Miał do czynienia z jakimiś przebierańcami.

— Nie wiem, o czym mówicie — konsekwentnie odpowiadał po polsku.

— Gra na zwłokę nic wam nie da — syknął fałszywy Rusek. — Trzeba

szybko ostrzec pozostałych, przede wszystkim Andrieja...

Tym razem reakcja zatrzymanego była porażająca, tak jakby gwałtownie wszystko w nim pękło.

— Nie róbcie mi krzywdy — zawołał płaczliwie. — Ja nic nie wiem. O Boże, Boże...

To mówiąc, prominentny działacz ROW-u zsikał się w spodnie.

*

Korzystając z zamieszania, jakie wywołał ranny osiłek, i krzyków geja onanisty, Rykow wraz ze swą piękną towarzyszką opuścili lokal i pieszo udali się do nieodległego pensjonatu, który wcześniej wynajął dla nich Charles Smith.

— To bezpieczne miejsce. Właścicielem jest nasz emerytowany współpracownik — zapewnił.

Pensjonat znajdował się w zacisznym zaułku opodal Viale del Monte Oppio i nosił nazwę „U Nerona”. Właściciel, tłuściutki Riccardo, przypominający jedną z trzech disnejowskich świnek, utrzymywał, że obiekt stoi na miejscu dawnego Domus Aurea — Pałacu Nerona, co oczywiście nie było szczególnym ewenementem. Rezydencja cesarska z I wieku naszej ery zajmowała przecież gdzieś jedną dziesiątą powierzchni Rzymu. W każdym razie z najwyższych okien hoteliku widać było Koloseum i resztki term Trajana.

Oczywiście Ała bywała nad Tybrem wiele razy wcześniej, ale zawsze jako gwiazda, nigdy jako turystka. Raz nawet w towarzystwie Aleksieja (udającego Władimira) spędziła szaloną noc w rezydencji premiera Włoch. Skądinąd była najstarszą z kobiet uczestniczących w swawolnym przyjęciu. Najmłodsza (Olivia) miała lat piętnaście. I była zdziwiona, że śpiewaczka nie chce uczestniczyć w trójkątku.

A jednak to, co przeżywała teraz, trudno było jej nawet porównywać z wcześniejszymi podróżami. Przebywała z mężczyzną, w którym z każdym dniem była coraz bardziej zakochana. (Fatalnie bez przyszłości, ale nic nie mogła na to poradzić). Od opuszczenia Warszawy praktycznie nie mieli czasu dla siebie. Teraz postanowili to nadrobić!

Pożądanie rosło w nich od wielu godzin, toteż całować zaczęli się już na schodach. Wpadli z łomotem do pokoju o ścianach koloru purpury pompejańskiej, nie zaprzestając pieszczot i pocałunków. Po drodze zrzucali buty, zdierali z siebie garderobę, znacząc szlak ku wielkiemu łóżu pokrytemu czerwoną kapą (Charles Smith najwyraźniej pomyślał o wszystkim!). Zapomnieli nawet zamknąć drzwi, na szczęście zrobiła to za nich jakaś litościwa dusza zwabiona hałasami z pokoju.

Ała zadarła halkę, ale nie zdążyła zdjąć jej przez głowę, kiedy Igor runął na nią jak lokomotywa z zakładu „Chłuba Proletariatu”.

Łoże, lubo przeżyło wiele, zaczynając swą amoralną karierę w czasach Benita Mussoliniego, nie wytrzymało tej burzy i naporu i zaważyło się z trzaskiem.

— Nie przestawaj — krzyknęła Alla mimo zakrytej głowy i spętanych rąk... Więc nie przestawali, z przechylnego łóża sturlali się na dywanik, nadziewając się na przewróconą lampkę nocną.

Osmanowa pisnęła z bólu.

— Weź mnie od tyłu — zaproponowała.

Dżentelmeńsko przeszedł z awersu na rewers, rąbiąc ją, jak to czynili przez tysiąclecia nasi jaskiniowi przodkowie, zanim któremuś strzeliło do głowy, aby obejrzeć, kim tak naprawdę się zajmuje.

Ała jęczała z rozkoszy. A Rykow łączył przyjemne z pożytecznym, wydłubując z jej śnieżnobiałych pleców odłamki pośluczonej żarówki. Szczyt był ostry i stromy jak ściana Matterhornu, natomiast ilość nasienia starczyłaby

na obsianie nim kołchozu średniej wielkości.

Kwadrans później wrócili do rzeczywistości. Rykow, przypominając sobie względy bezpieczeństwa, podszedł do okna, zlustrował maleńkie podwórko, rozważając wszelkie możliwości dotarcia do nich od zewnątrz, a potem poszedł wziąć prysznic.

Ałła wyciągnęła komórkę i włączyła sieć. Pragnienie porozmawiania z dziećmi silniejsze było od wszelkich zakazów. Powstrzymała się w ostatniej chwili, uświadamiając sobie, że o tej porze jej malcy na pewno spali, a budzenie z pierwszego snu Moniki Zabielskiej też byłoby prawdziwym okrucieństwem.

Nie czekając, aż inżynier skończy ablucje, otworzyła drzwi łazienki i wskoczyła do niego pod prysznic.

— Poczekaj choć chwilę — poprosił — nie dam rady!

— Dasz, dasz! — odparła, osuwając się w strugach wody na kolana przed swym panem i władcą — a ja ci w tym pomogę!

*

Samochód fałszywych policjantów podskakiwał na wyboistej drodze prowadzącej w stronę Puszczy Kampinoskiej, kiedy smród moczu wypełnił wnętrze volkswagena. Komisarz Juraś co rychlej otworzył okno.

— Co za tchórz?! — Przemknęło przez głowę Jurasiowi, który sądził, że ma do czynienia z kimś odważniejszym.

Tymczasem Kowalik zaczął skomlić po rosyjsku, prosząc o możliwość załatwienia się poza samochodem.

— Błagam, chcecie, żebym jeszcze wam zafajdał wóz?

Groźba wyglądała na realną, toteż przystali niechętnie, uprzednio rewidując go i odbierając mu portfel, komórkę, a także nóż sprężynowy. Jeden z glińiarzy uznał też postój za dobrą okazję, żeby samemu się odpryskać.

Szymon wyszedł z wozu i zaczął rozpinać spodnie, aby przykucnąć na poboczu, kiedy zza zakrętu wyłonił się jakiś samochód na długich światłach, posuwający się drożyną. Policjanci na moment oślepli, ale Kowalik nie zmarnował wypracowanej okazji, tylko rzucił się między zarośla. Pogonili za nim, jednak Szymon okazał się lepszy, w dodatku w porę wyczuł przecinający zarośla kanałek i przesadził go jednym susem, bijąc rekord środkowego Mazowsza w skoku w dal. Goniący go policjant aż takim rekordzistą nie był, w ostatniej chwili zawahał się, ale nie zdołał wyhamować. Runął w wodę i nim wykaraskał się na drugi brzeg, Szymon zniknął. Drugi z funkcjonariuszy, który pozostał w tyle po dalszych kilkuset metrach, nie mając pojęcia, gdzie zniknął ścigany, zaprzestał pościgu. Juraś w ogóle w nim nie uczestniczył, siedział w wozie i wysyłał do sąsiednich komend rysopis Kowalika z informacją — nie jest uzbrojony.

— Zawaliliśmy akcję — podsumował ponuro, kiedy dwaj gliniarze wrócili z nieudanego pościgu. — Ale mamy przynajmniej jego komórkę.

W pierwszej kolejności przejrzał listę kontaktów. Telefonów było sporo, większość oznaczono imionami bądź zawodami, jednak tylko trzy oznaczono pojedynczymi literami — S, O, J. Numer przypisany literce S z całą pewnością oznaczał telefon Witalija... Czyżby rozwiązanie było tak proste?

Nie tracąc czasu, porozumiał się ze sztabem.

— Musimy przygotować się do zgarnięcia tych gagatków — stwierdził. — Ustalcie za pomocą billingów miejsca pobytu całej trójki. Jak będziecie gotowi, dacie mi znać. Sądzę, że do tego czasu znajdziemy kolegę Kowalika.

Może nie byłby takim optymistą, gdyby znał zbierane właśnie przez centralę dossier aktywisty.

Szymon Kowalik, mimo że ledwie skończył trzydziestkę, miał bogatą kartę działalności zadymiarskiej, za co nigdy nie poniósł konsekwencji. Trudno zliczyć wszelkie wredne akcje, w których uczestniczył. Z niebytu wypłynął

gdzieś przed dziesięciu laty podczas akcji przeciwko rządowi obozu patriotycznego. Później pojawiał się wielokrotnie, gdy trzeba było zakłócać przebieg demokratycznych demonstracji, sikać na znicze, atakować dziennikarzy niezależnych mediów czy rozbijać wiece przedwyborcze opozycji. Radykalizm Szymona raził nawet wielu przedstawicieli obozu władzy, którzy uważali go jednak za pożytecznego wariata. Niewielu potrafiło o nim powiedzieć cokolwiek, od chwili, kiedy krótko po maturze opuścił swój przysiółek na Ziemiach Odzyskanych. W miejscu oficjalnego zameldowania (w Łodzi) nie przebywał, żadnych świadczeń nie pobierał, podatków nie płacił. Z czego się utrzymywał — nie wiadomo.

Co ciekawe, zręcznie unikał otwartych konfliktów z prawem, nawet jego hipoteka mandatów wyglądała słabo — ledwie dwa przekroczenia prędkości, raz rozmowa przez komórkę... Ot, uczciwy człowiek, co najwyżej z podwyższonym ADHD. Cóż więcej? Owszem, lubił fotografować się z byłym prezydentem i ubliżać prawicowym politykom, ale trudno było mu tego zabronić. W archiwum ABW znajdowała się jedna wąta poszlaka na temat niebezpiecznych związków Kowalika. W czasie krakowskiej wizyty Pobiedina zaobserwowano, jak Szymon wszedł do jednego z krakowskich hoteli zarezerwowanych dla dziennikarzy rosyjskich. Nie został przez nikogo zatrzymany i dotarł do apartamentu zajmowanego przez korespondenta niezależnych mediów rosyjskich — redaktora Sorokina, w którym nawet łamagi z polskich służb domyślały się agenta GRU. O spotkaniu doniosła pokojówka współpracująca z ABW, tyle że ówczesna władza patrząca przez palce na buszujących w Polsce „przyjaciół Moskali” nie zrobiła z tej informacji żadnego użytku. Dobrze chociaż, że zapis tego incydentu pozostał w aktach.

— Że też szukając ewentualnych związków między ROW-em a Rosją, przegapiliśmy ten wątek — łajała się w myślach Kamilla Zabielska.

Nie był to jedyny powód jej kłopotów. Sprawa pościgu za Kowalikiem przedstawiała się marnie. Szymon, zamiast uciekać w głąb lasu jak większość osobników w jego sytuacji, wybrał pierwsze z brzegu ubogo wyglądające obejście zamieszkałe przez parkę emerytów. Wybił szybę. Kawałkiem szkła sterroryzował kobietę, potem sztachetą ogłuszył mężczyznę. Związał oboje, ukradł komórkę (prezent od wnuczki) i oddalił się na zdobycznym rowerze. Tuż przed miejscem, w którym zaczynała się gęsta zabudowa, usłyszał syrenę policyjnego wozu pędzącego na sygnale, więc bez namysłu przewrócił rower w trawę, a sam przywarował w rowie.

Minęli go, nawet nie zwalniając. Bocznyimi ulicami podążył w stronę miasta. Wcześniej jednak wykorzystał skradziony aparat. Numerów Andrieja i Pawła w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć. Szczęśliwym trafem pamiętał, że telefon Witalija miał numer składający się z kombinacji trójek i dziewiątek — co przywodziło diabelskie skojarzenia. Pierwsza próba była nieudana. Za drugim razem numer okazał się prawidłowy.

Kozdrow spał twardo po zaaplikowaniu mu środka usypiającego, jednak hałaśliwy dźwięk obudziłby nawet umarłego. Po omacku odszukał telefon.

— Miałeś nie dzwonić, co się dzieje? — wymamrotał. — Wiesz, która jest godzina?

— Milcz i słuchaj! — syknął Kowalik. I przez chwilę przekazywał mu to, co najważniejsze...

Hałas dzwonka obudził również Adama. Dłuższą chwilę zastanawiał się, co robić, próbować uciec czy walczyć. Z rozpaczą rozglądał się za czymkolwiek, czego mógłby użyć jako broni. Czy mógł posłużyć za nią elegancki szwajcarski scyzoryk, który z Bazylei przywiozła mu Wanda? Czwarta nad ranem nie jest najlepszą porą dla ludzkiej aktywności. Wprawdzie rozmowa została utrwalona, a dyżurujący w centrali funkcjonariusze zaalarmowani, jednak zanim informacja dotarła do policjantów zajmujących stanowisko vis-à-vis

mieszkania Krajewskiego, było za późno, żeby cokolwiek zrobić. Indagowani, zeznali, że minutę przed tym telefonem widzieli motor Adama, który wypadł z bramy i pognął w noc.

— Czy to był na pewno on? — zapytał dyspozytor.

— W każdym razie miał jego kurtkę i kask. Czy mamy sprawdzić sytuację w mieszkaniu?

— Czekajcie, ekipa w drodze.

Grupa antyterrorystów przybyła na miejsce o 4.15, Juraś i jego ludzie pięć minut później. Drzwi zastali uchylone. Weszli pełni najgorszych obaw. Kozdrowa nie było. Na korytarzu w wielkiej kałuży leżał Adam. Najwyraźniej stoczył zawziętą walkę ze swym gościem, obok leżał szwajcarski scyzoryk z białym krzyżem, z ostrzem zbyt krótkim, by sięgnąć serca.

Błyskawicznie zawiadomili panią nadkomisarz, której tej nocy nie dane było zmrużyć oka.

— Żyje? — zawołała, czując, jak przeraźliwy strach ściska jej gardło.

— Żyje! — padła szybka odpowiedź Jurasia. — Zarobił parę pchnięć nożem, na szczęście żadne nie jest chyba śmiertelne! Kozdrow musiał posłużyć się zabranym mu scyzorykiem i nie miał czasu doprowadzić rzecz do końca. Tylko szybko przyślijcie karetkę, zanim się kompletnie wykrwawi.

— A co z walizką Kozdrowa? — dopytywała się Zabielska, nie zapominając o swych obowiązkach.

— Walizka nadal leży pod łóżkiem, ale pusta, musiał zabrać broń ze sobą.

— Cholera jasna! A Kowalik?

— Wszystko wskazuje na to, że przecisnął się przez sieć obławy.

Porażka nie spowolniła na szczęście poszukiwań pozostałych najemników. Wprawdzie sygnał z komórki Witalija zniknął, co dowodziło, że Kozdrow pozbył się aparatu, ale dwa pozostałe numery udało się z grubsza zlokalizować.

Jeden prowadził do zapuszczonej oficyny przy Brzeskiej, kilkadziesiąt metrów od bazaru Różyckiego, drugi do bloków na Nowym Bródnie.

Było jasne, że Kowalik ostrzegł Kozdrowa. Dlaczego nie zrobił tego samego z pozostałymi? Może po prostu nie pamiętał numerów ich telefonów.

Akcję na bródnowskim blokowisku postanowiono przeprowadzić maksymalnie precyzyjnie. Po wybraniu jednego z bloków jako najbardziej prawdopodobnej kryjówki Rosjanina ustawiono wokół mikrofony komórkowe, a następnie wykrecono numer należący do niego.

W nocnej ciszy dźwięk słyszalny był przez uchylone okno lokalu 34. Na całym osiedlu. Rozłączyli się, czekając na reakcję. Ale w podejrzanym lokalu nie zapaliła się nawet nocna lampka.

— Wchodzimy — zdecydował kapitan Dolniak dowodzący grupą szturmową.

Zapukano do drzwi lokalu na trzecim piętrze. Nikt nie odpowiedział. Ale antyterrorystów to nie zraziło.

— Tu dozorca — zawołał chrapliwie Dolniak. — Proszę otworzyć, w budynku jest wyciek gazu.

Zamiast odpowiedzi seria z automatu przestebnowała drzwi. Sypnęły się trociny i kawałki sklejk, odłamek drasnął w czoło jednego z żołnierzy.

— Granaty ogłuszające! — zdecydował dowódca. — Bierzemy go żywcem!

Przeraźliwy huk wypełnił klatkę schodową, po czym trójka antyterrorystów wpadła do wnętrza.

Zastali je puste, tylko otwarte okno wskazywało drogę ucieczki.

— Wskoczył z trzeciego piętra?! — zdumiał się Dolniak. — Musiał być strasznie zdesperowany.

Jednak najemnik nie był samobójcą. Już wcześniej zauważył rozłożystą wierzbę rosnącą pod domem. Wskakując, starał się lecieć w jej kierunku. Łamiące się gałęzie zamortyzowały upadek. Ledwie podrapany wstał

błyskawicznie i nie wypuszczając broni z ręki, puścił się w szczelinę między blokami. Ale tam czekali. Zawrócił. I nadal ostrzeliwując się, pomknął w przeciwną stronę, ku garażom i śmietnikom. Ale i tam byli antyterrorysty.

Uniósł broń, pragnąc się przebić, kiedy rozdzierający ból targnął jego lewym udem.

„Strzelają w nogi” — pomyślał. „Chcą mnie wziąć żywcem, niedoczekanie ich! Jebionnyje Polaczki!”.

Widząc, że w każdym kierunku drogę ma odciętą, dopadł do śmietnika i wskoczył do środka. Po drodze kolejny strzał trafił go w lewą rękę, która zwisała bezwładnie. Nie zamierzał jednak tanio sprzedawać swojej skóry.

Prawą ręką wyciągnął z kieszeni komórkę, z którą się nie rozstawał. Przywołał z pamięci numer, którego miał użyć w chwili najwyższego zagrożenia. Takiej jak ta. Zastanawiał się, jak mu pomogą, choć nie miał wątpliwości, że to zrobią. Wielka Rosja nie zapomina przecież o swoich bojownikach. Wybrał kombinację pięciu cyfr i przysunął aparat do ucha.

Detonacja nie była specjalnie wielka, ot, wystarczająca, żeby urwać ucho wraz z połową głowy.

Antyterrorysty, którzy pierwsi zobaczyli jego ciało, zwrócili uwagę na ocalałą część twarzy martwego najemnika. Malowało się na niej bezbrzeżne zdumienie.

Ekipy z Bródna i z Brzeskiej planowały synchronizować swe ataki. Jednak w namiarze elektronicznym pojawił się błąd — wejście do oficyny, w której zlokalizowali Andrieja, znajdowało się na innym podwórku, niż założono pierwotnie. Prowadziła na nie sąsiednia brama. Dwie minuty wystarczyły, aby naprawić błąd, ale był to czas wystarczający, by Rosjanin zdążył opuścić kryjówkę w suterenie. I zniknąć. Inna sprawa, że nie miał dokąd uciec. Wyjście przez jedyną bramę zostało obstawione. Rozpoczęło się żmudne pukanie do wszystkich mieszkań, gdzie, jak to na Pradze, czekały

funkcjonariuszy głównie klątwy i wyzwiska wyrwanych ze smacznego snu mieszkańców.

Rosjanina nigdzie nie było. Jako wyszkolony zabójca już wcześniej zadbał o drogę do ewentualnej ewakuacji. W samym rogu podwórka studni zauważył zwężenie między ścianami, tworzące prawdziwy komin. Zapiierając się rękami i nogami, ze zwinnością małpy dostał się na dach. W półmroku jakoś nikt go nie zauważył, zresztą przez kilka minut uwaga wszystkich kierowała się ku oficynie. Schylony począł pomykać od komina do komina, z dachu na dach, szybko oddalając się od trefnego podwórka. Jeszcze chwila, a znajdzie jakąś klatkę schodową, którą wydostanie się na sąsiednią ulicę.

Całej Pragi obstawić przecież nie mogli. Zaczął wierzyć, że mu się uda, kiedy usłyszał warkot, a zaraz potem uchwycił go snop światła z reflektora.

— Jest na dachu! — popłynął komunikat.

Przyspieszył kroku i stanął. Pod stopami otwarła się próżnia. Od dachu sąsiedniego domu dzielił go parometryowy odstęp. Na filmach akcji kaskaderzy pokonują takie dystanse bez większego wysiłku.

„Musi się udać!” — pomyślał.

Wziął rozbieg, skoczył. Rękami złapał rynnę po przeciwnej stronie przesmyku między domami.

Przecenił wytrzymałość materiału. Rynna była wprawdzie nowa, wręcz lśniąca nowością. Niestety plastikowa; szarpnięta, odłamała się i odpadła od ściany. Andriej próbował jeszcze znaleźć jakieś oparcie dla stóp. Nie dał rady.

Koziołkując, poleciał z wysokości kilku pięter w dół. Na kocie łby podwórka. Kiedy dobiegli do niego antyterrorysty, konał, ale spróbował się jeszcze uśmiechnąć.

— Gównu wam powiem!

Pierwszy sen, w jaki w hotelowym pokoju „U Nerona” zapadł Rykow, był ciężki, nieprzyjemny. Chociaż zaczął się dosyć miło. Z wtuloną w siebie Ziną siedział na szczycie góry Synaj i wraz z olbrzymim tłumem pielgrzymów oczekiwał wschodu słońca. Kiedy to było? Osiem lat temu? Całe wieki. Niestety nie odczuwał radości, lecz jedynie wstyd.

Powinien przecież powiedzieć swojej zabitej niespełna dwa lata temu żonie, że właśnie śpi z inną i, co było bardzo trudne do przekazania, jest z nią szczęśliwy. Nie zdążył, ponieważ zamiast słońca zobaczył krwawą łunę i wychyliwszy się, zauważył, że ziemia u podnóża góry się pali. Ulotniła się gdzieś poranna mgła i ujrzał, aż po horyzont, jak wszystko pod nimi płonie. Cóż się tak mogło palić na półwyspie Synaj? Piasek?

Tymczasem jęzory ognia wspinały się po skałach coraz wyżej. Powinni uciekać? Tylko dokąd?! Gwałtownie odwrócił się w stronę Ziny. Sen pierzchnął.

Leżał w hotelowym łóżku obok nagiej Ałły, oddychającej równo, spokojnie. „Sen mara, Bóg wiara” — mawiała jego polska babcia.

Odwrócił głowę. Na fosforyzującym zegarku minęła zaledwie pierwsza. Długo nie pospał.

Jednocześnie wzrok jego zatrzymał się na leżącym na nocnej szafce przedmiocie, który wcześniej, w miłosnym upojeniu uszedł jego uwadze. Komórka? I to najwyraźniej włączona. Wbrew jego zaleceniom Ałła korzystała z telefonu!

Teraz stało się jasne, dlaczego wrogowie tak łatwo namierzyli ich w restauracji przy Corso. Na pewno wiedzieli też o tym hotelu. Dziwne tylko, że nie zaatakowali do tej pory.

Wyślizgnął się z łóżka i nie budząc Ałły, wciągnął na siebie ubranie. Za jedyną broń służył mu sprężynowiec Worobiowa. Niewiele, gdyby napastnicy nadeszli całą grupą.

Ostrożnie wysunął się z pokoju. W całym domu panowała głęboka cisza, zwłaszcza że dobrze izolowane drzwi tłumiły jakiegokolwiek odgłosy seksu, kaszlu czy nocnego popierdywania.

Zamierzał wrócić po Ałłę, aby razem z nią opuścić miejsce, które przestało być bezpieczne, kiedy usłyszał cichy zgrzyt dochodzący z dołu.

Ktoś manipulował przy drzwiach wejściowych.

Błyskawicznie rozważył możliwość podniesienia alarmu. Jeśli zabójców była grupa, to mógł spowodować w ten sposób tylko większe ofiary; jeśli przeciwnik wybrał się w pojedynkę — mógł spróbować poradzić sobie sam. Tylko gdzie miał się schować? Schody na dół były już nie do wykorzystania. A na górę...? Znajdowali się na najwyższym piętrze!

Pozostało mu tylko wcisnąć się w wąską niszę za staroświecką szafą i liczyć, że przybysz lub przybysze nie zdecydują się zapalić światła.

Wkrótce usłyszał kroki na schodach, pojedyncze, ciche, zwinne.

Postać w czerni, o twarzy zakrytej kominiarką, szczupła i gibka, natychmiast skojarzyła mu się z blondynką winną śmierci Ziny, a i zapewne obu staruszek w Szwajcarii. Miał przed sobą firmową zabójczynię ze SMERSZ-u

Kobieta jakoś nie wyczuła jego obecności — kominiarka mocno ograniczała większość zmysłów — minęła go i uklękła przy drzwiach, wyraźnie nie zamierzając otwierać zamka. Wyciągnęła przewód czy raczej plastikową żyłkę i wcisnęła ją w otwór pod drzwiami, potem podłączyła do pojemnika przypominającego na pierwszy rzut oka piersiówkę z alkoholem. Rozległ się cichy syk.

„Gaz!” — przemknęło przez myśl Igorowi. „Chce nas uspić, a potem zainscenizować wypadek albo samobójstwo”.

Skoczył i wymierzył cios.

Anastazja wyczuła go chyba szóstym zmysłem. W ostatniej chwili odwróciła się. Toteż cios mierzony w tętnicę szyjną trafił w ramię. Był

bolesny, ale niewyłączający zawodniczki z gry.

Jegorowa wykonała przewrót w tył i już była gotowa do walki. Skoczyła jak tygrysica, nie zauważając, że prawa ręka Igora znika za jego plecami.

Rykw sparował lewicą cios, a następnie wyprowadził własny, morderczy. Ostrze trafiło Anastazję w pierś poniżej mostka i zagłębiło się z chrzęstem w tkanki. Cios, mierzony lekko ku górze, przeciął aortę i dotarł do serca.

Śmierć nastąpiła prawie błyskawicznie.

Wraz z zakrwawionym dywanikiem Rykw wciągnął zabójczynię do środka.

Obudzona hałasem Osmanowa była już na nogach. Zapaliła światło i z trudem opanowała okrzyk.

— Zetrzyj krew z korytarza — polecił Igor — i przygotuj się do ewakuacji.

— A ty?

— Rozejrzę się.

W niewielkim czarnym chlebaczku Jegorowej znalazł wytrychy, mały pistolet i kluczyki do samochodu. Czyżby przyjechała sama? Może miała to być osobista vendetta za zranienie Worobiowa? A może były to klucze od wozu zapasowego, a reszta bandy oczekiwała na zewnątrz hotelu...?

Polecił Osmanowej zejście na dół do pustej o tej porze recepcji, sam udał się na rekonesans. Na ulicy nie spotkał nikogo, a mały fiat zabójczynie znalazł się na sąsiedniej uliczce i zamrugał światłami w momencie przyciśnięcia pilota.

Igor podjechał tym samochodzikiem pod same drzwi hotelu, ozdobione brodatym obliczem Nerona, i zabrał do środka Ałłę, dygocącą całą i szczękającą zębami, trudno powiedzieć, czy bardziej za sprawą emocji, czy porannego chłodu.

— Dokąd teraz? — zapytała. — Znasz jakąś dobrą kryjówkę?

— Pod latarnią najciemniej — odparł. — Najłatwiej będzie ukryć się w tłumie. Podobno w związku z kanonizacją Matki Teresy z Kalkuty pola

namiotowe dla pielgrzymów pękają w szwach, ale z pewnością nie odmówią schronienia jeszcze jednej parze grzeszników.

*

Wanda Krajewska i Monika Zabielska dojechały do szpitala na Szaserów godzinę po tym, jak przywieziono tam Adama. Roli kierowcy podjął się mecenas Bortnik, żadna z pań nie była w stanie prowadzić samochodu, a Bogdan wieczorem też gołnął sobie nieźle i wolał nie siadać za kółkiem.

Przez całą drogę z Radości półprzytomna Monika gadała bez ładu i składu, przytaczając jakieś opowiadki z dzieciństwa syna, jak skaleczył się w stopę, gdy nadepnął na talerzyk z mleczkiem dla kota, jak złamał sobie obojczyk, kiedy spadł z trzepaka. Bogdan milczał wyraźnie przybity. Wanda słuchała tego jednym uchem, modląc się żarliwie.

— Boże, nie zabieraj mi go, nie zabieraj!

Nawet nie przypuszczała, że ten jej „mąż z rozsądku”, ta „odtrutka na Rykowa”, może być dla niej tak ważny, tak bliski.

Kiedy przybyli na Grochów, operacja jeszcze trwała, wkrótce jednak pojawił się lekarz, który rozproszył ich obawy.

— Stan jest stabilny — powiedział. — Pacjent stracił sporo krwi, ale uzupełniliśmy niedobory. Otrzymał mnóstwo razów, ale wszystkie płytkie. W trakcie walki najwyraźniej podkulił nogi, toteż żaden cios nie trafił go w brzuch. Napastnik próbował wprawdzie poderżnąć mu gardło, ale też mu nie wyszło. Aktualnie kończymy nakładanie pacjentowi szwów. Wszystko będzie w porządku, mogą panie wracać do domu.

— Zostaniemy — odpowiedziały jednogłośnie.

Łóżko z Adamem pojawiło się na szpitalnym korytarzu po półgodzinie. Krajewski spał. Telefony Kamilli zrobiły swoje, umieszczono go w dość

luksusowym pokoju, z małą łazieneczką, gdzie obok łóżka znalazła się również kanapka dla gości.

— Będziemy czuwać przy nim na zmianę — oświadczyła Monika. — Ja biorę pierwszy dyżur.

— Dobrze — zgodziła się sennie Wanda. Kwadrans później spały już obie.

15. Dzień gniewu

Narada Komitetu Wykonawczego Rady Bezpieczeństwa Narodowego RP rozpoczęła się o wpół do ósmej. W gronie tym zabrakło miejsca dla liderów opozycji, ale sprawy, które zamierzano omawiać, nie nadawały się dla szerszego grona. Skądinąd nie zaproszono na spotkanie marszałków Sejmu i Senatu, choć obaj reprezentowali partię rządzącą.

Kamilla, doproszona jako ekspert do tego ekskluzywnego gremium zabrała głos jako jedna z pierwszych. Pani nadinspektor nie kryła powagi sytuacji. Mimo że przedstawiciele podstawowych służb twierdzili, iż sytuacja jest pod kontrolą i nic nie wskazuje na to, aby marsz gwiazdzisty na Warszawę miał zakończyć się jakimiś poważniejszymi incydentami, Zabielska nie podzielała urzędowego optymizmu. Poranna akcja przeciw moskiewskim agentom zakończyła się połowicznym sukcesem. Kozdrow i Kowalik rozpląnęli się w porannej mgle, a martwi najemnicy nie mogli udzielić najmniejszych informacji na temat, kto miał być celem ich działania.

Bo że szykowali jakiś zamach, nie ulegało wątpliwości. W suterenie przy Brzeskiej znaleziono cały arsenał granatów, detonatorów i małych ładunków wybuchowych. W lokalu na Bródnie przeważała broń maszynowa.

Nigdzie za to, wliczając w to pokój u Adama, nie znaleziono najmniejszych informacji o możliwych celach, brakowało niezbędnych przy takich okazjach planów miasta, fotografii, ludzi lub miejsc. Dowodziło to przezorności organizatorów, ale potęgowało obawy. Co mogli zrobić poza wyposażeniem każdego funkcjonariusza w zdjęcie Kozdrowa i Kowalika?

Pozostawało jedynie wzmóc kontrole ważniejszych obiektów i prominentnych osób.

I wyperswadować prezydentowi oraz pani premier jakiegokolwiek spotkania na otwartym terenie.

— Zanim jednak podzielę się z państwem analizą zagrożeń, które może przynieść dzisiejszy dzień, mam kilka ważnych informacji, nie taję, wręcz szokujących — powiedziała Kamilla. — Raportowałam już o problemie związanym z klonami hitlerowskich przywódców, wyhodowanymi w latach osiemdziesiątych w tajnym ośrodku na terenie byłej NRD. Wczoraj dzięki programowi udostępnionemu naszemu agentowi przez sojuszników z NATO udało nam się zidentyfikować dwóch z nich. Proszę o projekcję.

Przygasło światło i na ekranie pojawiło się zdjęcie młodego mężczyzny w mundurze rosyjskim z podpisem „Szef zespołu doradców prezydenta Pobiedina — Gienrich Dubnow”.

Szmer poszedł po sali, kiedy zestawiono zdjęcia reichsführera i kremlowskiego dygnitarza. Podobieństwo było uderzające. Aż dziw, że nikt nie zwrócił na nie uwagi wcześniej.

— Teraz poproszę o drugiego! — Zabielska zadbała o to, by wznowić projekcję, kiedy komentarze wśród widzów opadną. I tę twarz powitało donośne westchnienie.

— Julian Krakowski! — wyrwało się pani premier. — Wielki Boże!

— Alias doktor Joseph Goebbels — postawiła kropkę nad i Kamilla.

— Czy macie co do tego stuprocentową pewność? — odezwał się znany z przenikliwości, ale zarazem z ostrożności prezes partii rządzącej.

— Obaj pochodzą z Niemiec, są dziećmi adoptowanymi. Zgadza się wiek, a co do podobieństwa, sami państwo widzicie. Oczywiście ostateczną pewność uzyskamy po porównaniu materiału DNA.

— Tylko co można zrobić z tą porażającą wiedzą? — zapytał prezydent.

— Co do generała Dubnowa, naszym zadaniem będzie dostarczenie wszelkich informacji. Decyzja, jak tę wiedzę wykorzystać, będzie należała do

najwyższych władz Rzeczypospolitej.

— A Krakowski...? — zapytała pani premier.

— Sądzę, że jego wyeliminowanie z przestrzeni publicznej w ciągu najbliższych dni nie będzie trudne.

— Dni? Powinno się jak najprędzej zatrzymać szkodliwego demagoga — powiedział impulsywnie minister obrony, sam w latach komuny niejednokrotnie zatrzymywany i więziony przez Służbę Bezpieczeństwa.

— W momencie, kiedy kilkaset tysięcy ludzi zmierza do Warszawy, byłoby to więcej niż ryzykowne — zaproponował szef MSW. — Jeśli to zrobimy teraz, wówczas nawet ogłoszenie, kim jest ten człowiek, nie powstrzyma jego zwolenników przed wpadnięciem w prawdziwy amok. Moim zdaniem trzeba jakoś przeżyć tę manifestację i zacząć działać, dopiero kiedy się zdemobilizują.

Prezes partii pokiwał ze zrozumieniem głową.

— A co z klonem Hitlera? — zapytał minister spraw zagranicznych. — Udało się wam go zidentyfikować?

— W tej kwestii mamy brak danych. — Kamilla w paru słowach wspomniała porażkę amerykańskiego współpracownika. — Istnieje pod tym względem kilka możliwości, klon mógł jakiś czas temu radykalnie zmienić wygląd albo Rosjanie trzymają go z wiadomego tylko sobie powodu w ukryciu.

— Powinniśmy w tej sprawie — ponownie zabrał głos prezes partii, kierując wzrok na koordynatora sił specjalnych — zwrócić się, oczywiście możliwie dyskretnie, do służb zaprzyjaźnionych państw, które specjalizują się w inwigilacji Rosji — do Ukrainy, Pribałtyki. Być może dysponują jakimiś danymi na interesujący nas temat.

— I zrobimy to — stwierdziła pani premier — bezzwłocznie!

Jeśli Ała wraz z Igorem spodziewali się, że nocleg wśród pielgrzymów będzie ostatnim miłym akcentem ich pobytu w Rzymie, to mylili się grubo. Korci na Via Cassia i dodatkowo jakiś wypadek w sąsiedztwie samego Fiumicino sprawiły, że mimo trzygodzinnego zapasu znaleźli się w terminalu w momencie, kiedy srebrzysty ptak ze znakami Alitalii odrywał się od pasa lotniska. Co mieli robić, przebukowali bilety na wieczorny lot i zamierzali wrócić do miasta, kiedy przy wyjściu z terminalu natknęli się na Charlesa Smitha.

— Wiedziałem, że was tu zastanę — powiedział.

— Ale skąd...?

— Na hali odlotów do znużenia powtarzali wasze nazwiska, jakby chcieli zwabić wszystkich agentów GRU z całego świata — odparł ironicznie. — A zjawiłem się, żeby się pożegnać i pogratulować.

— Czego?

— Narobiliście niezłego bałaganu ostatniej nocy.

— My? — Inżynier zrobił minę niewiniątka.

— We włoskich służbach aż huczy o dwóch przypadkach śmierci gwałtownej, do których doszło w renomowanej restauracji przy Corso i w pewnym zacisznym pensjonaciku.

— Jesteśmy w związku z tym poszukiwani? — zaniepokoiła się Ała.

— Jeśli nawet, to nie przez policję włoską. Raban wynika stąd, że w nieboszczykach rozpoznano dwójkę obywateli Rosji, podejrzewanych od dłuższego czasu o działalność szpiegowską na terenie całej Unii. Zapowiada się niezły konflikt dyplomatyczny. I to jest dobra informacja dla was.

— W jakim sensie? — zainteresował się Rykow.

— Myślę o waszym bezpieczeństwie w najbliższym czasie. Nie sądzę, żeby GRU ryzykowało wysłanie kolejnych agentów przeciw wam, przynajmniej od razu. Swoją metodą będą wypierać się wszystkiego.

Tak rozprawiając, dotarli do garaży, gdzie Charles zabrał ich do wynajętego alfa romeo. Gdy ruszyli, Osmanowa uznała, że warto zmienić temat, i zapytała Smitha o jego dokonania.

— Sprawa została rozwiązana w dwóch trzecich — odparł, prezentując aktualną tożsamość hitlerowskich klonów. Naturalnie z wrodzoną sobie dyskrecją nie wspominał ani o „Argusie”, ani o szantażu wiceambasadora, ani o kompromitujących zdjęciach, ani o jego samarytańskiej działalności.

Pijanego jak bela dyplomatę USA prawie wyniósł z ambasady i dostarczył do domu, prosto na łono mocno niespokojnej małżonki. Potem już samodzielnie odszukał w hotelu Olivie Orsini i przekonał roznegliżowaną nastolatkę, żeby porzuciła swe rzymskie wakacje i wróciła do Perugii do szkoły z internatem prowadzonej przez zakonnice, z której mniej więcej przed dwoma tygodniami uciekła.

„Chyba nie chcesz, żebym wysłał rodzicom i lokalnej prasie te fotografie?” — rzekł, rzucając na łóżko plik kolorowych odbitek.

„Nie chcę — odparła, ziewając. — Wyglądam na nich cholernie niekorzystnie, bo makijaż mi się rozmazał. Ale teraz może chciałbyś przekimać u mnie do rana...?”

„Nie chciałbym” — uciał szorstko. Po pierwsze czuł się piekielnie zmęczony, a po drugie wołał dziewczyny odrobinę starsze.

— Wynika z tego, że w ogóle nie spałeś — stwierdził ze współczuciem Igor.

— Ależ spałem, spałem, całe dwie godziny!

Po dotarciu do Rzymu ulokował ich w komunalnym mieszkaniu na piętrze starej brzydkiej kamienicy na północy miasta. Sam zajmował lokal obok.

— Jeśli będzie jakiś problem, to pomogę, choć nie taję, że przede wszystkim chciałbym się dobrze wyspać.

— My też — powiedziała Ała, porozumiewawczo mrugając do Rykowa.

— No to śpijmy, a wieczorem zawiozę was na lotnisko.

*

Wanda ocknęła się koło siódmej. Adam spał nadal. Monika i Bogdan gdzieś zniknęli, dopiero po chwili dotarły do niej przyciszone głosy, z łazienki. Było w nich napięcie, irytacja... Wytężyła słuch.

— A gdyby umarł, nie dowiedziawszy się prawdy? — pytała pani Zabielska.

— Wtedy nie miałyby to żadnego znaczenia.

— A teraz? Przysięgam Bogu, że jeśli go uratuje, to powiem mu wszystko.

— Po co? Mało mamy kłopotów?

— Największym naszym jest ćwierć wieku w kłamstwie. I w strachu, co się może stać.

— Jak się okazało, te lęki były zupełnie niepotrzebne. Wyrósł na wspaniałego człowieka.

— Który nie ma kontaktu z ojcem!

— Może czuje, że nie jestem jego ojcem...

Ktoś zapukał do pokoju, małżonkowie szybko wyszli z łazienki. Do izolatki zajrzeli lekarz i nadkomisarz Juraś.

— Jeszcze śpi? — zapytał oficer do zadań specjalnych, spoglądając w stronę Adama.

Skinęli głowami.

Lekarz pochylił się nad Adamem, posłuchał oddechu, dotknął czoła pacjenta i pokazał kciukiem, że wszystko jest OK.

Juraś tymczasem zwrócił się do Wandy:

— Pani nadinspektor ma dla pani dość szczególne zadanie, ale jeśli jest pani zmęczona...

— Przespałam całą noc, może tylko w nie najwygodniejszej pozycji —

odparła. — Jestem gotowa do nowych zadań.

— A ja!?! — zapytał Bogdan Zabielski. — Czy Kamilla wyznaczyła coś dla mnie?

— Chwilowo proszę zajmować się rodziną.

Policjant, lekarz i Wanda wyszli. A Zabielscy wrócili do łazienki, tym razem nie zamykając za sobą drzwi.

Podjęli rozmowę w dokładnie tym miejscu, w którym ją przerwali

— Rozumiem, że nie powiedzieliśmy mu, kiedy był dzieckiem — ciągnęła Monika — ale potem...?

— Byłoby jeszcze trudniej.

— Byłoby łatwiej. Zresztą prędzej czy później zbiór zastrzeżony zostanie otwarty, ktoś dobierze się do akt operacji „Trasa...”, upubliczni.

— A jeśli już teraz wiem wszystko? — Dźwięczny głos z pokoju dobiegł do ich uszu. Wypadli z łazienki. Adam leżał na łóżku z szeroko otwartymi oczami.

— O czym ty mówisz? — zawołał Bogdan, zastanawiając się, ile mógł słyszeć młody mężczyzna.

— O wszystkim, tato. O tym, co zdarzyło się zimą na przełomie tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego i ósmego roku.

Monikę замуrowało, Bogdan był przytomniejszy.

— Kto ci nagadał? — zawołał. — Kamilla?

— Ciocia zachowała daleko posuniętą dyskrecję, ale są przecież dokumenty. Pewne sprawy nurtowały mnie latami. Niektórych mogłem się domyśleć. A dosłownie parę tygodni temu mój przyjaciel z IPN-u odnalazł właściwe teczki.

— I co teraz? — zapytała Monika.

— I nic. Jeśli myślicie, że mniej będę kochał mamę, która wbrew wszystkiemu dała mi życie, i ojca, który znając moje pochodzenie, mnie wychował, to jesteście w błędzie.

— A to że cię okłamywaliśmy?

— Sam bym tak robił, zwłaszcza kiedy nie wiadomo było, co ze mnie wyrośnie.

— Dzięki Bogu, że mamy to za sobą. — Matka podbiegła do niego i ucałowała go delikatnie. — Tylko dlaczego nie powiedziałeś nam wcześniej, że wiesz?

— Nie było okazji. A poza tym trzeba czasem otrzeć się o śmierć, aby zorientować się, ile warte jest życie!

*

Marsz gwiazdzisty zaczął się zbierać około godziny jedenastej.

Na punkty koncentracji wyznaczone zostały dla Ochoty i przybyszów z południowej Polski plac Narutowicza, Wola, Żoliborz, ludzie z Wielkopolski mieli spotkać się na placu Bankowym, goście pod Torwarem, a na błoniach przy Stadionie Narodowym obie Pragi i „ściana wschodnia”, Mokotów zaś i południowe zaplecze miasta wyznaczyły sobie punkt zborny przy dawnym Dworcu Południowym. Od wczesnego ranka autokary zaczęły przywozić setki, a następnie tysiące przybyszów spoza Warszawy, na których czekali już tubylcy, a także część „słoików”, którzy zdecydowali się pozostać na weekend w mieście.

Chętnych nie brakowało, jako że wyjazdy z terenu były sponsorowane — mówiono, że kasę daje multimilioner Geoffrey Kertesz, inni twierdzili, że grupa Bilderberg, a najbardziej zdesperowani miłośnicy rządu, że Mosad. Inna sprawa, że wielu uczestników chętnie przybyłoby za darmo. Postępująca psychoza, nakręcana przez komercyjne media eksponujące radykalne posunięcia władzy, sprawiła, że liczba ludzi przestraszonych szybkimi zmianami szła w dziesiątki tysięcy. Bali się zagrożenia totalną redukcją pracownicy mediów państwowych, oddani całym sercem minionej władzy

pracownicy naukowci uczelni oraz instytutów, personel sądów, urzędaszy z administracji, pociotki i przyjaciele tłustych misiów wylewanych hurtem ze spółek skarbu państwa, samorządowcy zagrożeni widmem przyspieszonych wyborów, które miały naprawić efekty wywołane przez poprzednie, totalnie sfalszowane. Ściągnęli też funkcjonariusze partii opozycyjnych, nauczyciele zmobilizowani plotką, że w nowej, zreformowanej szkole zabraknie dla nich miejsca, do tego wszelkiej maści pieniacze i awanturnicy spod flagi czarnej, błękitnej i tęczowej.

Szeptana plotka głosiła, że bój to może być ostatni, bo władza pitraśla jakoby specjalne ustawodawstwo, ograniczające wolność słowa, zgromadzeń i innych swobód obywatelskich. Co ciekawe, podczas burzliwych nocnych obrad do dymisji podał się dotychczasowy przywódca Ruchu. Jedni uważali, że był przeciwnikiem akcji, inni, że został zaszantażowany jakimiś brudami dotyczącymi jego życia osobistego. W każdym razie oświadczył, że nie weźmie udziału w demonstracji, której bezapelacyjnym wodzem okrzyknięto Juliana Krakowskiego.

Zgodnie z przewidywaniami Julian pojawił się osobiście o pół do dwunastej na wypełnionym po brzegi placu Narutowicza i w dynamicznych słowach wezwał naród do czynu. Obserwatorzy zauważyli, że tym razem wypowiadał się dość ogólnikowo. Widocznie najmocniejsze słowa rezerwował na wystąpienie w punkcie docelowej koncentracji, przy Kancelarii Rady Ministrów w Alejach Ujazdowskich. Wyglądał na bardziej podekscytowanego niż zwykle. Pojawiło się też zagadkowe utykanie na jedną nogę... Co jednak nie znaczy, że zaniedbał bratania się ze swymi zwolennikami. Na przykład bardzo chętnie przytulił śliczną dziewczynę o dziecinnej twarzy z wielkim znaczkiem ROW-u, która dosłownie rzuciła się na niego.

Nikt nie zauważył, w powszechnej euforii i on sam nie zwrócił chyba

uwagi, że dziewczyna, ściskając i całując lidera, którego szopa włosów tworzyła prawdziwie brunatną aureolę, zdarła mu paznokciem odrobinę naskórka...

— Brawo, Wanda! — mruknął oglądający ów incydent w telewizorze Zabielski.

Zdobyty materiał już w parę minut później przejęli ludzie z ABW, w laboratorium czekał materiał porównawczy, toteż po dwóch kwadransach nie została najmniejsza nawet wątpliwość.

Wiceszef ROW-u był Józefem Goebbelsem, czy raczej najdoskonalszą z możliwych replik hitlerowskiego ministra propagandy.

*

Wykonawszy powierzone jej zadanie, Krajewska wsiadła na skuter, tego dnia najpewniejszy środek lokomocji, i popędziła z powrotem do wojskowego szpitala przy Szaserów. Adam był w pokoju sam. Rodzice widząc, że jego stan polepsza się z godziny na godzinę, wrócili do domu.

Monika zastała go śledzącego TVP Info na małym telewizorku stojącym w nogach łóżka.

— Nie powinieneś się niczym denerwować — powiedziała.

— Nic nie jest w stanie zepsuć mi humoru — odparł, uśmiechając się promiennie. W takim stanie nie widziało go dawno. Ostatni raz chyba na ich ślubie.

— Stało się coś? — zapytała.

— Wyszedłem na prostą.

— Nie rozumiem...

— To dłuższa historia. Ponad ćwierć wieku temu grasował w Polsce seryjny zabójca, który porywał, więził, a następnie mordował młode dziewczyny. Był nieuchwytny i bezkarny. Milicja Obywatelska nie miała bazy

komputerowej, a on jako członek objazdowego zespołu estradowego spokojnie przemieszczał się z województwa do województwa.

— Ale co to ma wspólnego...?

— W ostatniej z porwanych zakochał się młody policjant z prowincjonalnego Koniecpola. I mimo braku poparcia przełożonych rozpoczął prywatne śledztwo. Zbrodniarzem okazał się niejaki Lucjan N., były SB-ek, organizator imprez...

— A dziewczyna?

— Została uratowana. I została żoną dzielnego funkcjonariusza.

— Rozumiem, że mówisz o moich teściach. Piękny happy end.

— Średnio piękny. Jak się okazało, dziewczyna była w ciąży. Nie zdecydowała się usunąć dziecka zbrodniczego psychola, a jej chłopak postanowił je wychować! Całe lata żyli w niepewności, czyje z odziedziczonych genów przeważą...

— O mój Boże! Kiedy się o tym dowiedziałeś?

— Całkiem niedawno. A dziś rozmawiałem o tym z rodzicami. Ulżyło nam wszystkim. — Tu skierował wzrok na Wandę.

— Mnie też! — szepnęła i pocałowała go w rękę.

Poczuł w tym geście szczerą, czułą, może coś więcej. Odwrócił głowę, nie chcąc, by zobaczyła łzę, która zakręciła się w jego oku.

— Wróćmy do rzeczywistości — zmienił temat. — Opowiedz mi o swoich dokonaniach.

— Nie powinieneś się denerwować.

— Bardziej wścieka mnie, że straciłem ostatni odcinek naszego „serialu”...

Wanda nie dała się długo namawiać i opowiedziała mu pokrótce, co zdarzyło się w ostatnich godzinach. Zdradziła rewelacje na temat Krakowskiego, wspomniała o obławie na najemników, o zniknięciu Szymona Kowalika i ucieczce najemnego zabójcy.

Zauważyła, że mąż wyraźnie się tym przejął, toteż dorzuciła pospiesznie:

— Bądź spokojny, Adasiu... Wszystkie najważniejsze osoby będą pod najlepszą ochroną!

— Wszystkie? — powtórzył z naciskiem.

— Powiedziałam — wszystkie najważniejsze!

Tymczasem na małym telewizorku pojawiły się napisy na czerwonym pasku wspominające o starcie marszu gwiazdzistego. Informacja w Info była ograniczona, toteż przeszli na kanał komercyjny szczycący się podawaniem „całej prawdy całą dobę”. Na tym kanale zgromadzenie wyglądało imponująco. Zwłaszcza że flagi europejskie, anarchistyczne i tęczowe dominowały nad biało-czerwonymi.

Co chwila eksponowano transparent wzbudzający entuzjazm tłumu: „Pogonimy kota prezesowi!”.

Wrócili na Info, w którym opowiadano o formowaniu pierwszych oddziałów obrony terytorialnej, akurat w momencie gdy na pasku biegnącym u dołu ekranu pojawiła się zapowiedź: „O 13.00 na placu Krasińskich odbędzie się konferencja prasowa Pierwszego Prezesa Sądu Najwyższego”.

Wanda mówiła coś o słabym odzewie z dużej części regionów, kiedy nagle zorientowała się, że mąż jej nie słucha.

— Coś ci się stało? — zapytała.

— O, my, durnie — wyszeptał, opadając na poduszki.

— O czym ty mówisz?

— O naszej ograniczonej wyobraźni! Jestem przekonany, że dziś władze chronią nie tych, których trzeba.

— To znaczy?

— Wczuj się na moment w ich skórę i pomyśl, co należałoby zrobić, aby pokojowe demonstracje w Polsce zmieniły się w otwarty konflikt. Wystarczyłby jeden celny strzał. Ale nie do premiera czy prezydenta — to

zrobiłoby z nich męczenników państwowych! Co innego, gdyby uderzono w przywódcę ROW-u albo jeszcze lepiej w autorytet moralny będący jądrem całego sporu.

— W Pierwszego Prezesa Sądu Najwyższego! — odgadła i poderwała się na równe nogi. — Już dzwonię do Kamilli.

Niestety, mimo kilkakrotnych prób nie udało się jej połączyć z panią nadinspektor. Podobnie nie mogła nawiązać kontaktu z Zabielskim ani nawet z Moniką. Na wyświetlaczu co rusz pojawiał się napis „Brak sieci”.

— Może akurat tutaj nie ma zasięgu — podsunął Adam.

Z telefonem w ręku wyszła na korytarz, gotowa wybiec ze szpitala, ale nieomal zderzyła się z jakimś lekarzem.

— Wszystkie komórki padły — powiedział, widząc telefon w jej ręku i zdenerwowanie na twarzy. — W radiu wspomiano przed chwilą o zmasowanym ataku hakerskim na Polskę.

Krajewska nie zastanawiała się dłużej. Wybiegła bez pożegnania z mężem ze szpitala i dopadła swego skuterka. Bocznymi ulicami — Dwernickiego i Skaryszewską — ominęła tłumy posuwające się ulicą Grochowską. Na Targowej wypełnionej po brzegi ludźmi i pojazdami pojechała kawałek chodnikiem, trąbiąc przeraźliwie, koło cerkwi jakiś policjant chciał ją zatrzymać, ale pokazała mu „fucka”, po torowiskach tramwajowych przemknęła przez most Śląsko-Dąbrowski i tunel Trasy W-Z, potem pod prąd wjechała ślimakiem na Miodową. Do placu Krasińskich, którego prawą część zajmowała paskudna zielonkawa bryła Gmachu Sądu Najwyższego, było tuż-tuż...

*

Na najwyższym piętrze Pałacu Rzeczpospolitej aż do tego dnia rezydowały pospołu cisza, nuda i bezruch. Stąpający ostrożnie Kozdrow, zaopatrzone

w doskonale podrobioną legitymację ABW, nie naruszał ani spokoju dawnych wieków, ani kurzu zbierającego się od lat.

„Oswald w Dallas też strzelał ze składnicy książek” — przemknęło mu przez głowę.

Nie miał jednak zamiaru podzielić losu amerykańskiego komunisty, zastrzelonego wkrótce po wykonaniu zadania. W dodatku wiele wskazywało na to, że okoliczności mu sprzyjają. Wszystkie siły policyjne rzucono na trasy demonstracji. Objęto ochroną centra państwowe i najważniejszych prominentów. Sędzia prezes mógł liczyć co najwyżej na własnych pracowników i kilku zaledwie policjantów. Dziennikarzy też przybyło niezbyt wielu. Zjawili się jednak przedstawiciele wszystkich najważniejszych kanałów informacyjnych. Dostrzegął też czerwoną kurtkę przedstawiciela BBC i płomiennie rudego kamerzystę CNN. Znakomicie.

Uchylił okienko.

Powiew powietrza delikatnie ochłodził mu twarz. Pogoda była świetna, prawie bezwietrzna, widoczność doskonała, wprawdzie kilka kłębiastych chmur nadciągało nad Warszawę, ale na razie zadanie miał łatwe jak na strzelnicy w wesołym miasteczku.

Spóźnianie się jest normą w świecie polskiej polityki. Notorycznie spóźniał się prezes partii rządzącej, a szef publicznej telewizji bywał punktualny jedynie podczas wystąpień na żywo. Sędzia Stanisław Żeromski jednak stylizował się na dżentelmena starej daty, toteż pojawił się równo z uderzeniem zegara. Wznosząc ręce w geście zwycięstwa, przez chwilę wsłuchiwał się w brawa swych zwolenników. Mimo że nie miał nic wspólnego ze słynnym autorem *Przedwiośnia* (w czasach działalności Cezarego Baryki dziadek pana sędziego Szmul Zerbst był niemówiącym po polsku terminatorem krawieckim w Łodzi), zachowywał się nie tylko jak kandydat do Nobla, ale laureat co najmniej dwóch Nobli.

Przekrwiona twarz zdradzała wprawdzie predylekcje do większości grzechów głównych, ale nastroszona grzywa siwych włosów nasuwała myśl o aureoli. Żeromski mimo resortowego pochodzenia — ojciec był wojskowym prokuratorem po krótkim Kursie WKP(b) — przez całe życie kierował się rozważą i wyczuciem etapu. W stanie wojennym zadekował się w sądownictwie cywilnym, w odpowiednim momencie opowiedział się po stronie sił postępu i transformacji, co uczyniło z niego autorytet moralny. Obecnie ze względu na stanowczą walkę z rządem próbującym, niekiedy na skrót, reformować kraj urósł do rangi symbolu niezależności i niezawisłości trzeciej władzy.

„Symbole jednak też umierają” — pomyślał nieco filozoficznie Kozdrow.

Celownik snajperskiego karabinku prześlizgnął się po wydatnym brzuchu sędziego, podążył po krawacie jak po strzałce i zatrzymał się na twarzy.

Była to twarz człowieka zadowolonego z siebie i z życia, które lada moment miało się skończyć.

Witalij miał w słuchawce transmisję radia SZTOK wszechstronnie relacjonującego wszystkie elementy demonstracji i przez chwilę rozważał, czy nie pozwolić prezesowi na jakieś efektowne zdanie dla potomności. Uznał jednak, że każda sekunda opóźnienia może stworzyć nieprzewidziane komplikacje.

Sędzia tymczasem zbliżył się do dziennikarzy. Stojąc na stopniu, był o głowę wyższy od nich, co znakomicie ułatwiało sprawę zabójcy. W dodatku, zamierzając pozować do zdjęć, w pewnym momencie wręcz znieruchomiał.

Kozdrow nabrał powietrza w płuca, wypuścił... Muszka znieruchomiała, palec zastygł na spuście.

Teraz!

Snajper poczuł lekki odrzut. Ale widziany w optycznym celowniku Żeromski nawet nie drgnął. Powitał przybyłych i jak najęty zaczął nawijać

o niezawisłości sądów, praworządności i swobodach obywatelskich.

Kozdrow wytrzeszczył oczy. Czyby tak paskudnie chybił? Ale przecież i tak zebrani musieliby poczuć świst kuli, a ta uderzyć w jedną ze szklanych tafli za plecami prezesa.

Zarepetował i złożył się raz jeszcze, celując na odmianę w szeroką pierś prawnika.

Zero reakcji.

Zdenerwowany sięgnął po łuskę, potem wysypał pozostałe naboje z magazynka. Do złudzenia przypominały ostrą amunicję, chociaż różniły się ciężarem.

„Ślepaki! Job ich mać! Ktoś, kiedy spałem, zamienił mi amunicję na ślepaki”.

Tymczasem na pałacowych schodach załomotały buty ludzi, którzy usłyszeli huk i biegli sprawdzić, jaki to intruz hałasuje na poddaszu. Sięgnął do kieszeni. Miał nadzieję, że przynajmniej pistolet zawiera prawdziwe naboje.

Szymon Kowalik, który przywarował w grupie rzeźb przedstawiających powstańców warszawskich wychodzących z kanałów, zdenerwowany popatrzył na zegarek. „Dwie po pierwszej. Co ten Witia wyrabia? Dlaczego nie strzela?!” .

Przez moment wydawało mu się, że widzi przedmiot przypominający lufę wysuwający się przez okienko na poddaszu, ale i to zniknęło. Nie widział też nikogo z grupy wsparcia. Czyżby wszyscy zostali złapani?

Wymacał w kieszeni butelkę z płynem zapalającym.

Miał użyć jej bezpośrednio po zamachu celem pogłębienia paniki.

Ale jeśli snajper zawiódł? Musiał improwizować. Jeśli szlag nie miał trafić całego przedsięwzięcia, to prowokacja musiała wypalić. Postanowił dotrzeć do sędziego i cisnąć w niego butelką, tak jakby pan Stanisław był „Tygrysem” czy innym czołgiem podczas powstania warszawskiego. Nie dbał o to, co

wydarzy się potem. Nawet jeśli zostanie złapany, to przyjaciele o nim nie zapomną, a po upadku reżimu ogłoszą go bohaterem! Ruszył szybkim krokiem w stronę wianuszka dziennikarzy, przepchnął się między nimi, wsunął rękę do kieszeni. Naraz spadło na niego coś energicznego, silnego, choć niezbyt ciężkiego. Stracił równowagę.

— Stój, draniu! — wołała Wanda, która kilka tygodni wcześniej poznała Szymona na jakiejś prywatce. Nie miała złudzeń, że pokona rosnącego mężczyznę w walce wręcz, ale spodziewała się zwrócić uwagę policji albo ochrony sędziego.

Jednak to, co się wydarzyło, przerosło jej oczekiwania. Padający Kowalik uderzył butelką o bruk. Rozległ się trzask pękającego naczynia i w mgnieniu oka płomień ogarnął jego garderobę. Jakimś cudem burza ogniowa oszczędziła Wandę, która odtoczyła się na bok, gwałtowny płomień tylko zaskwierczał w jej włosach i osmalił twarz.

Tymczasem Szymon, wrzeszcząc przeraźliwie, poderwał się na równe nogi. Nikt jednak nie mógł pomóc żywej pochodni.

Kamerzyści skierowali na niego obiektywy.

*

Ktokolwiek stał za awarią telefonii komórkowej w Warszawie (istnieje wersja, że dokonały jej same władze), w pierwszym rzędzie wyrządził szkodę bojownikom o postęp i demokrację. Komunikacja za pomocą aparatów walkie-talkie funkcjonowała nie najgorzej w obrębie poszczególnych kolumn, nie dawała jednak możliwości koordynacji działań w skali całego miasta. Minęło piętnaście minut od terminu zaplanowanego zamachu, a maszerujący w dusznym skwarze na czele kolumny ulicą Wawelską Julian Krakowski nadal nie miał żadnych informacji na temat wyników akcji przy placu Krasińskich. Ci, którzy mu towarzyszyli, odnosili wrażenie, jakby na coś czekał.

Na wysokości klubu „Riviera Remont” podbiegło do niego kilku ludzi z kamerą i logo telewizji CNN.

„Stało się!” — przemknęło mu przez myśl, a w głowie pojawił się gotowy tekst oświadczenia, w którym o mord na Pierwszym Prezesie miał oskarżyć siły obecnego reżimu i wezwać do ogólnokrajowego buntu.

— Jestem gotowy — powiedział.

— Zależy nam na jakości nagrania — powiedział mężczyzna stojący przy kamerzyście. — Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, to moglibyśmy nakręcić oświadczenie wewnątrz lokalu.

— Oczywiście — zgodził się Krakowski, po czym rzucił do zdezorientowanych współpracowników: — Idźcie, za chwilę dołączę do was.

W środku czekał mikrofon, reflektory.

— Chciałbym wygłosić oświadczenie — zaczął Krakowski po angielsku. Był świadomy, że wkrótce będzie go oglądać pół świata. — Zamach na sędziego Żeromskiego, będącego symbolem polskiej demokracji, to bezprzykładny ohydny akt zbrodni z politycznej inspiracji...

— A skąd pan wie, że był jakiś zamach? — przerwał mu damski głos po polsku.

Zaniemówił. I raptownie stracił rezon.

Światła zgasły, a do lidera ROW-u podeszła kobieta o wyglądzie zasadniczym i władczym.

— Nadinspektor Kamilla Zabielska — przedstawiła się. — Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

— To pułapka! — Julian chciał rzucić się ku drzwiom, ale sprawnie zagrodzono mu drogę, a ktoś przytknął mu spluwę do piersi.

— Zadałam bardzo proste pytanie — powtórzyła Kamilla. — Skąd pan wie o zamachu na Pierwszego Prezesa...?

— Słyszałem, że mówiono w radiu.

— Którym?

— SZTOK FM — rzucił bez namysłu.

— To ciekawe. Nadaje wprawdzie sprawozdanie z waszego marszu, ale nie zająknęło się nawet na temat zamachu pod pałacem sprawiedliwości. Skądinąd powinien się pan cieszyć, uzgodniony z wami atak został udaremniony i pański idol żyje i cieszy się zdrowiem.

Obserwowała twarz Krakowskiego. Lider trzymał fason, chociaż nie mógł opanować nerwowego tik.

— To jakieś prowokacyjne bzdury — zawołał. — Jeśli za chwilę nie zjawię się na zewnątrz, to będziecie mieli w Warszawie piekło.

— Jesteśmy na to przygotowani, choć myślałam, że raczej zażąda pan adwokata. Zastanawiałam się tylko, czy ma być to prawnik polski, rosyjski czy niemiecki?

— Niemiecki, niby dlaczego? — prychnął.

— Bo jest to, bądź co bądź, pański ulubiony język, doktorze Goebbels.

Strzał był celny. W mgnieniu oka buńczuczny lider zmienił się w trzęsącą szmatę.

Zrozumiał. Został zdemaskowany.

— Aalleż co takiego pani gada? — wyjąkał. — Tto pomówienie.

— Testy DNA nie kłamią — odparła. — Zresztą jak pan sobie życzy, zrobimy je ponownie. Na oczach całego świata.

Milczał poblady, więc ciągnęła dalej:

— Jeśli liczy pan jeszcze na pomoc swoich wspólników — zarówno Witalij Kozdrow, jak i Szymon Kowalik znajdują się w naszych rękach. Są bardzo gadatliwi i chętnie obciążą pana odpowiedzialnością za międzynarodowy spisek mający przemocą obalić legalne władze Rzeczypospolitej.

Mocniej zacisnął zęby.

— Naturalnie może pan milczeć. Choć radziłabym współpracować.

W Sejmie znajduje się już obywatelski projekt przywrócenia kary śmierci za najcięższe zbrodnie. Jak pan chce, może pan ponownie popełnić samobójstwo, choć tym razem bez żony i dzieci...

— Szajse! — zaklął pod nosem.

— A teraz może pan już iść do swych towarzyszy. — Chwiał się na nogach, kiedy delikatnie popchnęła go ku drzwiom. — To, jak poprowadzi pan dzisiejszą demonstrację, z pewnością będzie miało wpływ na przebieg przyszłego procesu. I proszę nie próbować ucieczki. W pańskim otoczeniu jest wystarczająco dużo naszych ludzi. Miłego dnia.

Naraz znalazł się na ulicy. Osłupiały, ogłuszony, dezorientowany.

Powitały go brawa i radosne okrzyki zwolenników.

— Czy coś się stało, szefie? — zapytał jego sekretarz. — Wygląda pan jak po przesłuchaniu na SB.

— Nie, nic. Wywiad był wyczerpujący. Idziemy dalej.

— Nie podoba mi się to — zwróciła się do Krakowskiego jedna z jego licznych asystentek, pulchna blondynka z urody przypominająca bardziej Ewę Braun niż Magdę Goebbels.

— O czym mówisz? — zapytał półprzytomnie.

Wskazała na niebo. Chmurka ledwie widoczna przed kilkunastoma minutami teraz stała się ponurym, prawie fioletowym chmurzyskiem.

— Nadciąga burza. Nie byliśmy na to przygotowani.

— Faktycznie wszystkie prognozy mówiły o wspaniałej pogodzie.

„Nawet Opatrzność sprzysięgła się przeciwko nam” — pomyślał Krakowski, nie mogąc opanować utykania. W głowie miał pustkę. Przemówienie obwieszczające zamach na Pierwszego Prezesa niewarte było papieru, na którym je skreślił. Innego nie przygotował.

Gwałtowny poryw wiatru szarpnął transparentami, wyrrywając kilka z nich z rąk.

— Co robimy? — Do lidera dobiegło kilka zaniepokojonych głosów.

— Może przejdzie bokiem? — powiedział ktoś bez większego przekonania.

Ślimakiem wspinali się na plac Na Rozdrożu, przyboczni głośno zastanawiali się, co mają robić dalej.

— Przynajmniej zacznijmy! Czekają na nas kamery.

— Nie możemy zacząć przedwcześnie — powiedział, dziwiąc się własnym słowom, Krakowski. — Czoła większości pochodów oddalone są jeszcze o kilkaset metrów od Alej Ujazdowskich.

— Przyspieszmy — gorączkowała się pulchna blondyneczka. — Najważniejsze, żeby dotrzeć na miejsce.

Skęcili ławą w Aleje Ujazdowskie — w ich perspektywie czekał Piłsudski, odległy i groźny. Wyglądało na to, że zdążą. Nie dali rady. Po kilkunastu minutach szkwał uderzył w Warszawę. Potężny wicher wyrwał nieliczne parasole najbardziej zapobiegliwych, potargał plugawe transparenty, zmierzwił flagi. A potem lunęło.

Dawno nie pamiętano takiej ulewy. Deszcz połączony z gradem. W mgnieniu oka wszyscy, niezależnie, w której kolumnie maszerowali, przemokli do suchej nitki. Bombardowani bryłami lodu, daremnie usiłowali chronić głowy. Próżno próbowano chować się pod drzewami, w bramach czy w przezornie pozamykanych lokalach. Kto mógł, rejterował do tuneli metra. Inni rzucili się ku tramwajom i autobusom.

Pioruny waliły jak gruchy, ze szczególnym upodobaniem obierając iglicę Pałacu Kultury i Nauki. Pierwsze wycofały się media. Zamokły mikrofony, zaparowały obiektywy. Krótkie spięcia uniemożliwiły transmisje. Jednocześnie stołeczne ulice w krótkim czasie zamieniły się w rwące strumienie. Najodważniejsi demonstranci musieli brnąć niekiedy po kolana w wodzie.

Na domiar złego estrada wzniesiona vis-à-vis Kancelarii pani premier

załamała się po upadku na nią drzewa rażonego piorunem. Technika nie działała. Toteż kiedy garstka demonstrantów dotarła na miejsce, rozdygotany, wyglądający jak zmokła kura lider nie miał gdzie ani przez co przemawiać. Przepiękne włosy oklapły, a twarz stała się dziwnie paskudna i przerażająca. Parę kamer utrwaliło, jak stęka pod nosem komunikat o potrzebie jedności i dziękuje uczestnikom. Potem zniknął. Ktoś widział, jak na Bagateli jego współpracownik i dwóch nieznanych bliżej facetów zaprowadziło go do zielonej limuzyny, którą odjechał w stronę Mokotowa.

Telewizje newsowe, odfajkowawszy czym prędzej nieudaną demonstrację, zajmowały się tajemniczym przypadkiem samozapłonu najwyraźniej nietrzeźwego osobnika podczas konferencji na placu Krasińskich.

I tak skończył się „Dzień gniewu”.

16. Między burzami

— Najgorsze za nami! — stwierdził, nie ukrywając satysfakcji, koordynator służb specjalnych, który w towarzystwie Kamilli Zabielskiej zameldował pani premier o wszystkich najważniejszych zdarzeniach mijającego popołudnia.

Za oknami Kancelarii dwugodzinne pandemonium dobiegło końca. Z terenu Warszawy donoszono o setkach awarii energetycznych. Podtopione było metro. Dziesiątki aut porwał nurt wody, który zmienił ulice w rwące strumienie. W wielu miejscach zerwało nawierzchnię. W Wawrze i na Woli runęły słupy trakcyjne i nie było prądu. Wybite szyby i uszkodzone przez grad samochody należały do mniejszych zmartwień.

Stosunkowo najszybciej wróciła łączność komórkowa. Według oficjalnego komunikatu specjalna jednostka antyhakerska odparła wrogi atak.

— Kto to zrobił? — dopytywała się pani premier.

— Domyślamy się kto, choć nie sposób tego udowodnić. Do ataku wykorzystano serwery zlokalizowane na Tajwanie i w Kolumbii — stwierdził koordynator. — Miejmy nadzieję, że po przesłuchaniach zatrzymanych będziemy wiedzieli więcej o planie prowokacji, chociaż jej sens jest dosyć czytelny. Zabójstwo Żeromskiego w mieście wypełnionym demonstrantami tworzyło naprawdę piorunującą mieszankę. W kilku miejscach Polski znaleziono magazyny broni, zatrzymano też kilkudziesięciu komandosów białoruskich, którzy wykorzystując ruch bezwizowy, postanowili spłynąć sobie Kanałem Augustowskim.

— A siły zbrojne Rosji?

— W gotowości, ale nie większej niż zazwyczaj. Mamy powody sądzić, że w wypadku zamieszania w Polsce ograniczono by się na razie do wojny

hybrydowej.

— A ten... Krakowski, gdzie się znajduje?

— W naszym zapasowym punkcie dowodzenia na Mokotowie.

— Będzie zeznawać?

— Powinien. Wysłałem do niego naprawdę dobrych specjalistów.

— A co z pozostałymi dwoma uczestnikami spisku?

— Są pewne trudności — odparł enigmatycznie koordynator.

Kamilla, mówiąc Krakowskiemu, że jego koledzy sypią, dokonała sporego nadużycia. Lub mówiąc bardziej elegancko — „poważnej antycypacji”. Organizatora oddziałów szturmowych Kowalika wprawdzie ugaszono, ale w stanie bardzo ciężkim przewieziono do szpitala na Bielanach i trudno było przewidzieć, czy nawet jeśli przeżyje, będzie w stanie umożliwiającym przesłuchanie go przez śledczych.

Większe nadzieje łączono z przebywającym w polskich rękach Kozdrowem. Jego zatrzymanie nie odbyło się bez problemów. Witalij odmówił pertraktacji, a próba wysłania do niego negocjatora skończyła się postrzeleniem funkcjonariusza. Jednak na otoczonym strychu Pałacu Rzeczypospolitej znajdował się jak w potrzasku. Po przybyciu posiłków z powietrza potraktowany został gazem paralizującym i po kilkunastu minutach znalazł się w polskich rękach.

— Jest już przytomny, jednak odmawia złożenia zeznań — relacjonował koordynator. — Ale wedle naszych fachowców jest jedynie kwestią czasu i metod, kiedy rozwiąże się mu język.

— Czy ROW może nas jeszcze dziś czymś zaskoczyć?

— Nie sądzimy. Panuje wielka demobilizacja i poczucie klęski, większość autokarów z demonstrantami opuściła już Warszawę. Nasi informatorzy twierdzą, że w centrali ruchu trwa pełny bałagan, kłótnie, kilku działaczy złożyło rezygnacje...

Lekki uśmiech pojawił się na zazwyczaj zbolącej twarzy premier. Zgasł jednak, bo przypomniała sobie jeszcze jedną kwestię, o której dowiedziała się z niedawnych raportów.

— A ten Szamir i jego ładunki wybuchowe? Czy mogło to mieć związek z dzisiejszymi wydarzeniami w Warszawie?

Kamilla pokręciła głową.

— Nie mamy na to żadnych dowodów — wyjaśnił koordynator. — Zarówno Krukowi, jak i ciężarówce z semtexem udało się niestety opuścić kraj. Wprawdzie policja wiedeńska wpadła na jego trop, ale dopiero w momencie, kiedy najprawdopodobniej wjechał do Włoch.

— A ciężarówka?

— Jej wypalony wrak znaleziono na bocznej drodze niedaleko Wiener Neustadt. Ponieważ nie doszło do wybuchu, jest więcej niż pewne, że ładunek został przepakowany na inny pojazd.

— Który też podążył na południe?

— Wiele na to wskazuje, choć nie można wykluczyć, że nasz przeciwnik chce, żebyśmy tak myśleli. W każdym razie wszystkie dane na temat ładunku, łącznie z rysopisem i portretem psychologicznym Szamira, przekazaliśmy naszym kolegom z włoskiej policji. Niestety, nie mamy pojęcia, jak zamierzają je wykorzystać.

*

Coś nie pozwalało im opuścić Rzymu. Można się najwyżej spierać, czy w tym antycznym mieście na określenie przeznaczenia bardziej pasowało greckie ananke, czy łacińskie fatum. Znaczoną część dnia przespali, popołudniem wyruszyli na romantyczny spacer, którego mogliby im pozazdrościć zakochani nastolatki. A więc szwendali się po rzymskich zaułkach, trzymając za ręce, obejmowali czule na Schodach Hiszpańskich i całowali, jak przystało na

świeżo zakochanych, w alejkach parku okalającego Villę Borghese. Powrót do rzeczywistości okazał się mniej sympatyczny

Pierwsze, co zobaczyli w sali odlotów lotniska im. Leonarda da Vinci, to napis przy locie do Warszawy — CANCELLED. Odwołany!

W informacji po odstaniu w solidnej kolejce dowiedzieli się, że samolot Alitalii nie wystartował z Warszawy z powodu gwałtownej burzy, która nie oszczędziła Okęcia i doprowadziła do totalnego zalania pasów.

— Z tego, co nam wiadomo, jutrzejsze loty odbywać się będą normalnie — powiedziała panienska z okienka.

— Proszę więc przebukować nasze bilety na jutro — powiedział coraz bardziej zdenerwowany Rykow.

— Niestety, to niemożliwe.

— Dlaczego? — w rozmowę włączyła się Ała.

— Prawie wszyscy pasażerowie z tego lotu wpadli na ten sam pomysł, kiedy tylko zaczęliśmy powiadamiać o odwołanych lotach — odparła urzędniczka. — Nie mieliśmy niestety informacji o państwa hotelu ani nie znaleźliśmy waszych telefonów. Bardzo przepraszamy.

Okazało się, że równie zapakowane były samoloty niedzielne, tak że bilety dostali dopiero na poniedziałek, i w dodatku wolne miejsca zostały już tylko w klasie biznesowej.

— Niczym się nie przejmuj — pocieszała go Osmanowa. — To przecież cudowne spędzić w Wiecznym Mieście jeszcze dwa dni i do tego z ukochaną osobą.

Na szczęście Charles Smith musiał przewidzieć taki obrót spraw, bo jeszcze nie odjechał. Znakomicie wywiązywał się z roli anioła stróża. Przez cały dzień, nie narzucając swego towarzystwa, obserwował ich z dystansu i, jak stwierdził, nie zauważył, żeby ktokolwiek zainteresował się dojrzałymi kochankami. Wyjątkiem była donna Manuela, piersiasta właścicielka trattorii

przy Via Margutta, której preferencje polityczne ujawniał stary plakat z sierpem i młotem z tyłu baru. Od razu rozpoznała Ałłę i ucałowała ją w oba policzki.

— Mąż nie mógł przybyć? — zapytała, puszczając znacząco oko.

— Nie mógł, ma cały świat na głowie — odpowiedziała równie żartobliwie Osmanowa.

Właścicielka przyjęła zamówienie, ale zamiast do kuchni skierowała się do kantorka, aby zadzwonić do Amilcare, zaprzyjaźnionego paparazzi, i zakomunikować mu, jacy to ważni goście nawiedzili jej lokal.

To piarowskie przedsięwzięcie uniemożliwiła męska ręka, która pojawiła się na aparacie wiszącym w przejściu i zdecydowanie przytrzymała słuchawkę.

— Ani mi się waź! — powiedział Charles Smith.

— A co mi takiego zrobisz, kotku puszysty? — zapytała Manuela, próbując obrócić rzecz w żart.

— Puszczę z dymem tę budę, a ciebie utopię w fontannie na placu Navona — odpowiedział śmiertelnie poważnie były agent.

Wyraz twarzy Amerykanina upewnił donnę Manuelę, że mężczyzna nie żartuje, więc zrezygnowała.

Po powrocie z lotniska zakochani przeszli jeszcze raz skrajem Forum Romanum, zagłębieni w odgłosy, smaki i zapachy wieczoru. Noc spędzili w chłodnej białej pościeli w apartamencie nieluksusowym wprawdzie, ale spokojnym i dyskretnym, używając życia, szampana, ostryg i innych afrodyzjaków.

Charles Smith uznał, że sytuacja jest pod kontrolą, postanowił więc zadbać również o swoje potrzeby. Wynajął przez telefon luksusową dziwkę, która zaproponowała mu kilka usług z gatunku „noce Cabirii”, które długo zapamięta. On i jego portfel.

Była to ostatnia spokojna noc nowoczesnej Europy.

*

Tymczasem w Warszawie przywrócony do przytomności Witalij Kozdrow nie objawiał najmniejszych chęci do współpracy. Odmawiał jakichkolwiek zeznań i żądał adwokata.

Przesłuchujący odpowiadali mu zrazu uprzejmie, potem coraz mniej, że jest to niemożliwe, ponieważ oficjalnie nie ma go w Polsce, nadto jako obywatelowi Białorusi przysługują mu białoruskie formy przesłuchiwania.

Pojawienie się nadinspektor Zabielskiej zintensyfikowało śledztwo. Czy pomogły praktyki w Quantico, czy lata prowadzenia samodzielnej działalności gospodarczej, nie wiadomo. W każdym razie już po kilku podtopieniach Kozdrow zaczął mówić i do rana przekazał wiele ciekawych informacji na temat swojej działalności, aczkolwiek co do operacji „Inga” nie poszerzył wiedzy polskiego ABW. W ogóle nie znał tego terminu. Jako oficjalny pracownik białoruskiej bezpieki brał, i owszem, dodatkowe zlecenia z bratnich FSB i GRU, ale nigdy nie interesował się szerszym kontekstem. Miał wyeliminować sędziego Żeromskiego, wydostać się dzięki panice wywołanej przez dwójkę współpracowników i spokojnie wrócić do Mińska. Jedynym kontaktem w Polsce był Szymon Kowalik, natomiast akcję kontrolował z Brześcia agent o pseudonimie „Bielik”, z którym Witalij nigdy się nie spotkał. Pytany o inne akcje w innych krajach, wykręcał się jak mógł, świadom, że jeśli kiedykolwiek zostanie wymieniony, to odpowie za tych, których ewentualnie sypnie. Dlatego wspominał jedynie o wyeliminowaniu przed trzema miesiącami trójki tureckich gangsterów z Izmiru. „Bo przeszkadzali w interesach”.

— Jakich interesach? — dopytywała się Kama.

Kozdrow kręcił, twierdząc, że nigdy nie interesowały go szczegóły, ale

w końcu wystękał, że chodzi o przemysł ludzi do Europy, w którym bracia Hoflik należeli do hurtowników.

— W czym przeszkadzali, komu się narazili? Konkurentom z rosyjskiej mafii? Może Ormiaszkom?

— Nigdy nie pytam więcej ponad to, co muszę wiedzieć.

Zostawiwszy zabójcę w rękach kolegów, Zabielska udała się do innego pomieszczenia, gdzie przesłuchiowano Krakowskiego vel Goebbelsa.

Zadanie również nie należało do najłatwiejszych. Świeżo upieczony przywódca ROW-u postanowił bowiem grać wariata. Zapewne dużo wcześniej przestudiował dobrze wszystkie książki dotyczące schizofrenii, paranoi i tym podobnych schorzeń, w każdym razie zaprezentował prawdziwy koncert swoich możliwości. Na przemian to wpadał w stupor, to znów gadał w nieznanym języku, płakał i śmiał się, pluł i kopał.

Nie zrobiło to większego wrażenia na Kamilli. Poobserwowała zatrzymanego czas jakiś, po czym zajęła się nim systematycznie. Najpierw wstawiono go na kwadrans pod zimny prysznic, a potem, kiedy wpadł w dygot, kazała ostrzyć Krakowskiego na zapalkę.

Podobieństwo do hitlerowskiego hierarchy od razu zrobiło się oczywiste.

Zwłaszcza gdy stanęli twarzą w twarz. Nagi i zziębnięty próbował jeszcze grać twardziela. Nie docenił pani nadinspektor. Kiedy na uprzejmy zwrot „Guten Morgen, Herr Doktor” obrzucił ją stekiem przekleństw, potraktowała go z kopa, a potem, gdy już zatamował krwotok z nosa, zapytała słodziutko, czy ma mu jeszcze przetrącić kulasa, by podobieństwo do Goebbelsa jeszcze bardziej rzucało się w oczy.

Zamilkł.

— Powinien pan zdawać sobie sprawę, że nie ma dla pana alternatywy — kontynuowała. — Kiedy zademonstrujemy światu, kim pan jest, nie będzie miał pan odwrotu. Pańscy mocodawcy za żadne skarby nie przyznają się do

pana, nie będzie mowy o wymianie, co najwyżej przyślą płatnego zabójcę, żeby pana uciszyć. Być może zainteresuje się panem Mosad... Tak więc jestem pana jedyną nadzieją, panie Krakowski.

W inteligentnych oczach lidera ROW-u pojawił się błysk zrozumienia, ale nadal nic nie mówił.

— Mogę sprawić, że prawda o enerdowskich klonach nigdy nie wyjdzie na jaw, a pan sam otrzyma nową tożsamość i dożyje w spokoju reszty swoich dni — kusila Zabielska. — To chyba rozsądna propozycja?

Julian Krakowski nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Jego niewątpliwa inteligencja dokonywała bajecznych wysiłków, aby znaleźć sposób na wybrnięcie z sytuacji, w której się znalazł.

— Dajcie mi koc — wybełkotał w końcu.

— Proszę bardzo, koc, sweter, skarpety, nawet łyk ciepłej herbaty.

Ubrał się błyskawicznie i wypił duszkiem cały kubek, nie przejmując się temperaturą herbaty bliską wrzątku.

— Czego ode mnie oczekujecie? — zapytał w końcu ochryple.

— Szczerości!

Nie liczyła na to, że uzyska ją od razu. Dlatego przesłuchanie zaczęła miękko, zagadując o wspomnienia z dzieciństwa.

Te pytania przyjął z wyraźną ulgą, zaczął opowiadać, jak został adoptowany jeszcze jako małe dziecko przez rodzinę Polaków osiadłą na stałe w Niemczech, posiadającą niemieckie obywatelstwo. Jednak w wieku ośmiu lat został ponownie sierotą, oboje rodzice zginęli w wypadku drogowym, w wyniku czego trafił pod opiekę rodziny swej przybranej matki przybyłej z Polski. Nie przebywali jednak w Niemczech dłużej niż rok.

— Dziś czuję, że tym wszystkim kierowała przemyślana reżyseria — powiedział. — W tych zgonach w rodzinie, w przeprowadzkach. Ktoś chciał, żebym został Polakiem, zdobył takie, a nie inne doświadczenie...

— Kto był tym reżyserem pańskiego losu?

— Pani powinna wiedzieć lepiej niż ja... — Uśmiechnął się cierpko. — Zna pani taką grę na lodzie... curling, tak to nazywają. Zawodnik rzuca krążek, a partner poleruje lód przed krążkiem, usuwając wszystkie najdrobniejsze nawet przeszkody. Podobnie ja, całe życie czułem się jak taki krążek, któremu ktoś w newralgicznych momentach życia rozwiązuje wszelkie problemy.

— Kiedy w takim razie to przeczucie stało się pewnością? Kiedy dowiedział się pan, kim jest?

— Najpierw zorientowałem się, kim nie jestem. Od zawsze wiedziałem, że nie jestem dzieckiem Freda i Adeli Krakowskich. Kiedy miałem jakieś trzynaście lat, dotarło do mnie, od przybranej matki, która w gniewie nazywała mnie bękartem, że nie jestem również biologicznym dzieckiem jej siostry. „Kim w takim razie jestem? — wołałem. — Powiedzcie mi”. Adela nie chciała albo nie potrafiła udzielić mi odpowiedzi.

Czy to dziwne, że niewiedza uruchomiła moją wyobraźnię? Podnieciła ją dodatkowo odwiedzająca nas co jakiś czas przyszywana ciotka Inga z Niemiec. Zawsze przywoziła mi łąkocie i zabawki.

— Inga Winkler? — zapytała Zabielska.

— Nigdy nie poznałem jej nazwiska. Równie bezskutecznie pytałem ją: „Pani znała moich rodziców, prawda?”. Tylko kręciła głową. A ponieważ domagałem się odpowiedzi coraz natarczywiej, powiedziała podczas swej ostatniej bytności u nas jakieś piętnaście lat temu: „A nie przychodzi ci do głowy, że czasem lepiej nie wiedzieć?”. Tymczasem sam z siebie doszedłem do wniosku, że jestem Niemcem. Nie mówiłem wprawdzie najlepiej w tym języku, ale bardzo często miałem sny, nie uwierzy pani, po niemiecku.

— Co się panu śniło?

— Różnie. Przeważnie filmy przypominające stare kroniki filmowe. Czarno-białe obrazy, których z całą pewnością nie oglądałem i pewnie nie

mogłem wcześniej oglądać. Z tym, że obrazy się mieszały.

— I co było na tych filmach?

— A co mogło być. Przeszłość. *Vaterland!* Widziałem ogromne parady, tłumy ludzi aż po horyzont. — Na policzki Krakowskiego po raz pierwszy tej nocy wystąpiły rumieńce.

— Z Hitlerem?

— Słyszałem jego głos. Ale postaci nie widziałem. Stał zawsze gdzieś obok, za mną, nade mną. Tyle że momenty uniesienia trwały krótko, obrazy przełamywały się przerażającymi wizjami pożogi, zgliszcz wojennych, pomordowanych ludzi...

— Wojny totalnej? — podsunęła.

— Niech pani zrozumie. Dla mnie przede wszystkim było to poruszające widowisko.

— I tak domyślił się pan, kim pan jest?

— Wkrótce po maturze zacząłem podejrzewać, choć wydawało mi się wtedy, że być może jestem jedynie jego wnukiem. Zacząłem chodzić do biblioteki uczelnianej i dotarłem do niemieckich czasopism. Do albumów. Pewnego dnia zobaczyłem zdjęcie młodego Goebbelsa. I przeraziłem się. To było jak spojrzenie w lustro.

— Wtedy zmienił pan uczesanie?

— Proszę zrozumieć. Ogarnął mnie strach przed zdemaskowaniem, napiętnowaniem. Zacząłem poszukiwać modnych fryzur, zapuściłem wąsy i baczki, szło jakoś żyć, byłem inteligentny, robiłem karierę naukową, ale potem... — umilkł.

— Coś się stało?

— Tak. Jakieś pięć lat temu zjawił się sam Mefisto.

— Realny diabeł.

— W ludzkiej skórze. Przedstawił się jako Sorokin. Redaktor Sorokin.

— Z FSB.

— Nie pytałem. Może z GRU...

— I zaczęła się współpraca?

Gwałtownie pokręcił głową.

— To nie tak, pani nadinspektor, Sorokin powiedział mi o klonach, o tym, kim jestem. Tyle że nasza rozmowa opierała się na ogólnikach. „My wam pomożemy, wy nam pomożecie...”. Dopiero rok temu, po wyborach prezydenckich i parlamentarnych w Polsce powstał plan mego wejścia do ROW-u.

— Znów Sorokin pana odwiedził?

— Wolał nie wpadać do Polski. Spotkaliśmy się w stolicy Madery, Funchalu. Żeby było śmieszniej, w kawiarni położonej między pomnikiem Jana Pawła II a popiersiem Józefa Piłsudskiego...

— To był jakiś konkretny plan?

— Nie, miałem wejść do struktur, być w czołówce, ale nie zwracać na siebie uwagi mediów ani służb.

— Czy ROW wymyślono w Moskwie?

— Nie sędzę, w każdym razie nic mi o tym nie wiadomo.

Kamilla popatrzyła na zegarek. Robiło się coraz później, a ona nie zadała jeszcze najważniejszych pytań.

— Wiedział pan o pozostałych klonach.

— Coś słyszałem. Podobno sklonowali Himmlera, a może Bormana.

— I Hitlera?

— Może. Ale nie wiem, kim oni są.

— Pułkownik Dubnow, czy to nazwisko coś panu mówi?

— Jakiś kremlowski doradca...

Postanowiła przejść do sedna.

— Jaki był cel ROW-u?

— Przecież pani wie. Protestować przeciwko łamaniu demokracji... —
Widząc jej szyderczy uśmiech, dorzucił: — Należało działać w celu jak
najszybszego odsunięcia prawicy od władzy. Miałem awansować
w strukturach ROW-u, budować sobie posłuch w masach i rozpoznawalność
i czekać na sygnał do wielkiej akcji.

— I kiedy to czekanie się skończyło? Kiedy pojawiła się idea marszu
gwiazdzistego?

— W czerwcu, po szczycie NATO.

— I wtedy dostaliście „zlecenie” na sędziego Żeromskiego?
Spurpurowiał.

— Nigdy nie dostałem takiego zlecenia.

— Doprawdy?

— Poinformowano mnie jedynie, że może się zdarzyć akt terroru i mam być
przegotowany.

— Do czego? Do rozpętania zamieszek na wielką skalę?

— Miałem jedynie wyprowadzić ludzi na ulicę. Reszta winna potoczyć się
sama.

— Tylko jaki miał być cel ostateczny? Zbrojne obalenie rządu?

— Jak? — Skrzywił się z niesmakiem. — Bez broni?

— Więc na co liczyliście? Na panikę w obozie władzy? Prędzej czy później
zostałaby opanowana. Jaki miał być kolejny etap? Znaliście dalsze cele?
Wiedzieliście, jak zamierzają wykorzystać to Rosjanie?

Zacisnął usta.

— Powiedziałem wszystko, co wiem.

— Gówna prawda! — podniosła głos. — Niech pan powie zatem, co
oznacza termin operacja „Inga”.

— Nic nie wiem na ten temat!

Zabielska wstała.

— Orientuje się pan, doktorze Goebbels, że posiadamy całą gamę środków farmakologicznych i innych, zdecydowanie mniej subtelnych, które wymuszają pańskie zeznania?

Spuścił głowę, ale już się nie odezwał.

*

Wiadomości o zatrzymaniu Juliana Krakowskiego dotarły do Moskwy po północy.

Wkrótce potem Dubnow zawezwał do siebie Lwa Sorokina.

Wchodząc do jego kwatery, Kontroler po raz pierwszy zauważył strach malujący się na obliczu wszechwładnego dotąd doradcy. Czy tak właśnie wyglądał Heinrich Himmler, gdy schwytyany przez Brytyjczyków zdecydował się na popełnienie samobójstwa?

Gienrich Dubnow chyba jednak nie rozważał podobnej ewentualności; jak u wielu ludzi mu podobnych pycha dawno przysłoniła wrodzoną inteligencję. Nie podał ręki Kontrolerowi, tylko bez wstępów przeszedł do rzeczy.

— Jak to możliwe, Lwie Dawidowiczu, że ludzie Czerkasowa odkryli najtajniejszy sekret naszej władzy?

— Pomógł im „Argus”. Superszybki program komputerowy, umożliwiający identyfikację osób w skali całego świata. Pracujemy nad czymś takim, ale zostaliśmy w tyle... — powiedział Kontroler. — Nasz człowiek z Fort Meade poinformował mnie, że program został uruchomiony poprzedniej nocy. Dopasował twarze z przeszłości do współczesnych ludzi i wyszło mu precyzyjnie, kto jest kim.

Dubnow odwrócił głowę w kierunku ściany, na której wisiał portret Jurija Andropowa, tak jakby wstydził się swego podobieństwa do reichsführera, które markował farbowaniem włosów i zapuszczoną bródką.

— Kto im na to pozwolił? — syknął. — Góra?

— Znaleźli dojdzie bez uruchamiania góry. Zapewne ten Żydek z Rzymu pożegna się ze stanowiskiem. Albo, to też niewykluczone, dostanie kopa w górę. Jedyne w tym wszystkim jest pocieszające, że nadal nie mają pojęcia, kim jest współczesny Adolf.

— I mam nadzieję, że do poniedziałku nie będą mieli.

— Nie będą.

Dubnow potraktował to zapewnienie skrzywieniem warg.

— Szef niepokoi się porażką operacji w Polsce — dorzucił. — Jak można było spać tak proste zadanie!

— Zgadzam się. Ośmielę się jednak zauważyć, że to kłopot, ale jeszcze nie tragedia. Kiedy ruszy „Inga”, wszystko ulegnie zmianie. Jest jasne, że pomoc bratniej Polsce, w której dochodzi do wojny domowej, byłaby dla nas szlachetnym obowiązkiem, ale możemy odwrócić kolejność zdarzeń.

Himmler zastanawiał się przez chwilę, potem potarł oczy, ryzykując wypadnięcie szkieł kontaktowych, i rzekł:

— Teraz najważniejszy jest Rzym. I „Inga”. Możesz mi powiedzieć, w jakim stopniu NATO zdaje sobie sprawę ze skali zagrożenia?

— Sądzę, że w niewielkim. Nie mają pojęcia o akcji pontonowej, nie zdają sobie sprawy ze skali koordynacji działań... Sami zaś nie mają jednolitego dowództwa, NATO jest fikcją...

— Pytanie, ile wie na temat operacji Krakowski i jak szybko go złamią?

— Dzięki mej przezorności jego wiedza ograniczona jest do własnych zadań na terenie Polski. Nie zna żadnych konkretów o „Indze”. Chociaż, ponieważ jest bystry, może się niejednego domyślać. — Przełknął ślinę, mając nadzieję, że Doradca nie wyczuł kłamstwa. — Widzę za to inny problem.

— Mianowicie?

— Martwi mnie odezwa Almanzora.

— Czytaliśmy ją, jest w porządku. Po jej wysłuchaniu nawet pacyfista

wpadłby w bojowy amok.

— Niestety, tym razem jednak Tarik nie chce jej nagrać. Boi się, że w trakcie transmisji ktoś ją przechwyci albo zmanipuluje. Chce ją wygłosić bezpośrednio do miliarda muzułmanów całego świata. Dziś o zmierzchu.

— Nie robiłbym z tego jakiegoś szczególnego problemu. Łączność zapewnimy, a nikt poza nami i szefem nie ma pojęcia, gdzie znajduje się studio. — Naraz na biurku Dubnowa pojawił się znakomity francuski koniak. — Wypijmy za powodzenie „Ingi”.

— Dziękuję. Ale nigdy nie piję przed akcją — odmówił Sorokin. — Na wiwaty przyjdzie czas po zwycięstwie.

— A ja się napiję — powiedział Dubnow. Nalał sobie pełną szklanekę i wychylił ją duszkiem. Potem rzucił wzrokiem na ścianę za plecami. — Twoje zdrowie, wodzu.

Sorokin nie miał pewności, czy generał ma na myśli Pobiedina, czy führera.

17. Almanzor

Koło piątej nad ranem Kamilla, wyczerpana przesłuchaniami, zdecydowała się wreszcie położyć; służbowa kozetka była wprawdzie za krótka, ale zdarzało jej się sypiać w jeszcze mniej komfortowych okolicznościach. Długo zresztą nie pospała. O 6.38 obudził ją telefon. W słuchawce usłyszała nieznanego mężczyzny głos:

— Pani premier do pani nadinspektor!

W pierwszej chwili uznała to za głupi kawał i chciała wysłać żartownisia do diabła, ale nie zdążyła, bo w słuchawce zabrzmiał charakterystyczny głos pani premier. Normalnie lekko zbolęły, dziś brzmiał wyjątkowo mocno i władczo.

— Leci pani do Kijowa, pani nadinspektor! — powiedziała szefowa polskiego rządu.

— Kiedy?

— Natychmiast. Samolot jest już przygotowywany. Nasi ukraińscy przyjaciele znaleźli coś, co może bardzo nas wszystkich zainteresować. Jeśli trzeba będzie podejmować jakieś decyzje, to ma pani wszelkie moje pełnomocnictwa.

Nie minęły dwie godziny, a pod gulfstreamem należącym do polskich służb specjalnych zabłysła modra wstęga Dniepru, szeroko rozlanego po ostatnich opadach.

Na wojskowym lotnisku pod Kijowem oczekiwał odpowiednik Zabielskiej — Szota Czcheidze, jeden z protegowanych byłego prezydenta Gruzji, który wraz z nim trafił na Ukrainę i piastując wysokie stanowisko w SBU, dawał gwarancję braku moskiewskich uzależnień i co ważne, był absolutnie

impregnowany na wszechobecną korupcję. Czcheidze nie miał jeszcze czterdziestki, ale zaliczył już studia w Nowym Jorku, staż w Quantico i praktykę w agencji wywiadu w Tbilisi.

— Otrzymaliśmy od was zdjęcie z zapytaniem o człowieka, którego nie namierzyli nawet Amerykanie — powiedział na powitanie.

— Czyżbyście mieli kogoś takiego w waszej bazie danych? Byłaby to nadzwyczajna nowina!

— Być może — odparł tajemniczo, ale nie rozwinął tematu, póki nie znaleźli się w siedzibie SBU przy ulicy Wołodimirskiej. W pokoju operacyjnym oczekiwał szef kontrwywiadu Ukrainy, a także wiceminister obrony. Widać było, że prośba Polaków potraktowana została z najwyższą powagą.

Najpierw poproszono nadinspektor Zabielską o informację na temat Ingeborgi Winkler i jej nazistowskich klonów, co Kamilla zawarła w kilkunastu zwięzłych zdaniach. Następnie Czcheidze rzekł:

— Nie muszę chyba zastrzegać, że informacja ta nie może ujrzeć światła dziennego. Została pozyskana w sposób niezbyt... hm... legalny. Ale chyba go mamy. Proszę o projekcję!

Na plazmowym ekranie pojawiło się dość wyraźne zdjęcie mężczyzny w wieku trzydziestu kilku lat o tłustych ciemnych włosach opadających na czoło i wydatnym nosie, który w innej rzeczywistości całe lata pomniejszał wymodelowany wąsik. Osobnik ów w letnim garniturze stał na tle ściany zieleni z teczką w ręku, przywodzącą skojarzenie z austriackim urzędnikiem piątej kategorii. Jurko rozszerzył nieco obraz i w kadrze pojawił się pies, dorodny reprezentant rasy nazywanej wilkami syberyjskimi.

— Skąd to macie? — wyrwało się Kamilli.

Wiceminister obrony zakasłał i zrobił krok do tyłu, wołąc, aby na ten temat wypowiedzieli się inni.

— Nie dysponujemy własnymi satelitami, a Amerykanie udostępniają nam tylko to, co chcą — powiedział szef wywiadu, który młodojęcką sławę zdobył jeszcze w czasie walk na kijowskim Majdanie Niepodległości. — Toteż musimy wykorzystywać własne, dość ograniczone środki...

„Wczoraj, godzina 6.47 rano” — Zabielska zauważyła jasny napis w dole ekranu.

— To zdjęcie z drona?

— Niezupełnie, mamy kłopoty z wysyłaniem tego typu sprzętów na dalsze odległości. Co innego, jeśli aparatura zostanie umieszczona w rejsowym samolocie przelatującym nad terytorium wroga. Ten akurat lot odbywał się na trasie Dniepropietrowsk–Tbilisi.

Rozumiecie, gdyby Rosjanie zorientowali się w naszych praktykach, samoloty pasażerskie zaczęłyby spadać jak gruszki...

Wprawdzie Kamilla 1 września 1983 roku była dziewczynką z warkoczykami wybierającą się do szkoły, doskonale pamiętała jednak tragedię samolotu koreańskiego. Ale nie zamierzała tego komentować.

— Gdzie uchwyciliście tego faceta? — rzuciła.

Kolejne rozszerzenie ujawniło malowniczą alejkę parkową. Trudno było uwierzyć, że zdjęcie to jest jednym z wielu wykonanych z samolotu; nadzwyczajna rozdzielczość sprawiała, że męczyzna widoczny był jak na ekranie podczas emisji kroniki filmowej. Ukraińscy dygnitarze i polska nadinspektor zaczęli przeglądać klatkę po klatce.

Inne zdjęcia były może mniej wyraźne, a postać częściowo zasłaniało listowie, jednak Kamillę w tym momencie bardziej interesowało otoczenie anonimowego spacerowicza. Gdzie znajdował się park zapewniający tyle dyskretnej samotności? Czcheidze przyspieszył przesuw, po czym zastopował film w momencie, kiedy samotnik zatrzymał się i dłuższą chwilę stał oparty o balustradę w miejscu, w którym ścieżka dochodziła do tarasu na samej

krawędzi urwiska. Jeszcze jedno rozsuniecie kadru, a daleko w dole ukazały się fale rozbijające się o dzikie skały.

Mężczyźni uśmiechnęli się, widząc, że Polka ciągle jeszcze nie kojarzy.

Dlatego na ekranie pojawiły się inne fotografie. Podpisy nie pozostawiały wątpliwości.

Park, w którym sfotografowano Adolfa bis, otaczał słynną rezydencję prezydenta Pobiedina nad Morzem Czarnym. Z pewnością była monitorowana przez satelity amerykańskie dzień i noc, jednak dopiero teraz kąt nagrania umożliwił zidentyfikowanie twarzy samotnego tajemniczego gościa, przebywającego tam niewątpliwie na zaproszenie Władimira Władimirowicza. Samolot już odlatywał i klon Hitlera zniknął z kadru. Jednak zanim zniknął, na ostatnich klatkach można było zauważyć, jak wyciąga z teczki dywanik modlitewny, rozkłada go, klęka i zaczyna bić pokłony wschodzącemu Słońcu.

Kamille przeszły dreszcz emocji, tak jak gdyby została właśnie odkrywczą nieznanego lądu lub nowej galaktyki.

Adolf Hitler, führer III Rzeszy w swoim nowym wcieleniu był Mahdim — Tarikiem Al-Mansurem — Biczem Bożym w rękach współczesnego islamu.

*

Pierwszą reakcją na to odkrycie był szok i niedowierzanie. Kiedy Kamilli udało się połączyć z panią premier, podczas rozmowy telefonicznej wyczuła zaskoczenie zmieszane z pewną rezerwą.

— Jesteście pewni? — pytała szefowa polskiego rządu. — Antysemita wszech czasów miałby powrócić jako przywódca Semitów w walce z Indoeuropejczykami?

Na szczęście Kamilla odrobiła już zadaną lekcję.

— Na podstawie tego, co wiemy o wodzu III Rzeszy, obsesja Hitlera

ograniczała się do Żydów. W drugiej, a może pierwszej kolejności nienawidził chrześcijan. Przeciwno Arabom nic nie miał, jego ludzie paktowali z różnymi siłami na Bliskim Wschodzie, a on sam, choćby w słynnych „rozmowach przy stole”, nie krył swego podziwu dla islamu — „silnej religii silnych ludzi”.

— Hitler nienawidził chrześcijaństwa? — zdziwiła się pani premier.

— Nade wszystko. Nienawidził jego „kultu słabości”, empatii, tolerancji, miłosierdzia. Uważał, że chrześcijaństwo zniszczyło świat antyku, który uwielbiał, i zdeformowało rozwój ludzkości. Jego wrogość wobec Żydów z całą pewnością nie brała się stąd, że zabili Jezusa, ale stąd że pozwolili mu zaistnieć!

— Zdziwiająca — skomentowała pani premier. — A muzułmanie?

— Dla Hitlera stanowili antytezę chrześcijaństwa, stawiali na twardość, na bezwzględność, pisząc w swej świętej księdze zamiast chrystusowego „miłujcie nieprzyjaciół waszych” mahometańskie „zabijajcie nieprzyjaciół waszych”...

— Czyli pani zdaniem Adolf Hitler mógł odrodzić się jako Almanzor?

— Nawet powinien, a ci, którzy nim sterują, postarali się wykorzystać tę okoliczność oraz jego charyzmę.

*

W przeciwieństwie do świata, w którym zdarzenia coraz bardziej przyspieszały, w ten wrześnie poranek Ałła oraz Igor długo nie opuszczali łóżka. W apartamencie nie było klimatyzacji, ale grube mury i marmurowe posadzki doskonale chroniły przed upałem, reszty dokonywał łagodny przewiew. W łóżku zjedli śniadanie, doznając po raz pierwszy od dawna poczucia bezpieczeństwa.

Rozmowy zdominowały plany na przyszłość. Rykow szybko zrezygnował

z pomysłu zabrania Ałły z dziećmi na Hawaje. Oboje skłaniali się ku zamieszkaniu w Polsce, z możliwością, kiedy tylko sytuacja na Ukrainie się uspokoi, przeniesienia się do Lwowa.

— A nie tęsknisz do Rosji? — zapytał w pewnej chwili Igor. — W końcu Władimir Pobiedin kiedyś przeminie.

— Nie znasz swego kraju — odpowiedziała z goryczą. — Po jednym Pobiedinie przyjdzie następny Pobiedin. Niejeden raz rozmawiałam na ten temat z Aloszą. Chociaż zawodowy czekista, był człowiekiem wykształconym i patrzył realnie na rzeczywistość. Fascynowała go postać Sawinkowa, który marzył o demokratycznej Rosji, ale osobiście uważał nasz kraj za niereformowalny...

— Nie może być!

— ...i przekłety. Nawet gdy co jakiś czas pojawiał się jakiś reformator pełen dobrych intencji — Katarzyna Wielka, Aleksander I czy II, socjaliści, Gorbaczow i Jelcyn — sprawy prędzej czy później musiały skończyć się samodzierżawiem.

— Klątwa to czy fatum?

— W przeciwieństwie do mnie Mordakow był skrajnym racjonalistą, który nie rozpatrywał procesów dziejowych w kategoriach greckiej tragedii. Uważał, że tyranie lud rosyjski zawdzięczał zawsze samemu sobie. Pozwalał narzucić sobie jarzmo, nie wypluwał wędzidła. Popatrz, tam, gdzie dotarły wpływy Zachodu, nawet wewnątrz imperium rodził się indywidualizm i pojawiało się umiłowanie wolności — Pribałtyka, Ukraina, Gruzja. Reszta jednak ugina się pod spuścizną mongolską.

— No, no, sam jestem spuścizną mongolską.

Osmanowa pogroziła mu palcem.

— Czytałam kiedyś pracę, że naszym problemem jest to, że nie wiemy, kim jesteśmy — wikingami udającymi Słowian, Azjatami w bizantyjskich

złoceniach...? Chcielibyśmy być Trzecim Rzymem, a wyłazi zawsze drugie Ułan Bator.

Koło pierwszej zastukał do nich Charles Smith i zaprosił na obiad do restauracji przy Piazza del Popolo.

Normalnie charakteryzowała go twarz pokerzysty, dziś jednak emerytowany funkcjonariusz CIA wyglądał na zaniepokojonego.

Ała zauważyła to natychmiast.

— Powinieneś być zadowolony — mówiła — swoje zadanie wykonałeś, dzięki twej informacji zatrzymano Krakowskiego i rozbrojono minę pod Polską, więc skąd twój nastrój?

— Coś wisi w powietrzu, a Włosi lekceważą powagę sytuacji. Po prostu nie da się z nimi rozmawiać. Są zadufani, pewni siebie. I uważają, że nic im nie grozi.

— Może wiedzą lepiej? — podsunął Rykow.

— Wątpię — odparł. — To zresztą nie jedynie włoska specyfika, w całej Europie panuje niechęć do spojrzenia prawdzie w oczy.

— Dlaczego? Nie obawiają się nowej niekontrolowanej fali imigrantów czy perspektywy aktu terroru?

— Tak się obawiają, że wolą o tym nie myśleć. Nie dopuszczają do głowy myśli o rzeczywistej wojnie kultur. Nie są na nią przygotowani ani mentalnie, ani technicznie. A przecież łatwo sobie wyobrazić, że po kolejnym akcie terroru komuś puszcza nerwy, zaczną się samosądy, starcia i wojna domowa.

— I nie można nic zrobić?

— Rozmawiałem z paroma ludźmi odpowiedzialnymi za bezpieczeństwo, informując, że samochód z ładunkiem środków wybuchowych opuścił Wiedeń i znalazł się na terenie Włoch. Dostali z Polski rysopis Szamira i rozesłali list gończy w zwykłym trybie.

— I co?

— I nic! Wierzą w swoje służby, sprawność policji. Co więcej, uważają, że ich ustępliwość wobec muzułmanów, gościnność i tolerancja gwarantują im bezpieczeństwo i łagodne traktowanie. Sądzą, że jeśli nawet trwa militarna kontrabanda, to Italia jest wyłącznie krajem tranzytowym. Na sugestie CIA, żeby przyjrzeć się baczniej organizacjom muzułmańskim, zareagowali wręcz alergicznie. „Nie będziemy wszczynać wojny religijnej”, twierdzą te lewicowe głupki.

— Skąd bierze się ich przekonanie, że Włochy nie są na celowniku terrorystów? — zapytał Rykow.

— Być może stąd, że jak na razie, od epoki Czerwonych Brygad nie było tu wielkich zamachów — zauważyła Ała.

— Kiedyś zawsze jest ten pierwszy — rzekł Charles. — Niestety we włoskim rządzie panuje, a właściwie obowiązuje pogląd, że muzułmanie niedrażnieni nie zaatakują pierwsi. W dodatku, jak przekonywał mnie jeden z miejscowych mądrali, brak jest odpowiednich celów dla fundamentalistów.

— A choćby Kościół katolicki?

— Wspomniany ekspert twierdzi, że obiekty kultu religijnego nie są na liście islamskich priorytetów. Głównym wrogiem są bezbożnicy, poganie. Atakują więc twierdze kapitału, na przykład wieże World Trade Center, wrogie islamowi wydawnictwa czy satanistyczne trupy muzyczne, z czym mieliśmy do czynienia w Paryżu, a także knajpy, w których w towarzystwie obnażonych kobiet pije się alkohol w piątek... Ci muszą zginąć! Katolikom i żydom proponuje się nawrócenie, a nie natychmiastową zagładę...

— Pojawiają się jednak ataki na księży.

— Są to „indywidualne ataki z osobistych pobudek”, zresztą głównie we Francji i Hiszpanii.

— A profanacja kościołów?

— Zwyczajne chuligaństwo, na które nie ma rady. Są ślepi i głusi.

Dowiedziałem się, że gdy polski koordynator służb chciał się pilnie spotkać z tutejszym ministrem spraw wewnętrznych, zaproponowano mu termin październikowy. Tymczasem tak naprawdę nie wiemy, czy nasz świat dotrwa do połowy września.

— Myślisz? — zaniepokoiła się Ała.

— Przynajmniej świat taki, jaki znamy. Na podstawie tego, co wiem, wydarzenia ostatnich dni układają się w niepokojące puzzle. Nie znam całości obrazu, ale domyślamy się, kto za tym stoi. Nieudany zamach w Polsce połączony z demonstracjami ROW-u miał na celu wywołanie zadymy. Intuicja podpowiada mi, że Szamir nie wybrał się tu przecież na „wczasy z trotylem”, tylko ma określony cel.

— Chaos? — zapytał Rykow. — I co dalej?

— Tego elementu nam brakuje. Ale jeśli stoi za tym Rosja, to wszystko jest możliwe. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym wojna o Kanał Sueski odwróciła uwagę wolnego świata od tragedii Węgier... Kto wie, czego może spróbować tym razem podupadające imperium, które nie ma nic do stracenia.

— Myślisz o trzeciej wojnie światowej?

— Chyba żartujesz, Igorze. Przywódcy twego kraju nie są ryzykantami, toczą wyłącznie wojny, które z góry mają wygrane. Gotowi są na najgorsze świństwo, ale tylko wtedy, kiedy wiedzą, że ujdzie im to płazem. Jakikolwiek mają plan, będą postępowali tak jak zawsze. Wezmą tyle, ile sami im damy...

— Ale czy my możemy coś zrobić w tej sytuacji? — zapytała Ała.

— Możemy obserwować, ostrzegać i niewiele więcej. Jeśli ktoś, człowiek albo naród, postanowił popełnić samobójstwo, to powstrzymanie go przed tym krokiem jest niezwykle trudnym zadaniem.

W tym momencie zadzwonił telefon.

Smith wyciągnął go niechętnie z kieszeni, ale odebrał, słuchał chwilę w milczeniu, a jego twarz jaśniała z każdą minutą; potem powiedział krótko:

— Dobrze. Będę za kwadrans.

Wstając, zauważył, że współbiesiadnicy zmieniają się w dwa wielkie znaki zapytania.

— Blumenbaum — rzucił — nasz wiceambasador. Wreszcie ktoś poszedł po rozum do głowy i uznał, że mogę się przydać. Dacie sobie radę sami?

— Spróbujemy — uśmiechnęła się Ała.

*

Kiedy Kamilla opuściła salę przesłuchań, do roboty wzięli się jej mniej subtelni podwładni. Niestety „Goebbels” okazał się zaskakująco odporny na ból, a także podtapianie. Na presję psychologiczną po prostu brakowało czasu. Postanowiono uciec się do farmakologii. Być może polska farmaceutyka pozostaje z tyłu za innymi przodującymi krajami, jednak serum zaaplikowane Krakowskiemu okazało się nad wyraz skuteczne. Najpierw wprowadziło go w amplitudę zmiennych stanów emocjonalnych. Teraz nie musiał już niczego symulować, naprawdę na zmianę płakał i śmiał się, dygotał i zwijał w drgawkach. Otoczyły go zwidy, grupa czarnych wron o blaszanych dziobach jakby wygrzebanych ze składnicy najtandetniejszych, choć skutecznych horrorów. A na koniec opanował go absolutny strach. Wydało mu się, że stracił czucie w całym ciele, nie mógł poruszyć ani ręką, ani nogą, i na dobitkę miał wrażenie, że stanęło mu serce.

— Ja umieram? — wyszeptał. — Otruliście mnie.

— Zapewne jeśli nie podamy ci za pół godziny antidotum, to wyciągniesz kopyta jak nic.

To go jeszcze nie załamało. Pękł dopiero, kiedy ocknął się w stanie euforycznym, kiedy chełpił się swym znaczeniem i tłumaczył otaczającym go upiorom, że nie wiedzą, z jakimi siłami zadarli i jaka potęga już jutro zmiecie ich z tego świata.

— Jaka?

— Nazywa się Inga!

— Kto to jest Inga?

— Co za patentowani durnie — zaryczał tubalnym śmiechem. — Przecież każdy to wie. „Islamskaja Narodnaja Gieopoliticeskaja Armija”, która jeszcze tej nocy zaleje cały kontynent.

*

Gabinet operacyjny, w którym uwielbiał przesiadywać Dubnow, podobno jedynie ściana oddzielała od gabinetu „Minotaura”. Dubnow nieraz zastanawiał się, która to może być ściana. Najprawdopodobniej ta z weneckim lustrem, przez które imperator, nie będąc widziany, mógł obserwować swych dworaków w trakcie posłuchania. A może jednak ta, na której w miarę potrzeby wyświetlały się mapy. Technika zapewne pozwalała widzieć je również z drugiej strony.

We wrześniowe popołudnie całą przestrzeń wypełniała mapa Europy i sytuacji w chwili rozpoczęcia pierwszej fazy operacji „Inga”.

„Himmler” nie próbował sobie wyobrazić, ile szmalu dałyby wywiady zasobnej Europy, mogąc zobaczyć to, co on i zapewne również Władimir Władimirowicz oglądali w tej chwili. Te kółka zmiennej wielkości oznaczające koncentracje „uchodźców” w portach i przystaniach Lewantu i Afryki Północnej. Wykrzykniki, za którymi kryły się punkty akcji dywersyjnych (szaleńców, dżihadystów czy zwyczajnych komandosów), do których sygnał miał pojawić się za parę godzin. Imponująco wyglądała też dyslokacja sił zbrojnych Rosji na Białorusi w ramach nadzwyczajnych ćwiczeń „Późne lato” oraz w Naddniestrzu i na Krymie. Szczególna koncentracja oznaczeń związków taktycznych widoczna była w Obwodzie Kaliningradzkim, „naszym niezatapialnym lotniskowcu wewnątrz Unii

Europejskiej”. Swoją drogą jakiś czas temu uczestniczył w rozmowie, podczas której bodajże premier zapytał Władimira Władimirowicza, dlaczego utrzymuje się ciągle ta ostatnia postsowiecka nazwa, w dodatku upamiętniająca nie wybitnych, choć kontrowersyjnych przywódców, takich jak Lenin, Stalin czy Dzierżyński, ale pierdołowatego Michaiła Kalinina, który potrafił podpisać wyrok na własną żonę i jeszcze za niego podziękować.

— A po co teraz zmieniać? — zabrzmiał głos nowego cara. — Przecież i tak za jakiś czas nazwiecie prastary Królewiec Pobiedingradem!

„Ciekawe, czy będzie to już w następnych miesiącach?” — zastanawiał się Dubnow.

Był w zdecydowanie lepszym nastroju niż ubiegłego wieczora, kiedy pierwsza faza poniosła fiasko, klon Goebbelsa wpadł w łapy Polaków, a przeciwnicy dowiedzieli się o jego prawdziwej tożsamości.

Z tego powodu spodziewał się, że spotka go solidny opierdół, ale imperator zadowolili się meldunkiem o zmianie kolejności faz.

Postanowili więc zacząć od razu od drugiego etapu. Od inwazji. Wedle różnych szacunków mogła objąć ona dwa do czterech milionów wyznawców islamu wdzierających się do Europy, która jeszcze nie pozbiierała się od zeszłorocznego napływu „uchodźców”. Liczba zresztą nie była ostateczna. W przypadku braku należytej reakcji Zachodu mogła się zwielokrotnić. W ludzkiej populacji obowiązują również prawa fizyki. Jeśli między dwoma naczyniami, pierwszym, w którym niecały miliard bogatych pławi się w dobrobycie, pochłaniając większość światowego produktu brutto, a drugim, w którym przebiera nogami ponad pięć miliardów głodomorów, usunie się dotychczasowe bariery przepływu, to efekt może być tylko jeden.

Ani Dubnow, ani jego zwierzchnik nie obawiali się skoordynowanych działań Unii czy NATO. Byli przekonani, że odpowiedzią na ludzki potop będzie bezradność państw pogranicznych i bierność mocarstw, przerażonych

piekłem, jakie mogliby im sprawić ich „wewnętrzni islamiści”, wśród których setki tysięcy od pokoleń posiadały obywatelstwo Niemiec, Francji czy Wielkiej Brytanii.

W dodatku rządy, a co gorsza, wywiady tych państw, nie miały pojęcia o „Indze” i jej dalekosiężnych celach, nadto nie orientowały się w stopniu koordynacji „wielkiego planu”.

— Ciekawe, jak długo będą uznawać szturm emigrantów za spontaniczny, a akty terroru za lokalne, niepowiązane ze sobą incydenty?

Pobiedin uważał, że kilka dni, Dubnow liczył na tygodnie. Ale nawet kilka dni powinno wystarczyć, aby wpędzić Europę w stan chaosu i wojny religijnej.

Optymizm „Himmlera” wynikał z jeszcze jednego powodu: imperator tylko w niewielkim stopniu zmartwił się, że Ruch Obrony Wolności w Polsce nie spełnił pokładanych w nim nadziei („Na Polaczków nigdy nie można liczyć!”). Ponadto „Minotaur” uważał, że co się odwlecze, to nie uciecze! Kiedy zagony muzułmanów dojdą na Ukrainę i do Polski, zaczną się nieuchronne starcia i bałagan wewnętrzny, a wówczas i tak bratnia pomoc okaże się nieodzowna.

Bo Rosja nie opuści łacińskiej cywilizacji w potrzebie. Jeszcze raz odegra rolę wyzwoliciela Europy.

Wpierw tej wschodniej, potem zachodniej!

W uszach Dubnowa ciągle dźwięczały słowa rozmowy jego pryncypała z niemiecką *Kanzlerin*.

— Ile Arabów gotowi jesteście osiedlić na Syberii? — pytała Helga Friedhof, kiedy w swobodnej rozmowie telefonicznej rozważano możliwości przesiedlenia nadwyżki uchodźców (tych leniwych, roszczeniowych, do niczego nieprzydatnych, których za żadne skarby nie chciały przyjąć do siebie państwa środkowej Europy).

— Każdą liczbę — odpowiadał uprzejmie Władimir Pobiedin.

Dubnow jeszcze raz popatrzył na kółeczka oznaczające koncentracje pierwszego rzutu „uchodźców”. Już zaczynały zmieniać pierwotną barwę, rozjarzając się jak powoli włączane reflektory teatralne.

— Biedni kozojebcy wybierają się do Ziemi Obiecanej, a prędzej czy później wylądują w archipelagu Gułag. Albo... Ostatecznie można by pokusić się o „ostateczne rozwiązanie”. W końcu — rozmarzał się — koncern IG Farben w każdej chwili może wznowić produkcję cyklonu B.

Czuł emocje i zastanawiał się, czy jego nastrój podziela „Minotaur” przemieszczający się na wózku po drugiej stronie pancernego lustra. Odwrócił się nawet w jego kierunku, oczekując jakiegoś słowa zachęty. Ekran jednak milczał.

*

Prezydenci Polski i Ukrainy spotkali się w Przemyślu o godzinie szesnastej czasu polskiego. Pół godziny później dołączył do nich prezydent Rumunii. Nadinspektor Kamilla Zabielska, wchodząca w skład wąskiej ekipy ekspertów dopuszczonych do udziału w naradzie, przyleciała razem z przywódcą Ukrainy prosto z Kijowa.

Obserwując trzech przywódców, Kamilla odnosiła wrażenie, że tylko Polak — Franciszek Skrzypczak, młody jeszcze prawnik z Krakowa, zachowuje absolutny spokój. Niepokój Rumuna — Hermana Ferensa zdradzały rozbiegane oczy, a nabrzmiała twarz Jegora Parchimienki sugerowała, że ostatnimi czasy nadużywał alkoholu i jeśli nie wyhamuje, to grozi mu w rychłym czasie apopleksja.

Najnowsze wiadomości, które przekazał Ferens, były przerażające. O świcie cztery kolumny „uchodźców” przełamały granicę węgierską.

— Do sforsowania płotów i zapór posłużono się środkami wybuchowymi. Co najmniej kilkudziesięciu z interwentów jest uzbrojonych w broń palną.

Licząca około pięćdziesięciu tysięcy muzułmanów armia kieruje się w stronę Szegedu i dalej w stronę naszej granicy — mówił prezydent Rumunii. — Jednocześnie w Serbii gromadzą się kolejne ponadstutysięczne grupy i co najmniej jedna może lada moment wkroczyć na terytorium Rumunii.

— A co na to rząd Serbii? — zapytał Skrzypczak.

— Nie ma rządu Serbii. Od dwóch miesięcy trwa kryzys parlamentarny, a terminu wyborów jeszcze nie ogłoszono. Prezydent wykazuje bierność, tłumacząc się administracyjnym paralizem. Nieoficjalnie wiemy, że wykonuje dyrektywę Moskwy — nie przeszkadzać napływowi islamistów.

— Coraz bardziej oczywisty staje się cel Rosjan — zauważył Parchimienko, który znaczną część życia spędził w Związku Radzieckim i doskonale znał mentalność jego spadkobierców. — Chcą dopuścić do tego, aby te rzesze ludzkie dotarły przez Rumunię do Mołdawii, Ukrainy, a zapewne i Polski, a następnie zaproponować „braterską pomoc”.

— I nic nie można zrobić? — zapytał Polak.

— Godzinę temu zadzwonił do mnie premier Węgier — kontynuował Rumun. — Jak wiecie, jesteśmy ostatnio w zdecydowanie lepszych stosunkach niż wcześniej. Jest zdruzgotany. Policja unijna, która od paru tygodni stacjonuje na terytorium jego kraju, pilnie nadzoruje, aby przypadkiem nie stosować wobec przybyszów żadnej przemocy. Oddział „europejski” uniemożliwił wyjście wojsk z jednostki pod Szegedem. Tymczasem tłum posuwa się jak szarańcza, pożerając wszystko, na co natrafi po drodze. Rekwiruje pojazdy, łupi supermarkety. W Szegedzie panika. Rozważana jest ewakuacja miasta. Jednak najbardziej niebezpieczne słowa usłyszałem od Imre Jarosa na sam koniec.

— Jakie?

— Jeśli w ciągu czterdziestu ośmiu godzin nie otrzymają unijnego wsparcia i przyzwolenia na działania obronne, a ściślej mówiąc, jeśli nie zmieni się

dotychczasowe stanowisko kanclerz Niemiec, to Węgry rozważą propozycję przyjęcia „pomocy humanitarnej” z Rosji, którą już zaoferował im Pobiedin.

— Mieli już taką pomoc humanitarną w pięćdziesiątym szóstym roku — prychnął Skrzypczak. — Również moja pani premier usiłowała rozmawiać dziś z kanclerz Niemiec. Otrzymała odpowiedź, że nie należy wysnuwać przedwczesnych wniosków wobec lokalnych, jak to nazwała, incydentów pod Szegedem i straszyć Europejczyków wizją nowej wędrówki ludów.

Chwilę potem o zabranie głosu poproszono Kamillę Zabielską. Sama dziwiła się, że w tym gronie nie odczuwa tremy.

— Właśnie otrzymałam wiadomość z Warszawy — powiedziała po angielsku. — Po wielogodzinnym przesłuchaniu Julian Krakowski „Goebbels” ostatecznie pękł i przed kwadransem ujawnił wreszcie, co oznacza kryptonim „Inga”. — Poczła ciężar wzroku wszystkich obecnych na sobie, ale opanowała treść i kontynuowała: — Niezależnie od imienia nazistki zajmującej się w przeszłości klonowaniem ludzi pod tym skrótem kryje się „Islamskaja Narodnaja Geopoliticeskaja Armija”, hybrydowy oręż Władimira Pobiedina rzucony przeciw bezbronnej Europie. — Rozległ się szmer, Skrzypczak nerwowo sięgnął po papierosa. Nikt jednak nie przerywał Zabielskiej: — Mamy doniesienia z różnych miejsc w basenie Morza Śródziemnego o nadzwyczajnych przygotowaniach do inwazji. W portach Afryki Północnej i Turcji pojawiły się w ciągu ostatniej doby nie wiadomo skąd setki pontonów z silnikami umożliwiającymi dalekomorskie podróże.

— Wiadomo chociaż jakiej produkcji? — zapytał Parchimienko.

— Chińskiej, jeśli ma to jakieś znaczenie, choć najdalsza byłabym od mieszania w tę sprawę Chińczyków. Skupowało je przez ostatni rok wiele firm, stąd nikt nie zauważył skali zjawiska. W dodatku, w odróżnieniu od poprzednich fal, dyktowanych głównie względami ekonomicznymi, ta ma charakter zideologizowany. Wśród „uchodźców” dominuje duch religijnego

posłannictwa.

— Czyli islamska inwazja na pełną skalę? — powiedział ponuro prezydent Rumunii. — Wiadomo chociaż, kiedy miałyby się rozpocząć, bo to, co stało się na Węgrzech, to rozumiem jedynie przygrywka?

— Raczej balon próbny mający za zadanie przetestować reakcje Wspólnoty. Według danych spływających od informatorów, wszyscy czekają tylko na hasło, które rzuci Almanzor. O ile rzuci...? — znacząco zawiesiła głos Kamilla.

— Co pani chce przez to powiedzieć? — Parchimienko wlepił w nią wzrok.

— Dzięki informacjom z pańskiego SBU dysponujemy nie lada atutem. Wiemy, gdzie ów Tarik czy, jak kto woli, Adolf przebywa. I znamy jego zwyczaje.

— Znajduje się w najbardziej strzeżonym miejscu świata — zachnął się Ukrainiec.

— Są bardziej strzeżone. Choćby Kreml. Z tego, co wiem od waszych ludzi, rezydencja Pobiedina nad Morzem Czarnym staje się fortecą w momencie, gdy przebywa na jej terenie imperator, a gdy wyjeżdża, ochrona zostaje zmniejszona do jednej trzeciej. W związku z tym powstał pomysł pewnej akcji, tyle że wymagałaby ona współpracy Polski, Rumunii i Ukrainy.

— Bez wiedzy Amerykanów?

— Obawiam się, że Pentagon i CIA zostały skutecznie zinfiltrowane przez Rosjan. Oczywiście nasi główni sojusznicy muszą zostać poinformowani, ale lepiej już po czasie.

Ferens wstał tak gwałtownie, że jego krzesło upadło na ziemię.

— Co pani sobie wyobraża? Chce pani wywołać trzecią wojnę światową?!

— Nie sądzę, żeby akurat TO mogło ją wywołać. Al-Mansur, czy mówiąc otwartym tekstem, Hitler bis, oficjalnie nie istnieje i nawet gdyby coś mu się stało, nikt, z Władimirem Władimirowiczem włącznie, nie może upomnieć się

o niego.

Skrzypczak uśmiechnął się i spojrzał z uznaniem na odważną kobietę.

— Rozumiem, że wstępne przygotowania zostały rozpoczęte? — zapytał, chociaż akurat on, wtajemniczany na bieżąco, nie musiał zadawać takiego pytania.

— Są w toku, potrzebujemy jedynie wsparcia panów prezydentów. I to natychmiast.

Pozostali dwaj dygnitarze zgłupieli i dość bezradnie spoglądali po sobie.

— Bez żadnych konsultacji z naszymi rządami i parlamentami? — zapytał zdumiony Ferens.

— Każdy najmniejszy wyciek mógłby udaremnić naszą operację. Wiele wskazuje na to, że dzisiejszego wieczora Almanzor zamierza wezwać świat islamu do totalnej antykrucjaty. Można zapobiec temu teraz albo nigdy!

*

Drzwi za Charlesem Smithem się zamknęły. Ała z Igorem spokojnie dokończyli posiłek, później wyszli na miasto.

Informacja, że za sprawę terrorysty z Polski zabrali się Amerykanie, podziałała na nich krzepiąco. Kilka godzin błakali się po Rzymie, pod wieczór przeszli przez most na Tybrze i dotarli w region Watykanu. Im bliżej państwa papieskiego, tym więcej widziało się grupek pielgrzymów przybywających z różnych części świata. Nawet wyznawcom prawosławia w oczy rzucał się specyficzny nastrój ludzi. Nie było w nich zwykłej radości, a niepokój przeważał nad modlitewnym skupieniem.

Niezależnie bowiem od muzułmańskiego zagrożenia, które wyczuwało się zwłaszcza na „kolorowych przedmieściach” wielkich miast, Kościół katolicki znajdujący się w głębokim kryzysie teraz doświadczał maksymalnego zagrożenia.

Schizma wisiała w powietrzu. Pierwsza redakcja encykliki *O godności ludzkiej*, sporządzonej podobno wedle wskazówek postępowych biskupów niemieckich, wzburzyła i głęboko podzieliła hierarchię i lud Boży. Wielu uważało, że jest to najodważniejsza reinterpretacja *Katechizmu Kościoła katolickiego* od czasów Trydentu, a kto wie, czy nie pierwszych soborów. No bo i jak pogodzić się z aprobatą dla sodomii, podważeniem zasady nierozzerwalności więzów małżeńskich, kapłaństwem kobiet czy uznaniem za równouprawnione wszelkich innych religii?

„A gdzie prawda?” — wołali zbuntowani kaznodzieje z Polski i Ameryki Łacińskiej, szybko nawracającej się Azji i centralnej Afryki. „Tolerancja nie może oznaczać akceptacji ewidentnego grzechu, apostazji czy fałszywej wiary”.

Pojawiły się nawet głosy kwestionujące nieomyślność obecnego pontifexa. Niektórzy twierdzili, że obecne nauczanie zostało aż nadto przesiąknięte teologią wyzwolenia, inni całkiem otwarcie głosili, że sytuacja w Watykanie jest owocem masonskiego spisku. Inni wreszcie podtrzymywali interpretację, że skoro decyzje podjęte pod auspicjami Ducha Świętego są nieodwracalne, jedynym prawnym następcą świętego Piotra jest dziś staruszek-emeryt, rezydujący w Castel Gandolfo, a obecny biskup Rzymu — jedynie współczesnym antypapieżem. Najwięcej było jednak apeli o zgodę i pojednanie.

W tym duchu należało interpretować zaplanowaną na pierwszą niedzielę września kanonizację Matki Teresy z Kalkuty. Współczesna święta łączyła przecież ludzi nawet spoza rzymskiego Kościoła. Tymczasem w intencji jedności katolików (w podtekście trwania w zgodzie z tradycją) od początku września co wieczór o zmierzchu na placu św. Piotra gromadziły się grupy wiernych, trwających często całą noc w modlitewnym skupieniu. Z dnia na dzień ich rzesza rosła. Pojawiało się wśród nich coraz więcej biskupów,

a nawet kardynałów. Nigdy papież. Jeśli nawet obserwował zbierające się rzesze wiernych — musiał to czynić zza firanek Pałacu Apostolskiego. Ale co naprawdę działo się za murami Watykanu? W sobotę zupełnie nieoczekiwanie przełożono mszę kanonizacyjną na poniedziałek, a w niedzielę Ojciec Święty nie odmówił w południe z wiernymi modlitwy Anioł Pański. W jego zastępstwie uczyniła to trójka kardynałów. Zaraz gruchnęła wiadomość o chorobie papieża, niektórzy sugerowali nawet, że nie żyje. To tylko sprowadzało pod bazylikę jeszcze większe tłumy.

Tymczasem Ała i Igor doszli do placu św. Piotra, mocno zapełnionego wiernymi, ale konieczność przejścia przez bramki (Rykow nie rozstawał się z bronią) uniemożliwiła im wejście na teren Watykanu. Na obrzeżu rzucała się też w oczy duża grupa karabinierów w mundurach, a zapewne i w cywilu.

„Jednak nie lekceważą zagrożeń” — pomyślał Igor.

Obeszli plac jego skrajem i ruszyli Via di Porta Cavalleggeri wzdłuż murów Watykanu, pragnąc obejść całe państwo kościelne. U wylotu Via della Stazione, prowadzącej do stacji kolejowej używanej ongiś przez papieży, minęły ich dwie misjonarki miłości. Oddaliły się już kilkadziesiąt metrów i wtedy jedna z nich się odwróciła, miała nieprawdopodobnie piękną twarz.

— Zina?

Igor na moment zapomniał o obecności Ały i rzucił się w ślad za mniszkami, które zdążyły już zniknąć za załomem muru.

Dobiegł w kilkadziesiąt sekund i szczęka mu opadła.

Zakonnica była tylko jedna, przygarbiona, stara. Uśmiechnęła się do Igora.

— Uważaj na siebie, synku! — powiedziała i poszła dalej.

Rozejrzał się dookoła, w zacisznej uliczce nie było ani pół człowieka. Zakonnica oddalała się coraz bardziej. Rykow stał nieruchomo, aż dobiegła do niego Osmanowa.

— Stało się coś? — zapytała. — Strasznie poblądłeś.

— Zobaczyłem ducha — odpowiedział cicho i objął ją mocno ramieniem.

*

Rozmowy trójki prezydentów w przemyskim ratuszu się przedłużały, z małej sali wyproszone nawet tłumaczy, chwilowo podziękowano też ekspertom. Zabielska odczuwała niepokój rosnący z każdą chwilą. Inni doradcy chyba nie do końca zdawali sobie sprawę z rozmiarów nadciągającego zagrożenia. Cała ich uwaga koncentrowała się na obrazach przekazanych z Szegedu przez węgierską telewizję. Do miasta dotarła już mniejsza kolumna uchodźców, która przedarła się w rejonie Horgoš, ale szybko nadciągały zdobycznymi podwodami oddziały z zachodu. Blokady, które lokalna policja próbowała ustawiać na drogach, nie mogły stanowić większej przeszkody w krainie równin. W tej sytuacji zarządzono ewakuację Szegedu. Krążyły helikoptery wywożące prominentów, a bezładne gromady mieszkańców w panice uciekały na północ. Apele o zachowanie spokoju brzmiały w tym momencie nieomal jak szyderstwo. Wszędzie niesły się wieści, że przybysze gwałcą i rabują, i nikt przy zdrowych zmysłach nie miał ochoty czekać, by się przekonać, czy prawda to, czy fałsz.

W tym czasie w CNN, który w programie „Breaking News” informował o kłopotach na granicy serbsko-węgierskiej, główną atrakcją okazała się głuchoniema dziewczyna imieniem Gizela. Oszczędzona jakimś cudem przez tłumy najeźdźców, nieoczekiwanie odzyskała słuch i głos i z półprzymkniętymi oczami recytowała różne dziwaczne teksty, swobodnie zmieniając języki, których, jak twierdzono, nigdy wcześniej się nie uczyła.

Ktoś zwrócił się do niej po angielsku.

Odpowiedziała błyskawicznie:

— I widziałam Bestię wychodzącą z morza... a smok dał jej swoją moc, swój tron i wielką władzę.

— To Apokalipsa — powiedział do Kamilli Ion Manescu, rumuński pułkownik sił specjalnych, który swego czasu liźnął nieco teologii. — Choć cytat jest dosyć dziwnie zestawiony.

Zaraz potem ktoś spoza kadru zapytał o coś po włosku. Dziewczynka i bez tego blada zbladła jeszcze bardziej.

— Biada, biada, wielka stolico, odziana w bisior, purpurę i szkarłat, cała zdobna w złoto, drogi kamień i perłę, bo w jednej chwili przypadnie tak wielkie bogactwo...

Nie wiedzieć czemu, Kamilla pomyślała o Rzymie i przeszył ją dreszcz. Popatrzyła na zegarek. Jeśli zaproponowana przez nią operacja miała się udać, to decyzja prezydentów musiała zapaść w ciągu pięciu minut.

Otworzyły się drzwi i wyszedł prezydent Skrzypczak, czerwony, spocony jak zapaśnik po ciężkiej walce.

— Zaczynajcie w imię Boże! — powiedział.

*

Suka zaskomliła.

— Już idziemy, Blondi — powiedział Almanzor. — Już idziemy!

Niechętnie odłożył pędzel i przyjrzał się swemu malowidłu przedstawiającemu południową fasadę rezydencji, będącą mieszaniną przepychu i złego smaku.

„Podaruję ją Pobiedinowi na znak wspólnego zwycięstwa”. Początkowo zamierzał dodać tam jeszcze kilka ludzkich postaci, ale porzucił zamysł. Nie lubił ludzi i nie potrafił ich dobrze malować.

Przez uchylone drzwi popatrzył na aparaturę gotową do transmisji, dwie kamery, mikrofony, reflektory. Zastanawiał się, czy w decydującym momencie swej misji nie powinien ściągnąć kominiarki. Sygnować inwazję własną twarzą, jak przystało na współczesnego proroka.

Suka zaskomliła ponownie.

— Co ci, pięknoto?

Sympatia do psów była jedynym odstępstwem od obyczajów braci w wierze, którzy ze zwierząt domowych tolerowali wyłącznie koty. Jak wiadomo, jakiś kundel ugryzł kiedyś Mahometa, a kot przyszedł i go wylizał...

Sięgnął po winne grono, odsuwając półmisek z baraniną. Nie lubił mięsa, od czasu, kiedy dowiedział się, kim jest...

Wcześniej jedynie przeczuwał, że obsadzono go w roli kogoś innego.

Od dziecka czuł się wodzem, wiele lat skrępowanym ograniczeniami swego statusu społecznego. W Niemczech był pariasem. Adoptowany przez rodzinę Palestyńczyków naturalizowanych w RFN-ie, długo szukał swej tożsamości. Miał trudności ze zdefiniowaniem tego, co kocha i czego pragnie. Z nienawiścią takich problemów nie miał. Nienawidził współczesnych Niemiec, a jeszcze bardziej Niemców, wielokulturowej, a właściwie bezkulturowej pulpy, w którą zmieniły ich lata dobrobytu. Kiedy miał siedemnaście lat, uciekł z domu i wyjechał na Bliski Wschód. Zgłosił się do swej dalekiej rodziny w Gazie. Chciał walczyć. Ochotników takich jak on przyjmowano z otwartymi ramionami. Poszedł na front do Iraku. Został nawet ranny. Kiedy jako rekonwalescent przebywał w Damaszku, odnalazł go redaktor Sorokin i uświadomił mu, kim jest. I kim może być. Materiałem na wodza, który potrzebował armii. Tylko skąd ją miał wziąć?

Nordyk z łatką „bliskowschodniego brudasa”?

Przeczytał *Mein Kampf*, kilkadziesiąt prac na temat przywódcy Trzeciej Rzeszy i się uspokoił. Führer, chociaż antysemita, okazał się wielkim admiratorem Arabów i ich religii. Cenił ich męskość i bezlitosność. A zasady Koranu, który jego klon odkrył na nowo, z każdym dniem odpowiadały mu coraz bardziej.

„Silna religia dla silnych ludzi” — powtarzał sobie w duchu. „Jedyną

alternatywę dla współczesnego zniewieściałego, pozbawionego wartości świata mogą stworzyć wyłącznie muzułmanie”. Został więc gorliwym „białym Arabem”. Mahdim, który zmieni obraz świata w imieniu Allaha. Już dziś!

Tylko jeszcze spacer z psem, modlitwa i do dzieła.

Ruszył alejką wśród długich, coraz dłuższych cieni. Słońce jeszcze wisiało nad horyzontem, czerwone jak krew, ale od jego zniknięcia hen poza Morzem Czarnym dzieliły go minuty.

Pies znowu zaskomlił i przytulił się do nóg swego pana, utrudniając spacer.

— Nic się nie bój, głupia! Nic nie może przeszkodzić naszym planom. Za kilka dni będziesz obsikiwać Prater, Tiergarten i Pola Elizejskie.

Doszedł do ulubionego tarasu, morska bryza uderzyła go w twarz.

Kątem oka popatrzył w stronę pałacu, którego mały fragment widoczny był w perspektywie alei.

„Ach, żeby ten Wołodia miał więcej smaku!” — westchnął niespełniony malarz i architekt.

Tymczasem jakiś cień przybrudził krawędź tarczy słonecznej, dotykającej nieomal wody. W pierwszej chwili przypominało to paproch, który wpadł do oka. Almanzor zamrugał oczami. Ciemny punkt nie zniknął, lecz przeciwnie, rósł w błyskawicznym tempie. Gdzieś od strony pałacu odezwały się syreny alarmowe.

Zbyt późno.

Większość uzbrojenia w dni, kiedy „imperatora” nie było w rezydencji, po prostu wyłączano.

Tymczasem dron niczym wielki ptak drapieżny wyrósł ponad urwiskiem kilkadziesiąt metrów od niego i znieruchomiał na moment jak jastrząb wypatrujący ofiary. Gdyby Almanzor zapytał go, skąd się wziął, zabrakłoby czasu na tłumaczenie. Prototyp, dzieło polskich konstruktorów i techników, przetransportowano z Mielca w półtorej godziny do rumuńskiej bazy pod

Konstancą, skąd helikopter transportowy przewiózł go na pokład flagowego niszczyciela noszącego imię bohatera dwojga narodów, hetmana Konaszewicza Sahajdacznego, a wchodzącego w skład floty ukraińskiej przebywającej na manewrach we wschodniej części Morza Czarnego. W precyzyjnie wybranym momencie wystartował w decydującą misję. Gdyby jego elektroniczny mózg było stać na autorefleksję, wiedziałby, że to misja samobójcza. Lecąc nisko nad wodą na podobieństwo latającej ryby, dotarł do wybrzeża i dopiero tam wzbił się na odpowiednią wysokość. I wtedy spod skrzydeł bezzałogowego samolociku wystrzeliła nieduża rakietka, przypominająca gadżet ze sklepów z zabawkami, jednak elektroniczną inteligencją przerastająca sowieckiego ogniomistrza. Bezbłędnie rozpoznała sylwetkę człowieka na tarasie, odróżniając go od innego źródła ciepła — psa.

Ciało Almanzora eksplodowało jak melon trafiony wielkokalibrowym pociskiem.

W Przemyśle z ust prezydentów obserwujących egzekucję za pośrednictwem kamery drona wyrwało się gromkie „hurra”.

Chwilę potem mechanizm autodestrukcji unicestwił samolocik, rozrywając go na miliony kawałków. Równocześnie słońce zaszło ostatecznie.

18. Inwazja

Wchodząc do ambasady położonej przy Via Vittorio Veneto pod numerem 12, Charles zastanawiał się nad cudowną odmianą Blumenbauma. Czy dyktował ją lęk przed ujawnieniem romansu z loliczką, czy kłopoty z powodu uruchomienia „Argusa”?

Zastał wiceambasadora rozpromienionego.

— Siadaj — powiedział, nalewając Charlesowi szklaneczkę whisky. — Wracasz do służby. I ja to załatwiłem. Osobiście. Możesz nawet ubiegać się o zaległe pensje.

— A gdzie będę miał swoje biurko? — zapytał agent na wpół drwiąco.

— Nie chodzi o biurko, tylko pracę w terenie! W Waszyngtonie wreszcie otrzeźwieli.

Charles spojrział na zegarek, w Waszyngtonie właśnie obudził się kolejny dzień. Czyżby do miejscowych dupków zaczęła docierać powaga sytuacji w Europie?

— Mój raport dotyczący twoich uwag na temat możliwego zamachu we Włoszech dotarł na biurko pewnego ważnego gościa w Langley.

— I?

— Lody ruszyły. Nawiązaliśmy stałą współpracę z włoską Sigsi i z Departamentem Ochrony Ludności przy rządzie Republiki Włoskiej. Zamierzam delegować cię tam w misji łącznikowej.

— Jako dyplomatę czy szpiega?

— Oficjalnie jako doradcę.

Smith zgodził się bez większych formalności i w pół godziny dotarł do Centrali Sigsi, zdobionej godłem ukazującym wielkie złociste słońce

rozbłyskujące na tle fortyfikacji.

I przystąpił do rzeczy. Nie dowiedział się wiele więcej od tego, o czym zdobył wiedzę nieoficjalnie. W całych Włoszech nie natrafiono na najmniejszy ślad Kruka — Szamira. Owszem, znaleziono w końcu w kamerach na przełęczy Brenner ciężarówkę odpowiadającą jednej z tych, które niedawno skradziono w Wiedniu, a nawet twarz zauważona za szybą zgadzała się z obliczem poszukiwanego.

Jednak upłynęło sporo czasu i ślad wywietrzał, tym bardziej że pojazd zgubił się gdzieś pomiędzy Bolzano a Weroną i nie było najmniejszych dowodów na to, że dotarł w pobliże Rzymu.

Zastępca komendanta karabinierów do spraw bezpieczeństwa, któremu przydzielono ten problem, był zwalistym mężczyzną, zmęczonym życiem i znudzonym odpieraniem argumentów rozmaitych panikarzy. Charles nie cierpiał takich typów. W sprawy, jego zdaniem, należało się angażować bez reszty, a nie poświęcać czas w wolnych chwilach.

— Na jakiej podstawie przypuszczacie, że celem waszego białego muzułmanina może być Rzym i zgromadzenie modlitewne w Watykanie? — pytał. — Gdybyśmy mieli zdawać się wyłącznie na intuicję, powinniśmy wysiedlić stąd wszystkich wyznawców islamu, nie wpuszczać pielgrzymów, a cały Watykan nakryć kopułą ze szkła pancernego! — Smith pomyślał, że nie jest to najgłupszy pomysł. — Niczego nie sugeruję, jednak przyjrzyjmy się faktom. Pański Szamir nie ma najmniejszych szans na przeprowadzenie zamachu. Żaden pojazd nie zostanie wpuszczony do strefy pielgrzyma. Ludzie idący na plac przechodzą przez bramki, które wyłuskują scyzoryki kieszonkowe, a co dopiero pasy szahida. Dodatkowo są psy, które wywąchają semtex nawet pół metra pod ziemią. Zabezpieczone zostały tunele kanalizacyjne i wentylacyjne. Poza tym, przyjacielu, my też mamy swoją agenturę. Nasi muzułmanie nie stanowią zagrożenia. To ludzie usposobieni

pokojowo. Ponadto w porównaniu z zeszłym rokiem fala uchodźców osłabła, a ci, którzy przybywają, szybko wtapiają się w multikulturalne środowisko. Gdyby pojawiła się najmniejsza pogłoska o planach ataków terrorystycznych, my wiedzielibyśmy pierwsi. Jeśli czegoś możemy się obawiać, to ataków skrajnej prawicy na obozy uchodźców, ale też dajemy sobie z tym radę.

Jako przedstawicielowi wielkiego sojusznika pokazano mu centrum operacyjne oraz dział monitoringu. Szamir nie został zauważony nigdzie, ani na autostradowych bramkach, ani na żadnym lotnisku, dworcu autobusowym czy kolejowym. Wszyscy policjanci dostali jego podobiznę.

Zastępca komendanta wręczył Smithowi wizerunek brodatego Stanisława Kruka.

— A pomyśleliście o symulacji? — zapytał Amerykanin. — Należało dołączyć zdjęcie Szamira bez brody. Jeśli chce tu działać, to nie może wyglądać jak Osama bin Laden.

— Postaramy się wziąć pod uwagę pańskie sugestie — mruknął wyraźnie niezadowolony Włoch.

Smith wytrzymał w centrali do siódmej. Potem zadzwonił do Rykowa.

— Nic się nie dzieje, ale chyba powinniśmy się spotkać.

— Podaj czas i miejsce.

— A gdzie jesteście?

— Zakończyliśmy okrążanie Watykanu. I nieźle jesteśmy już zmachani.

— No to proponowałbym przekąsić coś w plenerze. O ile wiem, nie zwinęli jeszcze tych sezonowych kawiarenek nad Tybrem.

— Gdzie konkretnie?

— Kolorowe parasole poniżej Mauzoleum Hadriana, które wy, katolicy, nazywacie Zamkiem Świętego Anioła.

Wkrótce cała trójka znalazła się na miejscu. Skwar powoli ustępował wieczornemu chładowi, a religijne śpiewy grup modlitewnych zdążających na

plac św. Piotra nadały temu miejscu urok szczególny.

— Zwiedzaliście Watykan? — zapytał Charles, kiedy skończyli komentowanie bieżących wydarzeń politycznych.

— Nie dotarliśmy nawet do bazyliki — rzekł Rykow — a wszystkie muzea są dzisiaj zamknięte ze względów bezpieczeństwa.

— A papieża widzieliście? — kontynuował Smith.

— Podobno nosa z pałacu nie wytyka — odpowiedziała Ała. — Nawet mszę kanonizacyjną Matki Teresy przełożył na poniedziałek.

— Wiadomo dlaczego?

— Mówią, że ze względu na stan zdrowia...

Słowa zagłuszył wielki szum skrzydeł. To z murów Zamku Świętego Anioła poderwało się ogromne stado gołębi. I poleciało na drugą stronę rzeki w kierunku Panteonu.

— Co je mogło tak spłoszyć? — zapytał Charles, podchodząc do barku.

— Nie mam pojęcia — odparł indagowany kelner. — Może wyczuły w pobliżu jakiegoś drapieżnika. Jastrzębia albo sokoła...

Równocześnie Rykow i Osmanowa wstali i podeszli, aby uregulować rachunek. Tymczasem opodal kawiarni zatrzymał się radiowóz karabinierów. Rosły, spocony funkcjonariusz postanowił nabyć lody z automatu i liżąc je, wiódł wzrokiem za ptakami.

— Widział pan coś takiego? — zapytała Ała, która jako jedyna z towarzystwa znała włoski.

— Kilka lat temu na Sycylii. Na krótko przed trzęsieniem ziemi — odpowiedział policjant.

— Co on mówi? — zapytał Charles.

Funkcjonariusz, jak się okazało, znał angielski, bo powtórzył swoją opinię w tym języku.

— Ale proszę się nie obawiać. W Rzymie wstrząsy sejsmiczne o dużej sile

zdarzają się niezwykle rzadko — dodał, pytając równocześnie, skąd wzięło się ich zainteresowanie gołębiami.

Smith błyskawicznie przedstawił się jako agent CIA i machnął jakąś przeterminowaną legitymacją.

Włoch musiał oglądać wiele filmów sensacyjnych, bo zrobiło to na nim spore wrażenie i wywołało żywiołową chęć współpracy.

Tymczasem Rykow zapłacił i podszedł do rozmawiających. Zupełnie bez powodu zaczęło mu łomotać serce.

— A jeśli ptaki wyczuły jakieś inne zagrożenie? — zapytał.

— Jakie?

— Na przykład rychłą eksplozję ładunku wybuchowego?

— Wewnątrz strefy pielgrzyma? — Karabinier aż się zachnął. — To wykluczone. Wszystko jest pod kontrolą. Wszyscy wchodzący są kontrolowani i aż do odwołania wprowadzono całkowity zakaz ruchu pojazdów.

— Nawet autobusów miejskich? — dopytywał się inżynier.

— Autobusom miejskim do końca weekendu zmieniono trasy.

— I nie ma żadnych wyjątków?

— Nie ma, chyba że ma pan na myśli straż pożarną czy pogotowie... — Urwał i w głębokim namyśle zmarszczył brwi. Potem gwałtownym ruchem wyciągnął radiotelefon i wywołał komisariat dzielnicy Borgo.

— Massimo Collodi — powiedział. — Czy znalazła się ta karetka, o której mówiliście... Jeszcze nie?

— O jakiej karetkce pan mówi? — napał Rykow. — Na miłość boską. Mów pan.

— Jakieś trzy godziny temu zawieruszyła się jedna karetka pogotowia... Ale dlaczego tak to panów interesuje? Nie uważacie chyba...?

Rykov nie zdążył odpowiedzieć, ponieważ ponad zwykłym miejskim hałasem wzbił się charakterystyczny dźwięk — wibrujący, jękliwy. Chwilę

później na bulwarze po drugiej stronie Tybru dostrzegli samochód oznaczony czerwonym krzyżem, który na sygnale podążał wbrew zasadom ruchu drogowego ulicą jednokierunkową pod prąd, kierując się w stronę mostu Wiktora Emmanuela.

— Niech ktoś ją zatrzyma, skontroluje! — zawołał Rykow i pchnął policjanta w kierunku wozu.

Ten, zdumiony agresją, próbował się opierać.

— Może spiesz się do wypadku.

— To proszę sprawdzić, czy w okolicy zdarzył się jakiś wypadek. A na razie zatrzymajmy go!

Collodi nawet nie wiedział, jak znalazł się w szoferce, połączył z centralą.

— Proszę jechać, jechać!

— Mój kierowca poszedł do kibla — tłumaczył.

— Ja go zastąpię. To może być samochód pułapka.

W oczach Włocha błysnęło zrozumienie, tym bardziej że centrala nie słyszała o żadnym wypadku. Wpuścił Rykova i zawiadomił ochronę zgromadzenia.

Charles chciał pojechać razem z nimi, ale inżynier powstrzymał go zdecydowanie.

— Przypilnuj Ałły. Zaraz wrócę.

Już po chwili funkcjonariusz Collodi poczuł konsekwencję zmiany kierowcy. Rykow zademonstrował, co oznacza „słowiańska krew” — włączywszy syrenę, przebił się między dwoma zaparkowanymi samochodami, nie przejmując się zgrzytem karoserii, przejechał po schodach, równoległe z bulwarem, pokonał rów, przemknął deptakiem wokół Mauzoleum Hadriana, obalił dwa płotki, brawurowo przejechał przez ekspozycję płócien ulicznego plastyka, rozwalił stragan, aż dojrzałe owoce potoczyły się ku rzece, potem nie zwracając uwagi na jęki resorów, podążył, znowu po schodach, ku górze.

— Zabijesz nas! — wołał ogłupiały Massimo. — Nie musisz się tak spieszyć, uprzedziłem posterunki, na pewno zatrzymają ambulans do kontroli.

Mylił się! Karetka mknąca po drugiej stronie Tybru, zwalniana jedynie przy większych grupach ludzi, którzy pierzchali spod jej kół jak przerażone zajęce, nie zatrzymała się ani przed mostem na Tybrze, ani za nim. Na ulicy Świętego Piusa X, biegnącej ukosem w stronę Watykanu, usiłował powstrzymać ją policjant na motorze, ale pojazd nawet nie zwolnił. Trzepnął jednośląd w tylne koło i choć motocyklista próbował w ostatniej chwili się usunąć, to pokoziołkował po trotuarze jak worek szmat.

— To musi być wariat — ocenił Massimo. — Wariat albo terrorysta!

Igor, znając zasady prania mózgu, wiedział, że najprawdopodobniej był i jednym, i drugim. Ochroniarze na widok radiowozu na sygnale usunęli barierki zagradzające im drogę. Pędem wjechali na Via della Conciliazione, szeroką, składającą się z trzech pasów ruchu rozdzielonych rzędami latarni. Od obelisku na placu św. Piotra dzieliło ich kilkaset metrów.

Karetki ani śladu!

„Może go ktoś powstrzymał?” — miał nadzieję Rykow. „A może zdecyduje się na którąś z dróg równoległych?”. Drogę utrudniały coraz bardziej zwarte grupki ludzi. Rykow wybrał pas środkowy, najszerszy.

— Chyba go zatrzymali! — zawołał radośnie Collodi.

Mylił się.

Karetka wypadła z wyciem z Corso Wiktora Emanuela, obierając prawy, skrajny pas, lewy bowiem wypełniała grupa pielgrzymów z Polski pod flagą narodową. Tu nie było o wiele luźniej, ale pojedynczy przechodnie mogli przynajmniej uciekać na boki. Nie wszystkim to się udało. Zresztą ambulans, w odróżnieniu od radiowozu, nie przejmował się bezpieczeństwem przechodniów. Karetka skonstruowana, aby chronić życie, wyglądała straszliwie, przednią szybę miała rozbitą, a na masce widać było krew

staranowanych ludzi.

— Szamir! — ryknął Igor, poznając mężczyznę, mimo że ten nie miał brody i czaszke ogolił na zero. — To on — zawołał do Massima. — On i tona semtexu!

Nie zauważył, że Collodi zmienił się na twarzy, pojawiło się dziwne dostojeństwo i spokój.

— Wsiadaj — rzucił do Rykowa.

Ten usiłował oponować.

Collodi tymczasem pochylił się, odpiął pas kierowcy, a następnie energicznym kopniakiem, nim Igor zdołał przeanalizować, co się dzieje, wyrzucił go z samochodu. Rykow przeleciał cały lewy pas, obalając kilku pielgrzymów, co odrobinę zamortyzowało jego upadek.

— To moje miasto — warknął Massimo, chwytając kierownicę. Do zwartego tłumu zgromadzonego na placu św. Piotra było coraz bliżej.

„Co on robi?” — zastanawiał się Rykow, z trudem odwracając głowę. Jego potężne ciało, tocząc się z impetem, zaklinowało się pod jakąś ławką i dłuższą chwilę nie mógł się poruszyć.

Szamir mimo znaków Massima, wzywających do zatrzymania się, prawie go doszedł.

— Boże, bądź mi miłościw! — szepnął Włoch.

Nie dojeżdżając do skrzyżowania Via dell'Erba, dokonał gwałtownego skrętu w prawo przejściem dla pieszych, przeskoczył na prawą aleję i tam wbił się w bok karetki, sprawiając, że ta wpadła na chodnik i zatrzymała się na murze Palazzo Torlonia. Zabrakło kilkunastu centymetrów, by doszczętnie zmiażdżyć Stanisława Kruka.

Ten ranny, ale przytomny, wymacał przycisk detonatora.

Kula ognia wypełniła Via della Conciliazione. Huk słychać było aż na Kapitolu.

Podmuch obalił znaczną część modlitewnego tłumu. W Pałacu Apostolskim i innych budynkach Watykanu wyleciały szyby. Kilkanaście posągów na koronie świątyni upadło, kilku papieży straciło głowy. Dwa budynki najbliższe epicentrum — Palazzo Torlonia i ambasada Brazylii przy Stolicy Apostolskiej — w ogóle przestały istnieć. W kościele Santa Maria in Traspontina zawalił się dach. Po drugiej stronie ulicy wybuch zmasakrował fasady UniCredit Banca i hotelu Columbus. Na samej alei otworzył się olbrzymi lej zajmujący połowę ulicy. Z karetki pozostało jedno koło, ciśnięte siłą wybuchu daleko w tył.

Słyszając wybuch, Ała, czekająca na powrót ukochanego, zbladła jak kreda.

— Nie udało się zapobiec eksplozji! — szepnęła.

Razem z Charlesem chcieli pobiec w stronę miejsca katastrofy, ale zderzyli się z ogromną falą ludzi uciekających w przeciwnym kierunku. Później miało się okazać, że sama panika spowodowała śmierć kilkudziesięciu ludzi, podczas gdy wybuch w sumie pochłonął dwieście dwadzieścia dwie ofiary. Strach pomyśleć, co by było, gdyby Szamirowi udało się dotrzeć do samego placu.

Osmanowa, skrajnie zdenerwowana, usiłowała dowiedzieć się czegoś od ekip ratunkowych, policjantów, dziennikarzy, którzy bezzwłocznie wyroili się w ogromnej liczbie. Nikt nic nie wiedział, a chaos jedynie się pogłębiał. Jediną pocieszającą wiadomością było to, że do eksplozji doszło jeszcze przed placem św. Piotra. I Watykan ocalał.

Rozpacz walczyła w niej z nadzieją, że pojawi się Igor albo towarzyszący mu policjant, albo obaj. Przystanęli z Charlesem przed jednym z telebimów, na którym o dziwo nadal szła transmisja telewizyjna sprzed bazyliki. Mówiono naturalnie o zamachu, nie podając szczegółów. W oknie Pałacu Apostolskiego zapłakany papież modlił się z wiernymi. Dopiero po paru minutach jakiś policjant świadek opowiedział o próbach zatrzymania karetki wyładowanej

materiałami wybuchowymi, zdążającej w stronę Miasta Watykańskiego, co udało się dopiero dzielnej załodze radiowozu z Borgo. Znacznie później zaczęto mówić o bohaterach. Nazwisko Massima Collodiego, który staranował samochód islamskiego zamachowca, miało stać się wkrótce słynniejsze od Garibaldiego. Mniej mówiono o niezidentyfikowanym dotąd cudzoziemcu, który z niewiadomego powodu towarzyszył porucznikowi karabinierów.

Głuchy szloch wydobył się z piersi Ałły. Jednak już po chwili opanowała się i otarła łzy.

— Musimy poszukać Igora w szpitalach! — powiedziała.

Charles zbaraniał. Kobieta najwyraźniej straciła głowę. Przecież jeśli Rykow towarzyszył Collodiemu, to nie miał najmniejszych szans przeżycia. Prawdopodobnie nawet szczątki jego ciała nie zostaną nigdy odnalezione. Ale czy mógł pozbawiać Osmanową resztek nadziei?

— Pójdziemy, poszukamy. Na pewno wkrótce utworzą jakiś punkt informacyjny — powiedział łagodnie.

*

Wbrew oczekiwaniom milionów muzułmanów z basenu Morza Śródziemnego głos Tarika Al-Mansura nie wezwał ich o zmierzchu do inwazji. Nie poszedł też szyfrogram do wszystkich rezydentur, grup bojowych i agentów GRU, rozsianych na całym świecie, z sygnałem rozpoczęcia operacji „Inga”. Akcja w Rzymie też nie przyniosła spodziewanych rezultatów.

Parę milionów ludzi zamarło w oczekiwaniu. Jednak Mahdi nie odezwał się do północy ani po niej.

Rozszalały się plotki twierdzące, że wrogowie dżihadu zagłuszyli sygnał nadawczy nowego proroka, inni podejrzewali, że obawiając się ataku giaurów, Almanzor musiał pilnie zmienić kryjówkę i nie zdążył nadać wystąpienia.

Nikt nie dopuszczał możliwości jego śmierci. Chronił go przecież sam Allah. Zresztą jeśliby coś takiego udało się Amerykanom, z pewnością już by to triumfalnie ogłosili.

Mimo to wielu lokalnych przywódców uznało, że przygotowania do inwazji są zbyt zaawansowane, żeby można je było poniechać. Stąd około północy tysiące motorowych pontonów zgodnie z planem wyruszyło z licznych punktów rozsianych na wybrzeżach Afryki i Azji Mniejszej. Najwcześniej ruszyli Syryjczycy, kierując się w stronę Cypru, po nich Libijczycy oraz uchodźcy z Egiptu, głównie rekrutujący się z aktywnego Bractwa Muzułmańskiego. Ostatni dołączyli mieszkańcy Maghrebu — Algierczycy, Marokańczycy i inni czarni muzułmanie z głębokiego południa — zdecydowani sforsować jak słynny wódz Tarik w roku 713 ery chrześcijańskiej, która właśnie dobiegała końca, Cieśninę Gibraltarską. Cel był prosty — odbić na początek emirat Grenady, a potem dążyć dalej z przeświadczeniem, że nad Garonną, Loarą czy Sekwaną nie natkną się na żadnego dziedzica Karola Młota.

Tym razem odwrócono proporcje z dawnych wypraw uchodźczych i 90% najeźdźców stanowili dojrzały mężczyźni, a kobiety, dzieci i starcy byli jedynie ozdobnikiem, w razie czego mogli być też osłoną.

Włoską wyspę Pantellerię dzieli od wybrzeży Tunisu niecałe sto kilometrów. Przy dobrej pogodzie — parę godzin dla pontonu z silnikiem. Dotąd główny szlak uchodźców prowadził przez położoną dalej na wschód Lampedusę, ale odkąd spokojna i dystansująca się od fundamentalizmów Tunezja wpuściła w marcu na swe tereny kilkadziesiąt tysięcy emigrantów z Libii i Algierii, wiódł tędy najkrótszy szlak do Europy.

Krótko po północy okręt patrolowy włoskiej Marina Militare „Casiopea 2” wyszedł w morze z Agrigento na Sycylii na rutynowy rejs i krótko po czwartej znalazł się na wysokości wspomnianej Pantellerii. Ponieważ późnym wieczorem pojawiło się sporo doniesień o nagłej koncentracji uchodźców

w portach afrykańskich, dla których raptem nie wiadomo skąd znaleziono setki, a może tysiące pontonów zaopatrzonych w silniki, „Casiopea” dostała za zadanie ocenić liczebność floty ewentualnych przybyszów i zgodnie z zaleceniami Unii Europejskiej perswazyjnie zachęcać do zawrócenia. Lub wyławiać pływaków w wypadku jakiejś awarii. Na pokładzie znajdowała się ekipa RAI składająca się z operatora Giuseppe Belliniego i reporterki Ulli Massini, niestrudzonej bojowniczką o prawa delfinów, lesbijek, muzułmanów i cyklistów.

O 4.45 radary statku zasygnalizowały pojawienie się wielu niezidentyfikowanych obiektów, nadciągających z południa. Ruch uczynił się na pokładzie. Reporterka, obudzona przez kamerzystę, ziewając i klnąc w sposób właściwy jedynie Włochom, wspięła się na górny pokład. W pierwszej chwili wydało się jej, że morze jest puste, statek delikatnie przechylał się na fali, jednak gdy znalazła się obok mostka kapitańskiego, a załoga włączyła reflektory, aż krzyknęła z wrażenia:

— *Porca madonna*, więcej was matka nie miała?!

Jak okiem sięgnąć, widać było łodzie (Ulla nie rozróżniała barki, krypy czy pontonu i wszystko, co pływało po wodzie, a było mniejsze od lotniskowca, nazywała łódką), setki łodzi wypełnionych po brzegi przybyszami.

— Szybko kameruj! — zawołała do współpracownika.

Giuseppe nie trzeba było dwa razy powtarzać.

— Skoncentruj się na tej najbliższej. Pokazuj kobiety i dzieci, koniecznie!

— Ale skąd je wezmę? — zapytał, spoglądając w obiektyw. — Tam są wyłącznie mężczyźni.

— Nie szkodzi, filmuj, za minutę wchodzimy na żywca!

Pontony pruły śmiało wodę i chyba nie miały zamiaru kierować się ku brzegom leżącej nieco w prawo Pantellerii, najwyraźniej Sycylia wydawała im się zdecydowanie lepszym celem.

Tymczasem na „Casiopei” włączono głośniki i rozległ się komunikat po arabsku, angielsku i włosku.

— Nie możemy was przyjąć, zawróćcie, to jest w waszym interesie!

Ulla roześmiała się w duchu. „Takie teksty możecie wciskać własnej babci!”.

Było jasne, że te dziesiątki tysięcy nieszczęśników, które mieli przed sobą, nie wybrały się na morską przejażdżkę.

— Start! — usłyszała głos operatora. Byli na wizji.

— Dzień dobry, tu wasza stara znajoma, Ulla Massini. Znajduję się na pokładzie statku patrolowego „Casiopea 2” niedaleko wybrzeży Pantellerii — zaczęła. — Przed nami ogromna liczba uchodźców wypędzonych ze swych domów przez głód, nędzę i wojnę. Ludzi takich jak my, ludzi poszukujących lepszego życia. Ich liczba jest dziś naprawdę imponująca!

Truła tak dłuższą chwilę, potem weszła na mostek, aby porozmawiać z kapitanem, którego poznała poprzedniego dnia. Jego widok ją zaskoczył — Sandro w ciągu paru godzin doszczętnie osiwiiał i odniosła wrażenie, że postarzał się o kilka dobrych lat.

— Nie teraz! — odpędził reporterkę jak natrętną muchę.

Jeszcze raz po angielsku powtórzył komunikat, który wcześniej tłumacz wygłosił po arabsku, kończąc sformułowaniem: „To ostatnie ostrzeżenie!”.

Nie usłyszała odpowiedzi płynących, lecz jedynie ryk silników coraz bardziej zbliżających się pontonów.

„Czyżby uchodźcy zamierzali przejąć statek? Ależ to byłby news!”.

Drugi oficer delikatnie wyprosił ją z kabiny. Kapitan odłożył mikrofon i skierował usta ku innemu.

Nie słyszała dokładnie jego słów, ale odczytała z ruchu warg:

— Ostrzegawczą salwą, pal!

„Niemożliwe, nie wierzę”. Chciała ponownie wdrzeć się na mostek, aby

wytłumaczyć, że takie pogróżki mogą mieć niedobre konsekwencje, ale powstrzymał ją bosman przypominający niedźwiedzia.

— Spokojnie, paniusiu, wszystko będzie dobrze.

Na szczęście czujny operator nie rejestrował ich słów, skierował kamerę na nadpływających.

— Co się dzieje?

— Kapitan Collodi stracił cierpliwość — odparł flegmatycznie matros. — I jest gotów pokazać nareszcie tym beżowym skurwysynom, gdzie raki zimują.

— To byłoby wbrew zaleceniom Unii Europejskiej.

— Chromolić Unię. Wczoraj w Rzymie przez tych brudasów zginął jego brat.

— Porucznik Massimo Collodi był jego bratem?

— Rodzonym.

— Ale przecież są rozkazy.

— Pieprzyć rozkazy!

Pierwsza salwa poszła wysoko ponad pontonami. I zdaje się nie wywarła żadnego wrażenia na pływających. Co więcej, w odpowiedzi z pierwszych łodzi huknęły strzały. Raczej nie na wiwat. Jeden z obserwatorów runął martwy, a jego krew zachlapała żakiet Ulli. Porucznik otworzył drzwi i wciągnął ją na mostek. Dzięki temu mogła być świadkiem chwili, w której kapitan Sandro Collodi wydał najważniejszy rozkaz swego życia.

„Ognia. Z wszystkich luf!”.

Ulla na moment zapomniała, co ma mówić, ale jej operator miał swój rozum. Rozszerzył kadr, obejmujący całe śródkręcie. Zdało się, że okręt ugiął się cały, kiedy jego działa plunęły ogniem. Przekaz bezzwłocznie pokazała telewizja RAI i choć wskutek wczesnej pory niewielu Włochów mogło go oglądać, dzięki satelitom trafił do obu Ameryk, Australii, do Rosji... wszędzie. A i na Starym Kontynencie szybko rozdzwoniły się telefony

i w kwadrans później wyrwani ze snu Europejczycy rzucili się do telewizorów.

Tymczasem ogarnięta szczytową furią Ulla wyminęła niedźwiedziowatego bosmana i rzuciła się na kapitana. Gdyby nie drugi oficer, który przyjął na siebie część impetu, z pewnością wydrapałaby mu oczy.

— Ty morderco, ludobójco! — wrzeszczała pod adresem Collodiego, potem wypadła z kabiny i ryknęła do kamerzysty: — Pokazuj ofiary, jak najwięcej ofiar.

W samej rzeczy obraz był przerażający, znaczna część pontonów znikła, pozostałe zawracały, wszędzie widać było dziesiątki ludzi próbujących utrzymać się na powierzchni morza, przekonanych, że zaraz zostaną wyłowieni i już rano będą w szczęśliwej Unii Europejskiej.

Tymczasem rozległ się kolejny apel po arabsku.

— Wstrzymujemy ogień. Zabierzcie waszych ludzi.

Nikt się nie kwapił.

Toteż kapitan polecił zrzucić maksymalną liczbę kół ratunkowych, kamizelek, podarował też większość swoich łodzi, decydując jednak, że nikt na jego pokład nie wejdzie.

W akcję włączył się helikopter, dokonując zrzutów sprzętu ratunkowego dalej od statku. Na jego pokładzie znalazł się Giuseppe Bellini, który przejął inicjatywę. Pokazywał odpływające łodzie i zrzucanie pomocy. Poczucie taktu nakazywało mu poniechać epatowania ciałami ofiar. Najważniejsze, że z szerszej perspektywy widać było, iż zawraca cała flotylla.

I zaraz obok niego rozległ się potwierdzający to soczysty okrzyk, który usłyszało kilkadziesiąt milionów telewidzów.

— Zawracają jebańcy!

Bellini błyskawicznie skierował kamerę w stronę „Casiopei”. Załoga na moment przerwała akcję ratunkową i dawała ujście swej radości. Kadr z tego

nagrania znalazł się nazajutrz na okładkach wszystkich gazet z podpisem: „Europa się broni”. Po paru miesiącach stał się Fotografiją Roku!

Nikt nie interesował się Ullą Massini, która szlochając, wymiotowała przez reling.

— Spokojnie, mała — powiedział bosman. — Jeśli chcesz, to możemy odesłać cię razem z nimi. Kiedy przeleci cię pierwsza setka tych facetów, nabierzesz dystansu do sprawy.

Kapitan Collodi wydał rozkaz i oddał dowództwo pierwszemu oficerowi. Był przekonany, że za swój czyn stanie przed sądem.

Pomylił się. Obok swego brata został uznany bohaterem.

A przekaz Belliniego wywołał efekt domina.

Komendant Gibraltaru, któremu na stanowisku bojowym towarzyszył następca tronu brytyjskiego, nie czekał na dodatkowe rozkazy.

Dwieście tysięcy uchodźców nie przekroczyło tego dnia wąskiej cieśniny między Słupami Heraklesa. To samo stało się na Lesbos, Chios, Samos, Rodos, Kos i Karpathos.

U wybrzeży Malty i Cypru, zanim przywódcy państw, dowódcy NATO zdążyli wypić poranną kawę i uzgodnić stanowisko, inwazja się skończyła. Dowódcy statków i baterii nadbrzeżnych zachowali się jak trzeba.

*

Dubnow dopiero rano dowiedział się, że przegrał. Jego gosposia, piersiasta Masza, nie przyszła zrobić mu śniadania, które przynosiła mu do łóżka. Nawet nie zadzwoniła, żeby się usprawiedliwić.

W domowym gabinecie nie dyżurowała sekretarka. Oddana mu bezgranicznie dziewczyna, która od roku grzała mu łożę w zimne moskiewskie noce. Przecież nie dawał jej wolnego?

Milczał telefon, znaczy nie zdarzyło się nic, o czym powinien wiedzieć.

Zresztą na wieść o zabójstwie Almanzora upił się jak świnia (albo gorzej, jak Słowianin!).

Kiedy o 8.30 nie zajechał, punktualny jak szwajcarski zegarek, wóz z szoferem, niepokój Pierwszego Doradcy stał się jeszcze bardziej konkretny. Próba dodzwonienia się sekretnym łączem do Władimira Władimirowicza nie przyniosła efektu. Nie odpowiadał numer Centrum Operacyjnego, które opuścił natychmiast po wiadomości o ataku na rezydencję. Zamierzał co rychlej polecieć na miejsce helikopterem, który czekał na kremlowskim lądowisku.

Był już w rejonie Rostowa, kiedy dostał telefon od Sorokina. „Nie ma potrzeby, żebyś tam leciał, wypocznij, jutro bardziej się przydasz w stolicy, ja się wszystkim zajmę”.

Zawrócił więc i przez całą drogę pił tego, potem zmorzył go sen. W żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, jak to się stało, że zamiast w Centrum Operacyjnym znalazł się we własnym łóżku.

Łyknął pastylkę na kaca i ubierając się, pstryknął pilotem na telewizor. Oczywiście wybrał CNN. Wszędzie pokazywano odwrót migrantów. Z wyjątkiem kilku małych wysepek greckich ani jedna śniada stopa nie wylądowała na kontynencie europejskim. W Grecji zresztą od samego rana wielki animusz wstąpił w tubylców. Obywatele pomieszani z policją i wojskiem ruszyli na obozy uchodźców rozsianych po wyspach Dodekanezu. Nie byli sympatyczni.

Uchodźcy dostali dwadzieścia cztery godziny na opuszczenie słodkiej Hellady, gdyż w przeciwnym razie mieli zostać odesłani do Hadesu. Ponieważ widać było, że autochtoni nie żartują, przepełnione promy już od świtu rozpoczęły kursy w stronę wybrzeży Anatolii.

Przystały się też wahać władze węgierskie, drogę kolumnom zagroziły czolgi.

Można było zastanawiać się jedynie, jak na złamanie standardów unijnych, praw człowieka i odgórnych zaleceń zareagują władze wspólnoty europejskiej i przesiąknięte duchem humanitarnej empatii Niemcy.

Wybór mieli mniej więcej do godziny szóstej. Piętnaście minut potem uzbrojone bojówki islamskie wyległy z kolorowych przedmieść Brukseli, nad którymi władze Belgii utraciły wszelką kontrolę, i kosząc wszystko, co się rusza, zajęły gmachy Komisji Europejskiej. Płomienie strzeliły wysoko, a krwawa łuna rozlała się nad całą stolicą zjednoczonej Europy.

Kwadrans po ósmej, po bezowocnych próbach dodzwonienia się do kogokolwiek, wściekły Dubnow ruszył pieszo w stronę Kremla. W końcu miał do przebycia ledwie kilkaset kroków. Tusza i niechęć do zajęć w siłowni sprawiły, że zziąjął się nieźle, a jego wygoloną czachę pokryły gęste krople potu. Wydało mu się, że wieki całe upłynęły od czasów, kiedy chodził pieszo po ulicy, w dodatku bez obstawy. Moskwiczanie wydali mu się bardziej uśmiechnięci i rozdyskutowani niż zwykle. Wyglądało na to, że kibicują mieszkańcom Zachodu, którzy jakby przypomnieli sobie, że nie są stadem ogłupionych baranów.

Przez moment zastanawiał się, czy przepuszczą go na wartowni, ale dyżurny zasalutował na jego widok.

Dobry znak!

Dotarł wreszcie do swojego gabinetu. I tu również zdumiała go panująca pustka, zniknęli asystenci, adiutanci, sekretarki, a nawet sprzątaczką, którą wypatrzył na końcu korytarza, umknęła wraz ze swym mopem.

— Co się, kurwa, dzieje?

Specjalna linia na szczęście działała.

Po czterech dzwonkach odezwał się Sorokin. Dubnow miał ogromną ochotę zbesztać go jak burą sukę, ale najpierw musiał zrozumieć, co się dzieje.

— Możesz wpaść do mnie? — zapytał grzecznie.

— Może być o dwunastej? — usłyszał w odpowiedzi.

— Wolałbym natychmiast! — starał się, żeby jego głos zabrzmiał władczo i zdecydowanie.

— Przepraszam, ale mam rozmowę z Szefem — odparł Kontroler. — I bardzo proszę o wyrozumiałość. — Mimo że zabrzmiało to dość uniżenie, w głosie Sorokina dźwięczała dziwna nuta, która bardzo nie podobała się klonowi Himmlera.

Miał już dość tego wszystkiego. Ciągłe nie dopuszczał do siebie, że popadł w niełaskę. Było w końcu tyle możliwości alternatywnych... Bruksela w ogniu dowodziła tego, że mimo niepowodzenia inwazji zadyma w zachodniej Europie się rozkręca. A jak ruszą jeszcze paryskie osiedla...

Pustym korytarzem pognał ku tajnym schodom, zbiegł po nich i zatrzymał się przy metalowych drzwiczkach prowadzących do centrum dowodzenia. Ku jego zaskoczeniu widniała na nich tabliczka, której jeszcze wczoraj nie było. „PRZEJŚCIA NIE MA”.

— Dla kogo nie ma, dla tego nie ma — warknął, sięgając po uniwersalny klucz. Tyle że przy breloku z kluczami nie było elektronicznego gadżetu. Okradziono go w trakcie pijackiego snu?!

Spocony wrócił do pokoju. Mógł tylko czekać.

Wszystkie telewizje pokazywały rzeczy, o których wczoraj się nie śniło.

Wystąpił prezydent Francji i z niespotykaną u niego ostrością stwierdził, że jakiegokolwiek nieporządki będą tłumione z całą bezwzględnością. Nie pokazano natomiast grupy generałów, którzy wymusili na nim tę decyzję, strasząc go wizją przyspieszonych wyborów.

Niedługo później w doniesieniach medialnych pojawiły się czołgi i wozy bojowe zajmujące pozycje na drogach do kolorowych przedmieść.

Dziennikarze nie nadążali z informacjami, wpływającymi ze wszystkich stron kontynentu. Donoszono o tysiącach drobniejszych starć we wszystkich krajach

europejskich. Na Węgrzech, w Bułgarii i Rumunii silne oddziały wojskowe przystąpiły do kontrofensywy. Żołnierzom rozdano ostrą amunicję...

O godzinie dziesiątej czasu miejscowego zebrał się niemiecki Reichstag. Posłowie wszystkich frakcji domagali się natychmiastowego ustąpienia pani kanclerz, głównej winowajczynie trwającego kryzysu. Bruksela w dalszym ciągu płonęła.

Za pięć jedenasta z Przemysła rozpoczęła się transmisja konferencji prezydentów państw Centralnej Europy. Do szefów Polski, Węgier, Ukrainy i Rumunii dołączyli Czech, Słowak i Chorwat ze Słoweńcem, a również nowy ultrakonserwatywny prezydent Austrii.

W ich imieniu przemówił Polak, Franciszek Skrzypczak.

„Kraje Międzymorza — powiedział zdecydowanie, ale bardzo spokojnie — gotowe są udzielić wszelkiej pomocy, również militarnej, przyjacielom z Europy Zachodniej zmagającym się z wrogim najazdem”.

— A gdzie my, gdzie w tym wszystkim jesteście my? — jęknął do siebie Dubnow.

Tymczasem wśród informacji z pola walki pojawiła się smutna wiadomość z Watykanu. Nad ranem zmarł papież, jak domniemywano, wskutek szoku wywołanego wielką eksplozją w sąsiedztwie placu św. Piotra. Wśród komentatorów byli i tacy, którzy ośmielali się sugerować, że zadziałał sam palec Boży pokazujący wiernym, iż nie tędy droga. Pojawiły się migawki z Castel Gandolfo ukazujące papieża emeryta, dla wielu katolików prawdziwą głowę Kościoła powszechnego.

Cytowano też jego wypowiedź udzieloną wkrótce po zamachu: „Chrześcijańska Europa, w dobie najwyższego zagrożenia musi przypomnieć sobie o duchu krucjat”.

„Miłosierdzie miłosierdziem, ale obrona obroną!” — komentował jeden z pogrążonych w żałobie kardynałów.

— A gdzie w tym wszystkim jesteśmy my, gdzie jest wielka Rosja? — pytał trzeźwiejący dowódca.

— Tam, gdzie zdecydujemy się być — dobiegł go głos Sorokina.

Pierwszy Doradca odwrócił się i ze zdumieniem zobaczył Kontrolera przy stoliku, przy którym zwykł przyjmować gości, z otwartą butelką koniaku i dwoma kieliszkami.

— Raz się wygrywa, raz przegrywa. To jeszcze nie koniec świata — powiedział generał. — Znieśmy to po męsku.

— Mam pomysł, jak porażkę obrócić w sukces — ożywił się Dubnow — jeżeli umożliwisz mi rozmowę z Władimirem.

— Wypijmy zatem za sukces! — Sorokin uniósł kieliszek i umoczył usta.

— Tak jest! Sukces! — Dubnow wychylił duszkiem zawartość naczynia. Bursztynowy trunek mocno zapiekł go w gardle. Smak miał nieco dziwny, ale chrzanić smak!

— Rozmawiałeś ze starym? — zapytał. — Pewnie jest na mnie trochę zły.

— Ależ skąd... Pomysł „Ingi” był doskonały. Zawiodło trochę wykonanie. Szef prosił nawet, żebym spróbował cię pocieszyć. Co, jak widzisz, staram się robić.

— Dzięki... Nie zapomnę ci tego. A wiesz...

Skurcze chwyciły go nagle. Ból straszny targnął trzewiami Gienricha, oczy nieomal wyszły mu z orbit, ostatkiem sił próbował się jeszcze uchwycić krawędzi stołu, ale palce ześlizgnęły się po blacie i runął na dywan.

— Otrułeś mnie — wycharczał.

Sorokin wzruszył ramionami.

— Sam się otrułeś, Heinrich. Postąpiłeś dokładnie tak samo jak twój prototyp w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym. Chociaż czy można w tej sprawie wierzyć zdradzieckim Angolom? Może załatwili go ci pieprzeni imperialiści, żeby nie mieć kłopotu!

Wijąc się na podłodze, Dubnow w ostatnim przebłysku świadomości zobaczył kury. Stada kur z hodowli Heinricha Himmlera, rozciągające się aż po horyzont.

Tylko dlaczego wszystkie były w pasiakach?

— I jak? — zapytał Lipkin, wchodząc do gabinetu.

— Wszystko w porządku, panie prezydencie.

— Ale co powie Władimir Władimirowicz?

— To przecież wy jesteście Władimirem Władimirowiczem Pobiedinem, towarzyszu prezydencie. Będziemy mieli mnóstwo roboty, aby uprzątnąć ten bałagan.

Przechodząc obok sali zwierzeń, sobowtór nie odmówił sobie przyjemności zajrzenia do środka. I oniemiał. Okruchy weneckiego lustra leżały na podłodze pomieszane z zaprawą murarską. W jego miejscu wznosił się ceglany mur, który właśnie biegli tynkarze pokrywali szybko schnącym gipsem.

— Dzień dobry, panie prezydencie — zawołali na jego widok.

Obrócił się do Sorokina, ten uśmiechał się szelmowsko.

Lipkin postanowił o nic więcej nie pytać.

*

Ten sen prześladował Igora Rykova od lat. Może jeszcze od dzieciństwa, na pewno od czasów służby wojskowej. Śniło mu się, że jest mitycznym Atlasem, w każdym razie kimś podobnym do tego tytana, dźwigającego na swych barkach cały świat.

Sen kończył się zawsze, kiedy czuł, że nie da rady, że sklepienie niebieskie nad jego głową zaczyna się kruszyć...

Teraz było podobnie, ale inaczej.

Kiedy do jego uszu dotarł przygłuszony dźwięk karetek, wozów policyjnych i straży, pojął, że ów sen wielokrotny stał się jawą. Cały Rzym upadł na niego.

Najdziwniejsze było to, że jeszcze żył. Czuł ból w strzaskanej nodze, ale mógł poruszać palcami. Jedna ręka też wydawała się należeć do niego. Drugiej nie czuł.

Gdyby jeszcze nie ta ciemność.

Z trudem przypominał sobie, co się zdarzyło. Powróciły obrazy jak w zwolnionym tempie. Pościg, Szamir, kapitan Collodi, eksplozja...

On sam wypchnięty z policyjnego samochodu przekoziółkował po bruku i trafił pod jakąś ławkę, spod której dłuższą chwilę usiłował się wygrzebać. Nad nią stała autobusowa wiata. W momencie detonacji ławka ochroniła go przed gruzem sypiącym się z unicestwionych budynków.

Był żywy, ale przysypany. Głęboko.

Usiłował krzyknąć, ale z ust wychodził mu jedynie zduszony szept. Czekał więc.

Godzinę, jedną, drugą, trzecią.

Nie wiedział, jak się to skończy, czuł się coraz słabszy, nie mógł się poruszyć.

Jedynie, co mu pozostało, to wiara.

Niezmacona wiara, że gdzieś poza tymi gruzami jest ktoś, kto zrobi wszystko, żeby go odnaleźć. Ktoś, kto z ogromną gorliwością odwiedzi wszystkie szpitale, kostnice, a potem dojdzie do wniosku, że trzeba go poszukać tu, pod rumowiskiem. Wśród zmarłych i konających.

Potem — nie miał pojęcia, ile czasu upłynęło od katastrofy — zaczęły bić dzwony, ich stłumiony dźwięk dochodził z wielu stron, ale może dzwoniło mu jedynie w uszach.

„Anielski orszak niech twą duszę przyjmie” — przypomniała mu się piękna pieśń zapamiętana z polskich pogrzebów jeszcze ze Lwowa.

Ale to przecież nie był jego pogrzeb.

Jeszcze nie jego.

Wawer, wiosna-lato 2016

MARCIN WOLSKI

POWRÓT  ALMANZORA

